

BESTSELLER „NEW YORK TIMES“

TAYLOR STEVENS

INFORMACJONISTKA



TAYLOR STEVENS

INFORMACJONISTKA

Przełożył
Jan Pyka



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Tytuł oryginału: The Informationist

Copyright © 2011 by Taylor Stevens
All rights reserved

This translation published by arrangement with Shaye
Areheart Books, an imprint of The Crown Publishing Group, a
division of Random House, Inc.

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing
House Ltd., Poznań 2012

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie
niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i
rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo
zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi
naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce: © LOOK-foto/ Wildcard Images UK

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Informacjonistka, wyd. I, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-045-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

*Moim współczesnym przyjaciołom z dzieciństwa -
wiecie, kogo mam na myśli*

Prolog

Zachodnia część Afryki Środkowej

Cztery lata wcześniej

A więc to tutaj umrze.

Na ziemi, przyciskając do niej dłonie, walcząc z pragnieniem i niemal nieodpartą chęcią napicia się wody z błotnistej kałuży. Krew miał we włosach, na ubraniu i na twarzy pod warstwą brudu. To nie była jego krew. I wciąż czuł jej smak.

Znajdą go. Zabiją. Potną go na kawałki, tak jak to zrobili z Melem i może z Emily. Pragnął wiedzieć, że ona wciąż żyje, ale słyszał tylko ciche odgłosy dżungli, przerywane uderzeniami tnących jej podszycie maczet.

Na liściach i na ziemi tańczyły plamki światła księżyca, które przedarło się przez gęstwinę koron drzew. W ciszy lasu tropikalnego odgłos maczet niósł się daleko, odbijając się wielokrotnym echem, przez co trudno było ocenić kierunek, z którego dochodził.

Nawet gdyby zdołał uciec swym prześladowcom, nie przetrwa nocy w dżungli. Musiał iść dalej, biec, podążać na wschód, aż przekroczy granicę, tyle że nie wiedział już, w którym to jest kierunku. Najwyższym wysiłkiem woli podniósł się na kolana, wstał chwiejnie i obrócił się dookoła, zdezorientowany i skołowany, szukając drogi ucieczki.

Odgłos maczet był teraz bliższy, słychać też było krzyki. Czuł ogień w płucach, oczy go szczypały, ale ruszył przed siebie. Czas stracił dla niego znaczenie już dawno temu. Majaczące w półmroku rośliny zdawały się wielkie i złowieszcze. Czy to były halucynacje? Kolejny okrzyk, jeszcze bliższy. Nogi się pod nim ugięły i upadł na ziemię, przeklinając

hałas, jaki tym wywołał. Zdarł z siebie plecak; nie był wart jego życia.

Nadzieja pojawiała się z niskim warkotem zdezelowanych dżipów, który niósł się przez podszycie. Droga stwarzała szansę ucieczki i wiedział, że teraz ją znajdzie. Przykucnął, po czym przesunął badawczo wzrokiem ponad gęstwina liściastych zarośli, błagając Opatrzność o to, żeby nie było tam węży, i pobiegł w stronę źródła dźwięku. Bez plecaka poruszał się szybciej; powinien pomyśleć o tym wcześniej.

W pewnej chwili mniej więcej sto metrów za nim rozległ się chór głosów. Znaleźli plecak. „Noś ze sobą tylko to, co jest ci absolutnie niezbędne”. Mądra rada udzielona mu przez kuzyna, który w tej zapomnianej od Boga dziczy spędził sporo czasu. Porzucając plecak, kupił sobie czas, minuty - może życie.

Dwadzieścia metrów przed sobą zobaczył snop światła. Instynktownie ruszył w jego stronę. To nie była droga, ale wioska, mała i opuszczona. Przeszukał ją, wypatrując tego, czego pragnął najbardziej, i znalazł w zardzewiałej beczce po benzynie. Na powierzchni zadomowiły się wodne owady, a głębiej, przy dnie, niczym miniaturowe syreny krążyły larwy moskitów. Napił się łąpczywie, nie przejmując się chorobami, które mogła oferować beczka; jeśli będzie miał szczęście, okażą się uleczalne.

Kiedy dżip podjechał bliżej, wycofał się w cień lasu i ukrył wśród listowia. Z pojazdu wysypali się żołnierze i rozbiegli między chatami z suszonej gliny, rozwalając drzwi i okna. Wiedział już, dlaczego wioska jest opuszczona.

Po upływie piętnastu minut zapadła całkowita ciemność. Nadstawiając uszu, ruszył ostrożnie w stronę drogi ścieżką, która wiodła wokół wioski. Dżipy odjechały i chwilowo nie było słychać jego prześladowców. W końcu opuścił osłonę lasu, wyszedł na odkryty pas, i wtedy usłyszał Emily, która wołała jego imię. Uciekała dalej drogą, potykając się ze zmęczenia, a

żołnierze byli tuż za nią. Kiedy jeden z nich uderzył ją, padła na ziemię jak szmaciana lalka.

Stał wstrząśnięty, dygocząc, i w ciemności patrzył, jak spadają na nią połyskujące w świetle księżyca maczety. Chciał krzyczeć, chciał zabić, żeby ją chronić. Zamiast tego zawrócił na wschód, w stronę odległego o dwadzieścia metrów posterunku, i uciekł.

Rozdział 1

Ankara, Turcja

Vanessa Michael Munroe zrobiła głęboki wdech, powoli i spokojnie, całkowicie skupiona na obserwowaniu chodnika po drugiej stronie ulicy.

Dobrze obliczyła czas, w jakim kawalkada samochodów dotrze z Balgat na obrzeża placu Kizilay, i teraz, stojąc nieruchomo w mrocznym, wąskim przejściu między domami, patrzyła, jak interesująca ją grupa ludzi opuszcza pojazdy i schodzi po niskich stopniach szerokiej klatki schodowej. Dwóch mężczyzn. Pięć kobiet. Czterech ochroniarzy. Jeszcze kilka minut i przybędzie człowiek, na którego czekała.

Światła neonów odbijały się w szklanych ścianach wielopiętrowych budynków, padając na szerokie ulice i chodniki wciąż, mimo późnej pory, pełne pieszych. Niektórzy przechodzili tak blisko, że niemal się o nią ocierali, nie zdając sobie sprawy z jej obecności ani z tego, że jej oczy śledziły wszystkie poruszenia w ciemności.

Zerknęła na zegarek.

Wyprostowała się, kiedy przy chodniku po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się mercedes i z tyłu wysiadł mężczyzna. Swobodnym krokiem podszedł do wejścia, a kiedy już całkowicie zniknął z pola widzenia, podążyła za nim, po schodach w dół do Anatolii: najbardziej prywatnego ze wszystkich prywatnych klubów, najświętszego miejsca w Ankarze, gdzie bogaci i potężni smarowali tryby demokracji.

Przy drzwiach pokazała wizytówkę, której zdobycie kosztowało ją dwa tygodnie sekretnych spotkań i dawania w łapę. Nie były to jednak pieniądze wyrzucone na marne, gdyż portier na widok wizytówki skinął głową i powiedział: - Witamy pana.

Munroe kiwnęła głową w odpowiedzi, wsunęła mu zwitek banknotów do ręki i wkroczyła do środka, zanurzając się w dymie tytoniowym i jazgocie orientalnej muzyki. Przeszła wzdłuż szeregu odizolowanych boksów, baru, w którym tylko połowa stołków była zajęta, przez korytarz prowadzący do toalet, i w końcu dotarła do drzwi oznaczonych napisem „Tylko dla personelu”.

W pomieszczeniu niewiele większym od zwykłej szafy zdjęła garnitur od Armaniego, włoskie buty oraz wszystkie elementy przebrania, które zmieniały ją w mężczyznę.

To było dość niefortunne, że pośrednik, którego wykorzystwała, by uzyskać dostęp do tego lokalu, znał ją jako mężczyznę, a ona właśnie tej nocy musiała być stuprocentową kobietą. Z wysokości piersi ściągnęła w dół obcisłą sukienkę, na nogi włożyła koronkowe szpilki, które wyjęła spod podszewki marynarki, z kieszeni spodni wyciągnęła małą damską torebkę. Sprawdziwszy, czy korytarz jest pusty, przeszła do toalety, żeby tam zrobić makijaż i ułożyć włosy. Transformacja zakończona.

W sali głównej ochroniarze towarzystwa, które przyjechało kawalkadą samochodów, rzucali się w oczy niczym radiolatarnie. Ruszyła w ich kierunku długim powolnym krokiem. Czas zwolnił bieg. Cztery sekundy. Cztery sekundy kontaktu wzrokowego z celem, a potem leciutki cień uśmiechu, gdy odwróciła spojrzenie i przeszła obok.

Usiadła przy końcu baru, sama, patrząc w bok, ale ciałem zwrócona ku niemu. Zamówiła drinka. I spokojnie bawiąc się medalionem wiszącym na szyi, czekała.

Jeszcze ten ostatni krok i praca będzie ukończona.

Szacowała, że zajmie to dziesięć minut, ale zaproszenie, by przyłączyła się do towarzystwa, otrzymała już po trzech. Ochroniarz, który z nim przyszedł, zaprowadził ją do stołu i tam, po króciutkiej rundzie wzajemnych prezentacji, wstydliwych uśmiechów i ukradkowych spojrzeń, weszła w

rolę wybraną na ten wieczór - szukała, polowała i wylawiała informacje, a wszystko to w przebraniu słodkiej, nieco puszczalskiej laluni.

Ta farsa trwała aż do wczesnych godzin rannych, kiedy to uzyskawszy już wszystko, czego chciała, opuściła grupę, tłumacząc się zmęczeniem. Cel towarzyszył jej z klubu na ulicę i tam, w świetle neonów, zaproponował, że odwiezie ją do domu, ale ona odmówiła z uśmiechem.

Wezwał swój samochód, a kiedy już odchodziła, dogonił ją i chwycił za ramię.

Szarpnęła się, a kiedy on mocniej zacisnął dłoń, zrobiła głęboki wdech, zmuszając się do zachowania pozorów spokoju. Wzrok zasnuła jej szara mgła. Przesunęła spojrzenie z jego twarzy na szyję i żyły, które tak łatwo mogła przeciąć, na gardło, które tak łatwo mogła zmiażdżyć, i z powrotem na twarz. Słyszając tętnienie krwi w uszach, z najwyższym trudem opanowała chęć zabicia go i z uśmiechem na ustach powiedziała słodkim tonem: - Chodźmy gdzieś na jeszcze jednego drinka.

Mercedes zatrzymał się przy krawężniku. Cel otworzył tylne drzwi i zanim kierowca zdążył wysiąść, wepchnął Munroe na tylną kanapę. Wsiadł zaraz za nią i zatrzasnął drzwi. Rozkazał kierowcy jechać, po czym wskazał energicznym ruchem minibarek.

- Weź sobie drinka - rzucił.

Z zalotnym uśmiechem obejrzała się za siebie, patrząc, ale nie widząc. Był to uśmiech zapowiadający śmierć i zniszczenie, maska ukrywająca żądzę krwi pulsującą w jej żyłach. Walczyła z sobą, by zachować rozsądek. Skupienie. Opanowawszy gniew, jedną ręką sięgnęła po butelkę Jacka Danielsa, nie wypuszczając z drugiej torebki, i powiedziała: - Napij się ze mną.

Reagując na jej spokój i milczącą obietnicę seksu, odprężył się i wziął drinka, którego mu podała. Zanurzyła w

nim palce, po czym przycisnęła je do jego warg. Powtarzała swawolnie ten gest, wprowadzając mu rohypnol do organizmu aż do opróżnienia szklaneczki, a potem zwodziła go i powstrzymywała do chwili, gdy narkotyk zaczął działać. Kiedy to się stało, powiedziała kierowcy, żeby zawiózł swojego pracodawcę do domu, i bez sprzeciwu z jego strony wysiadła z samochodu.

Znalazłszy się na zewnątrz, odetchnęła głęboko kilka razy chłodnym powietrzem przedświt, żeby się orzeźwić. A potem ruszyła przed siebie, nie zważając na upływający czas, świadoma tylko jaśniejącego nieba i, trochę później, głosów muezzinów wzywających z minaretów wiernych do porannej modlitwy. Było już zupełnie jasno, kiedy dotarła do mieszkania, które służyło jej za dom przez ostatnie dziewięć miesięcy.

Wnętrze tonęło w ciemności, gdyż okiennice były zamknięte, włączyła zatem światło. Naga żarówka o małej mocy na zwisającym z sufitu drucie rozbliysła, ukazując niewielką kawalerkę, w której więcej miejsca zajmowały stopy książek i teczek z dokumentami, a także komputery z urządzeniami zewnętrznymi, niż biurko i kanapa, która pełniła rolę łóżka. W pomieszczeniu nie było nic więcej.

Zdjęła z szyi medalion i znieruchomiła, rozproszona na chwilę przez czerwone światełko migające przy nodze kanapy. W końcu ścisnęła między dłońmi medalion, przekręciła go i wyjęła spomiędzy rozłączonych połówek mikrokartę pamięci. Usiadła przed komputerem, wsunęła kartę do czytnika i uruchomiwszy przesyłanie danych, sięgnęła po automatyczną sekretarkę.

Głos z nagrania był perlisty jak szampan: Kate Breeden w najlepszym nastroju.

- Michael, kochana. Wiem, że jesteś jeszcze zajęta i nie oczekujesz przez jakiś czas kolejnego zadania, ale właśnie zwrócono się do mnie z niezwykłą prośbą. Zadzwoń.

Munroe usiadła na kanapie, odsłuchiwała jeszcze raz nagranie, oparła czoło na złożonych dłoniach i zamknęła oczy. Była wyczerpana po ciężkim dniu pracy, położyła się zatem na plecach i zerknęła co jakiś czas na ekran monitora oraz ikonę przedstawiającą stan procesu przesyłania danych. Po jakimś czasie spojrzała na zegarek. W Dallas było kilka minut po dziesiątej wieczór. Odczekała jeszcze chwilę, po czym usiadła, i przygotowując się w duchu na to, co miało nadejść, podniosła słuchawkę i wybrała numer.

Słyszac podniecenie w głosie, który odezwał się po drugiej stronie linii, uśmiechnęła się lekko i powiedziała: - Właśnie odsłuchiwałam twoją wiadomość.

- Wiem, że nie szukasz żadnej pracy na kilka najbliższych miesięcy - mówiła szybko Kate - ale to coś wyjątkowego. Klientem jest Richard Burbank.

Munroe zastanawiała się przez chwilę. To nazwisko nie było jej nieznane.

- Nafciarz z Houston?

- Ten sam. Westchnęła.

- W porządku, przefaksuj mi dokumenty. Przejrzę je.

Zapadło niezręczne milczenie, po czym Breeden zapytała: - Czy za sto tysięcy dolarów byłabyś skłonna spotkać się z nim osobiście?

- W Ankarze?

- W Houston.

Munroe nie odpowiedziała. Dała się po prostu pochłonać ciszy.

- Upłynęły już dwa lata, Michael - odezwała się znowu Breeden. - Uznaj to za dobry omen. Wracaj do domu.

- Czy to jest tego warte?

- Zawsze możesz się wycofać.

Munroe pokiwała głową pustej przestrzeni, nieuniknionym decyzjom, które do tej pory jakoś udawało jej się odwlekać, i odparła: - Daj mi tydzień na zakończenie spraw. - Odłożyła

słuchawkę na widelki telefonu, wyciągnęła się na kanapie i zasłoniwszy oczy ręką, wzięła długi, głęboki wdech.

Wiedziała, że tego dnia się nie wyśpi.

Czwarty raz w ciągu czterech minut Munroe sprawdziła godzinę, a potem długość wijącej się przed nią kolejki.

W paszporty wbijano pieczętki. Nieregularny stukot zlewał się w drażniący rytm, który pobrzmiwał gdzieś na uboczu jej myśli.

Wracała do domu.

Do domu. Cokolwiek to miało znaczyć.

Dom. Po dwóch latach zmieniania stref czasowych i krajów Trzeciego Świata, życia w atmosferze zderzeń kulturowych, w miejscach obcych i tętniących aktywnością. To były światy, które czuła i rozumiała - w przeciwieństwie do domu.

Zacisnąwszy zęby, zamknęła oczy i powoli zrobiła wydech, po czym uniosła głowę i wzięła kolejny haust powietrza.

Następna osoba przeszła przez kontrolę paszportową i kolejka przesunęła się do przodu o kilka cali. Zrobiła kolejny wdech i spróbowała nakazać sobie chwilowy spokój, by złagodzić obawy, które narastały w niej przez ostatnie kilka godzin, ale razem z tym wdechem w jej głowie podniosła się jeszcze większa wrzawa. *Okropnie spustoszona będzie ziemia i bezgranicznie rozdrapana..1*

W drodze powrotnej widziała dwa wschody słońca i jeden zachód. Jej ciało mówiło, że jest trzecia po południu poprzedniego dnia, podczas gdy zegar na ścianie utrzymywał, że jest szósta czterdzieści osiem rano.

...marnieją dostojnicy ludu ziemi...

Kolejne ukradkowe spojrzenie na zegarek. Kolejny oddech. Kilka cali do przodu. Balansowała na krawędzi paniki, utrzymując ją w ryzach każdym oddechem.

Dom.

Ziemia została splugawiona przez swoich mieszkańców...

Mijały minuty, kolejka tkwiła w miejscu, a uwagę Munroe przykuło to, co działo się z przodu, gdzie mężczyzna stojący przed urzędnikiem imigracyjnym wydukał kilka słów po angielsku, nie potrafiąc odpowiedzieć na podstawowe pytania. Ubrany w rdzawoczerwony trencz, miał sześć stóp wzrostu, idealną sylwetkę, kruczoczarne włosy, a w dłoni trzymał teczkę o twardej skorupie ze sztucznego tworzywa.

Upłynęły jeszcze trzy minuty, które odczuła tak boleśnie, jakby to było trzydzieści minut, po czym urzędnik odesłał Mężczyznę w Trenczu do osobnego pomieszczenia w końcu korytarza.

...bo pogwałcili prawa, przestąpili przykazania...

Śledząc go wzrokiem, popchnęła swój worek marynarski nogą do przodu.

Dlatego ziemię pochłania przekleństwo...

Z każdym krokiem odradzał się strach, z jakim po raz pierwszy przekraczała granicę Stanów Zjednoczonych. Podobne drzwi, podobne doświadczenie - ile mogło się zmienić przez dziewięć lat?

...dlatego się przeredzają mieszkańcy ziemi i mało ludzi zostało.

Mężczyzna w Trenczu był teraz sylwetką za półprzezroczystą szybą. Spojrzała na zegarek. Jeszcze tylko jedna osoba w kolejce. Jeszcze tylko jedna minuta.

Ustała wesołość bębenków...

Stała przed okienkiem z paszportem i dokumentami w ręce, a wrzawa w jej głowie przycichła do szeptu słyszalnego tuż pod powierzchnią. Zdawkowe pytania, zdawkowe odpowiedzi. Urzędnik wbił pieczętkę do paszportu i oddał go jej.

...ucichła wrzawa hulających...

Nie miała żadnego bagażu ani nic do zadeklarowania i spojrzawszy na Mężczyznę w Trenczu po raz ostatni, wyszła z sali przez nieprzejrzyste, rozsuwane drzwi, które się przed nią

otworzyły, ukazując tłum czekający na przyjezdnych. Przebiegła wzrokiem po twarzach, zastanawiając się, które spośród pełnych wyczekiwania i uważnych spojrzeń przeznaczone są dla niej.

...sycera gorzknieje pijakom...

Na ścianie po przeciwnej stronie zobaczyła równy rząd telefonów. Podeszła do nich.

Zburzone jest miasto chaosu...

Wybrała numer, po czym ustawiła się tak, żeby mieć nieprzejrzyste drzwi w polu widzenia.

Minęła wszelka radość, wesele odeszło z ziemi...

Pasażerowie wychodzili w nieregularnych odstępach czasu i uśmiechali się, dostrzegłszy czekających na nich bliskich. Tak powinien wyglądać powrót do domu, niepoprzedzony wysyłaniem paczek oraz podarków do rodziny, z którą nie utrzymywało się stosunków, i kilkorga obcych zwanych przyjaciółmi. Nie powinien mu także towarzyszyć lęk przed ponownym zbliżeniem się do nich, którego nie sposób było uniknąć.

Odezwała się automatyczna sekretarka Kate i Munroe rozłączyła się, nie zostawiwszy żadnej wiadomości. Przez szklane drzwi wyszedł Mężczyzna w Trenczu.

Tylko pustka została w mieście i brama rozbita w kawałki.

Był sam. Nie czekała na niego żadna przyjaciółka z kwiatami, nikt się na jego widok radośnie nie uśmiechnął - nie było nawet żadnego posepnego pana w garniturze trzymającego kartkę z jego nazwiskiem.

Przeszedł kilka stóp od Munroe, która odprowadziła go wzrokiem. Pod wpływem impulsu podniosła swój worek i podażyła za nim na parter, trzymając się wystarczająco blisko, żeby nie zgubić go w tłumie.

Kiedy Mężczyzna w Trenczu wsiadł do kolejki kursującej wahadłowo między lotniskiem a Marriottem, zajęła miejsce za nim. Skinął jej raz głową, ale poza tym nie poświęcił większej

uwagi. Zważywszy na to, jak wyglądała i była ubrana, mogła się tego spodziewać. Krótko ostrzyżone włosy, spodnie z obniżonym krokiem, lniana koszula, która kiedyś była biała, i skórzane buty na grubych podszewkach: dla wszystkich, z wyjątkiem najbardziej spostrzegawczych obserwatorów, była w każdym calu takim samym mężczyzną jak on.

W hotelu Munroe podeszła do recepcji i ustawiła się w kolejce. Noah Johnson. Pokój 319. Tak amerykańskie nazwisko, a mimo to ma kłopoty nawet z bardzo podstawowym angielskim. Znała ten akcent: francuski marokańskiej elity towarzyskiej.

Po dopełnieniu formalności meldunkowych wynajęła pokój, po czym przeprowadziła kilka rozmów telefonicznych i na koniec, wykorzystawszy automatyczną sekretarkę Kate Breeden, umówiła się z nią na kolację w hotelowej restauracji.

Wyszedłszy na zewnątrz, Munroe przywołała taksówkę i dwadzieścia minut później znalazła się na parkingu w na wpół opuszczonej dzielnicy przemysłowej. Wzdłuż ulicy, po obu stronach i w obu kierunkach, wznosiły się przysadziste, betonowe budynki, siedziby różnych przedsiębiorstw, oddzielone od siebie wąskimi przejściami i rampami towarowymi.

Munroe odprowadziła wzrokiem taksówkę i weszła po schodach prowadzących do najbliższych drzwi. Na metalowej tabliczce dużymi, drukowanymi literami było napisane LOGAN.

Drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Przycisnęła twarz do szklanej płyty i zastukała w nią. Po kilku minutach gdzieś w głębi zapaliło się światło i do wejścia podszedł Logan. Był w dresie, boso i wyglądał na zmieszanego. Otworzył drzwi, wpuścił ją do środka i przyjrząwszy się jej uważnie, powiedział: - Kiepsko wyglądasz.

Położyła worek marynarski przy wejściu, poczekała, aż zamknie drzwi, i odparła: - Też się cieszę, że cię widzę.

Uśmiechnął się pierwszy, po czym oboje się roześmiali. Objął ją, a potem odsunął na długość rąk.

- Witaj z powrotem - powiedział. - Boże, miło mi cię widzieć. Jak tam podróż?

- Długa i nużąca.

- Jeśli chcesz się przespać, tam jest kanapa.

- Nie, dzięki - odpowiedziała. - Wolę przeczekać zmęczenie.

- Może w takim razie napijesz się kawy? - Odwrócił się w stronę małej kuchni. - Właśnie nastawiałem czajnik. - Kofeina by mi się przydała. Mocna i czarna.

Wiedziała, że nic, co zdoła wyczarować w tej kuchni, nie zbliży się nawet do tureckiej kawy; głód kofeiny nałoży się na niepokój i zmęczenie po locie.

Biurowa część budynku składała się z czterech pomieszczeń. Logan wykorzystywał jedno jako biuro, drugie jako salę konferencyjną, a w trzecim i czwartym urządził sobie mieszkanie. Tył magazynu pełnił rolę warsztatu naprawczego oraz przechowalni. Właściwie nie powinien mieszkać w tym budynku, ale że płacił czynsz punktualnie, nikt nie składał skarg zarządcom nieruchomości. Ten układ trwał od czasu, gdy Munroe go poznała - w to parne lato przed siedmioma laty, kiedy zrodzona z uprzedzeń kłótnia w knajpie dla motocyklistów przekształciła się w gwałtowną bójkę, a ona stanęła po stronie słabszego. Zaśmiewali się potem, kiedy było już po wszystkim i kiedy siedząc pod pociemniałym niebem na poboczu szosy, odkrywali w sobie pokrewieństwo urodzonych pod nieszczęśliwą gwiazdą dusz.

Munroe przeszła wolno korytarzem wzdłuż rzędu wiszących na ścianie ram wielkości plakatu, zatrzymując się na chwilę przed każdą z nich. W większości były to fotografie motocykli na torze, Logana podczas wyścigów, w których brał udział; migawki z jego życia zawodowego.

Logan miał trzydzieści trzy lata, ciemnoblonde włosy, zielone oczy i niewinny uśmiech, dzięki któremu wydawał się

dużo młodszy. To wrażenie dziecięcej niewinności, które sprawiał, wciąż przyciągało do niego kolejnych kochanków, ale jeden po drugim odkrywali oni smutną rzeczywistość jego mrocznej, stwardniałej duszy.

Logan był samodzielny od piętnastego roku życia i początkowo z trudem wiązał koniec z końcem, naprawiając na pół etatu samochody i motocykle w warsztacie ojca swojego najlepszego przyjaciela. Wszystko, co posiadał, zdobył sam, pnąc się do tego dzień po dniu, i był, zdaniem Munroe, najbliższym doskonałości człowiekiem spośród tych, których poznała podczas dziewięciu lat, odkąd po raz pierwszy postawiła nogę na amerykańskiej ziemi.

Logan dołączył do niej przy ostatniej ramie i podał jej parujący kubek. Podziękowała mu skinieniem głowy, a potem stali przez dłuższą chwilę w milczeniu, w przyjemnej, kojącej ciszy.

- Dwa lata to dużo czasu - odezwał się w końcu. - Sporo masz do nadrobienia, Michael. - Odwrócił się w stronę drzwi. - Gotowa?

Nie poruszyła się, po czym głosem zabarwionym poczuciem winy odparła: - Może przyjmę kolejne zlecenie.

Zatrzymał się.

- To dlatego wróciłam.

Logan przyjrzał się jej w zadumie.

- Dziwię się, że w ogóle się nad tym zastanawiasz. Myślałem, że powiedziałaś Kate, by odrzucała wszystkie propozycje, które otrzyma.

Munroe skinęła głową.

- Wiesz już, co myślę - mówił dalej. Był chyba zły, ale dobrze to ukrywał. - Jeśli jednak postanowisz przyjąć to zlecenie, pomogę ci.

Uśmiechnęła się, sięgnęła po jego dłoń i włożyła do niej medalion.

- To było doskonałe - powiedziała. - Dzięki.

Pokiwał głową, po czym odparł z półuśmiechem: - Dodam to do kolekcji. - Objął jej ramiona. - Chodźmy.

Wyszli przez tylne drzwi otwierające się na magazyn i warsztat i w połowie drogi do końca budynku zatrzymali się. Munroe otworzyła jedną z ustawionych w stos plastikowych szuflad i wyjęła z niej plecak oraz trochę osobistych drobiazgów, podczas gdy Logan opuścił rampę i wyprowadził ducati z miejsca, gdzie go przechowywał.

Motocykl był lśniącym, czarno-srebrnym arcydziełem, kwintesencją czystego piękna. Munroe uśmiechnęła się, przesuwając palcami po zrobionych na zamówienie, wyścigowych owiewkach.

- Dbałem o niego - zapewnił ją Logan. - W zeszłym tygodniu wybrałem się na przejażdżkę, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w najlepszym porządku.

Jeśli można było kochać maszynę, Munroe kochała ten wspaniały motocykl. Symbolizował siłę, życie rozbite na ułamki sekund, wyliczone ryzyko. Mało co mogło wywołać taki przyływ adrenaliny, jaki zapewniały jej konie mechaniczne między nogami, kiedy gnały drogami z prędkością ponad stu pięćdziesięciu mil na godzinę. Takie przyływy stały się dla niej formą samoleczenia, narkotykiem słodszy od prochów i alkoholu, tak samo uzależniającym i równie destrukcyjnym. Trzy lata wcześniej skasowała poprzedni motocykl. Z powodu potrzaskanych kości i ran głowy spędziła w szpitalu kilka miesięcy, ale zaraz po wyjściu pojechała taksówką do dilerów po nową maszynę.

Munroe usiadła na motocyklu i włączyła zapłon. Poczowała przyływ adrenaliny i uśmiechnęła się. To był dom: balansowanie na skraju przepaści, igranie ze śmiercią.

Zlecenia były czasem wytchnienia. Kiedy przebywała za granicą, robiła wszystko, co było konieczne, by wykonać zadanie, ale jej zachowania cechowała pewna normalność,

rozsądek i celowość, a destrukcyjne moce popychające ją do ryzykowania życia były uśpione.

Skinęła Loganowi na pożegnanie osłoniętą kaskiem głową i z przenikliwym wizgiem silnika wystrzeliła przed siebie. Powrót do domu był pewną ewentualnością, jeśli jednak zamierzała pozostać przy życiu, może nie nazbyt rozsądną.

Wczesnym wieczorem wróciła do hotelu. Dzień spędziła w spa, moczona, okładana maseczkami, masowana i malowana; przywrócili jej godność i kobiecość, a ona rozkoszowała się każdą spędzoną tam chwilą.

Miała teraz na sobie ubranie przylegające do ciała, uwydatniające jej długie nogi i wzrost modelki. W jej figurze było coś z obu płci, jakaś chłopięca kanciastość, ale gdy szła przez hol zmysłowym krokiem, subtelnie prowokacyjnym, czuła na sobie ukradkowe spojrzenia głównie męskich gości.

Ogarnia mnie smutek, serce moje trawi niemoc.

Zainteresowanie, które wzbudziła, rozbawiło ją i nie spieszyła się z odejściem.

...jestem okryty żałobą i ogarnęło mnie przerażenie.

Teraz, podczas jej ósmego pobytu w Stanach Zjednoczonych - każdy powrót wyglądał mniej więcej tak samo, a drażący ją niepokój nadal wzbierał coraz większymi falami - nadeszła chwila, by znaleźć sobie jakąś rozrywkę. Wyzwanie. Grę.

On był w pokoju 319. Ale najpierw musiała się zająć interesami. Zerknęła na zegarek. Kate zapewne już na nią czekała.

Sześć lat wcześniej Kate Breeden miała kwitnącą kancelarię prawną w centrum Austin, męża, córkę w gimnazjum, dom za osiemset tysięcy dolarów, trzy luksusowe samochody i coroczne wakacyjne wyjazdy do odległych miejsc. A potem nastąpił ciężki rozwód.

Dom, samochody i nieruchomości, w które inwestowała, zostały sprzedane, a jej dwudziestoletnie zarobki zgodnie z

teksańskim prawem o wspólnocie majątkowej podzielono na pół. Córka wolała zostać z byłym mężem, i Breeden to, co jej zostało, ulokowała w funduszu inwestycyjnym, po czym spakowała się i przeniosła do Dallas, by zacząć wszystko od początku.

Poznały się w kampusie Southern Methodist University, gdzie Breeden wróciła, by zdobyć dyplom MBA, a Munroe była studentką drugiego roku. Ich związek rozpoczął się jak ostrożna relacja przybranej matki z córką w czasie, kiedy ludzie wciąż jeszcze zwracali się do Munroe imieniem, które otrzymała na chrzcie.

Kiedy złożono jej niezwykłą propozycję pracy, która wymagała przerwania studiów i wyjazdu do Maroka, to właśnie do Breeden poszła po radę.

Kate miała teraz dobrze prosperującą firmę konsultingową, a ponadto, niejako na boku, zapewniała opiekę prawną kilku wybranym klientom. Dla Munroe była buforem między jej codziennym życiem i życiem podczas wykonywania zleceń. Przez miesiące, a czasem i lata, które spędzała poza krajem, Kate płaciła jej rachunki, pilnowała, by jej konta bankowe były otwarte, i przekazywała ważne wiadomości. Była ciepła, przyjazna i absolutnie bezwzględna. Z uprzejmym uśmiechem kantowała ludzi - najpierw przypochlebiała się im, a potem grzebała żywcem - i z tego powodu była sojusznikiem: była bezpieczna.

Breeden była tlenioną blondynką z włosami sięgającymi ramion i długą grzywką, która podkreślała kształt jej migdałowych oczu. Munroe znalazła ją przy stoliku w kącie hotelowej restauracji, przeglądającą stos dokumentów i sączącą czerwone wino. Kate dostrzegła ją, wstała z szerokim uśmiechem i ucisnęła serdecznie jej dłonie.

- Michael - powiedziała z charakterystyczną dla siebie zadyszka - świetnie wyglądasz. Dobrze ci zrobił pobyt w Turcji!

- Dobrze mi zrobiła wizyta w Four Seasons - odparła Munroe, siadając przy stoliku - ale Turcja bardzo mi się podobała.

- Czy zakończyłaś tę ostatnią robotę?

- Jeszcze kilka drobnych szczegółów i będzie skończona. - Munroe wzięła bułkę, posmarowała ją grubo masłem, po czym grzecznie wskazała na dokumenty. Breeden przesunęła je po stole. Munroe przeglądała je przez kilka minut, po czym stwierdziła: - To raczej nie jest coś, czym się zwykle zajmuję. - Uśmiechnęła się. - Czy to miałaś na myśli, mówiąc, że sprawa jest „wyjątkowa”?

- To łatwe pieniądze - odparła Breeden. Munroe zamyśliła się i Kate kontynuowała: - Kiedy mniej więcej cztery lata temu córka Burbanka zaginęła w Afryce, on wynajął najlepszych detektywów specjalizujących się w sprawach międzynarodowych, a kiedy ich starania okazały się bezowocne, najemników. Wszystko to dotychczas nic nie dało.

- Dlaczego zgłosił się do mnie?

- Przy jakiejś okazji widział wyniki twojej pracy i mówi, że to po prostu inna forma gromadzenia informacji.

- Może i tak jest. - Munroe wzruszyła ramionami. - Ale te pieniądze zostały zarobione ciężką pracą, nie ma w nich nic łatwego.

- Kiedy do mnie zadzwonili, rozmawiałam z nim samym, a nie żadnym pośrednikiem ani korporacyjnym strategiem. Zaproponował sto tysięcy za samo tylko spotkanie, niezależnie od twojej odpowiedzi. Chce ci osobiście przedstawić sprawę.

Munroe cicho zagwizdała.

- Wytłumaczyłam mu, że prawdopodobnie zmarnuje tylko swój czas i pieniądze. Ale istnieją gorsze sposoby zarobienia stu tysięcy dolarów niż oglądanie przez jeden dzień krajobrazu Houston.

Munroe przycisnęła kciuk do grzbietu nosa i westchnęła.

- Naprawdę nie wiem, Kate. Kiedy usłyszę szczegóły, może zechcę się tego podjąć, ale obie wiemy, że niezależnie od tego, czy mnie to zaciekawi czy nie, przede wszystkim muszę odpocząć... - Jej głos ucichł.

- Rano zadzwonię do Burbanka - odezwała się Breeden. - Powiem mu, że odrzuciłaś jego propozycję.

Munroe popatrzyła na dokumenty.

- Jeszcze nie odrzuciłam - powiedziała. - Przyleciałam przecież tutaj, prawda? - Sięgnęła po papiery i ponownie je przekartkowała. - Czy to wszystko?

- Oficjalnie tak.

- Przeczytałaś je wszystkie?

-Tak.

- A co z tymi nieoficjalnymi? - W aktach są różne osobiste informacje dotyczące Elizabeth Burbank. Wygląda na to, że mniej więcej w tym czasie, kiedy pierwsze zespoły wybierały się na poszukiwanie Emily, przeszła załamanie nerwowe i trzeba ją było hospitalizować. Przez następny rok wielokrotnie przebywała na leczeniu, aż w końcu umarła. To było samobójstwo.

Breeden umilkła na chwilę i wypila łyk wody.

- Dla rodziny był to czas szczęścia i tragedii. Mniej więcej dwa miesiące przed śmiercią Elizabeth wierceni, które Burbank prowadził u wybrzeży Afryki Zachodniej, zakończyły się sukcesem. Odkryto ropę i wartość akcji jego przedsiębiorstwa ostro poszybowała w górę. W ciągu jednego dnia został multimilionerem, a od tego czasu, dzięki ostrożnym i szczęśliwym inwestycjom kapitału, stał się miliarderem.

Przerwała, a Munroe dała jej znak, żeby mówiła dalej.

- Zanim to się stało, rodzina w żadnym wypadku nie należała do biednych. Richardowi Burbankowi nieźle się w życiu wiodło dzięki ryzykownym przedsięwzięciom, które przyniosły zysk, a poza tym dwa razy dobrze się ożenił.

Elizabeth pochodziła ze starej, bogatej rodziny, która należała do elity Houston, można zatem spokojnie powiedzieć, że byli zamożni, jeszcze zanim napłynęła gotówka z ropy. Elizabeth była drugą żoną Richarda, a on jej drugim mężem... Emily, dziewczyna, która zaginęła, jest jej córką z poprzedniego małżeństwa. Richard zaadoptował ją, kiedy skończyła siedemnaście lat. Stało się to mniej więcej w dziesiątą rocznicę ich ślubu. On i Elizabeth powtórzyli ceremonię ślubną, a Emily wybrała instytucję dobroczynną, której dla uhonorowania tego wydarzenia przekazali dużą darowiznę.

Kelner przyniósł kolację i Breeden umilkła. Munroe rozłożyła serwetkę na kolanach i wdychała przez chwilę zapach bijący z jej talerza.

- A zatem jest filantropem. - Co jeszcze? Jakim jest człowiekiem?

- Trudno powiedzieć - odparła Breeden. - Podczas rozmowy telefonicznej odniosłam wrażenie, że jest człowiekiem konkretnym, który zwykle dostaje to, czego chce. Nie ma zbyt wielu informacji prasowych na jego temat z okresu przed odkryciem ropy. Jego firma, Titan Exploration, jest notowana na giełdzie od prawie siedmiu lat, ale o Burbanku wiadomo niewiele więcej ponad to, że jest jej założycielem i posiadaczem większościowego pakietu akcji. Chyba unika rozgłosu. Munroe, która właśnie przeżuwała kawałek mięsa, pokiwała głową. Po chwili przełknęła i powiedziała: - Za sto tysięcy dolarów posłucham, co ma mi do powiedzenia. Ale dopilnuj, żeby wiedział, że przyjadę do niego po pieniądze i z czystej ciekawości.

- Sądzę, że będzie chciał się z tobą widzieć jak najszybciej.

- Spróbuj załatwić, żeby to było za kilka dni... daj mi trochę czasu na złapanie oddechu.

- Jak się teraz czujesz? - zapytała Breeden.

- Niewiele się zmieniło. Jakoś sobie daję radę. - Munroe odłożyła nóż i widelec. Nie chciała rozmawiać o szaleństwie w

jej głowie; to było jej prywatne piekło, z którym musiała się borykać sama. - Nic mi nie jest - dodała.

Kate wyjęła z torebki telefon komórkowy.

- Zanim zapomnę. - Podała go Munroe. - Żeby nie musiała cię szukać. Numer jest z tyłu, ładowarka w teczce. Zadzwoń do ciebie, gdy tylko umówię spotkanie.

Po kolacji Munroe wróciła do swojego pokoju, otworzyła teczkę na dokumenty, jeszcze raz je przejrzała i w pewnym momencie, mniej więcej w połowie, obudziło się w niej zainteresowanie. Kiedy stwierdziła, że traci poczucie czasu, nastawiła budzik i wróciwszy do początku, rozpoczęła czytanie od podsumowania oficjalnych sprawozdań.

Osoba, która sporządziła ten dokument, opisała Afrykę, którą ona dobrze знаła i dawno już przestała próbować zapomnieć. Munroe pograżyła się w lekturze i dopiero dzwonek budzika przypomniał jej, że jest jeszcze coś innego, czym powinna się zająć. N o a h J o h n s o n .

Będzie dla niej rozrywką dnia, zadaniem na wieczór. Ułożyła papiery w jakim takim porządku i rzuciła na biurko. Następnie odchyliła głowę do tyłu, zamknęła oczy i zrobiła kilka głębokich oddechów - przełączając się z jednego trybu pracy na drugi.

Znalazła go przy barze, wpatrującego się w drinka. Nawet widziany z daleka był piękny i gdyby nie tkwił tak zatopiony we własnych myślach, bez wątpienia zauważyłby spojrzenia, które rzucało mu kilka siedzących w pobliżu kobiet. Munroe zajęła miejsce przy drugim końcu baru, zamówiła drinka i poprosiła, by zanieiono mu drugi taki sam jak ten, który już pił.

Kiedy podano mu szklanekę, wyprostował się, a potem spojrzał w jej kierunku, wskazanym przez barmana. Pochyliła się za parą, która zasłaniała mu widok, i pomachała do niego. Uśmiechnął się, wziął szklaneczkę i podszedł do niej.

- *Bonsoir* - powiedział, po czym usiadł na sąsiednim stołku i uniósł szklanę w geście podziękowania.

Doświadczenie mówiło jej, że tak jak większość mężczyzn po kilku drinkach i w obliczu pięknej, okazującej zainteresowanie kobiety nie będzie w stanie się powstrzymać. Nie chodziło jej o wciągnięcie go do łóżka; wyzwaniem było omotanie go, wpełznięcie do jego głowy tak głęboko, by nie chciał się od niej uwolnić.

Odpowiedziała po francusku i podczas rozmowy o wszystkim i o niczym, którą z nim potem poprowadziła, wyławiała z jego odpowiedzi to, co mogło jej pomóc w ocenie jego osobowości i wyborze sposobu dalszego działania. Kiedy wszystkie kawałki ułożą się w całość, przeobrazi się w postać, która go najłatwiej zauroczy - odegra taką rolę, jaka będzie konieczna dla osiągnięcia celu. Słodkiej idiotki, kokietki, niebezpiecznej kusicielki - bez trudu mogła się stać każdą z nich.

Jego odpowiedzi były niespodziewane i pobudziły ją do śmiechu, nie śmiechu aktorki, ale prawdziwego, nieudawanego. A to, że on także odczuwał głód adrenaliny, w żadnym wypadku mu nie zaszkodziło w jej oczach.

Dowiedziawszy się, że obowiązki związane z pracą zawodową zaprowadziły ją kiedyś do Maroka, rzucił jej przekorny uśmiech i przeszedł z francuskiego na arabski: - *Hal tatakalam al-Arabia?*

Uśmiechnęła się szeroko i szepnęła: - *Tabaan*.

Ich rozmowa była coraz bardziej ożywiona i przeciągała się. Jego osobowość wykraczała daleko poza to, czego się spodziewała - była najbliższa jej własnej w porównaniu z innymi mężczyznami, których do tej pory wykorzystywała jako źródło chwilowej rozrywki. Być może to polowanie będzie najłatwiejsze ze wszystkich. Żadnych gier, żadnego udawania, tylko okrojona wersja tego, kim naprawdę jest.

Zapragnąwszy większego spokoju i prywatności, niż mógł im zapewnić bar oraz hotelowy hol, Munroe w pewnej chwili powiedziała: - Poszukasz ze mną jacuzzi?

- Chciałbym - odparł - ale nie mam kąpielówek.

Zbliżyła głowę do jego ucha. - Ja też nie mam, ale jeśli będziemy mieli na sobie bieliznę i zachowywali się tak, jakbyśmy byli właścicielami tego miejsca, nikt nie zwróci uwagi.

Roześmiał się głębokim, donośnym śmiechem, spontanicznym i pełnym życia. Dopił resztę drinka i postawił szklanekę na kontuarze.

- Myślę, że cię lubię, lady Munroe. - Wstał. - Gdzie jest jacuzzi?

Wanna do gorącej kąpieli była we wnęce obok głównego basenu, i kiedy ją znaleźli, Munroe zrzuciła ubranie, po czym szybko zanurzyła się w spienionej wodzie. Noah przyglądał jej się przez chwilę, a potem, nie odrywając wzroku, powiesił koszulę na stojącym obok krześle i wśliznął się do wody obok niej.

- Czy te... - zaczął, przesuwając palcem po jednej z wielu białych linii znaczących jej ciało. - Czy te blizny są także częścią twojej pracy?

Chciała coś odpowiedzieć, ale zawahała się i uznała, że lepiej milczeć.

- To - odrzekła w końcu - jest opowieść na zupełnie inny czas. - Nie były to zwykłe bzdury o wypadku samochodowym; unikała prawdy, której nie miała ochoty jeszcze raz przeżywać.

Rozdział 2

Do: *Katherine Breeden* Od: *Miles Bradford*

Dotyczy: *Dochodzenie w sprawie zaginięcia Emily Burbank*
Pani Breeden,

w imieniu Richarda Burbanka i w celu przeanalizowania przez Pani klientkę Michael Munroe przesyłam pełen zbiór dokumentów dotyczących zaginięcia Emily Burbank. Oprócz poniższego podsumowania w załączniku jest sześć plików PDF zawierających kopie wszystkich wiadomości wysłanych przez pannę Burbank przed jej zaginięciem, rządowych protokołów oraz dokumentów, jak również raportów i odpisów z taśmy (łącznie z tłumaczeniami) przedstawiających rezultaty prywatnych dochodzeń, łącznie 238 stron.

Z poważaniem Miles Bradford Capstone Security Consulting

PODSTAWOWE WIADOMOŚCI

Namibia: Dzika, rozległa, zjawiskowo piękna, jest także siedzibą niektórych z najlepszych afrykańskich rezerwatów dzikich zwierząt. Jest słabo zaludniona, ograniczona od strony wybrzeża Atlantyku przez Pustynię Namibijską i Kalahari na wschodniej granicy. Kraj jest, według afrykańskich standardów, bezpieczny i nowoczesny, rząd stabilny, a infrastruktura nieźle rozwinięta. Nie jest to pierwsze miejsce na kontynencie, które przychodzi do głowy, kiedy znika obcokrajowiec, ale internetowa kawiarenka w Windhoek, stolicy, jest ostatnim znanym miejscem pobytu Emily Burbank.

Daty przybycia Emily do Afryki i jej zaginięcia dzieli blisko pięć miesięcy. Podróż rozpoczęta się w Afryce Południowej jako lądowe safari. Wyprawa odkrytym samochodem trwała trzydzieści dni, a jej trasa wiodła przez sześć krajów

południowej i wschodniej Afryki i zakończyła się w stolicy Kenii, Nairobi.

Emily początkowo planowała powrócić do Johannesburga samolotem, ale pozostała w Afryce Wschodniej razem z dwoma mężczyznami, którzy towarzyszyli jej w podróży lądowej, Kristofem Bergerem (jak później ustalono dwudziestodwuletnim Niemcem) oraz Melem Shore'em (trzydziestojednoletnim Australijczykiem). O swojej decyzji Emily napisała: „Chcemy odpuścić sobie wizyty w rezerwach dzikich zwierząt i zobaczyć miasta oraz wioski leżące na uboczu utartych szlaków, a także, jeśli nam się to uda, spędzić trochę czasu, żyjąc razem z miejscową ludnością w wiejskich rejonach, przez które już przejeżdżaliśmy. Nie martwcie się o mnie, czuję się dobrze, Kris i Mel są wspaniali i wzajemnie o siebie dbamy”. (Kopia oryginału w załączniku).

Od daty wysłania tego e-maila do następnego kontaktu, którym był telefon z Dar es-Salam w Tanzanii, upłynęły dwa miesiące. Nie istnieje żaden zapis tej rozmowy; jej treść została później przekazana przez Elizabeth Burbank. Młodzi ludzie nadal podróżowali razem, natomiast brak kontaktu był rezultatem tego, że spędzili miesiąc w masajskiej wiosce, w której nie było elektryczności, a najbliższy telefon znajdował się w odległości dnia marszu. Ich pobyt wśród Masajów zakończył się, kiedy Emily dostała gorączki i towarzysze zabrali ją do katolickiej misji, gdzie wyleczono ją z malarii. W czasie rozmowy Emily była już w pełni sił i cała trójka zamierzała właśnie wyruszyć w drogę powrotną do Johannesburga.

Potem e-maile od Emily dochodziły dość regularnie: z Lusaki, z Livingstone, z Gaborone i na koniec z Johannesburga, a każdy z nich był krótką notatką, w której opisywała miejsce ich pobytu oraz następnny etap podróży.

Kilka dni przed jej przewidywanym powrotem do Stanów Zjednoczonych Emily powiadomiła o decyzji pozostania w

Afryce przez dodatkowe dwa miesiące. Przed powrotem do domu planowała także odwiedzić Europę, gdzie zamierzała przez kilka tygodni podróżować z Kristofem po Bałkanach. Po wymianie e-maili, która potem nastąpiła, Elizabeth zgodziła się wysłać córce pieniądze na pobyt w Europie, pod warunkiem że czas spędzony w Afryce ograniczy do jednego miesiąca, i otrzymawszy zgodę Emily, przekazała jej telegraficznie cztery tysiące dolarów.

Emily napisała z Windhoek tydzień później. Wraz z niewielką ilością informacji na temat planowanej podróży i obietnicą zawiadomienia rodziny, gdy tylko będzie wiedziała, dokąd się następnie udadzą przekazała także adres Kristofa Bergera w Langen w Niemczech wraz z prośbą żeby matka wysłała jej tam trochę rzeczy, tak by czekały na nią kiedy tam dotrze.

To była ostatnia wiadomość od Emily Burbank.

Kiedy Emily nie skontaktowała się z rodziną i nie wróciła do domu w ustalonym czasie, Burbankowie zwrócili się do South African Airways, próbując się dowiedzieć, czy ich córka wyleciała z Afryki do Europy. W dokumentach linii lotniczych nie było jednak żadnego śladu, że Emily weszła na pokład samolotu w Johannesburgu lub znalazła jakieś inne połączenie do Europy, nie były one także w stanie - powołując się na czynniki odpowiedzialne za bezpieczeństwo lotów - dostarczyć żadnych informacji ani o Kristofie Bergerze, ani o Melu Shore. Burbankowie złożyli w swoim miejscowym wydziale policji zawiadomienie o zaginięciu córki i skontaktowali się z Departamentem Stanu.

PODSUMOWANIE WYNIKÓW ŚLEDZTWA

Od początku było wiadome, że szanse na odnalezienie Emily są nikłe. Emily ustanowiła precedens podróżowania do odległych rejonów i chociaż założono, że powiadomiłaby rodzinę przed opuszczeniem Namibii, nie jest to wcale pewne;

zatem pytanie o miejsce, gdzie faktycznie zaginęła, pozostaje otwarte. Oprócz tego mało wiadomo o jej towarzyszach podróży oraz relacjach między tym trojgiem młodych ludzi. Jest wiele możliwości i przedmiotem śledztwa, które wszczęto, było nie tylko zlokalizowanie Emily, ale również odnalezienie podróżujących z nią mężczyzn.

Faza pierwsza: W początkowym stadium śledztwo natychmiast się rozgałęziło w trzech kierunkach.

Namibia: Departament Stanu, ambasada amerykańska w Windhoek oraz miejscowe organy ochrony porządku publicznego starały się wspólnie prześledzić poczynania trójki poszukiwanych w stolicy. Jednak po ustaleniu w przybliżeniu tego, co robili przez pierwsze dni swojego pobytu w mieście, okazało się, że ten trop jest już zwietrzały. Oprócz tego, że Emily Burbank i jej towarzysze rzeczywiście byli w stolicy, nie uzyskano żadnych dodatkowych informacji. Z wiadomości zebranych w tej początkowej fazie poszukiwań warto odnotować, co następuje: W hostelu, w którym się zatrzymali, właściciel słyszał, jak rozmawiali o Luandzie (w Angoli), a kelner z restauracji, w której bywali, zapamiętał, że Kristof Berger wypytywał szczegółowo o Pas Caprivi I stan drogi prowadzącej do Ruacany na granicy z Angolą. Inny kelner powiedział, że słyszał ich dyskutujących o Liberville (w Gabonie).

Kristof Berger: Drugi zespół dochodzeniowy wysłano do Niemiec, by tam, wykorzystując podany przez Emily adres, skontaktował się z matką Kristofa Bergera. Po okazaniu jej fotografii Emily, kobieta zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek ją widziała, a gdy zapytano ją o Kristofa, zakończyła rozmowę.

Działając za pośrednictwem władz miejskich w Langen, detektywi zdołali potwierdzić, że Kristof wrócił do Niemiec, przy czym warto odnotować, że data jego powrotu do Europy nie pokrywa się z planem lotu przekazanym rodzicom przez

Emily. Wielokrotnie ponawiane próby ustalenia miejsca jego pobytu okazały się bezowocne.

Mel Shore: Listy wysyłane przez Emily do domu dostarczyły tylko szczątkowych informacji na temat Mela Shore'a, które posłużyły do ustalenia jedynie jego nazwiska, wieku i narodowości. Oprócz tego niewiele wiadomo o tym mężczyźnie, a wszystkie próby zlokalizowania miasta, z którego pochodził, lub odnalezienia członków jego rodziny, zakończyły się niepowodzeniem.

Faza druga: Miejscowe organa ochrony porządku publicznego starały się ustalić, czy Emily Burbank pozostała w Namibii, czy też ją opuściła. Jedynymi wewnątrzafrykańskimi liniami lotniczymi, których samoloty wylatują z Windhoek i które zachowują listy pasażerów, są South African Airways i Air Namibia, ale w dokumentach żadnej z nich nie odnotowano Emily. Nie można jednak wykluczyć, że trójka poszukiwanych wsiadła do jednego z małych samolotów obsługujących ruch wewnątrz kontynentu albo wyjechała z Namibii samochodem. Bazując na informacjach zdobytych podczas fazy pierwszej, śledztwo przeniosło się do Ruacany, a potem do miast leżących w okręgu Caprivi, wąskim pasie porośniętej bujną roślinnością ziemi w północnowschodniej Namibii, wciśniętym między Botswanę a Zambię. Detektywom nie udało się odnaleźć nikogo, kto pamiętałby młodych podróżników.

Wszystko wskazywało na to, że grupa opuściła Namibię, ale nie istniały żadne dokumenty, które by to potwierdzały. Na tym etapie zakończono poszukiwania na obszarze Namibii.

Faza trzecia: Rodzina Burbanków wysłała zespół prawników do ambasad Stanów Zjednoczonych w Luandzie, Pretorii i Gaborone. W nadziei uzyskania jakichś wiadomości o Kristofie Bergerze i Melu Shore podobne wizyty złożono także w ambasadach niemieckich i australijskich. Ambasady

nie otrzymały jednak żadnych doniesień o zaginięciu swoich obywateli i nie mogły udzielić pomocy.

Dochodzenie w pierwszych trzech fazach trwało niemal osiem miesięcy i zakończyło się, kiedy prowadzący je śledczy doszli do wniosku, że nie potrafią wydobyć na światło dzienne żadnych pewnych informacji na temat Emily Burbank ani jej dwóch towarzyszy podróży.

Faza czwarta: Mniej więcej rok po zaginięciu Emily paczka wysłana na adres Kristofa przez Elizabeth Burbank wróciła do Houston, nieotwarta, oznakowana pieczęcią „zwrot do wysyłającego”. Jeszcze raz wyprawiono do Europy zespół dochodzeniowy, któremu ostatecznie udało się ustalić, że Kristof przebywa w klinice Hohe Mark. Ujmując to chronologicznie, po raz pierwszy przyjęto go do niej krótko po powrocie z Afryki. Według historii choroby miał załamanie nerwowe, początkowo dobrze reagował na leczenie i po sześciu miesiącach zwolniono go ze szpitala. Wrócił jeszcze w tym samym miesiącu i od tego czasu przebywał tam jako pacjent stały.

Śledczym z zespołu dochodzeniowego udało się z nim spotkać, ale nie rozumował jasno i odpowiedzi, których udzielał, nie miały związku z rozmową ani zadawanymi mu pytaniami. Odpisy z taśmy i tłumaczenia znajdują się w załączniku.

Nie zdoławszy dowiedzieć się niczego od Kristofa, detektywi raz jeszcze próbowali porozmawiać z Frau Berger. Kiedy zaoferowano jej pokaźną kwotę, kobieta zgodziła się wysłuchać ich pytań. Kiedy pokazano jej zdjęcia Emily Burbank, Frau Berger jej nie rozpoznała, nie potrafiła też dostarczyć żadnych szczegółowych informacji na temat tego, gdzie Kristof był podczas swego pobytu w Afryce ani z kim się tam zaprzyjaźnił. Potwierdziła tylko datę jego powrotu oraz datę przyjęcia do szpitala.

Podjeżdżając, że kobieta wie więcej, niż była skłonna ujawnić, a także widząc stan jej domu, detektywi zaoferowali jej dodatkową kwotę, gdyby przypomniała sobie więcej szczegółów, ale Frau Berger, usłyszawszy to, ponownie zakończyła rozmowę.

Faza piąta: W Namibii, gdzie zakończyły się dwie pierwsze fazy dochodzenia, grupa byłych wojskowych próbowała znaleźć drogę, którą Emily opuściła kraj. W okresie czterech miesięcy sprawdzili zapisy wyjazdowe w aktach każdego lądowego przejścia granicznego w Namibii i rozmawiali ze wszystkimi dostępnymi urzędnikami; dzięki temu, że hojnie rozdawali „premie”, dotarli także do wielu osób, które nie były urzędnikami. Mimo to nie udało im się odnaleźć żadnego dowodu, że Emily wyjechała z Namibii.

Faza szósta: W e-mailach do domu oraz rozmowach telefonicznych z Elizabeth Burbank Emily napomykała o swoich planach pozostania w Afryce i odbycia podróży przez kraje, których jeszcze nie odwiedziła. Z geograficznego punktu widzenia jedynym kierunkiem, który poszukiwana trójka mogła wybrać, by zrealizować ten zamiar, była północ.

Ambasady Angoli, Konga i Gabonu w Windhoek nie wydały żadnej wizy Emily ani jej towarzyszącej. O wize do tych trzech krajów mogli jednak wystąpić gdzie indziej na kontynencie albo też, znając już zasady, na jakich odbywa się przekraczanie granic w Afryce, mogli spróbować je kupić na przejściu granicznym.

Chociaż od północy z Namibią graniczy Angola, ci, którzy znali Emily, mieli kłopot z uwierzeniem, że mogłaby tam pojechać. Turystyczne wyprawy lądem do Angoli nie były wtedy uważane za bezpieczne i wciąż są niewskazane, z uwagi na dziedzictwo wojen domowych, które przez dziesięciolecia rozdzierały ten kraj. Istniała jednak możliwość, że młodzi polecili do Luandy jako punktu przystankowego w ich drodze dalej na północ. Kongo i Gabon również budziły wątpliwości,

gdyż podróżowanie do tych krajów jest dość drogie, zarówno w sensie kosztów samego transportu, jak również wiz, jedzenia oraz noclegów.

Dodatkową kwestią którą należało wziąć pod uwagę, był język. W przeciwieństwie do Afryki Wschodniej, gdzie powszechna jest znajomość angielskiego, na obszarach wzdłuż zachodniego wybrzeża kontynentu podstawowym językiem jest francuski. Emily знаła podstawy francuskiego, a ze szkolnych świadectw Kristofa Bergera wynikało, że on także mówił w tym języku. Nic natomiast nie wiadomo o Melu Shore.

Zespół poszukiwawczy rozdzielił się na trzy grupy, które udały się do Angoli, Gabonu i Konga. Podobnie jak w poprzednich fazach dochodzenia i to przedsięwzięcie zakończyło się niepowodzeniem, nie przynosząc żadnych nowych informacji.

Munroe przewróciła stronę i zrobiła kolejną notatkę na załączniku. Wziąwszy wszystko pod uwagę, rozmach poszukiwań robił wrażenie i nie ulegało wątpliwości, że rodzina poświęciła na nie pokaźne środki. Rodziły się jednak pytania, na które ten raport nie odpowiadał.

Wszędzie wokół niej leżały porozrzucone papiery. Filiżankę na stoliku nocnym kilka razy napełniła kawą i mimo starań nie zdołała uniknąć pozostawienia na meblu okrągłego śladu.

Podniosła filiżankę - pora na następną. Była już ósma wieczorem. Noah wkrótce wróci; nic na to nie poradzi, będzie musiał wrócić do niej. Ponownie nalala kawy do filiżanki.

Przez głowę przebiegły jej szczegóły sprawy i wraz z nimi wróciły wspomnienia. To było inne życie, inny świat, nieokielznany i olbrzymi, gdzie wstęgi dwupasmowych dróg bieging niczym żyły przez subsaharyjskie pustkowia, a autobusy - stare, zardzewiałe, buchające czarnym dymem - pompowały przez nie krew ludzkości.

To był świat, gdzie na obszarach miejskich kłębiły się krnąbrne masy, gdzie nowoczesność mieszała się ze śmieciami

i odpadami z Europy i Azji, gdzie nawet nowe starzało się przedwcześnie i gdzie gorąca woda oraz elektryczność wciąż jeszcze dla większości były nieosiągalnym luksusem.

Munroe wypila łyk letniego napoju i mimowolnie prychnęła. Nic dziwnego, że prowadzący dochodzenie niczego nie odkryli. Kontynent był ogromny, akta właściwie nie istniały, a dowodów brakowało. Odnalezienie dziewczyny było wielce nieprawdopodobne.

Ale wyzwanie, jaką była ta sprawa, kusilo, a jego nęcące wici oploty jej umysł niczym eteryczne nici pajęczej sieci.

Delikatne pukanie wyrwało ją z zamyślenia. Kiedy otworzyła drzwi, Noah przywitał ją pocałunkiem i podał jej małą białą różę. Wsunęła kwiat za ucho, a on popatrzył ponad jej ramieniem na dokumenty rozrzucone po całym łóżku. Zapytał po francusku: - Jesteś zajęta? Czy mam przyjść kiedy indziej?

Chwyliła go za koszulę, przyciągnęła do siebie i pocałowała.

- Nie. Daj mi chwilę na uporządkowanie tego wszystkiego. Chcę ci coś pokazać.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Munroe zdjęła osłonę chroniącą jej motocykl przed żywiołami i dłońmi ciekawskich, a Noah ukląkł przy nim i przesunął palcami po jego lśniącem nadwoziu.

- Jak jeden entuzjasta w obecności drugiego pomyślałam, że to docenisz.

Uśmiechnął się.

- Doceniam.

Pojechali do dolnego Greenville, gdzie znaleźli klub taneczny i spędzili kilka godzin, poruszając się po parkiecie, nieświadomi otaczających ich ludzi, pochłonięci rytmem muzyki i bliskością swoich ciał. Kiedy wrócili do hotelu, była prawie trzecia nad ranem.

Następne dni spędzali w podobny sposób. Noah wychodził, zanim się w pełni obudziła. Podczas jego nieobecności czytała dokumenty i zastanawiała się nad informacjami z dossier Emily Burbank. Kiedy wracał, wsiadali na motocykl i wyjeżdżali.

Pokazała mu Dallas, wozila w miejsca, na których odwiedzenie sama rzadko miała czas, a kiedy już zobaczyli wszystko, co było do zobaczenia, wracali w zacisze pokoju i z wielkim zadowoleniem oddawali się wzajemnemu zgłębianiu swoich ciał. Bycie z nim przyniosło jej spokój: obawy, które ją prześladowały od przyjazdu, ustąpiły, a demony w jej głowie usnęły.

Czwartego ranka Munroe po raz pierwszy obudziła się, kiedy Noah był jeszcze w jej łóżku. Przesunęła palcami po jego klatce piersiowej, a on sięgnął po jej rękę, obrócił się na bok i pocałował ją w czubek głowy.

Munroe włączyła telefon i zobaczyła, że czeka na nią wiadomość od Kate Breeden. Podniosła się, by zanotować kilka cyfr, po czym wśliznęła się z powrotem do łóżka i przytuliła do piersi Noaha.

- Kiedy wylatujesz? - zapytała szeptem. - Jutro wieczorem.

- Ja jutro wczesnym rankiem wyjeżdżam do Houston - powiedziała.

Milczał przez chwilę.

- Ciągle jeszcze mamy dzisiejszy wieczór. - W jego głosie zabrzmiał prawdziwy smutek i, co gorsza, sama też go czuła. Miał być wyzwaniem, zdobyczą uśmierzającą dręczący ją niepokój, a nie wsączyć się w szczeliny jej umysłu. - Wróć o ósmej - powiedział. - Zjesz ze mną kolację?

- Oczywiście - wyszeptała i pocałowała go, a potem, wybrawszy tę formę ucieczki, wstała z łóżka i poszła wziąć prysznic.

Kiedy wyszedł, Munroe usiadła po turecku na łóżku z ułożonymi przed sobą dossier Richarda, Elizabeth i Emily

Burbank. Zbieranie takich dokumentów - przez Breeden lub kogoś, kogo do tego zadania wybrała - było standardową procedurą, mającą decydujące znaczenie dla każdego zadania. Każdy potencjalny pracodawca miał prywatne powody, by wciągnąć ją w swój projekt, i te powody nie zawsze pokrywały się z tym, co jej oficjalnie mówiono.

Przejrzała dossier, szukając informacji, które pozwoliłyby jej lepiej zrozumieć tło sprawy, a kiedy pod koniec dnia stwierdziła, że jedyne, co udało jej się znaleźć, to garść plotek ze świata elity towarzyskiej, odrzuciła papiery na bok.

Opuściła hotel tuż przed szóstą, wsiadła na motocykl i skierowała się na północ, nie myśląc o żadnym konkretnym celu, a jedynie pragnąc spalić trochę paliwa i licząc, że pęd powietrza uspokoi nieco demony, które już zaczynały się poruszać. Adrenalina podziałała jak lekarstwo, miała danina dla bogów za kilka godzin spokoju.

Trzy godziny później, mając niemal trzysta dodatkowych mil na liczniku, wróciła do hotelu. Kiedy weszła do pokoju, Noah powitał ją wielkim bukietem kwiatów - nie było żadnych oskarżycielskich pytań, dlaczego kazała mu czekać, tylko pocałunek i zapach róż. Uśmiechnęła się i oddała mu pocałunek. Zarówno jedno, jak i drugie były gestami wykonywanymi odruchowo, ani umyślnymi, ani prawdziwymi. W duchu już się zamykała.

Podniósł butelkę wina i napełnił jej kieliszek.

- Nadal planujesz wyjechać rano do Houston? Wzięła kieliszek, po czym odstawiła go na bok, pocałowałwszy znowu Noaha.

- Wyruszam o szóstej lub siódmej - odpowiedziała. Zdjęła dzinsy. - Poczekaj, aż wezmę prysznic, a potem możemy wyjść.

Pogłaskał ją po policzku i przesunął palce przez jej włosy, a potem usiadł na krawędzi łóżka i posadził ją sobie, półnaga, na kolanach.

- Jedź ze mną do Maroka.

To zaproszenie powinno być oznaką jej tryumfu, oficjalnym obwieszczeniem, że odniosła sukces i czas już zakończyć sprawę. Zsunęła się z jego kolan i stanęła przy oknie. Zapatrzyła się w dalekie światła, zła, że w głębi ducha chce tego, co proponował.

To nie był pierwszy raz, kiedy podbój kończył się taką prośbą lub podobnymi słowami, ale po raz pierwszy wzbudziło się w niej pragnienie - chęć, by na jak najdłużej polecieć w stronę przysłowiowego zachodu słońca.

- Nie mówię, że nie chcę - odparła. - Po prostu nie mogę tego zrobić. - Milczała przez chwilę, po czym wróciła do łóżka i usiadła okrakiem na jego nogach. Przytuliła go do piersi i pocałowała w czubek głowy.

Trzymał ją przez chwilę mocno w objęciach, a potem wstał z głębokim westchnieniem, unosząc ją ze sobą.

- Muszę iść - powiedział. Wyjął z portfela wizytówkę. - Żebyś mogła mnie odnaleźć... jeżeli zmienisz zdanie. - Położył ją na biurku i nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju.

Drzwi zamknęły się z głuchym stuknięciem, które w ciszy pokoju zabrzmiało dziwnie głośno. Munroe podniosła kieliszek z winem, zakręciła nim lekko, po czym przesunęła kciukiem po nóżce. Była tak delikatna, tak łatwo można by ją złamać. Czekwała na jakiś impuls, nagłą potrzebę, która kazałaby jej to zrobić, ale nic takiego nie poczuła. Żadnej reakcji. Była jakby odrętwiała. Proces wewnętrznego zamykania dobiegł końca. Odstawiła kieliszek na biurko, położyła się na łóżku z rękoma pod głową i wiedząc, że tak się stanie, czekała na przebudzenie się demonów.

Rozdział 3

Okręg Walker, Teksas

Niebo było ciemne, lekko zabarwione mętną mgiełką światła, cywilizacji i zanieczyszczeń. Zrobiło się ciepłej; nawet o tak wczesnej porze Munroe to poczuła i pomyślała, że jeśli temperatura się jeszcze podniesie, przyjmie to z zadowoleniem. Drogi były puste i przy prędkości stu pięćdziesięciu mil na godzinę wiatr zdawał się przenikać przez jej ciało.

O trzeciej nad ranem włożyła wszystkie dokumenty sprawy Burbanków do plecaka i opuściła hotel. Jej głowę wypełniała kakofonia prastarych słów, a towarzyszące im napady lęku nie pozwoliły jej zasnąć. Postanowiła pojechać nocą, licząc na to, że w ciemności oraz ciszy zachowa jasność umysłu.

Pędziła drogą wijącą się przez zapadłą, teksańską prowincję. Ciągająca się bez końca przerywana linia, która oddzielała pasma szosy, zlewała się w ciągłą, czas odmierzały zmieniające się kolory nieba i szarpiący ból, czający się na peryferiach jej świadomości, rezultat godzin spędzonych na maszynie zbudowanej raczej z myślą o prędkości niż wygodzie.

Spotkanie wyznaczono na dziesiątą i teraz, o dziewiątej trzydzięci, wraz z końcową falą porannego szczytu wjechała w labirynt śródmieścia Houston. Znalazła parking, a potem, patrząc w górę na wieżowiec, zmierzwiła swoje krótkie włosy, żeby nie układały się w kształt kasku.

Przeciągnęła się, pokręciła ramionami, żeby rozluźnić mięśnie, po czym przymocowała kask do motocykla i rozpięła zamek błyskawiczny kurtki do jazdy. Po spodem miała obcisły T-shirt, który w kombinacji z dżinsami i butami na grubej podeszwie nadawał jej taki wygląd, jakby właśnie wysiadła z kabiny osiemnastokołowca. Jak każda jej decyzja wybór

ubrania był przemyślanym posunięciem, oświadczeniem skierowanym do klienta, milczącym „pieprz się” rzucanym kolejnym mężczyznom w garniturach, którzy agresywnie starali się ją nakłonić do przyjęcia ich zleceń.

Nawet nie udawała, że z uwagi na nich zamierza przestrzegać jakichś form, konwenansów, i każdy z nich to akceptował, ponieważ wszyscy oni chcieli uzyskać informacje, które mogła dla nich zdobyć, informacje mające moc zmieniania mizernych zysków w czyste złoto.

Nie zawsze tak było. Pierwsze zadanie było szczęśliwym trafem i pojawiło się w czasie, gdy uważała siebie za osobę naznaczoną, niezdolną do znalezienia pracy w tradycyjnym sensie, i zastanawiała się, czy starczy jej życia na spłacenie studenckich pożyczek.

Podczas drugiego roku w collegeu, w okresie alkoholowo-narkotycznego otumanienia, gdy nieubłagane zbliżał się ostateczny termin ukończenia pracy z komparatystyki politologicznej, przesiedziała całą noc przy swoim zdezelowanym laptopie i czterech dzbankach kawy, fabrykując raport na temat Kamerunu, który wybrała jako przedmiot swych badań. Dane, na których się opierała, były w większości zmyślane, ale wnioski, do których doszła, dzięki dawnym, osobistym obserwacjom, umiejętności logicznego rozumowania, a także głębokiemu zrozumieniu problemów demograficznych, były bardzo dokładne.

Ułga, jaką poczuła po zakończeniu zadania, zmieniła się w strach, kiedy profesor zamiast po prostu ocenić jej pracę, wyraził ochotę podyskutowania o niej. Okazało się, że pozwolił sobie pokazać jej raport koledze, który po przeczytaniu go poprosił o spotkanie z nią.

Kolega był ekonomistą pracującym dla Międzynarodowego Funduszu Walutowego, specjalizującym się w problematyce krajów afrykańskich; on z kolei przedstawił Munroe jednemu ze swoich partnerów biznesowych, niejakiemu Julianowi

Reidowi. Chociaż dla wszystkich, którzy przeczytali raport, było jasne, że dane nie pochodziły z prawdziwych źródeł, analizy oraz konkluzje wzbudziły ich ciekawość. Podczas lunchu Reid zapytał, czy istnieje możliwość, by przygotowała podobny raport na temat innego kraju. On i jego partnerzy, wyjaśnił, planują rozpocząć pewne przedsięwzięcie w Maroku, i chociaż ten kraj jest dosyć stabilny politycznie oraz ekonomicznie, nie mieli nikogo stamtąd, kto miałby wrodzoną wiedzę o miejscu, o zwyczajach tam panujących, różnych subtelnościach oraz mapę, z braku lepszych określeń, która pozwoliłaby odpowiednio nawigować pośród sprzedajnych i zaciekle walczących o władzę członków hierarchii politycznej. Właśnie takie informacje w jej raporcie o Kamerunie zwróciły uwagę tych, którzy go czytali. Czy mogłaby, chciał wiedzieć, powtórzyć badania dla innego scenariusza?

Tak to się zaczęło.

Maroko było pierwszym zadaniem; wykonanie go zajęło jej osiem miesięcy i te osiem miesięcy zmieniło kierunek jej życia. Odstawiła narkotyki, przestała pić, intensywna koncentracja na pracy przyniosła jej spokój, a to jedno zlecenie tak poprawiło stan jej finansów, że stała się wypłacalna. Potem były dwa miesiące w Urugwaju na rzecz Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Kiedy kończyła trzeci projekt w Wietnamie, wieści o niej zaczęły się rozchodzić. Z każdym zadaniem utrwałała się jej reputacja osoby, która potrafi wydobywać niewiarygodnie dokładne informacje, i tylko kwestią czasu było, kiedy górę weźmie prawo popytu i podaży. Wartość jej usług rosła wykładniczo, podobnie jak sumy na czekach. Nikt nie pytał, jak zdobywała informacje ani co musiała w tym celu zrobić; wszyscy po prostu płacili.

Teraz pojawiła się możliwość zlecenia daleko odbiegającego od tego, co zwykle robiła, i dlatego ją to intrygowało - a także to, że od dziewięciu lat, kiedy tak nagle ją opuściła, nie była w Afryce, a przynajmniej w tej jej części,

w której się urodziła. Odepchnęła od siebie wspomnienia i dołączyła do Kate Breeden w holu budynku, po czym razem pojechały w milczeniu windą na trzydzieste ósme piętro, gdzie drzwi otworzyły się na rozległą recepcję.

Na korytarzach leżały chodniki, drzwi biur były bogato ozdobione boazerią, a wszędzie panowała cisza i atmosfera nabożnego wręcz skupienia. Titan Exploration było fascynującym okazem na szczycie korporacyjnej Ameryki i Munroe, podążając za asystentem Burbanka po drogich chodnikach przez dobrze oświetlone korytarze, z obojętną ciekawością obserwowała wszystko, co się wokół niej działo.

Świat korporacji, ze swoją wewnętrzną polityką i charakterystycznymi cechami, był jej tak obcy jak początkowo każdy z badanych przez nią krajów i tworzył odrębną kulturę, której jeszcze sobie nie przyswoiła. W ciągu ostatnich lat kilka razy próbowała żyć, jak to robią „normalni” ludzie, i każda z tych prób kończyła się jeszcze bardziej żalosną porażką od poprzedniej. Najdłużej, czyli osiem tygodni, wytrzymała jako księgowa w firmie audytorskiej. Zrezygnowała z tej pracy nagle, kiedy idea zabicia kierowniczkę działu stała się nazbyt kusząca. Ta kobieta, niepewna i niekompetentna, była tyranem zdecydowanym zniszczyć każdą utalentowaną osobę, zanim ta ją zastąpi, i mało kto płakałby z powodu jej śmierci. Ale kiedy w głowie zaczęło się jej roić od pomysłów, jak to bezkarnie zrobić, Munroe zrozumiała, że czas odejść. A to była dobra praca.

Asystent doprowadził je do gabinetu w narożniku, zapukał delikatnie i otworzył drzwi. Między nimi a biurkiem Burbanka rozciągało się trzydzieści stóp pustej przestrzeni. W przedniej części gabinetu były miejsca do siedzenia i barek; oprawione w ramki fotografie wisiały na ścianie po prawej stronie. Ściana lewa i tylna były całe z grubego szkła i roztaczał się stamtąd wspaniały widok na śródmieście Houston.

Burbank siedział na krawędzi ogromnego, mahoniowego biurka, przed ścianą okien, ze słuchawką telefonu przy uchu, jedną nogą na podłodze, a drugą zwisającą za róg biurka, i prowadził właśnie ożywioną rozmowę. Przerwał ją na widok Munroe i Kate, zaprosił je gestem do środka, po czym szorstko odprawił tego, kto był po drugiej stronie linii.

Burbank był wzrostu Munroe, opalony, w dobrej formie, miał na sobie nienaganny, uszyty na miarę garnitur, koszulę w prążki i różowy krawat. Srebro na skroniach obramowywało jego szaroniebieskie oczy w odcieniu zimowego nieba. Tchnął wręcz namacalną energią i prawdziwym urokiem.

Munroe usiadła na jednym z dwóch foteli po drugiej stronie biurka Burbanka i natychmiast tego pożałowała. Fotel był miękki i wygodny i zatonała w nim na kilka cali, tak że jej oczy znalazły się mniej więcej na wysokości piersi Burbanka, a nie jego twarzy, co zmuszało ją do patrzenia w górę.

Kiedy milczenie w pokoju stało się krępująco długie, Burbank w końcu je przerwał, mówiąc: - Bardzo pani dziękuję za przyjście. Naprawdę doceniam to, że zgodziła się pani poświęcić czas, by mnie wysłuchać i przynajmniej zastanowić się nad przyjęciem zadania, które trzeba doprowadzić do końca. Munroe popatrzyła nad jego ramieniem przez okna i z wyrazem znudzenia na twarzy oraz monotonnym głosem odpowiedziała tylko: - Przyjechałam po pieniądze.

Burbank roześmiał się i złożył ręce.

- Mam nadzieję, że przelewu dokonano bez żadnych przeszkód i wszystko jest w porządku? - Breeden skinęła głową i Burbank kontynuował: - Czy miała pani okazję przejrzeć dokumenty, które dostarczyłem?

- Tak, miałam - potwierdziła Munroe.

- Dobrze, dobrze - powiedział, kiwając głową, a potem umilkł nagle, jakby przerwał sam sobie w połowie myśli. - Wie pani, nie jestem pewny, jak się do pani zwracać... czy woli pani Michael, panno Munroe, Vanesso, czy może jeszcze

jakieś inne imię, które pani przyjęła? - Jego słowa były niemal sarkastyczne, ale głos brzmiał szczerze. Przeprowadził swoje śledztwo i chciał, żeby ona o tym wiedziała.

- Większość klientów mówi mi Michael - odpowiedziała.

- Świetnie, niech będzie Michael. - Burbank umilkł, popatrzył przez okno na linię horyzontu i pomasaował palcem usta. - Michael - zaczął - wiem, że nie masz dzieci, ale może potrafisz zrozumieć ból niepewności i to nieznośne uczucie zawieszenia, które wynikają z tego, że się po prostu nie wie, co się stało z dzieckiem. - Emily jest najbystrzejszą i najbardziej uroczą dziewczyną, córką, której pragnąłby każdy rodzic - mówił dalej - i codziennie dziękuję Bogu za to, że wprowadził ją i jej matkę do mojego życia. - Wyjął z portfela fotografię i podał ją Munroe. - To zdjęcie Emily z uroczystości rozdania świadectw ukończenia szkoły średniej - wyjaśnił.

Munroe pokiwała głową. Tak jak na fotografiach z akt sprawy, Emily była drobną dziewczyną z długimi blond włosami i brązowymi oczami, których urok pogłębiały długie, ciemne rzęsy.

- Kiedy Emily postanowiła pojechać do Afryki Południowej - kontynuował Burbank - byłem temu przeciwny. Uważam, że takie samotne podróżowanie nie jest bezpieczne. Obstawiała jednak przy swoim, utrzymując, że nie będzie s a m a , i w pewnym sensie miała rację... cała ekspedycja poruszała się tam jako grupa. Chyba wiesz, co miałem na myśli. Ale ona była już pełnoletnia i wystarczająco dojrzała, by podejmować własne decyzje. Nie uważałem tej decyzji za dobrą i przemyślaną, ale jej matka czuła, że dzięki takiej przygodzie Emily będzie miała okazję dojrzeć, a ja tak naprawdę nie miałem wiele do powiedzenia w tej sprawie. Emily jest drobną dziewczyną o łagodnym głosie, ale potrafi być także bardzo zdeterminowana. Zwykle, gdy czegoś chciała, znajdowała sposób, by to dostać, i tym razem też postawiła na swoim.

Jak zapewne czytałaś w aktach - ciągnął - krótko przed jej zaplanowanym wyjazdem do Europy Emily zniknęła. To już cztery lata, Michael. - Głos mu się załamał. Przerwał, by zapanować nad sobą, i po długiej chwili milczenia zaczął znowu mówić: - Wydałem małą fortunę na prywatnych detektywów i specjalistów od spraw bezpieczeństwa. Przeszedłem piekło, próbując zainteresować tą sprawą agencje rządowe, które nic nie wiedzą. - Ponownie przerwał, oddychając przez chwilę głęboko i powoli. - Szczerze mówiąc - podjął - mam niewielką nadzieję na odnalezienie jej żywej po tak długim czasie. Ale chcę zrozumieć, co się stało, wiedzieć, czy jest jakiś sposób, żebym mógł coś naprawić, naprawić w jej imieniu. - W gabinecie zapanowała atmosfera przygnębienia. - Muszę ją odnaleźć, Michael.

Munroe odczekała chwilę, po czym powiedziała: - Przykro mi, że musiał pan przez to przejść. - Mówiła powoli, naśladowując sposób wysławiania się Burbanka i dobierając słowa, które oddadzą sens tego, co chciała przekazać, nie raniąc. - Wiem, jak to boli, gdy traci się kogoś kochanego z powodów, które nie mają żadnego sensu. Nie rozumiem jednak, dlaczego chce pan wynająć właśnie mnie. Ja się czymś takim nie zajmuję. Nie jeżdżę po świecie, próbując odnaleźć zaginionych ludzi, i nie sądzę, żebym mogła panu pomóc.

- Nie, ty nie szukasz zaginionych ludzi - odparł z westchnieniem Burbank. - Ale masz talent, który pozwala ci przetrwać i wtopić się w każdą społeczność, z jaką miałaś kontakt. Co więcej, wiesz, jak zadawać właściwe pytania właściwym ludziom, by uzyskać odpowiedzi, których potrzebujesz. - Wyjął z szuflady biurka teczkę z dokumentami i przesunął ją w stronę Munroe.

Było to grube na cal, gruntowne opracowanie, streszczające dziewięć ostatnich lat jej życia. Z obojętną miną Munroe przekartkowała raport. Po dokumentach przyszła

kolej na fotografii: jej rodziny, jej samej na każdym z trzech ducati, które posiadała, warsztatu Logana, Logana z jego ówczesnym chłopakiem, i kilka z college'u, których wolałaby nigdy nie oglądać. Zatrzymała się, gdy natrafiła na powiększenie zdjęcia - pobranego z materiału zamieszczonego w Internecie - jednego z wielu skoków spadochronowych, które wykonała z góry Kierag w Norwegii. Skurwiel był metodyczny. Historie chorób, szkolne arkusze ocen, kartoteki policyjne z długą listą mandatów za nadmierną prędkość. W raporcie były rozmowy i szczegóły opisane przez ludzi, których poznała tuż po swoim przybyciu do kraju. Ale z wyjątkiem kilku notatek o jej dzieciństwie, z okresu jej życia przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych nie było w nim niczego. I tak to powinno być.

Munroe rzuciła skoroszyt na biurko.

- Ma pan cztery minus za pracę domową - powiedziała z ziewnięciem. - Chyba nie spodziewa się pan, że może to wykorzystać do jakiejś formy szantażu, by przekonać mnie do wzięcia pańskiej sprawy, ponieważ nie ma w tym niczego, czym bym się przejmowała.

- Szantaż? Dobry Boże, nie - odparł. - Nic bym nie zyskał, zmuszając cię do wzięcia roboty, której nie chcesz... To oczywiste, że wynik byłby daleki od ideału. Nie, Michael, musiałem zebrać te materiały, żeby dobrze zrozumieć, do czego jesteś zdolna. Chciałem też, żebyś wiedziała, że kazałem zebrać te informacje, zanim postanowiłem przedstawić ci propozycję, którą zamierzam złożyć.

Munroe nic nie odpowiedziała i w pokoju zapadło milczenie. Kiedy stało się oczywiste, że Burbank czeka na jakąś reakcję lub oznakę zainteresowania, ziewnęła, osunęła się głębiej w fotelu, kładąc głowę na oparciu i wyciągając nogi przed siebie.

Burbank złożył dłonie i oparł się łokciami na blacie biurka.

- Jestem gotowy zaoferować ci kontrakt na dwa i pół miliona dolarów za ostateczną próbę odnalezienia mojej córki.

Przechyliła głowę w bok, zmarszczyła brwi, ale nadal nic nie mówiła.

- Michael, potrzebuję jakiegoś zamknięcia, zakończenia. Nie mogę siedzieć dzień po dniu przez resztę mojego życia, po prostu czekając i mając nadzieję, że któregoś dnia ktoś przyniesie mi wiadomości. Jesteś najlepsza w tym, co robisz. Jeszcze nigdy nie zdarzyło ci się nie wykonać zadania, którego się podjęłaś. Wiem, że jeśli zgodzisz się przyjąć to zlecenie, nie zawiedziesz. I może tego właśnie po części się boję. Boję się, że odmówisz, ponieważ dojdiesz do wniosku, że nie zdołasz wykonać zadania. To dlatego jestem gotów zapłacić ci dwa i pół miliona dolarów za to, żebyś zrobiła wszystko, co w twojej mocy. Nie wiem, ile czasu upłynie, zanim wyczerpiesz wszelkie możliwości i stwierdzisz, że utknęłaś w ślepym zaułku. My żyjemy z tym od czterech lat. Jeśli dasz mi rok, to będzie wszystko, o co proszę, nawet gdybyś nie odkryła więcej, niż nam się to udało.

- Jest pan zatem skłonny zaryzykować dwa i pół miliona dolarów, stawiając je na bardzo niewielką szansę, że uda mi się dowiedzieć trochę więcej niż wam?

- Jeśli chcesz to ująć w ten sposób, tak, chociaż nie postrzegam tego jako ryzyka. - Zatoczył ręką łuk, wskazując swój gabinet. - To oczywiste, że pieniądze nie są moją największą troską. Mam ich tyle, że starczyłyby mi na kilka żywotów. Nie mam natomiast poczucia zamknięcia. Nie mogę żyć, działać, nie wiedząc - i możliwe, że tak będzie zawsze - co się stało z moją córką, a czas płynie. Każdy dzień, który mija bez nowych informacji, jeszcze bardziej oddala możliwość uzyskania ostatecznej odpowiedzi. Czytałem raporty, które przygotowywałaś. Potrafisz wydobywać informacje nie wiadomo skąd i nie wiadomo jak. Wierzę z absolutną pewnością, że jeśli powiesz, że moja córka nie żyje, to ona

naprawdę będzie martwa, a jeśli ona żyje, to właśnie ty możesz ją odnaleźć. A jeśli mi powiesz, że trop się urwał i nie ma już nadziei, będę wiedział, że wszystko, co można było zrobić, zostało zrobione.

Munroe wyprostowała się i pochyliła do przodu nad blatem biurka, tak że jej oczy znalazły się na tej samej wysokości co jego.

- To wszystko? Ja obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, a pan wręczy mi zapłatę? A co, jeśli podpiszę kontrakt, zrobię sobie roczne wakacje w Afryce, a potem po prostu powiem, że próbowałam?

Burbank uśmiechnął się i wytrzymał jej spojrzenie. Odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział, jakby dobierał starannie słowa.

- O ile dobrze cię poznałem - odparł w końcu - nie wydaje mi się, żebyś się choćby zastanawiała nad taką możliwością... musisz dbać o swoją reputację. Jednak jestem także biznesmenem... chronię swoje inwestycje. Jeśli przyjmiesz moją propozycję, będę oczekiwał częstych, jeśli nie regularnych raportów o postępach, i zastrzegam sobie prawo do wysłania ci jednego z moich ludzi do pomocy, jeśli uznam to za konieczne. - Zdaje pan sobie sprawę z tego - zaprotestowała Munroe - że nigdy przedtem nie miałam opiekuna podczas pracy i że nie mam ochoty tego zmieniać. Pracuję sama, panie Burbank, i bardzo ostrożnie wybieram ludzi, którzy mi pomagają. Jeśli zdecyduję się przyjąć pańskie zlecenie, będę chciała wiedzieć, na jakiej podstawie uważa pan, że „pańscy” ludzie mają odpowiednie kwalifikacje. Gdyby mieli, nie byłabym panu potrzebna.

Burbank sięgnął do szuflady biurka i wyjął drugą teczkę.

- To jest Miles Bradford - powiedział. - Mam do niego bezgraniczne zaufanie. Przeszedł ze mną piekło i to właśnie on mi ciebie polecił. Miles zna Afrykę i chociaż nie wspomniano o tym w dokumentach, które czytałaś, stał na czele zespołu

dochodzeniowego, który odbył podróż z Windhoek do Brazzaville w Kongu. Możesz go sama prześwietlić. Jeśli uznasz, że nie ma odpowiednich kwalifikacji, daj mi znać, i będziesz sobie mogła wybrać kogoś innego spośród tych ludzi w mojej firmie, którym bym zaufał w tej sprawie.

Munroe przejrzała pobieżnie dokumenty, a potem podniosła swoją teczkę z biurka Burbanka i podała obie Breeden.

- W porządku, panie Burbank - powiedziała. - Pomyślę o pańskiej propozycji. Kiedy jeszcze raz przeczytam informacje o sprawie pańskiej córki, a potem te o Milesie Bradfordzie oraz teczkę, którą pan mi założył, dam panu znać. Powinien pan usłyszeć moją odpowiedź za pośrednictwem pani Breeden w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin.

- Dziękuję, Michael - odparł Burbank miękim głosem. - To wszystko, o co proszę.

W windzie zjeżdżającej do holu budynku panowała cisza. W pewnej chwili Breeden postukała palcem w grube teczki i przerwała ją, mówiąc: - Podrzucę ci to do hotelu, gdy tylko wrócę do miasta.

- Nie kłopotz się - odparła Munroe. - W najbliższym czasie nie zamierzam tego czytać. Po prostu chciałam mieć te kopie pod ręką. Kiedy masz lot?

Kate zerknęła na zegarek.

- Za mniej więcej trzy godziny.

- No to chodźmy na kawę.

- Czy to znaczy, że zastanawiasz się nad propozycją Burbanka? - Może.

Dwie przecznice dalej znalazły bar kawowy, przytulny i urokliwy, i kiedy wypily już większość kawy, a z babeczek zostały tylko okruszki, które spadły na stół, Munroe zmieniła temat rozmowy, wracając do propozycji złożonej przez Burbanka.

- Przyjmę tę robotę - powiedziała - jeśli Burbank zgodzi się na kilka ustępstw.

Breeden postawiła filiżankę na stoliku i wyjęła z torebki elektroniczny notatnik.

- Chcę dwa i pół miliona z góry - mówiła Munroe - plus zwrot kosztów. - Przerwała na chwilę i postukała palcami w blat stolika, wybijając rytm podobny do alfabetu Morse'a. - Jeśli uda mi się dostarczyć twarde dowody dotyczące zaginięcia jego córki - podjęła - chcę dodatkowe dwa i pół miliona, i chcę pracować sama... żadnych nadzorców, którzy się będą za mną wlekli. Mogę mieć jeszcze kilka dodatkowych zastrzeżeń, ale ta kwestia nadzoru jest jedyną, w której się będzie opierał. Odczekaj przynajmniej siedemdziesiąt godzin, zanim podasz mu te warunki... chcę sobie kupić czas na ewentualną zmianę zdania.

Kate pokiwała głową i zanotowała sobie to wszystko.

- Chcę także poznać nazwiska i liczbę osób związanych z wszystkimi dochodzeniami, które prowadzono od czasu zaginięcia Emily. Mam pytania, na które nie było odpowiedzi w dokumentach przysyłanych ci przez Burbanka.

Breeden skończyła pisać, przechyliła głowę i szepnęła: - Bardzo chciałabym wiedzieć, co cię skłoniło do przyjęcia tego zlecenia. Dlaczego to robisz?

- Bo myślę, że mogę dotrzeć dalej niż oni.

- No i pieniądze są niezłe.

Munroe uśmiechnęła się.

- Rok mojego życia to rok, którego nigdy nie odzyskam. Ale w tej teczce było coś, co nie dawało mi spokoju, coś, co uświadomiłam sobie dopiero podczas jazdy tutaj. Za każdym razem, gdy ci ludzie ruszali na poszukiwanie Emily, zaczynali tam, gdzie ona zniknęła. Ja myślę, że odpowiedź jest w Europie.

- A ma ją ten... jak on się nazywa? Chłopak w szpitalu psychiatrycznym?

- Tak, on. Był tam. Powinien wiedzieć, co się stało.

- Ale już próbowano z nim rozmawiać. Nie sposób się z nim porozumieć.

Munroe pokiwała wolno głową. - Zdaję sobie z tego sprawę. - Wzięła szklanke wody i wypila duży łyk. - Być może nie rozmawiano z nim w jego języku.

Było już popołudnie, gdy Munroe wróciła do Dallas, i pierwszą rzeczą, która zobaczyła, kiedy weszła do pokoju hotelowego, była wizytówka Noaha, wciąż leżąca na biurku, gdzie ją zostawił. Rzuciła na łóżko plecak i kask, podniosła ją i położyła na dłoni. Jego nazwisko i biznesowy adres były dobrze widoczne. Na zegarku stojącym przy łóżku było w pół do piątej... wciąż jeszcze miała czas, żeby zobaczyć się z nim przed odlotem.

Cisza panująca w pokoju sprawiła, że ucisk w jej piersi zaczął narastać. Głosy też tam były, ciche i spokojne, ale wciąż gdzieś w niej.

Dlaczego narody się buntują...

Przesunęła palcami po wizytówce i wypukły druk niczym zapis w alfabecie Braillea wywołał w jej pamięci wspomnienie jego twarzy.

Królowie ziemi powstają i władcy spiskują wraz z nimi...

Wrzuciła wizytówkę do kosza na śmieci.

Czas ruszać.

Zebrała swoje rzeczy i upchała je w plecaku; wyjeżdżając z miasta, zostawi je u Logana. Postanowiła jechać przed siebie aż do wyczerpania sił, a potem znaleźć sobie jakieś miejsce, gdzie padnie na noc. Pod wpływem impulsu ruszyła w stronę Colorado Springs, przecinając rozległe, zimne pustkowia północnego Teksasu.

Tuż przed północą zatrzymała się na obrzeżach Amarillo, żeby zatankować. Stacja benzynowa była kiepsko oświetlona i dopiero po zejściu z motocykla i zdjęciu kasku dostrzegła grupę młodych mężczyzn w cieniu. Siedzieli na tylnej klapie

starego dostawczego forda. Poczula zapach dymu papierosowego, a w ich głosach usłyszała zadziorną zuchowatość, która zwykle jest wynikiem mieszania alkoholu z młodzieńczym brakiem doświadczenia. Zignorowała ich i odkręciła korek baku.

Kiedy wyjęła portfel, zmienił się ton ich rozmowy. Stojąc nadal tyłem do nich, wyciągnęła kartę kredytową. Głosy umilkły. Kłapa forda zaskrzypiała. Zamknęła oczy i odprężyła się, gotując się na to, co jak czuła, miało nastąpić. Adrenalina popłynęła w jej krwi i zaraz potem ogarnęła ją euforia. Nieregularne kroki. Szczęk metalu o metal. Czyjaś ręka sięgnęła do jej barku, ale ona chwyciła błyskawicznie właściciela za nadgarstek, wykręciła mu ramię do tyłu, aż usłyszała trzask, i w tej samej sekundzie wbiła mu pięść w podbrzusze. Kiedy zgiął się wpół, podniosła z ziemi jego nóż.

- To było ostrzeżenie - powiedziała i opanowała pragnienie dokopania mu jeszcze bardziej. Miał osiemnaście, może dziewiętnaście lat, młodzieńczą twarz zarumienioną od alkoholu i plamy zarostu na brodzie. Zignorowała wezwania noża, który krzyczał, żeby go użyć, chwyciła chłopaka za włosy i pchnęła go w stronę jego kumpli, wstających właśnie z kłapy forda. Dostrzegła błysk lufy rewolweru i instynktownie ścisnęła rękojeść noża, oceniając jego ciężar i wyważenie. - Jeśli któryś z was chce mi podskoczyć, proszę bardzo. Przydałaby mi się teraz dobra walka. I lepiej, żebyś był cholernie dobrym strzelcem, bo potnę cię na kawałki, zanim zdążysz opróżnić komorę.

Dostrzegła ich niepewność i zignorowała przekleństwa oraz groźby; pod tymi krzykami słyszała strach i wiedziała, że walka już się skończyła. Odwróciła się do nich plecami i zaczęła tankować motocykl.

Po dwóch kolejnych godzinach jazdy na północ znalazła tani motel, w którym przespala kilka godzin, zanim głosy z przeszłości raz jeszcze przebiły się przez sen i obudziły ją.

Trzy dni po wyjeździe z Dallas Munroe skontaktowała się z Kate Breeden, by potwierdzić, że przyjmie zlecenie, i przesłać jej faksem ostatni z warunków. Dwa dni później, kiedy przejeżdżała przez Sacramento, dostała odpowiedź na swoją pocztę głosową. Zgodnie z ustaleniami Breeden wysłała jej kontrakt do najbliższej siedziby UPS. Dokument miał niecałe cztery strony i chociaż Kate na pewno sprawdziła wszystkie szczegóły, uważne czytanie tego, co napisano drobnym drukiem, było zwyczajem, od którego Munroe nigdy nie odstępowała. Burbank zaakceptował jej wszystkie warunki z wyjątkiem jednego: nie chciał odstąpić od prawa wysłania jej kogoś do towarzystwa, jeśliby uznał to za konieczne.

Za pięć milionów dolarów mogła znieść możliwość, że będzie miała opiekuna; w najgorszym razie jakoś się go pozbędzie. Przefaksowała podpisaną kopię do biura Burbanka, a oryginał wysłała listem poleconym do Breeden.

Kiedy tylko to zrobiła, pulsujący w niej gniew i niepokój ustąpiły i w jej sercu zapanował spokój. Wynajęła pokój w motelu i przespała piętnaście godzin.

Rozdział 4

Frankfurt nad Menem

Z rękoma głęboko w kieszeniach płaszczka Munroe szła zdecydowanym krokiem w stronę Zeil, deptaka w centrum Frankfurtu, i schodów wiodących do stacji podziemnej kolejki. W powietrzu panował listopadowy chłód i ulice były puste, przewiane wiatrem. Jesienne liście tańczyły porywane jego podmuchami, które roznosiły także pobudzające zmysły aromaty kawy z licznych kawiarenek oraz kasztanów smażących się w budkach na otwartym powietrzu.

Zatrzymała się przy wejściu do metra i niczym drapieźnik, który poczuł zapach ofiary, wypełniła płuca rześkim smakiem zimy.

Po niemal miesiącu przygotowań była gotowa podjąć zwierzały trop i jeśli sprawy potoczą się zgodnie z planem, poprowadzić dochodzenie tam, gdzie inni już szukali i ponieśli porażkę.

Przybyła do Frankfurtu dzień wcześniej. Jej hotel znajdował się blisko centrum, z okna pokoju roztaczał się widok na Men i pływające po nim statki, a do stacji kolejki podziemnej i najlepszych sklepów w mieście, które wznosiło się nad nią, miała parę kroków.

Pojechała pociągiem do Oberursel, miasta średniej wielkości na północnych obrzeżach Frankfurtu, a stamtąd taksówką do Klinik Hohe Mark: zakładu dla umysłowo chorych i przez ostatnie trzy lata miejsca stałego pobytu Kristofa Bergera.

Szpital był rozległym osiedlem funkcjonalnych budynków wzniesionych na wielu akrach ziemi, która byłaby zielona, gdyby pogoda była cieplejsza. Munroe dowiedziała się przedtem telefonicznie o godziny odwiedzin i gdy wysiadła z taksówki, dobiegający z dala głos dzwonów kościoła, który stał

przy brukowanym rynku miasteczka, potwierdził, że jest odpowiednia pora.

Kristof siedział w ciepłym, słonecznym pokoju, o oknach obramowanych pastelowożółtymi zasłonkami, które ocieplały zimowe światło. Z przechyloną głową, z rękami na udach i stopami razem wpatrywał się w nicość. Ciszę wypełniały dźwięki dobiegające ze stojącego po przeciwnej stronie pokoju telewizora i chociaż w środku byli także inni pacjenci, Munroe nie zauważyła ich, tak bardzo była skupiona na Kristofie.

Był inny niż na starych fotografiach z raportów, które czytała, i kiedy dostrzegła pustkę w jego twarzy, jej pierwszą myślą było, jaka to szkoda, że tak piękny człowiek się zmarnował. Zaczęła się zastanawiać, po raz pierwszy wybiegając myślą poza samą kwestię wykonania kontraktu i zainkasowania za to pieniędzy, co wpędziło go w taki stan.

Munroe założyła blond perukę i brązowe soczewki kontaktowe. To były jedyne elementy upodabniające ją do Emily Burbank, ale miała nadzieję, że to wystarczy, by ożywić wspomnienia - jeśli Kristof wciąż je ma. Usiadła w fotelu obok niego i położywszy mu rękę na ramieniu, wypowiedziała jego imię. Nie zareagował.

Niepewna, czy ją zauważył, ukłękła przed nim, pochylając się do przodu, żeby jej twarz znalazła się na linii jego wzroku. Ujęła go delikatnie za podbródek i uniosła mu lekko głowę, tak że musiał spojrzeć na nią. Kiedy dostrzegła, że skupił na niej wzrok, uśmiechnęła się. Trzymał już głowę wysoko sam, bez jej pomocy, cofnęła więc rękę, klęcząc przed nim na podłodze.

Głos Munroe był cichy i łagodny.

- *Ich will begreifen was passiert ist, damit ich Dir helfen kann.* Gdzie to się stało, Kristof? Co pamiętasz?

Westchnął i zamknął oczy. Jego głowa przechyliła się na bok, a na twarz wróciła pustka, którą widziała na niej przedtem.

Pozostała z nim przez blisko cztery godziny. Mówiła cichym, łagodnym głosem, tłumacząc swoje pragnienie odnalezienia Emily, i obserwowała jego twarz, wypatrując na niej wskazówek, które pozwoliłyby jej wejść w jego umysł. Były takie chwile, że zdawał się budzić z otępienia i nawiązywać z nią kontakt. Raz nawet się uśmiechnął, ale przez cały czas, który spędzili razem, nie odezwał się. Kiedy minęło popołudnie, Munroe opuściła szpital i ponad godzinę później przybyła do Langen, miasteczka na południowym obrzeżu Frankfurtu. Stojąc na brukowanym chodniku przed stacją kolejową, która dzieliła miasto na połowy, przestudiowała uważnie wielki plan. Zapadał zmierzch i wraz z ostatnimi promieniami słońca temperatura miała jeszcze spaść. Munroe podniosła kołnierz płaszcza. Postanowiła załatwić to szybko. Krótki spacer wzdłuż domu, by przygotować się na to, co ją czeka, gdy wróci złożyć wizytę matce Kristofa.

Dom Frau Berger stał przy schludnej uliczce w odległości trzech minut marszu od stacji. Był jednopiętrowy, mały i wąski, jak inne wokół niego z dachem pokrytym czerwonymi dachówkami, ale w przeciwieństwie do nich w złym stanie. Ciemnozielona farba na okiennicach była popękana i odchodziła całymi płatami, a tynk z zewnętrznych ścian poodpadał w różnych miejscach, odsłaniając cegły. Okapy były przekrzywione, szczególnie ten przy tylnym narożniku, który sprawiał takie wrażenie, jakby w każdej chwili miał spaść na ziemię. Wzrok Munroe przyciągnęły parapety, na których stały donice z kwiatami w pełnym rozkwicie, dostrzegła również, że sześć stóp między drzwiami wejściowymi a chodnikiem zajmował dobrze utrzymany ogródek, który na wiosnę musiał być śliczny. W gasnącym świetle wieczoru domek wyglądał smutno i pusto.

Munroe wróciła na stację i czekając na pociąg, który zabierze ją do Frankfurtu, chodziła po niej tam i z powrotem, żeby się rozgrzać. Domek Frau Berger był widoczny z peronu i

podczas trzeciego nawrotu Munroe dostrzegła zapalające się w nim światła i zanotowała sobie czas.

Następnego dnia wróciła, żeby odwiedzić Kristofa, i zastała go w tym samym fotelu z tym samym wyrazem twarzy. Kiedy podeszła do niego, uniósł głowę i uśmiechnął się. Usiadła obok niego, położyła mu rękę na ramieniu i nic nie powiedziała, pozwalając, by godziny płynęły im w milczeniu.

I wtedy Kristof odezwał się. Głos miał zachrypły, łamiący się.

- Poszliśmy tam, gdzie zakopano pieniądze - powiedział. - Biegliśmy razem, a potem ona odeszła, tam gdzie były pieniądze.

Munroe odczekała chwilę, pozwalając, by cisza znowu ich ogarnęła, po czym zapytała szeptem: - Możesz powiedzieć, gdzie to było?

- Odeszła - powtórzył. - Odeszła i było czerwono, i nigdy nie zobaczyliśmy tego miejsca z pieniędzmi. Odezwał się jeszcze dwa razy, nie odpowiadając na pytania, ale powtarzając te same słowa. Munroe została z nim jeszcze przez godzinę, a potem pojechała do Langen. W pociągu przejrzała jeszcze raz odpisy ze wszystkich rozmów, które przeprowadzono z Kristofem. Znalazła w nich te same słowa: *Tam, gdzie zakopano pieniądze*. Zamknęła oczy. Ciepło panujące w wagonie i rytmiczne stukanie jego kół ukołysały ją tak, że niemal zasnęła. Te słowa coś znaczyły - coś.

Na Hauptstrasse w Langen znalazła kwiaciarnię i kupiła jedną z najdroższych kompozycji kwiatowych. Miała nadzieję, że stanie się mile widzianym uzupełnieniem kolekcji, którą Frau Berger wystawiała na swoich parapetach, i zapewni wejście do jej domu. Wróciła na stację i czekała w chłodzie na peronie do chwili, gdy krótko po zmierzchu światła w domku znowu się zapaliły.

Usłyszawszy pukanie, Frau Berger otworzyła drzwi i wytarła rękę w nieskazitelnie czysty fartuch. Munroe zrobiła

krok do przodu.

- *Guten Abend, Frau Verger, ich bin die Mikaela...* jestem przyjaciółką Kristofa - powiedziała. - Byłam za granicą i dopiero niedawno usłyszałam, co się stało. Bardzo mi przykro. - Wyciągnęła rękę z kwiatami. - Chciałam coś pani przynieść.

Po chwili kłopotliwego milczenia Frau Berger wzięła doniczkę.

- Dziękuję - powiedziała cicho, nie usuwając się, żeby wpuścić Munroe do środka, ale też nie zamykając drzwi.

Munroe zrobiła krok do tyłu.

- Przepraszam, że zakłóciłam pani spokój - powiedziała i odwróciła się, żeby odejść.

- Proszę poczekać... - Głos kobiety był cichy i chłodny. - Czy nie wejdzie pani na kilka minut? Może ma pani ochotę napić się czegoś ciepłego?

Munroe zatrzymała się, podrapała po szyi, jakby się zastanawiała, po czym skinęła głową i weszła do domu. Frau Berger wprowadziła ją do małego salonu na parterze, a sama zniknęła za drzwiami.

Munroe usiadła i czekając na nią, obejrzała pokój oraz korytarzyk. W raporcie Burbanka trafnie opisano kiepski stan domu, ale pominięto to, co wprawdzie nie rzucało się w oczy, ale dla dobrego obserwatora było oczywiste. Wnętrze mieszkania rzeczywiście domagało się remontu, ale było nieskazitelnie czyste i dobrze utrzymane. Firanki, wyblakłe na słońcu i poprzecierane, były świeżo uprane i wyprasowane, okna bez jednej smugi, a na żadnym ze starych mebli w pokoju nie było nawet śladu kurzu. Kanapa najwyraźniej niedawno wróciła od tapicera. W małej gablotce widać było kolekcję starych, porcelanowych miniaterek, a ściany zdobiły fotografie Kristofa z wcześniejszych lat. Kobieta była metodyczna, dumna i samowystarczalna. Zapropozowanie jej pieniędzy obraziłoby ją.

Zapach świeżo zaparzonej kawy zapowiedział powrót Frau Berger.

Przez jakiś czas prowadziły lekką, przyjazną rozmowę. Mówiły o pogodzie i różnicach między domem a życiem za granicą. Munroe pytała o dzieciństwo Kristofa, a kobieta opowiadała o nim opisowo i barwnie, tak jak robiłaby to tylko kochająca matka.

- To musiał być dla pani ogromny wstrząs - powiedziała w pewnym momencie Munroe - kiedy Kristof tak zamknął się w sobie. Czy sądzi pani, że coś mu się stało w Afryce?

- Nie wiem - odparła matka. Umilkła na chwilę. - Tak myślę. Budził się w nocy z krzykiem. To dlatego zaczął chodzić do lekarzy, wie pani, żeby mu pomogli pozbyć się koszmarów.

- Nie wiedziałam tego - odrzekła Munroe. - Nikt nie mówi, dlaczego jest w szpitalu, tylko że to się stało po jego podróży do Afryki. Znajomi mówią, że przydarzyło mu się tam coś, co go zmieniło.

W oku matki uformowała się łza.

- Nie wiem - powiedziała. - To możliwe. Nigdy ze mną o tym nie rozmawiał. - Otarła palcem oko. Munroe podała jej chusteczkę. - Kiedyś odwiedzili mnie pewni ludzie, którzy zaproponowali mi pieniądze, jeśli im powiem, dokąd pojechał Kristof. Szukali dziewczyny, może jego przyjaciółki. - Czy odnaleźli tę dziewczynę? - zapytała Munroe.

- Nie wiem - odpowiedziała Frau Berger. - Nie chciałam ich pieniędzy i kazałam im odejść. Ale i tak nie mogłam im niczego powiedzieć. Nic nie wiem o żadnej dziewczynie. - Z jej oczu łzy płynęły już ciurkiem. - Czasem się zastanawiam - dodała - czy gdybym wiedziała, co się stało, łatwiej byłoby mi to wszystko znieść?

Munroe przeniosła się z krzesła na krawędź kanapy, na której siedziała Frau Berger. Położyła jej rękę na ramieniu.

- Może by tak było - powiedziała. - Ja także chcę wiedzieć, co się stało. Chcę pomóc Kristofowi. - Milczała przez chwilę,

po czym zapytała: - Czy w rzeczach, które Kristof przywiózł ze sobą z Afryki, nie ma żadnych wskazówek?

Kobieta pokręciła głową.

- Niczego ze sobą nie przywiózł. Nawet ubrań. Wszystko, co miał, włożyłam do koperty. To była zawartość sekretnego pasa i kieszeni, która była wszyta po wewnętrznej stronie spodni. To wszystko, co miał przy sobie.

- Czy mogę to obejrzyć? - zapytała Munroe.

Frau Berger skinęła głową i wstała. Gestem ręki wskazała Munroe, żeby poszła razem z nią, po czym poprowadziła ją wąskimi schodami do pokoju na piętrze. W przeciwieństwie do reszty domu był zakurzony i najwyraźniej od dawna niewietrzony. Na podłodze leżały porozrzucane rzeczy, a łóżko niemal niezasłane, jakby matka postanowiła pozostawić go w takim stanie, w jakim był, gdy Kristof opuścił dom na dobre. Być może w jakimś zakamarku umysłu skrywała nadzieję, że kiedyś wróci.

Z szuflady w małej szafce Frau Berger wyjęła szarą kopertę i podała ją Munroe.

- Wszystko, co miał przy sobie, jest tutaj.

Obie kobiety usiadły, Frau Berger na krawędzi łóżka, a Munroe po turecku na podłodze, na której rozłożyła przed sobą zawartość koperty: paszport, dwa bilety lotnicze, żółte zaświadczenie o szczepieniach, dwie pigułki jakiegoś lekarstwa i kilka kawałków zapisanego papieru, na których atrament wyblakł tak, że treść była nieczytelna.

Munroe wpatrywała się w te rzeczy, zdumiona zawartym w nich bogactwem informacji. Jeśli tak dalej pójdzie, wykona zadanie w ciągu miesiąca.

Podniosła bilety lotnicze. Pierwszym był niewykorzystany bilet South African Airways z Johannesburga do Frankfurtu z tą samą datą i kodami rejsu, którym miała polecieć Emily. Drugim był bez wątpienia ten, z którym Kristof wrócił do Europy, lotem Air France z Liberville do Paryża. Munroe była

pewna, że ten bilet został wydany przez przedstawiciela miejscowego biura podróży w Gabonie. Wykorzystując informacje uzyskane od IATA, mogła w razie potrzeby odnaleźć to biuro.

Na widok żółtego zaświadczenia o szczepieniach uśmiechnęła się mimowolnie. Pieczętki i podpisy lekarzy były oczywistymi fałszerstwami. Cała wypełniona pieczętkami książeczka została bez wątpienia zakupiona gdzieś na trasie podróży w celu ułatwienia Kristofowi przekraczania granic i była fałszyfikatem tak podobnym do tego, który sama kiedyś nosiła, że coś w jej sercu drgnęło.

Podniosła jego paszport i przekartkowała go. Mała książeczka była niemal całkowicie zapełniona. Wizy do większości krajów, przez które podróżował, zajmowały całą stronę, a do tego dochodziły jeszcze pieczętki wjazdowe i wyjazdowe, wbijane przy przekraczaniu granicy. Munroe zagłębiła się w kartkach, starając się prześledzić trasę jego podróży z RPA do Kenii i z powrotem, podążając tropem wyznaczonym przez te pieczętki, aż doprowadziły ją do Namibii. Nie spieszyła się, przewracając wolno kolejne stroniczki i uważnie czytając je po obu stronach, raz po raz gubiąc ślad w tym bałaganie i odnajdując go kilka kartek dalej.

Uświadomiła sobie, że upłynęło już dużo czasu, kiedy Frau Berger przeprosiła ją i wróciła na dół.

Podążanie tropem Kristofa z Namibii było trudne. W paszporcie brakowało pieczętek wyjazdowych. Najbliższa chronologicznie była pieczętka wjazdowa do Angoli, a stamtąd, jak udało się ustalić Munroe, trasa jego podróży wiodła do Gabonu i dalej do Gwinei Równikowej. W paszporcie Kristofa była także niewykorzystana wiza kameruńska.

Munroe zamknęła oczy i przesunęła palcami po pieczętkach wielkości znaczków pocztowych, które przybito do kameruńskiej wizy. Nie wykorzystał jej. Pojechał do Gabonu,

pojechał do Gwinei Równikowej, wrócił do Gabonu, ale zrezygnował z Kamerunu. Dlaczego? Informacja krzyczała do niej w ciszy. Była tam, gdzieś.

Wzięła mały aparat cyfrowy, który nosiła na szyi, i sfotografowała wszystkie strony paszportu, oba bilety i, na wszelki wypadek, opakowanie lekarstwa oraz kawałki papieru z nieczytelnym tekstem. Wyjęła jedną pigułkę z opakowania i włożyła ją do małej plastikowej torebki. Frau Berger może to zauważy, ale wtedy ona będzie już daleko ze wszystkim, czego potrzebowała.

Munroe włożyła wszystkie pozostałe rzeczy do koperty, a ją samą umieściła w szufladzie, z której wyjęła ją matka Kristofa. Zamknęła głośno drzwi jego pokoju, by powiadomić w ten sposób gospodynię o tym, że skończyła, i zeszła na dół. Kobieta wyszła z kuchni, z której dochodził zapach piekącego się chleba, i spotkała się z nią przy schodach. - Frau Berger, muszę wracać do domu - powiedziała Munroe, kładąc dłoń na rękach matki Kristofa, która oparła je na poręczy schodów. - Nie wiem, czy są tam odpowiedzi czy też nie - mówiła dalej - ale obiecuję pani, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odkryć, co przydarzyło się Kristofowi w Afryce, i być może wtedy, mając te informacje, zdoła pani znaleźć choć trochę spokoju.

Kobieta uśmiechnęła się do niej. Miała zaczerwienione oczy i Munroe wiedziała, że kiedy ona na piętrze przeczesywała rzeczy jej syna w poszukiwaniu informacji, Frau Berger na dole próbowała powstrzymać łzy, ale jej wysiłki nie zdały się na nic.

Następnego ranka Munroe zleciła zrobienie powiększeń stron paszportu i czekając na wywołanie zdjęć, kupiła wielką mapę Afryki. Przed powrotem do hotelu znalazła jeszcze laboratorium, w którym oddała do analizy pigułkę zabraną z domu matki Kristofa.

Dotarłszy do pokoju hotelowego, odsunęła meble od ściany przed łóżkiem i przykleiła do niej taśmą mapę, a obok powiększenia stron paszportu. Wykorzystując wiadomości z paszportu i wypełniając białe plamy informacjami z raportu Burbanka, zaznaczyła następnie trasę podróży Emily przez Afrykę.

Robiła to metodycznie, sprawdzając po dwa razy każdy etap. Tak jak to było poprzedniego wieczoru, szlak poprowadził ją z Gabonu przez Oyem do Mongomo w Gwinei Równikowej i z powrotem do Oyem. Trasę kończyła pieczętka wyjazdowa z Liberville. Rzucało się jednak w oczy rażące zaniedbanie: nie było pieczętki wyjazdowej z Gwinei Równikowej.

Munroe zakreśliła na czerwono koło wokół przejścia granicznego między Oyem a Mongomo i zamyśliła się. Mongomo. Pokręciła głową.

To nie mogło być tak łatwe.

Wróciła do odpisów z taśmy rozmów Kristofa Bergera z detektywami. Zignorowała angielskie tłumaczenie i czytała niemieckie oryginały. *Tam, gdzie zakopano pieniądze.*

Czy to mogło być tak proste?

Dźgnęła długopisem kropkę oznaczającą miasto, a potem położyła się na łóżku z rękami pod głową. Wpatrywała się w mapę. Mongomo. Popatrzyła na zegarek. Za dwie godziny Houston zacznie się budzić, a ona będzie musiała zadzwonić do biura Burbanka, by zawiadomić go o swoim następnym kroku. Podniosła słuchawkę i wybrała numer Kate Breeden.

Głos z drugiego końca linii był ochryply, niewyraźny i nie słyhać w nim było charakterystycznej dla Breeden zadyszki.

- Trafiłam na kilka nowych śladów - powiedziała Munroe - i niedługo stąd wyjadę. Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Jasne.

- Mniej więcej pięć lub sześć lat temu dałam ci na przechowanie kopertę. Jak szybko możesz do niej dotrzeć?

- Jeszcze dziś rano.

- Chcę, żebyś ją jak najszybciej do mnie wysłała.

- Uważaj to za zrobione - odpowiedziała Breeden. - Odezwij się, jeśli będzie jeszcze coś... gdy tylko będziesz czegoś potrzebować, pamiętaj, że jestem tutaj.

- Dzięki - odparła Munroe. - Będę w kontakcie.

Wróciła do laboratorium i kiedy odnalazła technika, z którym poprzednio rozmawiała, zwrócił jej fotografię opakowania oraz próbkę, którą mu dała, i w zamian za zapłatę wręczył jej dwustronicowy wydruk.

- W języku laików - powiedział - jest to meflochina. Te konkretne pigułki sprzedawane są pod nazwą Lariam... to lekarstwo na malarię zwykle stosowane przeciwko postaci tej choroby wywoływanej przez *Plasmodium falciparum*, czyli zarodźca sierpowego, a czasem także w celach profilaktycznych.

To brzmiało sensownie; po ataku malarii Emily brała środki profilaktyczne. Lariam był lekiem, który stosowało się w tamtym czasie w rejonach, gdzie w endemicznych ogniskach malarii występują szczepy zarodźca odporne na chlorohinę, a trudno było znaleźć miejsce, które lepiej pasowałoby do tego opisu niż zachodnia część Afryki Środkowej. Lariam. Obecnie nie przepisywano go tak często jak kiedyś - jego skutki uboczne mogły być fatalne: między innymi wywoływał mordercze skłonności, halucynacje i epizody psychotyczne. Najgorsze z tych skutków ubocznych występowały podobno rzadko, ale to, że prawdopodobieństwo było małe, nie stanowiło zbyt wielkiej pociechy, gdy okazywało się, że to ktoś ci bliski zmienił się w majaczącego wariata. Mogłoby to być dość wiarygodnym wyjaśnieniem przyczyn choroby Kristofa, tyle że wszystkie dowody wskazywały na to, iż jego załamanie psychiczne nastąpiło długo po tym, gdy już przestał zażywać ten specyfik.

Wróciwszy do hotelu, zadzwoniła do biura Burbanka i zamiast z jego asystentem, jak się spodziewała, połączono ją bezpośrednio z nim.

- Michael - rzucił pośpiesznie, co sprawiło takie wrażenie, jakby przerwał rozmowę z kimś innym i przełączył linie, by odebrać telefon od niej - nie spodziewałem się, że tak szybko będziesz miała dla mnie wiadomości. Czy są dobre?

- Trochę za wcześnie, by móc to powiedzieć - odparła. - W Europie zrobiłam już wszystko, co mogłam, i za kilka dni wyjeżdżam do Afryki... zgodnie z naszą umową, informuję pana o moich planach.

- Dokąd konkretnie zmierzasz?

- Zaczynam od Kamerunu i Gabonu - odpowiedziała - a będąc już tam, zawęzę obszar poszukiwań.

- Kamerun. Gabon. - W jego głosie zabrzmiały ostre tony. - O ile wiemy, Emily nigdy nie wyjechała nawet z Namibii. Dlaczego nie jedziesz do Namibii?

Usta Munroe zacisnęły się w grymasie wymuszonego uśmiechu, jakby była twarzą w twarz z klientem, i odczekała chwilę, zanim odpowiedziała.

- Panie Burbank - wycedziła w końcu - wynajął mnie pan do tej roboty, ponieważ dotychczas nikt inny nie był w stanie jej wykonać. Składam panu raport o postępach, jakie poczyniłam, bo taki jest wymóg kontraktu. To jednak koniec moich ustępstw i albo pozwoli mi pan robić swoje bez wtrącania się w każdy drobiazg, albo niech pan szuka kogoś innego, kto odnajdzie pańską córkę.

- Masz rację - odparł. - Przepraszam. Oczywiście jestem zatroskany tą całą sprawą. Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Zarezerwowałam lot za dwa dni.

- Chcę, żeby Miles Bradford ci towarzyszył - powiedział. Samo życzenie nie było dla niej niespodzianką. Zaskoczyło ją natomiast, że zażądał tego tak wcześnie.

- Poczekam na niego w Douali - odrzekła. - Będzie potrzebował wiz. Jest za mało czasu, żeby zdążył je uzyskać w Ameryce i jeszcze spotkać się ze mną tutaj przed moim wylotem.

- Odwołaj lot. Będzie we Frankfurcie za kilka dni. Powiedziałaś Gabon i Kamerun... będzie miał wizy. Do Afryki polecicie we dwoje. Munroe zamknęła oczy, zacisnęła rękę na słuchawce i odczekała krótką chwilę, żeby się uspokoić.

- Jeśli to musi być zrobione w ten sposób, nich tak będzie - odparła w końcu. - To pańskie pieniądze i pański czas. - Odłożyła słuchawkę i zakłęła pod nosem.

Wrzuciła garstkę swoich rzeczy do plecaka i powiesiła na drzwiach znak „Nie przeszkadzać”. W drodze do wyjścia z hotelu zapłaciła za pięć kolejnych dni, zostawiła instrukcję, że paczki oraz wiadomości do niej mają być przechowane do jej powrotu. To był czas Burbanka i jego dolary. Mógł jej opłacić wyjazd na snowboard w Alpy, podczas gdy czekała na przybycie opiekuna Milesa pieprzonego Bradforda.

Na frankfurckim Hauptbahnhof wsiadła do pierwszego ekspresu jadącego do Zurychu.

Munroe wróciła do Frankfurtu cztery dni później, wczesnym popołudniem. W hotelu czekała na nią przesyłka w kopercie FedExu od Kate oraz faks z biura Burbanka z wiadomością o czasie przylotu Milesa Bradforda.

Znalazszy się w swoim pokoju, Munroe usiadła na krawędzi łóżka z kopertą w ręce. Postukała nią o kłykcie dłoni, spojrzała na nią jeszcze raz, a potem, nie mogąc się zmusić do jej otworzenia, rzuciła ją na łóżko i podeszła do okna, żeby popatrzeć na rzekę, statki i szczęśliwe pary spacerujące po wypielegnowanych brzegach.

Mając przed oczami ten malowniczy widok, zastanawiała się nad unieważnieniem kontraktu. Wprawdzie oznaczałoby to porażkę, ale porażka zawsze była ewentualnością, na którą musiała być przygotowana. Pasma nieustannych sukcesów

musiało się skończyć prędzej czy później i jeśli kiedyś miała zrobić klapę, może to był dobry czas, żeby tak się stało.

Powrót do przeszłości był nieunikniony. Przez ostatnie dziewięć lat jakoś udawało jej się zachować równowagę na linii rozciągniętej między błyskotliwością a szaleństwem, ale ciemna przepaść zawsze była pod nią, sprawiając, że czasem zastanawiała się, czy ostatecznie skok w nią nie byłby dla niej najłatwiejszym rozwiązaniem.

Praca pomagała jej zachować zdrowe zmysły, utrzymywała linę napiętą. To nie strach powstrzymywał ją przed przyjęciem zlecenia Burbanka, nie była to także zawartość koperty, symbole jej przeszłości. To była niepewność: brak odpowiedzi na pytanie, po której stronie przepaści wyląduje, jeśli lina pęknie. Planowała powrócić, kiedy już nie będzie jej wszystko jedno.

Podeszła do łóżka, podniosła kopertę i zerwała plastikową taśmę, którą była zaklejona. Może nigdy nie będzie jej wszystko jedno, może nigdy nie nadejdzie dobry czas na powrót, może zawsze już będzie uciekała. *Carpe diem*. Wysypała zawartość koperty na łóżko i przesunęła palcami po trzech kawałkach swojej historii: kameruńskiej karcie stałego pobytu, zaświadczeniu o szczepieniach i podrobionym hiszpańskim paszporcie.

Rozdział 5

Munroe musiała się zgodzić, że z ośmiu ludzi, których akta osobowe dostarczył jej Richard Burbank, Miles Bradford najlepiej nadawał się do tego zadania. Jego teczka, pełna szczegółowych danych o zadaniach, jakie wykonywał w krajach tak samo różnych i niebezpiecznych jak te, w których pracowała, była dziwnie uboga w informacje natury osobistej. Niewiele w niej znalazła użytecznych wiadomości, które pomogłyby jej zbudować jego obraz i wyobrazić sobie, kim jest. Wiedziała tylko tyle: Miles był trzydziestoparolatkiem i byłym żołnierzem Sił Specjalnych. Obecnie prowadzi firmę ochroniarską wykonującą ryzykowne zlecenia dla różnych korporacji.

„Najemnik” było jedynym słowem, które miała dla określenia takiego człowieka, byłego żołnierza, który sprzedawał swoje umiejętności. I podobnie jak kameruńskie dokumenty wepchnięte do plecaka, było dla niej dodatkowym i bardzo niechcianym bagażem.

Munroe dotarła na frankfurckie lotnisko, zanim samolot Bradforda wylądował. Wmieszawszy się w tłum oczekujących, stała naprzeciw ściany z wielkich szklanych płyt, która oddzielała poczekalnię od sali odbioru bagaży. Dostrzegła Bradforda w chwili, gdy wszedł do środka. Miał krótko ostrzyżone włosy w lekko rudym odcieniu, ciemnozielone oczy, wzrostem nie wybijał się ponad przeciętność, ale był ponadprzeciętnie przystojny. Mimo płaszcza widać było, że jest dobrze zbudowany, poruszał się ze swobodną pewnością siebie człowieka, który wie, dokąd zmierza, i nie spieszy się, by tam dotrzeć. Ciągnął za sobą niewielką torbę podrózną na kółkach i nie zatrzymał się przy bagażowym taśmociągu. Munroe wyszła, zanim zdążył ją zauważyć; tak jak ona wiedział, kogo wypatrywać. Zadzwoeni do niej do hotelu, ale jej

wtedy tam nie będzie. Będzie czekać na nią - nie miał wyboru - i tak być powinno.

Odpowiedziała na jego telefon późnym popołudniem, przepraszając go zdawkowo i zapraszając na kolację w restauracji Gargantua w Westend, gdzie dokonała rezerwacji.

Nie była rozmyślnie złośliwa, wybierając miejsce ich pierwszego spotkania, ale zamierzała poddać go testowi. Jeśli przyjedzie taksówką, znajdzie je dość łatwo. Ale jeśli wyruszy pieszo, korzystając z miejscowych środków komunikacji, tak jak ona ma w zwyczaju, okaże się to irytująco męczącym zadaniem. Restauracja Gargantua była bowiem ukryta, wraz ze swoimi wszystkimi pięcioma gwiazdkami, w dzielnicy mieszkalnej, w jednym z przedwojennych domów stojących przy wysadzonej drzewami ulicy, odległym o kilka minut marszu od sławnego frankfurckiego Palmengarten i utrzymanego w angielskim stylu Grüneberg Park.

O umówionej godzinie Munroe siedziała już tam i czekała, a kiedy Bradford pojawił się o kilka tylko minut spóźniony, wstała i uścisnęła mu dłoń. Miała na sobie obcisłą czarną suknię i buty na czterocalowych obcasach, przez co była od niego o dwa cale wyższa. Wokół szyi owinęła sobie delikatną, ozdobioną koralikami chustę, której dwa końce opadały na jej odkryte plecy. W tym stroju przyciągała spojrzenia mężczyzn, z których każdy pragnąłby się z nią pokazać, a potem zabrać do domu, by zdobyć jeszcze raz w łóżku. Była zupełnie niepodobna do siebie z fotografii i stanowiła całkowite przeciwieństwo tego, co mówiły o niej informacje zebrane w jej teczce, i było to przemyślane oświadczenie.

Uścisk jego ręki był mocny i zdradzał dużą pewność siebie. Ani na chwilę nie oderwał wzroku od jej twarzy, by obejrzeć jej ciało.

- Miles Bradford - przedstawił się, a kiedy usiadła, zajął miejsce naprzeciw niej, poruszając się z tą samą swobodną

pewnością siebie, z którą szedł przez salę odbioru bagażu. - To dla mnie zaszczyt, że w końcu mogę panią poznać.

Oparła podbródek na złożonych dłoniach i powtórzyła jego słowa: - Poznać mnie w końcu...

- Podziwiam panią od lat - odparł. - Byłem doradcą do spraw bezpieczeństwa w Radiance, kiedy zajmowała się pani Macedonią, a później zatrudnili mnie w Terra Corp, zaraz po tym, gdy zakończyła pani projekt w Uzbekistanie... w obu wypadkach były to znakomite opracowania, pozwolę sobie dodać.

- Dziękuję panu - powiedziała i podniosła szklanę z wodą, kręcąc nią trochę przed wypiciem łyka. - Zbieranie informacji i ochrona. - Przerwała. - Musi pan być w tym bardzo dobry, jeśli te same firmy zatrudniają nas oboje. - A potem dodała: - Mam nadzieję, że nie sprawiło panu kłopotu znalezienie tego miejsca... jest nieco ukryte.

- Niezbyt wielki - odparł. - Musiałem zapytać o drogę raz czy dwa, ale miałem szczęście trafić na ludzi, którzy mówili po angielsku. - Rozejrzał się po słabo oświetlonej sali w kształcie litery L. - I chyba warto było się pofatygować.

Przyszedł pieszo, jak miała nadzieję. Powstrzymała uśmiech.

- A zatem - zaczęła - od jak dawna pracuje pan dla Burbanka?

- Formalnie rzecz biorąc, nie pracuję dla niego. W ciągu kilku lat zrobiłem dla niego parę rzeczy, ale pracuję dla siebie... kontrakty.

- Tak myślałam. Kiedy jednak wspomniał o panu jako o jednym ze swoich ludzi, zabrzmiało to tak, jakby był pan jego pracownikiem.

- Jeden z „jego ludzi” tak? - Miles uśmiechnął się swobodnie, pokazując proste, białe zęby, i usadowił się wygodniej na krześle. - Na pewno chciałby tak myśleć. Znamy

się od dawna, ale nie, sam sobie jestem szefem, i jak większość biznesmenów idę tam, gdzie są pieniądze.

- Przypuszczam, że poszukiwanie Emily przyniosło sporo pieniędzy.

- Richard płacił mi dobrze i jestem pewny, że pani też dobrze płaci. Ale pojechałem do Namibii dla niego, dla Emily... dla nas wszystkich, tak naprawdę. Ona była dobrym dzieciakiem. Znałem ją od czasu, gdy miała dziewięć, dziesięć lat.

- Przykro mi - powiedziała Munroe. - Nie miałam pojęcia. Uśmiechnął się.

- Cóż, jestem pewny, że Richard nie uznał za stosowne umieścić tej informacji w mojej teczce. - Kelner przyniósł kartę win i Bradford zapytał: - Czy zamówimy butelkę?

- Nie piję, kiedy pracuję, ale pan niech się nie krępuje.

Oddał kartę kelnerowi. - W takim razie poproszę o to samo, co pani zamówiła. Co to jest?

- Woda - odparła, a potem, gdy Bradford poprosił o butelkę wody Selters, dodała: - Posłuchaj, Miles, wydajesz się człowiekiem dość otwartym i sympatycznym, ale bądźmy szczerzy, nie chcę ciebie tutaj. Pracuję sama. Nigdy nie miałam opiekuna, i siedzisz teraz naprzeciw mnie tylko dlatego, że Burbank zaproponował mi mnóstwo pieniędzy za znoszenie tej niedogodności. W tej sytuacji chcę ustalić kilka podstawowych zasad.

- W porządku.

- To moje śledztwo. Ja je prowadzę, ja podejmuję decyzje. Ty masz mi tylko towarzyszyć... albo po to, by przekazywać informacje Burbankowi, albo by chronić mój tyłek, nie jestem jeszcze pewna. Rób to, co musisz robić, ale nie wchodź mi w drogę i nie kwestionuj moich ocen. Przede wszystkim staraj się niczego nie spieprzyć. Jeśli będę chciała poznać twoją opinię w jakiejś sprawie, zapytam o nią. Jeśli któraś z tych zasad jest dla ciebie problemem, muszę o tym wiedzieć teraz.

- Nie mam żadnych problemów - odpowiedział spokojnie, dość nonszalanckim tonem. Rozłożył serwetkę na kolanach i sięgnął po koszyk z chlebem. - Ale skoro mówimy o podstawowych zasadach, mam kilka własnych, których muszę przestrzegać, żeby móc zrobić to, do czego zostałem wynajęty.

- Słucham.

- Płacą mi za czuwanie nad tobą i utrzymanie cię przy życiu - powiedział. - Od ciebie zależy spokój ducha Richarda, nie wspominając już o pieniądzach, a ja jestem jego polisą ubezpieczeniową. Wiem, że umiesz zatroszczyć się o siebie, ale to jego decyzja, nie moja. Gdyby to było moje zadanie, też nie chciałbym siebie tutaj, rozumiem więc twoje stanowisko. Ale jak już powiedziałem, to jego decyzja, nie wyładowuj się zatem na mnie, utrudniając mi pracę. Rób to, co musisz robić, a ja zachowam moje opinie dla siebie i nie będę ci wchodzić w drogę. Ale muszę wiedzieć, gdzie jesteś o każdej porze dnia i nocy, z kim rozmawiasz, komu płacisz i za co. Jeśli dotrzymasz swojej części układu, ja dotrzymam mojej. Umowa?

- Nie podoba mi się, ale mogę z tym żyć.

- Dobrze - odparł, skinąwszy głową, a potem dodał: - Richard niemal nic mi nie powiedział o tym, dokąd stąd lecimy. Jaki masz plan?

- Zaczniemy od Kamerunu - odparła. - Wylatujemy jutro rano do Douali. Powiem ci potem, jak się sprawy mają, ale na razie pamiętaj, by przed odlotem zrobić sobie osiem zdjęć paszportowych. Muszę je mieć, zanim wsiądziemy do samolotu.

Usłużny personel przerywał już kilka razy ich rozmowę, a wraz z pojawieniem się głównych dań odłożyli poważne tematy na później. Jedząc, rozmawiali początkowo o wszystkim i o niczym, potem porównywali różne aspekty swojej pracy, by następnie znowu wrócić do spraw mało istotnych. Dopiero

przy kawie Munroe sięgnęła po teczkę stojącą przy nodze jej krzesła i wyjęła z niej historię swojego życia, którą dostała od Burbanka. Pchnęła ją po blacie stolika w jego stronę i powiedziała: - Pewnie już to czytałeś, ale jeśli nie, wypada, żebyś to przejrzał... ja mam twoje dossier.

Bradford odstawił swoją filiżankę i odsunął dokumenty.

- To ja skompletowałem tę teczkę, Michael - powiedział. - Nie potrzebuję jej.

Munroe odchyliła się do tyłu i milczała. Bradford nic nie powiedział, nie usprawiedliwiał się ani nie tłumaczył; po prostu siedział, wytrzymując jej spojrzenie z łagodnym, spokojnym wyrazem twarzy. To była rzadka reakcja. Większość ludzi w takiej sytuacji, gdy panuje krępujące milczenie, mówi coś, żeby przerwać nieprzyjemną ciszę.

- Jeśli to ty jesteś za to odpowiedzialny - odezwała się w końcu, wskazując teczkę - to opuściłeś wiele istotnych informacji.

- W rzeczy samej. - Powiedział to cicho, spokojnie i pochylił się do przodu, kładąc ręce na stoliku. - Niektórych informacji nie mogłem zdobyć, a inne nie wydawały mi się tak istotne dla sprawy.

Munroe milczała, a ponieważ Bradford znów nie nabrał się na przynętę ciszy, pochyliła się ku niemu, tak że ich twarze się zbliżyły, i wyszeptała cynicznym tonem: - To interesujące, że psychiatryczne oceny uznałeś za mniej istotne od historii złamanych kości.

- Włączyłbym je, gdyby były trafne - odparł. - Ale wiemy oboje, że nie były.

- Jesteś nie tylko człowiekiem do wynajęcia, ale i psychologiem? To naprawdę godne podziwu.

Uśmiechnął się i wyprostował.

- Myle się?

- Nie wiem. To ty jesteś ekspertem. - A potem także zmieniła pozycję, naśladowując jego ruchy. - No więc - zaczęła,

po czym uśmiechnęła się i odczekała pół uderzenia serca - jaką masz teorię na temat moich blizn? Najwyraźniej nie wierzysz, że mam skłonności samobójcze albo że lubię się ciąć.

- Czy miałyby to jakieś znaczenie, gdybym w to wierzył? - zapytał.

- Właściwie to tak, dziękuję, że zapytałeś, miałyby wielkie znaczenie. To, co myślisz o mnie, określa, jakiego typu zachowań mogę się po tobie spodziewać w sytuacjach niebezpiecznych, kiedy będziemy musieli działać w stanie silnego napięcia.

- W takim razie nie - odrzekł - nie wierzę w nie... przeczą wszystkiemu, co o tobie wiem. Gdybyś rzeczywiście planowała zakończyć życie, zrobiłabyś to, skacząc bez spadochronu z Salto del Angel.

Munroe wzięła głęboki wdech, a potem podniosła prawą rękę i rozczapierzyła palce.

- Mniej niż jest tych palców - powiedziała. - Tylu ludzi pojęło to, co właśnie powiedziałaś. - A potem, po kolejnej chwili milczenia, dodała: - Najśmieszniejsze jest to, że wszystko, co im powiedziałam, było prawdą. - Pokręciła głową. - Pieprzone patałachy. Idziesz do nich po pomoc, a kończysz z etykietą świra. - Odsunęła kolekcję paciorkowych bransoletek, zakrywających jej lewy nadgarstek, i odwróciła go do góry, żeby mógł zobaczyć. - Ta blizna jest prawdziwa, tak jak i inne, ale nie ja sobie to zrobiłam. - Odwróciła do góry prawy nadgarstek, niczym nieoszczędny, i zbliżyła go do lewego. - Kiedy już coś robię, robię to prawidłowo.

- Jeszcze wiele o tobie nie wiem, Michael - odezwał się. - Nie wiem, co konkretnie powiedziałaś swoim lekarzom, a z tych akt dosyć jasno wynika, że nie byłem w stanie wypełnić białych plam z twojej młodości. Wiem, że kiedy przybyłaś do Stanów Zjednoczonych, nie bardzo ci się udało przystosować

do nowego życia i zostałaś później wyrzucona ze szkoły średniej.

Munroe pokiwała głową i dała mu znak ręką, żeby kontynuował.

- W tym samym roku zakazano ci wstępu do kilku ośrodków treningowych eskrimy i wykopywano cię kolejno z niemal wszystkich klubów sztuk walki, do których uczęszczałaś. Usunięcie ze szkoły mogłem zrozumieć, ale walka na noże i inne sztuki walki zaciękały mnie, zwłaszcza miejsca, do których chodziłaś. Takich twardych facetów niełatwo przestraszyć, a jeśli posuniesz się za daleko, mogą cię po prostu zatłuc. Zajęło mi to trochę czasu, ale udało mi się odnaleźć twojego pierwszego instruktora, który uczył cię posługiwania się balisongiem - pamięta cię dobrze, ale nie wspomina czule. Powiedział, że kilka razy omal go nie zabiłaś, że mogłaś to łatwo zrobić, i wciąż nie rozumie, co cię powstrzymało. Historie, które usłyszałem od innych, nie różniły się zbyt wiele od tej. - Bradford przerwał, żeby wypić łyk kawy. - Te umiejętności i iskra szaleństwa, która przeraża największych twardzieli, skądś się wzięły, Michael, i nie mam wątpliwości, że to samo można powiedzieć o bliźnach.

- Jesteś bardzo spostrzegawczy - odparła. - Może zatrzymam cię przy sobie przez jakiś czas... może docenisz mistrzostwo, które narodziło się z woli przetrwania.

Lot z Frankfurtu z przesiadką w Paryżu trwał niemal cały dzień i w Douali znaleźli się o wpół do ósmej wieczorem. Kiedy Munroe wyszła z chłodnego, suchego wnętrza samolotu do otwartego, betonowego holu terminala, zanurzyła się w ciepłej wilgoci, jakby otworzyła drzwi do sauny.

Ruchomą linią, która to zbiegała się, to rozdzielała, pasażerowie sunęli przez kolejne hole w stronę stanowisk odprawy paszportowej. Wilgoć osiadła na skórze Munroe, obciążając jej włosy i pokrywając mgłą okulary pasażera, który szedł obok niej. A potem, jakby upał oplótł ich ciała i

robiąc to, skrępował ich nogi, grupa zwolniła. Zanim pierwsi pasażerowie dotarli do stanowiska kontroli zdrowotnej, pod ich pachami i na plecach pojawiły się mokre plamy, a niektórzy zdradzali wyraźne objawy zmęczenia.

Munroe poprosiła Bradforda o jego paszport. Przy stanowisku kontroli zdrowotnej podała inspektorce swoją żółtą kartę i ich oba paszporty z dziesięcioeurowym banknotem, którego różowoczerwona krawędź wyzierała spośród kartek jednego z nich. Do kobiety siedzącej w budce powiedziała: - Jedna z naszych kart szczepień chyba gdzieś się zapodziała.

Inspektorka przekartkowała powoli oba paszporty, a potem uważnie przestudiowała żółtą książeczkę Munroe i w końcu stwierdziła: - Pani szczepienia straciły już ważność.

Oddała książeczkę szczepień, a Munroe wsunęła do niej dodatkowe dziesięć euro i znowu jej podała ze słowami: - Nie zauważyłam.

Kobieta po drugiej stronie okienka napisała coś, po czym oddała jej oba paszporty, dwie nowe żółte książeczki szczepień pełne pieczętek i podpisów lekarskich oraz dwa kawałki ręcznie wyciętego papieru podbite jej urzędową pieczętą w kolorze purpurowym, zaświadczające, że każdy z podróżnych jest zdrowy i ma wszystkie wymagane szczepienia. Euro zniknęły.

- Idźcie do kontroli paszportowej - powiedziała.

Munroe szła wolno, głęboko oddychając. Kiedy poczuła odór pleśni i zgnilizny, uśmiechnęła się. To był zapach deszczu i wilgoci, które rok po roku przenikały ściany i farbę i w końcu stały się w takim samym stopniu częścią budynku jak stalowe belki podpierające konstrukcję i ciała personelu wydzielające każdego dnia woń starego potu i niepranych ubrań.

Przejsie przez kontrolę imigracyjną z nieważną kartą stałego pobytu kosztowało ją dodatkowe dwadzieścia euro. Na

stanowisku kontroli celnej urzędnik metodycznie przejrzał ich bagaże i nie znalazłszy nic wartościowego, żadnej kontrabandy i niczego, co mogłoby mu zapewnić pieniądze na wieczorną popijawę, wepchnął ich rzeczy z powrotem do toreb i pozwolił im przejść.

Na zewnątrz budynku w przyćmionym, fluorescencyjnym świetle lamp terminalu królował chaos, w którym jak ryby w wodzie czuli się nawołujący klientów taksówkarze i przepychający się w tłumie bagażowi.

Hotel nosił nazwę Parfait Garden i był starzejącym się, wielopiętrowym budynkiem przy boulevard de la Liberté. Było w nim mniej udogodnień niż w nowszych i wyższych hotelach w mieście, ale zdołał zachować swoją aurę dostojności. Munroe wybrała go z uwagi na wspomnienia. Stał w odległości mniejszej niż kilometr od ronda, z którego odchodziła droga prowadząca do Buei, i kiedy wysiadła z taksówki, spojrzała w kierunku, gdzie kiedyś był jej dom.

Dom. Cokolwiek słowo „dom” miało znaczyć.

Tak blisko, a jednocześnie tak daleko, i żadnego powodu, by tam wrócić. Jej matka repatriowała się już dawno temu do Stanów, a ojciec ożenił się z Kamerunką i przeniósł na północny wschód do Garoui. Nie widziała się z żadnym z nich ani nawet nie rozmawiała, od czasu gdy opuściła Afrykę; być może, kiedy skończy tę robotę, pojedzie na pustynną północ kraju i odnajdzie człowieka, który przez trzynaście lat był jej ojcem. Personel w recepcji był uprzejmy i grzeczny, pomimo wymagań Bradforda, który przed wypełnieniem formalności meldunkowych chciał obejrzeć oba pokoje. Gorzej, że nalegał, by Munroe mu w tym towarzyszyła, co było pierwszą z bez wątpienia wielu niedogodności wiążących się z posiadaniem opiekuna-łamanego przez-ochroniarza. Zrezygnowali z jedynej windy w hotelu i wspięli się po szerokich, wyłożonych dywanem schodach, które wiły się przez centrum budynku. Powietrze było przesiąknięte wonią czcigodnej stęchlizny.

Sąsiadujące ze sobą pokoje naprzeciw klatki schodowej zyskały aprobatę Bradforda, a kiedy wreszcie zostawił ją samą, Munroe rzuciła torbę i plecak u stóp łóżka, wyłączyła klimatyzację i otworzyła okna. Ciepło i wilgoć wypełniły pokój. Prawdziwa aklimatyzacja potrwa tydzień albo i dłużej, a klimatyzacja tylko by spowolniła cały proces; dopóki jej ciało się nie przystosuje, klimat będzie wysysał jej siły, sprawiając, że będzie niemrawa i zmęczona - lepiej mieć to jak najszybciej za sobą. Z plecaka wyjęła obustronną taśmę przyklepną i przykleiła nią zasłonki do ram okien. Nie była to tak do końca moskitiera, ale spełni swoją rolę do czasu, aż kupi prawdziwą.

Położyła się na łóżku z rękami pod głową i wbiła wzrok w sufit. Spodziewała się, że po powrocie mogą ją ogarnąć różne uczucia, ale takie zadowolenie było dla niej niespodzianką. Do Bożego Narodzenia zostało jeszcze pięć tygodni i to był pierwszy raz w ciągu ostatnich dziesięciu lat, kiedy w okresie świąt znalazła się tak blisko domu.

Wstała razem ze słońcem i przez ponad godzinę odgłosy ożywionego ruchu na ulicy oraz chodnikach przenikały przez otwarte okna, nawołując ją do wyjścia. Dała Bradfordowi słowo, że przynajmniej tym razem poczeka na niego przed opuszczeniem pokoju, i kiedy zapukał do drzwi, leżała ubrana i głęboko zamyślona na łóżku.

Śniadanie zjedli w małej restauracji hotelowej. Oboje byli w dobrym nastroju, rozmawiali przyjaźnie, a kiedy skończyli i czekali, aż kelner przyniesie im nową kawę, Munroe wstała.

- Pójdę się dowiedzieć, gdzie on się podział - powiedziała.

Kelner wracał właśnie kuchni, kiedy go zatrzymała. Wcisnęła mu kapsułkę proszku do ręki razem z dwudziestoma euro.

- Mój przyjaciel nie chce brać swoich lekarstw - wyjaśniła.

- Jeśli wrzucisz mu to do kawy, pieniądze są twoje. Jeśli pomylisz filiżanki, będziesz musiał oddać.

Już kilka minut po wpiciu kawy Miles zaczął zdradzać wyraźne oznaki senności. Munroe wyciągnęła rękę i dotknęła nadgarstkiem jego czoła.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała. - Nie wyglądasz najlepiej.

- Niezbyt dobrze się czuję - odparł nieco bełkotliwie. - Jestem bardzo zmęczony.

- To może być klimat i skutki długiej podróży samolotem - powiedziała. - Tak się czasem dzieje. To może trochę potrwać, zanim się przystosujesz. Chodźmy, odprowadzę cię do pokoju.

Kiedy dojechali windą na ich piętro, Bradford wisiał jej już na ramieniu. Z pewnym trudem położyła go do łóżka, zdjęła mu buty i upewniła się, że klimatyzacja działa prawidłowo. Wiedząc, że po przebudzeniu będzie bardzo spragniony, postawiła przy jego łóżku butelkę z wodą do picia i owinęła go cienkim kocem.

To było świństwo. Wolałaby to rozwiązać inaczej, ale miała do załatwienia kilka spraw i nikt nie mógł jej w tym wyryć.

- Śpij dobrze - wyszeptała. Zostawiła jego klucz w pokoju, a drzwi zamknęła wytrychem.

Zerknęła na zegarek; będzie miała szczęście, jeśli uda się jej wrócić przed zmierzchem.

Ulice Douali były wąskie i tętniły głośnym, chaotycznym życiem. Rowery obładowane najróżniejszymi towarami na wysokość pięciu stóp walczyły o miejsce z peugeotami przekształconymi w taksówki i wypełnionymi dwukrotnie większą liczbą ludzi, niż przewidzieli to ich konstruktorzy. Na drogach panował całkowity zamęt, samochody przepychały się, a ich klaksony były w użyciu równie często jak hamulce. Piesi tłoczyli się na chodnikach. Kolonialne budynki stały tuż obok nowoczesnych, a zielone, pierzaste liście palm wyglądały ponad mury, które oddziaływały domy od kakofonii ulic.

Pierwszy przystankiem było Société Générale de Banques au Cameroun i rachunek, który zostawiła, kiedy przed laty

uciekła z kraju. Spodziewała się, że dawno już został zamknięty z powodu nieużytkowania, a pieniądze znikły w eterze lub co najmniej były niedostępne. A jednak wszystkie znalazła na koncie i co więcej, przyniosły jej nawet skromny procent. Złożyła wyciąg z rachunku, a potem w okienku FOREX wymieniła pięćset euro na środkowoafrykańskie franki². Te drobne powinny na jakiś czas wystarczyć; w większości hoteli i linii lotniczych akceptowano euro, a czasem nawet je przedkładano nad miejscową walutę.

Po wyjściu z banku Munroe zatrzymała kilka taksówek i wysłała każdy z żółtych samochodów w swoją drogę, aż w końcu trafiła na nowszy pojazd, o silniku, którego stan budził mniejsze wątpliwości, fotele były wciąż solidne i nie tak zarośnięte brudem ani zniekształcone jak te, które przeniosły zbyt wielu pasażerów. Następnie, po krótkich negocjacjach z kierowcą, uzgodniła cenę kursu tam i z powrotem do Kribi, sennego miasta i ośrodka wypoczynkowego, leżącego w odległości trzech godzin jazdy na południe od Douali.

Znane ze swych nieskazitelnie czystych plaż Kribi jest spokojne i względnie puste przez większą część roku, ale w okresach świątecznych napływa do niego więcej ludzi, niż miasto jest zdolne pomieścić. To właśnie w Kribi przeszłość spotka się z teraźniejszością. Potrzebowała dokumentów, a człowieka, który może jej ich dostarczyć, znajdzie właśnie tam... ostatniej nocy spędziła kilka godzin przy telefonie, żeby się co do tego upewnić.

Po wyjeździe z Douali korki znikły, a ruch na drodze ograniczał się do mijanych sporadycznie, przeładowanych minibusów. Droga do Kribi biegła początkowo w głąb łądu, potem równoległe do oceanu, a po obu jej stronach ciągnęły się uprawy niskich palm, z których nasion otrzymuje się olej palmowy. Monotonie jazdy urozmaicał od czasu do czasu widok jakiegoś budynku lub chłopców pędzących na poboczach drogi stada kóz. Dwa pasy szosy zapewniały

wystarczająco dużo miejsca, by zbliżające się do siebie pojazdy mogły się mijać, nie zjeżdżając z asfaltu. Od oceanu wiała stała bryza i Munroe spędziła większość podróży, na przemian sprawdzając swoje notatki i wyglądając leniwie przez okno, patrząc, jak wraz ze zmieniającym się krajobrazem przelatują za nim wspomnienia.

W przeciwieństwie do dnia poprzedniego ten przyniósł wyrzuty sumienia i przemożne uczucie smutku. W jakimś zakątku jej umysłu coś się poruszyło i zaczęły się odzywać głosy, pierwsze, jakie słyszała od chwili, gdy przyjęła zlecenie Burbanka.

Może decyzja powrotu do Kribi była błędem.

Rozdział 6

Boniface Akambe był wielkim mężczyzną. Nie tylko pod względem wzrostu oraz obwodu w pasie, ale i dlatego, że nosił drogie ubrania, jeździł land cruiserem z napędem na cztery koła i posiadał kilka zyskownych przedsiębiorstw. Był także przystojnym mężczyzną o gładkiej, miękkiej skórze i z niewielką, a przez to pociągającą przerwą między przednimi zębami. Akambe miał dwanaścioro dzieci, które urodziły mu trzy żony; dwie z nich mieszkały w Douali, a trzecia, najmłodsza, prowadziła mu dom w Kribi. Jego sytuacja życiowa wyraźnie się poprawiła od czasu, gdy Munroe widziała go ostatni raz. Był wtedy młodszy - wszyscy oni byli młodszy - i miał tylko jedną żonę, chociaż gdyby postawił na swoim, Munroe wkrótce zostałaby drugą.

To nazwisko jego rodziny i polityczne koneksje zapewniły mu ochronę i pomogły rozwinąć biznesy, dzięki którym mógł finansować swój wystawny styl życia, ale Munroe do tej podróży skłoniła jego mniej znana działalność.

Kribi było dokładnie takie, jak je zapamiętała - małe i leniwe miasto z ledwie kilkoma głównymi ulicami łączącymi części całości i z o wiele za dużą liczbą hoteli jak na swój rozmiar. Pojawiło się kilka nowych budynków, ale poza tym niewiele się zmieniło i taksówkarz potrzebował tylko kilku minut na dojechanie do miejsca, które mu opisała.

Biuro było nijakie, znajdowało się na parterze dwupiętrowego domu, z którego ścian odłaziła zielona farba, a z pudła wystającego nad chodnik klimatyzatora ściekała woda. Wewnątrz było chłodno i unosiła się woń stęchlizny, a linoleum, którym pokryto podłogę, w kilku miejscach się pozadzierało. Recepcjonistka siedziała na drewnianym krześle za metalowym biurkiem, które niemal zupełnie oblażyło już z farby i nosiło ślady prowizorycznych napraw,

przeprowadzanych przez lata. Przed sobą miała maszynę do pisania, a po prawej ręce stos szarych teczek, dość ryzykownie ułożonych.

W ciągu dziewięciu lat, które Munroe spędziła poza Afryką, ani razu nie użyła języka fang, ale teraz wszystko do niej wróciło i słowa swobodnie popłynęły z jej ust.

- *Hakum ayen Akambe* - powiedziała. - Proszę go powiadomić, że tu jestem. - Nie musiała dodawać żadnych innych informacji. To, że mówiła w fang, było jej wizytówką. Z wyrazem zaskoczenia na twarzy kobieta wstała z biurka i podeszła do drzwi po przeciwnej stronie pokoju.

A potem zza nich dobiegł grzmiący głos Akambe.

- Es-sss-sa! - krzyknął, rozciągając jej imię do trzech sylab. Wybiegł przez drzwi gabinetu z rękami rozłożonymi w geście powitania i szerokim uśmiechem na twarzy. - Essa - powtórzył. Złożył dłonie, a potem oparł na jej barkach i trzymając ją na długość ramion, powiedział: - To mogłaś być tylko ty. Co się z tobą działo? Ile to już lat?

- Wiele - odparła, oddając mu uśmiech i ciesząc się ciepłem tego powitania. - Zbyt wiele.

- Chodź, napij się ze mną kawy - zaproponował i wrzasnął kilka zdań do kobiety, która wróciła do swojego biurka. Następnie odsunął się na bok, żeby Munroe mogła wejść do jego gabinetu. W przeciwieństwie do pierwszego pokoju tutaj meble były nowe, wykładzina podłogowa i farba na ścianach czyste, a jego drewniane biurko tak duże, że zajmowało niemal całą długość tylnej ściany. Akambe usiadł w ogromnym fotelu za tym biurkiem, a Munroe na kanapie, która stała prostopadle do niego.

- Essa - powiedział znowu, kiedy podano im kawę. - Gdzie się ukrywałaś przez ten cały czas?

- Byłam za oceanem, uczyłam się i pracowałam.

- Aha - mruknął, po czym pochylił się do przodu i położył ręce na wielkim brzuchu. - Pojechałaś do swoich. Swój

zniknięciem narobiłaś tu sporego zamieszania. Francisco wydał małą fortunę, próbując cię odnaleźć. W końcu przestał cię szukać, kiedy już się upewnił, że jesteś żywa i tylko opuściłaś kraj.

Ukłucie wyrzutów sumienia oraz przytłumionego bólu, jaki poczuła, usłyszawszy te słowa, wzbudziło chór głosów, śpiewnie recytujących i wołających ją po imieniu, by przykuć jej uwagę. Nie odrywała wzroku od Akambe, a kiedy ten wewnętrzny zgiełk ucichł, zapytała szeptem: - Masz od niego jakieś wiadomości?

- Widujemy się co kilka miesięcy, kiedy jest w mieście.

- A więc nie wyjechał z Afryki?

- Nie, nadal tutaj jest.

Skrzywiła się i wypila kolejny łyk słodkiej kawy.

- Co u niego?

Akambe wrzucił jeszcze jedną łyżeczkę cukru do kremowo-brązowej cieczy, zamieszał ją i przez jakiś czas milczał, a potem uniósł głowę.

- Jest inny. Pracuje ciężiej, gra ostrzej, spędza więcej czasu z kobietami, pijąc i zachowując się mniej jak ty, a bardziej jak ja. - Zaśmiał się głośno i kontynuował: - A potem znika na długie okresy samotności. Zbudował sobie dom na wyspie, w pobliżu Ureki. - Przerwał, by dorzucić kolejną łyżeczkę cukru do swojej kawy. - Czas postarza duszę człowieka. A oni zostawiają go w spokoju, dopóki dostarcza im od czasu do czasu różne rzeczy. - Akambe umilkł na chwilę. - Powinnaś się z nim zobaczyć, Essa. Przynajmniej to mu się od ciebie należy.

Wzruszyła ramionami i odstawiła filiżankę.

- Zrobię to, jeśli zdążę. Sytuacja jest taka, że przyjechałam tu do pracy i mam na to mało czasu. Potrzebne mi są twoje umiejętności. Czy nadal robisz papiery?

- Czasem tak, czasem nie. - Mówiąc to, przechylił głowę najpierw na prawo, a potem na lewo. - Czego potrzebujesz?

Podala mu zdjęcia paszportowe swoje i Bradforda.

- Potrzebuję po dwie karty stałego pobytu dla każdego z nas.

- To mogę zrobić - odparł.

- Ale chodzi mi o Kamerun i Gwineę Równikową.

- Ach - mruknął, bębniąc palcami po swoim biurku. - Gwinea Równikowa zajmie więcej czasu. I będzie więcej kosztować.

- Najlepiej status dyplomatyczny - dodała i położyła na biurku resztę fotografii, a następnie przykryła je plikiem banknotów. - Jeśli to za mało, zapłacę resztę, kiedy wrócę.

Przeliczył szybko pieniądze.

- To wystarczy - odrzekł. - Gdzie się zatrzymałaś? Dostarczę ci tam dokumenty w ciągu pięciu dni.

- Hotel Parfait Garden. - Wstała, by wyjść.

Akambe uniósł rękę, by ją zatrzymać, i tonem pełnym znaczenia powiedział: - Essa, szukam żony.

Uśmiechnęła się rozbawiona tym, że jego próba była tak łatwa do przewidzenia, po czym spróbowała przybrać poważny wyraz twarzy.

- Boniface, może pewnego dnia przyjmę twoje oświadczenia, ale jeszcze nie dzisiaj. - W taksówce pozwoliła sobie na głośny chichot. Żona numer cztery.

Z biura Akambe taksówkarz zawiózł ją na południe od Kribi, po czym skręcił w wąską drogę żwirową, która przebiegała obok domu na plaży. Wzdłuż całej posiadłości ciągnął się gęsty żywopłot, zasłaniając widok z drogi, i taksówkarz zatrzymał się przed metalową bramą, która była jedynym widocznym wejściem. Munroe wysiadła z samochodu na żwirowy podjazd i stanęła, by przyjrzeć się szlabanowi, który oddzielał to, co było kiedyś, od tego, czym jej życie było teraz. Głosy z przeszłości odezwały się zgodnym chórem, a ona zdławiła ich krzyk, zwalczyła pokusę naciśnięcia dzwonka przy bramie i zamiast tego wróciła do taksówki. Pojechali na północ do Douali.

Kiedy dotarła do hotelu, było już ciemno. Kupiła butelkę wody, skierowała się do pokoju Bradforda i weszła do środka. Przez zasłony przenikały przyćmione światła ulicy, a na tle szumu klimatyzatora słychać było oddech Milesa, stały i rytmiczny. Nalała wody do szklanki, uklękła przy łóżku i pochyliła się, żeby unieść jego głowę.

Kiedy dotknęła jego karku, chwycił ją za nadgarstek ruchem szybkim i precyzyjnym. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że ich twarze dzieliło kilka cali, i powiedział szeptem: - Jeśli zrobisz mi to jeszcze raz, przysięgam, że założę ci dozór elektroniczny.

Uśmiechnęła się, a kiedy przestała mu się opierać, puścił ją. Wsunęła mu dłoń pod głowę, uniosła ją i przyłożyła mu szklankę do ust; zaczął chciwie pić. Kiedy skończył, położył się z powrotem na poduszce z lekko tylko otwartymi oczami i zapytał: - Dlaczego, do diabła, to zrobiłaś?

- Musiałam załatwić parę spraw. Sama.

- Następnym razem po prostu poproś. Zostawię ci swobodę.

- Okay - odparła. - Poproszę. - Wstała i zwróciła się w stronę drzwi. - Zobaczymy się rano - dodała szeptem. Wraz z trzaskiem zamykającego się zamku znowu wezbrały w niej fale wewnętrznej wrzawy. ... *a wy jęczeć będziecie z bólu serdecznego i zawodzić będziecie zgnębieni na duchu.*

Stawiając powolnie i miarowo kroki, przeszła przez korytarz, otworzyła drzwi do swojego pokoju i z myślą o uszach Bradforda zatrzasnęła je głośno, a potem jeszcze zamknęła na klucz.

Pozostawicie swe imię moim wybranym na przekleństwo...

Wiedziała, że tej nocy nie zazna snu, nie po Kribi, po bramie i domu na plaży.

Tak niechaj cię zabije Pan Bóg!

Munroe wspięła się po schodach do miejsca, skąd nie mogła iść już wyżej, i znalazła tam drzwi prowadzące na dach.

Sługom zaś moim nadadzą inne imię.

Nocne powietrze było chłodne, niosąc ulgę udręczonemu upałem światu, i tam w ciemności znalazła pociechę. Odkryła miejsce suche, otwarte na niebo i położyła się na plecach twarzą ku gwiazdom tworzącym znajome wzory, takie jak kiedyś, takie jak tamte j nocy.

W panującej wokół ciszy głosy w jej głowie brzmiały coraz silniej, aż w końcu osiągnęły kulminację: *Droga grzesznika to śmierć.*

Nie walczyła z nimi, nie próbowała ich uciszyć - to nie miało sensu. Tej nocy były silne; tej nocy zabiorą ją, a ona uwolni swoją świadomość i pozwoli jej podążać tam, dokąd ją nieuchronnie poprowadzą: do nocy, kiedy zaczęły się odzywać, nocy, kiedy zabiła Pietera Willema.

Tę noc spędzali w tymczasowym obozie, w pospiesznie wzniesionych szałasach. Miejsce było dobrze osłonięte i miało łatwy dostęp do wody oraz łodzi, ukrytych na namorzynowych rozlewiskach niedaleko małego dopływu, który miał ich donieść do rzeki Muni. Było ich sześcioro w nierówno rozmieszczonych na małej polance szałasach, które spełniały rolę domu. Zgodnie z planem mieli tam pozostać do czasu, gdy kupcy odbiorą towar, a potem wrócić do domu Francisca w Kribi i tam czekać na następny transport.

W ciszy głosy niosły się daleko, ale żeby zrozumieć, o co chodzi, musiała się podkraść bliżej. Francisco i Pieter kłócili się. Zapadał już zmierzch i za mniej niż pół godziny miało być ciemno choć oko wykol. Wyczuwała zapach zbliżającego się sztormu i zmianę zachodzącą w powietrzu. Wiedziała, że kiedy zacznie padać, nie będzie mogła niczego podsłuchać, i dlatego podczołgała się aż do chybottliwych ścian jego szałas.

Jej życie było dobre do czasu, gdy dwa i pół roku wcześniej do zespołu dołączyli najemnicy Jean Noel i jego kumpel Pieter Willem. Jean nie był taki zły; widział w niej kogoś, kim naprawdę była, ledwie piętnastoletniego dzieciaka,

który utknął w dżungli, wyrwany ze swojego środowiska, ale jednocześnie był im niezbędny do wykonania roboty. Na swój sposób był dla niej miły. Kiedy nie pracował, uczył ją wiązać liny, zaciągać różne węzły, zastawiać pułapki, robić zatrute strzały i bezszelestnie polować w ciemności. Pokazywał jej także, jak obchodzić się z bronią i jak jej używać.

To Pieter nauczył ją zabijać. Ten niewysoki mężczyzna o twardych mięśniach był czarujący i potrafił snuć zajmujące opowieści, które zjednywały mu sympatię słuchaczy. To jego oczy budziły jej nieufność; od dnia, kiedy pojawił się w Kribi, starała się go unikać.

Za zgodą Francisca Pieter wziął na siebie zadanie wyćwiczenia jej w sztukach walki - „by mogła się obronić” jak powiedział, kiedy przedstawił ten pomysł. Dla niej nawet gdyby Pieter wrócił do RPA, wciąż byłby za blisko. Mimo to była zmuszona przebywać z nim po kilka godzin każdego dnia. Nie mogła odmówić. Francisco wydał rozkaz, a ona pracowała dla niego - więcej, uwielbiała go. Starszy o jedenaście lat był dla niej bratem, którego straciła, kiedy była tak mała, że ledwie rozumiała, co się stało.

Treningi z Pieterem rozpoczęły się tak, jak obiecał - jako treningi. Z dala od obozu i pozostałych członków grupy uczył ją walczyć. Miejsca, w których rozbijali obozy, zmieniały się, podobnie jak kraje, gdy wędrowali na sposób nomadów między punktami odbioru i dostawy towarów, ale obecność Pietera w jej życiu pozostawała stałym elementem. Nie wiedziała, gdzie nauczył się swojej techniki ani czego konkretnie ją uczył; utrzymywał, że był mistrzem kilku rodzajów sztuk walki, a ona i tak nie odróżniała jednej od drugiej. Wiedziała tylko, że bez względu na to, ile się nauczyła, wróci do swojego szałasu posiniaczona, zakrwawiona i obolała, a w obozie nikt nic nie powie na ten temat.

To były dobre czasy.

W miarę jak jej umiejętności rosły i uczyła się stawiać opór, Pieter dręczył ją coraz dłużej, aż była zupełnie wyczerpana i nie mogła się ruszać. Każdy dzień kończyła tak samo, leżąc na plecach, podczas gdy on, trzymając nóż na jej gardle, gwałcił ją, szepcząc drwiny do jej ucha, a jego pot kapał jej na twarz.

Groził, że jeśli opuści obóz, on odnajdzie jej rodzinę i wszystkich zabije - nie miała wątpliwości, że dotrzyma tej obietnicy, i bez względu na to, co czuła do swojej rodziny, nie uważała, by zasłużyli na tortury i śmierć z rąk sadystycznego szaleńca. Nie mieli pojęcia, gdzie była, a nawet gdyby wiedzieli, nic nie mogliby zrobić. Jedynym człowiekiem, który by się przejął, gdyby Pieter poderżnął jej gardło, był Francisco, a on w walce nigdy nie pokonałby jej dręczyciela - żaden z nich by go nie pokonał.

Potem Pieter wprowadził do programu ćwiczeń noże. Za każdym razem, gdy zaczynali pojedynek, nie była pewna, czy to przeżyje. Pieter rozmyślnie ciął ją i regularnie groził śmiercią. Walczyła, by wygrać, by zobaczyć, jak on krwawi, by to zakończyć, żeby to piekło się w końcu skończyło. Kiedy jej nóż zahaczał o jego ciało, a czerwona ciecz życia rozmazywała się na jego ostrzu, ogarniała ją euforia, za którą zawsze nadchodził ból, gdy jego nóż ciął inną część jej ciała i wszystko kończyło się jak zwykle.

Im lepszym stawała się przeciwnikiem, tym bardziej ją dręczył. Próbując się od niego uwolnić, odmówiła raz walki, a potem oświadczyła Franciscowi - w zasięgu słuchu Pietera - że umie już dostatecznie wiele i nie potrzebuje więcej ćwiczeń. Pieter przyszedł do niej tej nocy i zakneblował ją. Przygniótł ją do ziemi i przeciął jeden z jej nadgarstków, drwiąc z niej, gdy się z nim szamotała. Kiedy straciła już sporo krwi, podniósł ją z ziemi i zabandażował ranę, by zatamować krwawienie. Następnie pogłaskał ją delikatnie po twarzy, pocałował i powiedział, że jeśli znowu mu się przeciwstawi, przetnie jej

żyły w obu nadgarstkach i rzuci do Atlantyku rekinom na pożarcie.

Zostawił ją potem w spokoju przez kilka dni, a ona wiedziała, że daje jej czas, by przemyślała sobie jego słowa, a także odzyskała siły po utracie krwi.

Później próbowała doprowadzić do usunięcia go z zespołu, błagając Francisca, by go odesłał. Nie mogła powiedzieć prawdy, ale miała nadzieję, że on ulegnie jej prośbom, a kiedy tak się nie stało, rozważyła ponownie ryzyko powiedzenia prawdy i wybrała życie.

W owym czasie walki sparingowe już go nie zadowalały. Zaczął zastawiać na nią pułapki wokół obozu. Nigdy nie wiedziała, zza którego drzewa lub skały wyskoczy na nią; zdawał się czerpać przyjemność z wymyślania najróżniejszych sposobów straszenia jej. Nie było miejsca, w którym mogłaby znaleźć pociechę lub spokój, i żyła w stanie nieustannego napięcia.

Od chwili, gdy otworzyła rano oczy, myślała tylko o tym, jak trzymać się z daleka od Pietera, i zwykle znajdowała bezpieczeństwo w bliskości innych ludzi. Jeśli Francisco był na miejscu, pozostawała u jego boku, a jeśli go nie było, szukała Jeana Noela. Wyczuwała obecność czekającego w pobliżu Pietera, a jeśli udało mu się złowić jej spojrzenie, kiedy chroniło ją towarzystwo innych, przesyłał jej słodki, sadystyczny uśmiech. Kiedy mu uciekła podczas dnia, przychodził do niej w nocy, zaczęła więc sypiać w kryjówkach poza obozem. Im lepsza się stawała w unikaniu go, tym większą przyjemność zdawał się czerpać z tropienia jej; im zacieklej walczyła, tym częściej wracał.

Często, miażdżąc jej gardło w uchwycie mocnym jak imadło, przesuwał po jej policzku płazem noża, chełpiąc się tym, co potrafił zrobić. Przyciągał jej głowę do siebie, tak że nie mogła unikać go wzrokiem, i śmiał się.

- Nigdy nie będziesz tak silna i szybka jak ja, Essa - szydził. - Nie zdołasz mi uciec.

Nie wiedziała, ile miał lat, jak długo już walczył za pieniądze ani czy jego sadyzm był następstwem zawodu, jaki sobie wybrał. Opowiadał o próbach przewrotów, morderstwach i przemocy. W to, że był zabójcą, nie wątpiła, ale w całą resztę tak.

Chwile oddechu miała wtedy, gdy wyprawiali się do Kribi lub Douali po zapasy lub kiedy wykonywali dostawy. Do Kribi podróżowali wodą, wykorzystując trawler Francisca, a nie szybsze motorowe łodzie, które zostawiali w kryjówkach. Podczas dostaw, kiedy przez dwa lub trzy dni jechali lub wędrowali przez dżunglę jakimś trudno dostępnymi, grząskimi ścieżkami, pozostawiał ją w spokoju, żeby mogła wykonać swoją robotę, ale gdy było już po wszystkim, jej udreka zaczynała się od nowa.

Wiedząc, że ucieczka jest niemożliwa, utrzymywała się przy życiu dzięki myślom o zemście, a kłótnia między Franciskiem i Pieterem, którą teraz podsłuchiwała, dała jej nadzieję. Jeśli się ze sobą nie zgadzają, to może Pieter odejdzie.

Ale kiedy o tym pomyślała, gardło jej się tak ścisnęło, że z trudem łapała oddech.

Nie było wykluczone, że w takiej sytuacji Pieter zmusi ją, by z nim poszła. Ręce zaczęły jej się trząść, a w głowie zapanował zamęt. Była dla niego bezwartościowa. Gdyby to było mu na rękę, z taką samą obojętnością wyrzuciłby ją za burtę, jak zgwałcił. Ale ogromnie dużo znaczyła dla Francisca i choćby jemu na złość Pieter wyciągnie ją z obozu. Kiedy o tym rozmyślała, kłótnia zmieniła się w pyskówkę.

A potem Pieter wypadł z szalasu Francisca i ruszył w stronę namorzynowych moczarów, gdzie były ich łodzie. Zapadała ciemność, wiatr wiał coraz silniej i grzmoty huczały bliżej niż poprzednio; burza była już niedaleko.

Nie przemyślała tego; po prostu działała. Wróciła szybko do swojego łóżka po schowany tam pistolet na naboje usypiające, dla którego nikt nie znalazł żadnego zastosowania i który Jean Noel pozwolił jej zatrzymać. Znała wszystkie ścieżki równie dobrze jak Pieter, jeśli nie lepiej, i idąc boso po mulistej ziemi, podążyla za nim, śledząc go z daleka, czujna, wypatrując nie tylko swojego prześladowcy, ale i innych zagrożeń. Brakowało tylko, żeby nadepnęła na mambę lub na jakieś inne jadowite stworzenie, od których roilo się na tych wilgotnych nizinach. Musiała oddać idealny strzał, ale nie mogła się za nadto zbliżyć; on był szybszy i silniejszy, i gdyby chybiła, zabiłby ją w mgnieniu oka.

Odwrócony do niej plecami odwiązywał swoją łódź. Doszła do wniosku, że jeśli planuje odpłynąć w taką pogodę, będzie zaabsorbowany przygotowaniami, by odbić jak najszybciej, zaryzykowała więc skrócenie odległości. Podkrađła się tak blisko, że dobrze go widziała. Wycelowała. Strzeliła.

Wystrzał, podobnie jak zbliżające się grzmoty piorunów, zakłócił ciszę dżungli.

Strzałka trafiła Pietera między łopatki. Zatoczył się i osunął na kolana. Kiedy była już pewna, że środek zaczął działać, podsunęła się bliżej, na wszelki wypadek wystrzeliła drugi raz, a potem stanęła nad nim okrakiem. Wydobyła nóż i zawahała się; w głowie huczały jej słowa Starego Testamentu, *Nie będziesz zabijał.*

Uklękła na jego plecach, odciągnęła mu głowę do tyłu i poderżnęła gardło. Z przeciętych arterii niczym z zepsutej fontanny trysnęła krew i zachlapała ją. Patrzyła, jak się wykrwawia, niczego nie czując, a potem puściła jego głowę, która opadła na ziemię. Stanęła nad nim i wyszeptala: - *A dalej widziałem pod słońcem, że to nie chyżym bieg się udaje i nie waleczni w walce zwyciężają. Bo czas i przypadek rządzi wszystkim.*

Nie mogła zostawić go na ścieżce; lepiej było wciągnąć ciało do dżungli, gdzie pożra je zwierzęta. Podeszła do łodzi i sprawdziła zapas paliwa. Z zadowoleniem stwierdziła, że starczy go na drogę do Douali, jeśli tylko opróżni wszystkie kanistry. Uruchomiła silnik i popłynęła w górę rzeki. Po odejściu Pietera Willema nikt nie będzie szukać jego łodzi.

Zaczął padać deszcz. Na początku były to rzadkie, duże krople wody, ale ulewa szybko przybierała na sile i w końcu jej potoki siekły tak mocno, że aż kłuły. Zanim podkraśla się z powrotem do obozu, ciemność całkowicie okryła dżunglę, a ona ociekała woda. Nie miała na sobie ani śladu krwi; deszcz zmył z niej wszystkie dowody. Zdjęła mokre ubranie i wśliznęła się pod moskitierę do swojego łóżka, w którym zwinęła się do pozycji embrionalnej i rozszłochała się.

Kiedy Munroe w końcu wstała i zeszła z dachu, pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo do odcieni fioletu, a krzątania na ulicach miasta była znakiem, że dzień się już rozpoczął. Wewnętrzne głosy były teraz tylko szeptami; osłabły po całonocnych wrzaskach.

Ile to ustępów z Biblii kłębiło się w jej głowie? Straciła rachubę. Musiała podziękować ojcu - oczywiście - za każdy z tych wersetów, które w niej kipiały i co jakiś czas krystalizowały się w świadomości. O j c i e c .

Kiedyś patrzyła na niego z podziwem, szukała w nim inspiracji, może kochała go i zawsze pragnęła jego aprobaty, zapewne dlatego, że wyrażał ją nader oszczędnie. W tych rzadkich sytuacjach, gdy był przy niej, zdawał się przede wszystkim interesować Biblią, studiowała więc ją, zapamiętywała fragmenty jak małpa katarzyniarza i recytowała, żeby zwrócić na siebie jego uwagę i zasłużyć na pochwałę. Matka, która popadła w alkoholizm, nie była wiele lepsza.

Życie w Afryce toczy się ospale, powiedziała jej kiedyś matka, dni mijają jak wolno obracający się wentylator, który

miesza gorące, stęchłe powietrze; czas traci wszelkie znaczenie. Trudność egzystencji pogłębia jeszcze niedostatek wszelkich udogodnień, wygod i publicznej infrastruktury.

Chociaż nie wiedziała o sobie wszystkiego, jednego była pewna: jej będący już w średnim wieku rodzice nie spodziewali się jeszcze jednego dziecka, kiedy wyruszyli jako misjonarze do Kamerunu, i jeśli kogokolwiek można nazwać owocem wpadki, ona nim była na pewno.

I tak rosła, nieokiełznana, z miejscowymi dziećmi jako towarzyszami zabaw na gruntowych drogach, które przebiegały przez małe, przycupnięte na zboczu wzgórza miasteczko. Biegała z innymi, rozwydrzona i bosa, kopiąc sflaczała piłkę w kierunku wyimaginowanych bramek i uskakując z drogi przejeżdżającym sporadycznie samochodom ciężarowym lub wspólnym taksówkom³. Nosila wodę ze strumyka z przyjaciółmi i nauczyła się ucierać bulwy manioku i gotować uzyskaną tak pastę w wielkich, aluminiowych garnkach na ogniskach za ich domami. Znała wszystkie miejscowe rośliny, które uchodziły za warzywa, i czasem sprzedawała owoce na lokalnym targu. Mówiła ich językiem i rozumiała zwyczaje.

W przeciwieństwie do innych w jej domu była klimatyzacja, duża lodówka, służąca oraz kucharka. Jej ojciec miał do dyspozycji kierowcę, a o ogród dbał ogrodnik, starający się przede wszystkim powstrzymać agresywną tropikalną roślinność, która próbowała wdrzeć się na zabrany jej teren. Trwało to do trzynastego roku życia Munroe, kiedy jej rodzice, w krańcowym akcie udawanej troski, wysłali ją do Douali, by tam uczyła się w amerykańskiej szkole. Była to dostosowana do miejscowych warunków wersja szkoły z internatem, w której jadło się oraz spędzało noce u przyjaciół rodziny. I to właśnie tam, początkowo za plecami rodziców, a później jak najbardziej otwarcie, zaczęła się włóczyć samopas; biblijne wersety były

wszystkim, co wyniosła z domu, puste słowa, za którymi kryło się porzucenie przez rodziców, bardziej zainteresowanych ratowaniem zagubionych dusz niż własnej córki.

Munroe westchnęła, mijając pokój Bradforda. Drzwi były otwarte i chociaż go nie dostrzegła, wiedziała, że jej wyprawa na dach nie była dla niego tajemnicą. Całkiem możliwe, że spędził tyle samo bezsennych godzin, pilnując prowadzących tam schodów. Nie zawracała sobie głowy ukrywaniem, że wraca do pokoju; otworzyła po prostu drzwi i skierowała się pod prysznic.

Rozdział 7

Zapanował między nimi kruchy rozejm. Bradford, towarzysząc Munroe w jej wędrówkach po mieście, przez większość czasu milczał. Może w ten sposób dawał jej swobodę, choć bardziej wyglądało to na urazę. Jeśli miała się doczekać rewanzu, była pewna, że nastąpi to po zakończeniu poszukiwań Emily, i dlatego, próbując naprawić ich stosunki i chociaż częściowo przywrócić panujące poprzednio pomiędzy nimi zrozumienie, wręczyła mu podczas lunchu bilet do Malabo.

- To tam teraz polecimy - powiedziała. - Wyspa Bioko, Gwinea Równikowa.

Bradford wziął książeczkę i przekartkował ją.

- Byłeś tam kiedyś?- zapytała.

Położył bilet na stole i z półuśmiechem odrzekł: - Nie. Ale to właśnie tam Titan ma swoje szyby naftowe.

Munroe milczała przez chwilę, po czym powiedziała: - To dziwne, że nie wspomniano o tym w żadnym z raportów.

- Czy to jakiś problem?

- Nie wiem. - Przeczesła palcami włosy, a potem złożyła dłonie i wsparła na nich podbródek. - Wydaje się to dość dziwnym zbiegiem okoliczności.

Oderwał wzrok od leżącego na stole biletu i spojrzał jej w oczy.

- Co masz na myśli?

- Podejrzewam, że Emily zaginęła gdzieś przy granicy Gwinei Równikowej.

Bradford wziął głęboki wdech i wypuścił wolno powietrze z płuc. Wyprostował się na krześle, umilkł na chwilę, po czym pochylił się ku niej.

- Znam zasady i nie kwestionuję twojej oceny sytuacji, ale mam pytania.

Pokiwała głową.

Znowu milczał przez chwilę, patrząc w dół, a potem uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Byłem tam, Michael, byłem członkiem zespołu. Czytałem raporty, rozmawiałem z ludźmi, którzy widzieli ją przed zaginięciem. Skąd ten skok z Namibii do Gwinei Równikowej? Na czym się opierasz?

- Mam informacje, których nie mieli inni... na przykład kopię paszportu Kristofa Bergera. Poza tym dorastałam w tym rejonie świata, spędziłam kilka lat w Gwinei Równikowej, Gabonie, Kongu i DR Konga⁴, która wtedy nazywała się Zair, więc znam historię i legendy lepiej niż większość ludzi.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - mruknął.

- Jak dobrze orientujesz się w lokalnej historii i polityce?

- Richard powiedział mi o Kamerunie i Gabonie, więc się trochę przygotowałem. Niezbyt gruntownie, ale trochę. Nie wspomniał o Gwinei Równikowej.

- Jako Amerykanin nie potrzebujesz wizy, żeby wjechać do Gwinei Równikowej, nie mówiłam więc o tym. To dziwny i paranoiczny kraik... każdy stąd, kto tam żył, powie ci to samo. Czytałeś *Psy wojny* Frederica Forsytha?

- Słyszałem o tej książce, ale nigdy jej nie przeczytałem. Czy powinienem ją włączyć do moich przygotowań?

Uśmiechnęła się krzywo.

- To fikcja, Miles, chyba że wierzysz w pogłoski. Forsyth opowiada o grupie najemników, których wynajęto do przejęcia władzy w małym kraju, kiedy ludzie wielkiego biznesu uświadomili sobie, że jest to tańsze od płacenia za prawa do wydobycia minerałów.

Pokiwał głową z uznaniem dla pomysłu i przesunął palcem po brzegu swojej szklanki.

- Forsyth był w Malabo, kiedy pisał tę powieść. Nie wiadomo, jak wpadł na jej pomysł. Książka, ma się rozumieć, jest zakazana w GR, chociaż to nie ma żadnego sensu. To

reszta świata stanowi zagrożenie. - Podniosła szklanę, wypła łyk i kontynuowała: - Kilka lat temu grupie najemników niemal udało się zamienić tę powieść w rzeczywistość. Zapuszkowano ich, kiedy kupowali broń w Zimbabwie.

- Przypominam sobie - powiedział. - Cóż to było za fiasko. Czy to nie syn Margaret Thatcher przyznał się do finansowania tego spisku?

- Dokładnie tak - odrzekła. - Od tego czasu Gwinea Równikowa zatrudnia żołnierzy z Angoli dla ochrony, a ostatnio słyszałam, że Izraelczycy szkolą marokańską gwardię prezydencką, co nie jest zbyt zaskakujące, gdyż od ponad dziesięciu lat szkolą też wojska w Kamerunie. Paranoja. Ale odeszłam od tematu.

- Rozumiem, co miałaś na myśli, mówiąc o paszporcie Kristofa - powiedział. - Pieczętki wiz, prawda?

-Tak.

- Ale co lokalna historia ma wspólnego z tym wszystkim?

- Historia Gwinei Równikowej w pigułce - odparła i zachichotała. - Musimy się trochę cofnąć w czasie. Jesteś gotowy?

Skinął głową.

- W roku 1969, krótko po tym gdy Gwinea Równikowa uzyskała niepodległość od Hiszpanii, prezydent Macias Nguema ogłosił, że nowemu rządowi przekazano państwo praktycznie bez żadnych rezerw walutowych. To był początek lub też przyczyna stopniowego pogarszania się stosunków ze światem Zachodu, z czego ostatecznie narodziło się określenie „Auschwitz Afryki”.

Przerwała.

- Mów dalej - zachęcił ją Bradford.

- W roku 1979 obecny prezydent, Teodoro Obiang, przeprowadził prawie bezkrwawy wojskowy zamach stanu przeciwko swojemu wujowi, i w tym momencie lokalna historia rozdziela się, a opis wydarzeń, które nastąpiły potem,

zależy od tego, kogo pytasz: zanim Nguemę wytropiono i zabito, zdążył zabrać to, co pozostało z rezerw państwowych, przypuszczalnie około pięciu milionów dolarów, i zakopać je pod szopą przy swoim domu w rodzinnej wsi. Kiedy to wykopano, okazało się, że większość banknotów uległa rozkładowi. Utrzymał, że zrobił to, by ochronić pieniądze przed złodziejami. Nie mogę powiedzieć, że to prawda i tylko prawda, ponieważ ta historia ulega lekkim zmianom w zależności od tego, kto ją opowiada. A także dlatego - dodała, wzruszając ramionami - że poznaliśmy ją dzięki tym samym ludziom, którzy mówią, iż Obiang zarabiał swojego wuja maczetą, kiedy go schwytał, natomiast według oficjalnej wersji Macias został rozstrzelany miesiąc później przez marokańskich najemników. Jestem skłonna wierzyć, że tak właśnie się stało.

- A to dlaczego?

- Ponieważ Macias Nguema udawał boga i rządził jak bóg. Miejscowi wierzą, że pił krew swoich ofiar, by przejąć ich moc. Istnieje wystarczająco dużo niezle udokumentowanych relacji o zabójstwach, torturach i łamaniu praw człowieka, by uznać te pogłoski za do pewnego stopnia wiarygodne. W każdym razie, z powodu otaczającego go muru przesądów, wątpię, czy któryś z jego ludzi odważyłby się go zabić... nawet Obiang, o którym, pozwolę sobie dodać, państwowe radio mówi, że może zabijać bezkarnie, ponieważ codziennie rozmawia z Bogiem.

Zamyślony Bradford milczał przez chwilę.

- A zatem tradycja ludowa oraz lokalna historia mówią, że Nguema zakopał przed śmiercią rezerwy walutowe kraju. I to wiąże się z zaginięciem Emily, bo...?

- W związku z tym nasuwa się kolejne pytanie. Jak dobrze znasz odpisy z rozmów z Kristofem?

- Niezbyt dobrze.

- Było tam zdanie, które kilka razy powtórzył pytającym, a także mi, kiedy go odwiedziłam: „Poszliśmy tam, gdzie

zakopano pieniądze”. Samo w sobie nie ma większego sensu, ale jeśli powiązać je z historią Gwinei Równikowej i pieczętkami w jego paszporcie... - Postukała placem w stół. - Wskazuje na ten kraj.

Bradford potarł dłonią powieki i zrobił głęboki wdech.

- Widzę, do czego zmierzasz. Ale skąd Kristof znał legendę i dlaczego miałoby to być jedyną sprawą, o której powiedział zarówno detektywom, jak i tobie?

- Tego nie wiem.

Odchylił się do tyłu tak bardzo, że przednie nogi krzesła oderwały się od podłogi, i podłożywszy splecione ręce pod głowę, wbił wzrok w sufit. Po chwili zadumy wyprostował się, tak że krzesło znowu stanęło czterema nogami na podłodze.

- Gdzie jest ta wieś Nguemy?

- To Nsangayong. Leży na wschodnim skraju kontynentalnej części państwa, kilka mil od granicy z Gabonem.

- I myślisz, że to właśnie tam oni zaginęli? - Bardzo w to wątpię.

Miles zmrużył oczy i zacisnął usta. Położył ręce płasko na stole i Munroe przyszło do głowy, że może się szykuje, by ją udusić. Pokręcił lekko głową, otworzył usta, by coś powiedzieć, po czym je zamknął. W końcu zapytał: - Jeśli nie tam, gdzie zakopano pieniądze, to gdzie?

- Tam, gdzie większość ludzi szukałaby zakopanych pieniędzy. Nsangayong jest małą, niczym niewyróżniającą się wioską, której nie widać nawet na dobrych mapach. Ja stawiam na Mongomo, wieś obecnego prezydenta, która jest o wiele większa. Leży tylko o kilka mil na północ od Nsangayong i większość ludzi myśli, że Macias Nguema tam właśnie się urodził.

Bradford podniósł bilet i przekartkował jego sztywne strony.

- My lecimy do Malabo... na wyspie. To jakby trochę z drogi.

Uśmiechnęła się.

- Tak i nie. Do kontynentalnej części kraju możemy się stąd dostać tylko drogą morską lub lądową, tyle że w obu wypadkach nie ma żadnej formy regularnego transportu, byłaby więc to męcząca podróż, obojętnie, jak na to popatrzysz... z Malabo natomiast możemy złapać jakiś lokalny lot. Poza tym każdy, kto cokolwiek znaczy w tym kraju, spędza większość czasu w Malabo, i to właśnie tam ulokowane są wszystkie organy administracji rządowej. Przed wyprawą na kontynentalne zadupie chciałabym zawrzeć znajomość z kilkoma ważnymi ludźmi, na których mogłabym się potem powoływać.

Bradford skinął na kelnera i zamówił jeszcze jednego drinka. Następnie popatrzył na Munroe i pokiwał głową z uznaniem.

- A więc wszystkie strzałki wskazują w tamtym kierunku. Niezły wynik jak na tydzień pracy.

- To pomaga, jeśli się zna kraj i jego historię - odpowiedziała, a potem zapytała: - Miles, jesteś żonaty?

W pierwszej chwili się zaśmiał, ale uświadomiwszy sobie, że mówiła serio, przestał.

- Dwukrotnie rozwiedziony, ale drugie małżeństwo trwało tylko osiem miesięcy, więc nie powinno się go liczyć. Podrywasz mnie?

Uśmiechnęła się nieco złośliwie.

- Jeśli postanowię cię poderwać, ani przez chwilę nie będziesz miał co do tego wątpliwości. Ale tak zupełnie poważnie, Miles, jeśli masz w życiu kogoś, kto jest dla ciebie ważny, zadzwoń do niego, zanim wyjedziemy. - Pochyliła się ku niemu z wyrazem powagi na twarzy. - Wiem, że wyszedłeś bez szwanku z różnych niebezpiecznych sytuacji w różnych niespokojnych miejscach, ale wiem również, że z takim

bagażem doświadczeń, jaki zdobyłeś, łatwo jest uwierzyć, że jeden rządzony przez despotę kraj jest podobny do drugiego. W większości takich miejsc miałbyś rację. Ale Gwinea Równikowa jest inna. Może to lata rządów komunistycznych, może dlatego, że jest taka mała i tak łatwa do kontrolowania, z pewnością część z tego jest konsekwencją nieudanych zamachów stanu, ale nie jestem zdolna nawet w przybliżeniu opisać poziomu podejrzliwości i paranoi, jakie panują w tym kraju, ani zakresu władzy, jaką prezydent i jego kołesie będą mieli nad tobą, kiedy znajdziesz się w granicach ich państwa.

Będziemy zadawać pytania ludziom - mówiła dalej - którzy pytania interpretują jako obrażę i wyzwanie dla swojej władzy. Jeśli cokolwiek z tego, co powiemy lub zrobimy, wzbudzi gniew rządu, jest więcej niż prawdopodobne, że dołączymy do długiej listy „zaginionych”. Wiesz równie dobrze jak ja, że zwracanie się o pomoc do naszego rządu będzie bezcelowe. Jeśli pamiętasz to ostatnie fiasko w Zimbabwie, pewnie wiesz również, że w Gwinei Równikowej był już oddział gotowy do akcji, i każda osoba podejrzana o bycie najemnikiem lub o powiązanie ze spiskowcami, winna lub nie, gnije właśnie w więzieniu lub dołączyła do dziennikarzy i politycznych oponentów przed frontem plutonu egzekucyjnego. Z nami nie byłoby wcale inaczej.

- Dzięki za ostrzeżenie - odpowiedział, a potem z kpiącym uśmiechem dodał: - Nie może być tak zupełnie źle. Na pewno masz przynajmniej jedną dobrą historię do opowiedzenia.

Rzuciła mu uśmiech.

- Kilkaset mil na północ, w Nigerii, wydobywa się wysokogatunkową, słodką ropę, a na południu jest Gabon, kolejny producent ropy. W swoim czasie wydobywano ją także w Kamerunie, a Gwinea Równikowa, komunistyczna i straszliwie biedna, zdołała kupić rakiety krótkiego zasięgu. - Zatoczyła szklanką szeroki łuk. - Nie trzeba dodawać, że kiedy szalencie stojący u steru tego małego kraju dostał w swoje

ręce prywatny arsenał głowic bojowych, sąsiedzi nie byli zachwyceni. Takie jest piękno ropy naftowej. Stany Zjednoczone interweniowały, naciskając na sprzedawców, żeby odebrali swoje rakiety. Naturalnie prezydent Gwinei Równikowej odmówił. Sprzedawcy powiedzieli mu zatem, że kończy się termin ważności głowic i jeśli nie zostaną zresetowane, to wybuchną.

- No i co zrobili, kiedy nie wybuchły?

- Prezydent był na tyle bystry, że zwrócił pociski przed upływem terminu ważności, i to w zasadzie zakończyło sprawę.

Miles roześmiał się i wypił resztę swojego drinka.

- Chyba nie powiesz mi, że to prawdziwa historia.

Wzruszyła ramionami.

- Słyszałam ją od miejscowych, ale kto wie? - Wybiła dłońmi werbel na stole, po czym wstała. - Nie bierzesz żadnych środków profilaktycznych, prawda?

Pokręcił głową.

- Tak myślałam. Miałaś kiedyś malarię?

- Dengę, dwa razy.

- Tam, dokąd się wybieramy, malaria jest szczególnie zabójcza. - Podała mu małe pudełeczko. - Jeśli dostaniesz gorączki, zacznij łykać te pigułki. Dzięki nim przeżyjesz do czasu, aż trafisz pod opiekę lekarzy.

W sytuacji, gdy spacer mógł tylko przyspieszyć proces aklimatyzacji, wzywanie taksówki nie miało sensu, i dlatego Munroe nalegała, żeby do hotelu wrócili pieszo. Szli w milczeniu wśród przechodniów kłębiących się na chodnikach i pokonali już niemal połowę drogi, gdy zauważyli witrynę sklepową, na której była reklama usług telefonicznych. Munroe zatrzymała się, po czym, z Bradfordem podążającym za nią, weszła przez wahadłowe drzwi.

- Potrzebuję chwili prywatności - powiedziała do Bradforda, który skinął głową, cofnął się na chodnik i stanął

ze skrzyżowanymi na piersi rękami, oparty o futrynę drzwi.

Wnętrze było wąskie, oddzielone od sklepu z odzieżą, który zajmował większość przestrzeni. Od frontu stała lada, za którą ciągnął się korytarz łączący cztery malutkie kabiny z preszpanu.

Jak setki podobnych interesów, którymi było usiane miasto, punkt ten zaspokajał popyt wytworzony przez państwowe przedsiębiorstwo komunikacyjne, potrzebujące tygodni, jeśli nie miesięcy na założenie telefonu i żądające depozytu wysokości średnich rocznych zarobków za linię z dostępem do łącz międzynarodowych.

Munroe wybrała kabinę najdalej od frontu i zadzwoniła z niej do Kate Breeden. Ignorując echo odbijające z powrotem jej słowa, opisała pokrótce Breeden swoje dotychczasowe wyniki i podała powody, dla których zamierzała udać się do Gwinei Równikowej.

- Czy Burbank wie, dokąd teraz zmierzasz? - zapytała Breeden.

- Rozmawiałam z nim przed wyjazdem z Europy. Wie, że jestem w Kamerunie. Przysłał mi opiekuna, więc jestem pewna, że jest dobrze poinformowany. Kiedy będę miała coś konkretnego, dam mu znać, ale dopóki to się nie stanie, rozmowa z nim byłaby stratą czasu dla nas obojga.

Zadzwoniła głównie po to, by ustalić metodę kontaktu: uzgodniły, że w trakcie pobytu w Gwinei Równikowej będzie się odzywać raz w tygodniu. Jeden opuszczony kontakt i Breeden powinna założyć, że coś poszło źle - tylko w taki sposób będzie się mogła o tym dowiedzieć. Kate miała testament Munroe i jej ostatnie instrukcje; wiedziała, co zrobić.

Rozmowa trwała sześć minut, a kobieta, która prowadziła punkt, policzyła za dziewięć. Munroe położyła na ladzie zapłatę za siedem i uniosła rękę, pokazując zegarek.

- Mierzyłam czas.

- Czy nie wiesz - odparła kobieta - że w Ameryce czas jest inny?

- Każda minuta w Stanach ma sześćdziesiąt sekund - powiedziała Munroe - tak jak tu, w Kamerunie. - A potem, przechodząc na plemienny język kobiety, dodała: - Masz swoje pieniądze.

Kiedy znalazła się na ulicy, Bradford zapytał ją: - Iloma językami mówisz?

- To jest w moich aktach - odrzekła sucho.

- Tak, wiem - powiedział z uśmiechem. - Ale tylko jako liczba szacunkowa.

- Dwudziestu dwoma.

Zagwizdał cicho.

- Czy to jakiś światowy rekord?

- Jeszcze czterdzieści i może bym się zbliżyła - odparła. - Czasem dialekty się liczą, a czasem nie.

- Jak ty to robisz? Chodzi mi o to, że oprócz arabskiego, jedyne poza angielskim, jakim mówię, męczę się z każdym innym, próbując złożyć choćby najprostsze zdania. Jak ci się udaje władać tak wieloma? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nauka języków przychodziła mi łatwo, odkąd pamiętam. Błogosławione przekleństwo lub zatruty dar... jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Nie, nie bardzo.

Odwróciła się do niego.

- Nigdy nie było takiego czasu, kiedy nie rozumiałam tego, co wokół mnie mówiono. W wieku sześciu lat znałam angielski, mokspe, plemienny język mojej niani, ibo naszego urodzonego w Nigerii kierowcy, fang kucharki i ogrodnika, i francuski, urzędowy język kraju. A potem zabrałam się do dialektów i miejscowi zaczęli patrzeć na mnie podejrzliwie. Mówili, że jestem małą czarownicą, ponieważ znam rzeczy, których nie powinnam znać... bali się juju.

- Juju?

- Czarów, mocy... zabobony są mocno zakorzenione w tej kulturze. Byłam mała, tak naprawdę nie myślałam o tym zbyt wiele - jak powiedziałam, nauka języków zawsze przychodziła mi łatwo - i spędzałam tyle czasu z miejscowymi, że to wszystko miało jakiś sens. Ale potem, kiedy byłam już nastolatką, przeniosłam się do Douali i trafiłam do szerszego kręgu społecznego. W ciągu kilku miesięcy dodałam do repertuaru grecki i arabski i wtedy uświadomiłam sobie, że jestem inna.

- Jestem zdumiony, że nie wylądowałaś w NSA, CIA albo w jakiejś innej z tych alfabetycznych organizacji.

- Zauważyłam, że tego także nie było w mojej teczce.

- Czego?

- Prób rekrutacji i propozycji pracy.

- Zakładam, że je odrzuciłaś.

Zaśmiała się sarkastycznie.

- Nie płacą aż tak dobrze.

- Hej - powiedział - a gdzie twój patriotyzm?

Zamyśliła się nad tym pytaniem, obracając je w głowie, a potem szepnęła: - Patriotyzm? - Popatrzyła na niego. - Ile lat spędziłeś w siłach zbrojnych, Miles?

- Wydawało mi się, jakby to było pół życia.

Pokiwała głową.

- Każdy, kto służy, zasługuje na podziękowania i odznaczenia, a już ty z pewnością na to zasłużyłeś. - Umilkła na chwilę. - Wysoko cenię patriotyzm, ale to wszystko - podjęła. - Nie jestem taka jak większość ludzi. Nie darzę przywiązaniem ani miłością żadnego konkretnego kraju... gdyby tak było, czułabym, że gdzieś przynależę, że tam jest moje miejsce. - Popatrzyła mu w oczy, szukając oznaki, że ją rozumie, po czym dodała: - Patrioci bronią swojej ojczyzny, Miles. A gdzie jest mój dom?

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jesteś Amerykanką.

- Czyżby? - zapytała. - Co czyni mnie Amerykanką? To, że noszę amerykański paszport?

- Cóż, po części tak. A także to, że twoja rodzina pochodzi z Ameryki.

- Ale czyja też z niej pochodzę? - Westchnęła. - Urodziłam się tutaj, w Kamerunie. Niemal osiemnaście lat przeżyłam tutaj i w okolicznych krajach, ale nie jestem Kamerunką. Rozumiem język i turecką kulturę lepiej niż amerykańską. Ale nie jestem Turczynką. Mam paszporty z trzech krajów, żyłam w trzynastu i mówię dwudziestoma dwoma językami. Wobec którego z krajów - zapytała - mam żywić patriotyczne uczucia? Do którego przynależę?

- Z którym identyfikujesz się najczęściej?

Popatrzyła na niego.

- Z żadnym - odpowiedziała, a potem, żałując, że powiedziała o sobie tak dużo, zmieniła temat. - Do nikogo nie zadzwoniłeś, kiedy byliśmy w tym punkcie telefonicznym.

- Nie wyciągaj z tego zbyt daleko idących wniosków - rzekł.
- Ludzie ważni w moim życiu wiedzą, że to, co robię, może być niebezpieczne. Pożegnałem się z wszystkimi, zanim przyjąłem to zadanie.

- Czy przyjmując je, wiedziałeś, w co się ładujesz?

Kącki jego ust uniosły się lekko w odpowiedzi.

Rozdział 8

Przesyłka od Boniface Akambe dotarła do hotelu po pięciu dniach pod postacią małej, brązowej koperty, którą zapukawszy do drzwi Munroe, dostarczył jego najstarszy syn. Podczas gdy nastolatek siedział w milczeniu na krześle przy łóżku, Munroe porównywała oryginał z podróbkami, oglądając je najpierw pod światło, a potem muskając czubkami palców swoją i Bradforda podobiznę. Usatysfakcjonowana dała młodemu posłańcowi napiwek i odesłała go. A potem, siedząc samotnie na łóżku z łokciami wspartymi na kolanach, postukała przesyłką o kłykcie. Dokumenty były zaproszeniem wzywającym przeszłość do powrotu. Zaciśnęła dłoń na kopercie. Pieprzyć to. To był krok zbliżający ją do Emily Burbank i pięciu milionów dolarów, i być może całkowitego uwolnienia się od szaleństwa w głowie.

Wstała z łóżka i przeszła przez korytarz. Minawszy Bradforda, który otworzył drzwi, zanim do nich zapukała, weszła do jego pokoju.

- Malabo czeka na nas - oświadczyła. Usiadła na łóżku i obok notatnika, który Bradford ostatnio wszędzie ze sobą nosił, rozłożyła cztery dokumenty. - Twoje karty stałego pobytu w Kamerunie i Gwinei Równikowej.

Bradford schował swój notatnik w plecaku, a potem obejrzał dokładnie pokrytą tanim laminatem kartę stałego pobytu w Gwinei.

- To wygląda na zrobione domowym sposobem.

- Zapewne - odparła - tak jak i prawdziwe. - Zawahała się.

- Posłuchaj, Miles, wiem, że niebezpieczeństwa nie są ci obce, no i naprawdę nie chcę obrażać twojej inteligencji. Zaufaj mi.

Wciąż patrząc na dokumenty, odparł: - Będę słuchał twoich rozkazów.

- Możesz nie potrzebować kameruńskich papierów. Jednak w Gwinei Równikowej będziesz musiał regularnie pokazywać dokumenty, a policja i wojsko często je konfiskuje dla okupu. Lepiej, żeby ci zabrali te niż twój paszport... cokolwiek się będzie działo, nie dawaj im paszportu. Na kartach stałego pobytu figurujesz jako dyplomata, jeśli więc będziesz musiał się wylegitymować, powinny uchronić cię przed zawleczeniem na posterunek policji.

Bradford położył karty z powrotem na łóżku i z żartobliwym uśmiechem zapytał: - A jeśli zażądata, żebym pokazał im paszport, albo i tak zawloką mnie na posterunek?

- Cóż - odparła i westchnęła przesadnie - ponieważ twoje zadanie polega na tym, że masz się trzymać przy mnie, wątpię, żebyś się znalazł w sytuacji, z której nie zdołam cię wyciągnąć właściwymi argumentami. - Uśmiechnęła się. - Jeśli jednak mimo wszystko zdołasz doprowadzić do tego, że cię wsadzą do pudła, to sam będziesz musiał wykombinować, jak się z niego wydostać.

- Wielkie dzięki - powiedział i mrugnął do niej.

Wstała.

- Szkoda, że cię zatrudnili, byś był mi wrzodem na tyłku, Miles. W innych okolicznościach mogłabym cię polubić.

- To się nie liczy jako flirtowanie, prawda?

- Nie - odparła. Podeszła do drzwi i zanim je zamknęła za sobą, odwróciła się, żeby na niego popatrzeć. Może w innych okolicznościach.

Planowo samolot miał wystartować za trzydzieści minut, ale odprawa pasażerów nawet według afrykańskich standardów wlokła się niemiłosiernie. Bradford zerknął ukradkiem na zegarek, tak jak to robił wielokrotnie w ciągu ostatniej godziny. Munroe dotknęła jego dłoni.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała uspokajająco.

Na początku kolejki dwie kobiety targowały się z personelem linii lotniczej o wagę i wielkość dozwolonego

bagażu. Ze stojącego obok nich tekturowego pudła, owiązanego sznurkiem i oklejonego taśmą, wyciekała na betonową podłogę jakaś lepka substancja, a gdakanie dobiegające z zamkniętej na suwak torby sugerowało, że oprócz widocznych przez jej półprzezroczyste ściany najróżniejszych jarzyn były w niej żywe kurczaki.

Bradford wyciągnął z plecaka notes i nagryzmolił w nim pośpiesznie kilka nieczytelnych zdań, dodając je do tych, które pisał od czasu, gdy przybyli do Kamerunu. Munroe przekrzywiła głowę, próbując zajrzeć mu przez ramię. Mrugnął do niej, a potem rozmyślnie się odwrócił, żeby zasłonić stronę. Jedną linijkę i pół minuty później zamknął notatnik i schował go do plecaka.

Samolot miejscowej linii wystartował z Douali z dwugodzinnym opóźnieniem, bez żadnych przeprosin skierowanych do pasażerów, którzy zresztą ich nie oczekiwali. Gdy ruszyła klimatyzacja, usuwając odór czosnku, dziczyzny i ludzkich ciał upakowanych zbyt ciasno, poczuli ulgę.

Widziane z góry Malabo było biało-czerwonym pasem zaznaczającym część linii brzegowej, wyrwą w ciemnozielonym dywanie, który poza tym graniczył z morzem i wznosił się ku górą, a piętnastominutowy lot wydawał się kpina w porównaniu z poprzedzającą go trzygodziną udręką.

Na ziemi wszystko świadczyło o zachodzących zmianach. W miejscu porośniętym poprzednio bujną roślinnością, gdzie na opuszczonym pasie startowym trzymał straż wypalony wrak samolotu, hangary oraz nowo wybudowane budynki tętniły życiem i pracą.

Paszporty podbito im bez żadnych pytań. Celniczki przeszukały metodycznie ich bagaże pod okiem żołnierzy, którzy mieli mundury mniej obszarpane, niż Munroe pamiętała z dawnych dni, i bardziej wyrafinowaną broń.

Na zewnątrz, podczas gdy taksówkarze głośno starali się przyciągnąć ich spojrzenia, uwagę Munroe przykuł nagle

mężczyzna, którego dostrzegła na granicy swojego pola widzenia.

Stał blisko drzwi terminalu, opierając się jedną nogą o ścianę. Między palcami miał zgasłego papierosa, a na ziemi u jego stóp wały się niedopałki z niemal całej paczki. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, odwrócił wzrok. Wsiadła do taksówki i jeszcze raz odwróciła się w stronę budynku, ale mężczyzny już tam nie było.

Taksówka przyspieszyła i przez otwarte okna powiało gorące powietrze. Do miasta było mniej więcej dwa kilometry. Na pasie zieleni rozdzielającym jezdnie dobrze wyasfaltowanej drogi stały uliczne lampy, a po obu jej stronach widać było magazyny, składy kontenerów i budynki różnych przedsiębiorstw, wszystkie nowe i ładnie utrzymane. Była to imponująca przemiana jak na mały kraj, w którym dziesięć lat wcześniej stał tylko blaszany terminal, połączony z miastem błotnistą, pełną dziur i zarastającą dżunglą drogą. Na dodatek droga ta z powodu załamania się jednopasmowego mostu prowadziła wtedy objazdem przez bagniste koryto strumienia.

Taksówkarz zawiózł ich do Bahii, najlepszego hotelu w mieście; był dwupiętrowy, czysty i klimatyzowany, a dzięki temu, że zbudowano go na końcu małego półwyspu, roztaczał się z niego szeroki widok na ocean. W holu nie było recepcjonisty, a po lewej stronie, na końcu, spał barman z głową na barze. Ciszę zakłócał tylko szum urządzeń klimatyzacyjnych.

Munroe głośno zawołała i po chwili z bocznego pokoju, powłócząc nogami, wyszła kobieta, zaspana i z wyrazem irytacji na twarzy. Wyjęła spod lady recepcyjnej księgę gości, przekartkowała ją obojętnie, aż doszła do właściwej daty, i zrobiwszy umyślnie znudzoną minę, spisała z paszportów ich nazwiska i inne informacje. Pobrawszy pieniądze za dwa pokoje, poinformowała ich, że obecnie w hotelu jest tylko jeden wolny, a drugi będzie można zająć dopiero wieczorem.

Pokój był czysty i spartańsko urządzony, łazienka zupełnie pusta, nawet bez tradycyjnego mydełka, ale za to, w przeciwieństwie do gorszych hoteli, z rolką papieru toaletowego i, bijąc tym resztę miasta, bieżącą wodą, która płynęła z gigantycznych zbiorników na dachu.

Stojąc w drzwiach do łazienki, Munroe patrzyła, jak Bradford obchodzi korytarz oraz przedpokój, sprawdzając drogi wejścia i wyjścia, i bada wzrokiem z okien otoczenie hotelu.

- Jeśli drugi pokój jest na innym piętrze - powiedział - musimy się jakoś pomieścić w tym.

Wzruszyła ramionami i odepchnęła się od futryny.

- Pomówimy o tym - odparła - kiedy to się okaże.

Restauracja była zamknięta do wieczora, wyszli więc z hotelu w poszukiwaniu posiłku i stwierdzili, że w mieście panuje spokój, a ulice i chodniki są puste, jakby cała ludność położyła się spać lub po prostu znikła w środku dnia. Niesiony przez lekką bryzę zapach oceanu mieszał się ze smrodem spalin, stęchlizny i gnijących na słońcu śmieci.

Malabo było kombinacją pięknej kiedyś hiszpańskiej architektury, z portykami, kolumnadami, które jakoś przetrwały mimo blisko półwiecza graniczących z wandalizmem zaniedbań, i rażąco kontrastujących z nią nowszych budynków z pustaków, byle jakich, o najróżniejszych kształtach, poupychanych na każdym kawałku ziemi, na którym mogły się zmieścić.

O czwartej, po południowej przerwie, otwarto ponownie restauracje i sklepy spożywcze, a wąskie ulice - zaplanowane pierwotnie z myślą o tym, że poruszać się po nich będą konie i konne powozy - niezdolne unieść brzemień tych wszystkich pojazdów, które przyniósł nagły napływ pieniędzy, powróciły do stanu permanentnego korka.

Oblicze miasta zmieniło się wraz z zachodem słońca. Przy ulicach biegnących wzdłuż wybrzeża znajdowało się wiele

knajpek, niezauważalnych za dnia, ale jak w każdym portowym mieście ożywających wieczorem. Wypełniały się cudzoziemcami z firm naftowych, a tam, gdzie chodzili cudzoziemcy, podążały za nimi miejscowe kobiety, przymilające się do nich, pijące z nimi, i, częściej niż to się przyznawało, towarzyszące im potem na noc do domów.

Z dala od głównych arterii, tam gdzie pieniądze płynęły mniejszymi strumieniami, gdzie nieoświetlone ulice tonęły w mroku, gdzie ludzie tłoczyli się w przepelnionych domach, twarze były inne, ale sceny takie same. Wraz z nadejściem ciemności wszyscy ożywiali się, nabierali werwy, wypełniając ciszę śmiechem i radosnymi okrzykami. Tanie kameruńskie piwo lało się obficie, na przydomowych paleniskach przygotowywano posiłki, a uwolnione od nadzoru dorosłych dzieci bawiły się na pustych ulicach.

Munroe i Bradford zajęli miejsca w takim właśnie barze na otwartym powietrzu, który trudno byłoby znaleźć, gdyby nie tłoczący się wokół ludzie, siadając na drewnianych, z grubsza tylko ociosanych krzesłach, przy pokrytym biało-czerwoną ceratą, prymitywnym stoliku. Munroe zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu, chłonąc esencję miasta.

Przyszli razem do tej dzielnicy tylko dlatego, że Bradford nie mógł jej od tego odwieść i gdyby jej nie towarzyszył, poszłaby tam bez niego. Przez cały czas był w pogotowiu, obserwując czujnie tłum i oceniając zagrożenie; o napięciu, jakie go nie opuszczało, świadczyły naprężone bez przerwy mięśnie szyi.

Nie otwierając oczu, Munroe powiedziała w pewnej chwili:
- Miles, uspokój się.

- Nie płacą mi za to, żebym był spokojny - odparł.

Uśmiechnęła się, ignorując go, i zatopiła się w rozmowach, które toczyły się wokół niej. Jakiś czas później, usłyszawszy strzępy wymiany zdań docierającej do niej gdzieś z boku,

wyprostowała się i odwróciła lekko głowę, by się przyjrzeć rozmawiającym.

Do dwóch mężczyzn siedzących na ławie niemal na granicy jej pola widzenia dosiadł się trzeci - ten sam, który obserwował ją na lotnisku. Podobnie jak jego dwaj towarzysze był młody, przypuszczalnie dwudziestoparoletni, i jak inni miał na sobie luźne, wygodne spodnie. Z paska zwisały mu dwa telefony komórkowe.

Z każdym silniejszym powiewem bryzy docierały do niej fragmenty ich rozmowy. Mężczyzna z lotniska mówił w fang o wielu sprawach, w tym o niej i jej towarzyszu, ale szczegóły jej umykały. Kiedy każdy z nieznajomych wypił po kilka piw, Munroe odwróciła się do Bradforda i zasugerowała spacer do innej części miasta.

Szli w kierunku oceanu ciemnymi i zupełnie pustymi ulicami. Po drodze mijali grupki ludzi zebranych na chodnikach i na schodkach przed wejściami do domów, którzy gwarzyli leniwie, śmiali się i podśpiewywali do taktu dobiegającej przez otwarte okna muzyki.

Gwar podnoszący się po przejściu Munroe i Bradforda mówił, jak zabawny dla nich był widok cudzoziemców w tej części miasta. Od czasu do czasu ktoś za nimi wołał, a kilkoro dzieci podbiegło, prosząc o cukierki.

Tak jak wszystko inne w Gwinei Równikowej, przestępczość na niepilnowanych przez policję ulicach gwałtownie rosła. Mimo to, w porównaniu z jakimkolwiek miastem o podobnej wielkości w sąsiednich krajach, Malabo było dość bezpieczne. Munroe nie wyczuwała żadnego zagrożenia, nie usłyszała też ani jednej groźby, chociaż jej zapewnienia wcale nie złagodziły niepokoju Bradforda. Jego postawa mówiła, że jest przygotowany do odparcia ataku z każdej ciemnej alejki, którą mijali.

W przeciwieństwie do Bradforda ona wcale nie obawiała się ulicznych rzezimieszków.

Znaleźli kolejną knajpkę, taką, w której bywało mniej więcej tyle samo obcokrajowców co miejscowych, prowadzoną przez chińską matronę oraz jej córkę. Kilka minut po nich pojawili się młodzieńcy z poprzedniego baru. Było ich teraz dwóch i kiedy usiedli przy częściowo zajęтым stole, gospodyni natychmiast przyjęła ich zamówienia, traktując obu z wyraźnym szacunkiem.

Munroe analizowała język ciała Bradforda i wiedziała, że on także zdaje sobie sprawę, że są śledzeni. Odwrócił się do niej, a ona kiwnęła głową w niemym potwierdzeniu tego, czego nie powiedział. Siedzieli i pili, a kiedy miała już dosyć obserwowania i bycia obserwowaną, wrócili do hotelu i odebrali klucz do drugiego pokoju.

Bradford zatrzymał ją w progu jej pokoju.

- Kiedy ich zauważyłaś po raz pierwszy?

Otworzyła drzwi, przytrzymała je, żeby mógł wejść do środka, po czym odpowiedziała: - Najpierw jednego na lotnisku, a dwóch pozostałych w pierwszym barze.

- Wiesz, kim oni są?

Zdjęła buty i rzuciła przy łóżku.

- Nie mam pojęcia.

Popatrzył w stronę okna.

- Nie podoba mi się to.

- Oczywiście - odrzekła. - Nie płacą ci za to, żeby ci się podobało.

Rzucił jej ponury uśmiezek, zawahał się, a potem zapytał: - Czy rozumiałaś coś z tego, o czym rozmawiali?

- Nie tyle, żeby to miało jakąś wartość. - Ściągnęła przepoconą koszulę i powiesiła ją na oparciu krzesła. Sportowy biustonosz, który miała pod spodem, był równie mocno przesiąknięty, ale to musi poczekać do chwili, gdy Bradford wyjdzie.

Śledziła ruchy jego oczu, gdy w milczeniu patrzył na jej ręce i brzuch, przyglądając się bliznom, które lśniły bielą w

świetle jarzeniówki.

- Jest ich czterdzieści dwie - powiedziała. - Jeśli musisz wiedzieć.

- Przepraszam - odparł. Uniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. - Nieczęsto mi się zdarza, że jestem tak zaskoczony. Myślałem... - zawiesił głos.

- Twoja teczka nie jest tak kompletna, jak sobie wyobrażałeś - rzekła. A potem się uśmiechnęła.

Podrapał się po karku.

- Ludzie, którzy nas śledzili...

Pokiwała głową.

- Są zbyt dobrze ubrani. Nie mogą być żołnierzami ani policjantami, co jest pocieszające. Natomiast zagadkowe, może niepokojące, jest to, że ten pierwszy wyraźnie czekał na nas na lotnisku. Można z tego wnosić, że musieli się spodziewać naszego przyjazdu - albo że pomyłono nas z kimś innym.

- A może po prostu przygotowują się do napadu na nas? Usiadła na krawędzi łóżka i popatrzyła na niego.

- Poważnie? Myślę, że gdyby chcieli pozbawić nas naszej mizernej własności, spróbowaliby tego, kiedy tak dogodnie dla nich byliśmy po złej stronie miasta. - Milczała przez chwilę, po czym wstała. - Jeśli uda mi się zdobyć choćby strzęp informacji, Miles, bądź pewny, że dam ci znać. - Powiedziawszy to, otworzyła drzwi i wskazała mu je głową.

Siedziba Ministerstwa Spraw Zagranicznych była starym, kolonialnym budynkiem, który niedawno został odnowiony, ale tak jakoś się stało, że w rezultacie wprowadzonych ulepszeń nabrał tandetnego wyglądu. Zbudowano go na planie małej litery „n”, a na duży dziedziniec w środku wychodziło się z wyłożonego płytkami, otwartego dla ludzi parteru. Skręciwszy w lewo i wspiąwszy się po schodach, znaleźli gabinet ministra. Była ósma rano.

Sekretarka ministra siedziała za metalowym biurkiem, na którym nie było niczego oprócz ołówka, długopisu bez

nakrętki i podniszczonego notatnika. Dowiedzieli się od niej, że terminy spotkań ustala się każdego dnia na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”, ale nawet jeśli minister jest w mieście, może mieć czas, by przyjąć tych, którzy na niego czekają, albo go nie mieć. Była też w stanie potwierdzić, że wczoraj był w mieście, ale nie miała pojęcia, czy odwiedzi swój gabinet dziś lub jutro albo, jeśli już o to chodzi, w ogóle któregoś dnia. Wskazała im porysowaną pęknięciami winylową kanapę i zasugerowała, by usiedli i czekali.

Munroe usiadła, wyciągnęła się i z zamkniętymi oczami opadła na oparcie. Kiedy widoki nie rozpraszały jej uwagi, słyszała to, co w przeciwnym razie jej umykało: rozmowy w tle, szepty w korytarzach i nieustanne skrobanie pióra Bradforda po papierze.

Będzie czekać dziś, jutro, tak długo, jak to będzie konieczne, w granicach rozsądku. Nie miała złudzeń co do tego, jak wiele informacji minister im przekaze, nawet gdyby je miał; uzyskanie ich nie było głównym celem, dla którego starali się o spotkanie. Po Malabo przeniosą poszukiwania do tych części kraju, w których bywali tylko nieliczni obcokrajowcy, zwłaszcza bez towarzystwa miejscowych. Spotkanie z ministrem przygotuje grunt do rozwiewania podejrzeń co do ich działań i w razie konieczności pozwoli im powoływać się na niego. W miarę jak mijał ranek, dołączyło do nich jeszcze kilkoro petentów mających nadzieję na posłuchanie u ministra. Ciszę wypełniał szum pracujących w pobliżu klimatyzatorów, chociaż w holu, gdzie czekali, było gorąco i parno, na co wysokie sufity niewiele pomagały. Kiedy nadeszło wczesne popołudnie i minister się nie pokazał, sekretarka wstała, szykując się do wyjścia, i poradziła tym, którzy jeszcze czekali, żeby spróbowali ponownie o trzeciej lub czwartej.

Przed budynkiem, wmieszany w grupę ludzi objających się w cieniu, był jeden z mężczyzn, którzy śledzili ich ostatniej

nocy. Kiedy go minęli, ruszył ich śladem. W najlepszym razie był amatorem; trzymał się tak blisko, że jego cień niemal nakładał się na ich cienie. Nazwali go Drugi Cień, złapali taksówkę do hotelu i o trzeciej wrócili do ministerstwa, gdzie spędzili popołudnie tak samo jak poranek; na winylowej kanapie, w gorącu, czekając na audiencję.

Było krótko po czwartej, kiedy Munroe podniosła się z pozycji półleżącej i usiadła wyprostowana.

- Jest w drodze do gabinetu - wyszeptała.

Zamieszanie rozpoczęło się na dole szerokiej klatki schodowej i przybrało na sile, kiedy minister w towarzystwie małej świty przeszedł niedbałym krokiem przez korytarz prowadzący do poczekalni. Rozmawiał przez telefon, ignorując tych, którzy szli za nim, a w poczekalni zatrzymał się, pokiwał głową, po czym wszedł do swojego gabinetu, w którym spędził godzinę, zanim znowu wyszedł, najwyraźniej zakończywszy dzień pracy. Kiedy wraz ze świtą opuścił budynek, sekretarka wyjęła spod biurka torebkę i zwróciwszy się do małego tłumku czekających, powiedziała: - Spróbujcie znowu jutro. - A potem sama też poszła do domu.

Ludzie powoli się rozeszli, a Munroe wstała i przeciągnęła się, rozluźniając mięśnie zeszywniałego karku. Następnie odwróciła się do Bradforda i powiedziała: - Chodźmy na obiad.

Wsunął pióro w notatnik i schował go.

- Jak oceniasz dzisiejszy dzień? - zapytał. - Całkowicie zmarnowany?

- W żadnym razie - odparła, robiąc tak mocne skręty na boki, że aż strzeliło jej w kręgosłupie. - Rozmowy w poczekalni były fascynujące. - Odczekała chwilę, po czym roześmiała się, widząc jego zachmurzoną twarz. - Czekanie to część życia, Miles. Nie ma sensu próbować go poganiać. A ja słucham, obserwuję i się uczę. Nie musimy się spieszyć.

Szli w kierunku hotelu i kiedy skręcili w ulicę prowadzącą do oceanu, dostrzegli Pierwszy Cień, mężczyznę z lotniska.

Gdy zbliżyli się do nadbrzeżnej alei, która pełniła rolę głównej arterii miasta, okazało się, że chodniki są zatłoczone, i wszędzie widać było oznaki nadzwyczajnej aktywności policji. Z każdej strony dobiegały przenikliwe głosy gwizdków, a przecznice były zamknięte przez prowizoryczne barykady uniemożliwiające wjazd na ulicę.

Munroe, która za wszelką cenę chciała uniknąć kontaktu z policją, zatrzymała taksówkę. Kierowca pokręcił głową, gdy usłyszał adres, i zanim odjechał, wytrajkotał wyjaśnienie.

- Prezydent przejeżdża przez Malabo - przetłumaczyła Munroe Bradfordowi. - Miasto jest praktycznie zamknięte... drogi prowadzące na lotnisko, do portu i wszystkie przecinające główną ulicę także. To może trwać godzinę, dziesięć godzin, dwa dni albo kto wie jak długo, zanim sytuacja się wyklaruje, więc pójdziemy pieszo. Jeśli ktoś się do nas odezwie lub każe pokazać dokumenty, nie mów ani słowa. Masz przy sobie kartę stałego pobytu w Gwinei?

Bradford skinął głową.

- W porządku - powiedziała, odczekała chwilę, a potem rzuciła: - Chodźmy.

Na rogu każdej ulicy dochodzącej do nadbrzeżnej alei stało po trzech lub czterech policjantów, którzy w jednej chwili bacznie obserwowali otoczenie, w drugiej zachowywali się radośnie jak podczas święta, by zaraz znowu powrócić do postawy wyrażającej czujność. Tylko nieliczni mieli broń lub dostęp do pojazdu i można było odnieść wrażenie, że ich jedynymi instrumentami władzy są gwizdki oraz książeczki z mandatami. Munroe i Bradford mijali ich, a policjanci, bardziej skupieni na ruchu ulicznym niż na przechodniach, nie zwracali na nich uwagi. Przeszli na drugą stronę i byli już niemal przy ulicy prowadzącej do portu, kiedy jeden z policjantów zadał w gwizdek.

- Zignoruj go - powiedziała cicho Munroe. - Nawet się nie odwracaj.

Gwizdek odezwał się znowu, ale oni nadal szli przed siebie. Dopiero gdy policjant krzyknął w ich kierunku, rozkazując dwojgu *blancos*, żeby się zatrzymali, Munroe zwolniła i rzuciła Bradfordowi ostrzegawcze spojrzenie.

Rozdział 9

Energicznym krokiem podeszło do nich dwóch policjantów w granatowych mundurach, wystrzępionych na brzegach, źle dopasowanych i poplamionych. Starszy miał sznur zamiast pasa i oprócz gwizdka nosił czarny kij w kształcie pałki, wsunięty w prowizoryczną pętlę przy spodniach. Nie zatrzymał się, póki omal nie wpadł na Bradforda, naruszając jego prywatną przestrzeń, po czym rzucił głośno: - Musicie przestrzegać prawa, musicie! - i zażądał, by Miles pokazał mu dokumenty.

- On nie mówi po hiszpańsku - wtrąciła Munroe i policjant, stojący o kilka cali od niej i śmierdzący tanim piwem, rozkazał jej tłumaczyć.

Sprawdził kartę stałego pobytu Bradforda, oddał ją po chwili i zażądał, żeby Munroe pokazała mu swoją. Obejrzał ją, a potem chrząknął i pomachał kartą przed twarzą Munroe.

- Twoja karta jest nieważna - oświadczył tryumfalnie. - Masz tylko jedno imię i nazwisko. Jesteś tu nielegalnie.

Munroe wbiła wzrok w ziemię i zagryzła wargę, żeby się nie roześmiać, a kiedy już zapanowała nad sobą, popatrzyła mu w oczy i głosem pełnym pokory powiedziała: - Przepraszam, że mam tylko jedno imię. Niestety nadano mi tylko jedno, kiedy się urodziłam. To nie jest niezwykłe w kraju, z którego pochodzę.

Twarz policjanta pociemniała. Położył rękę na swojej pałce.

- Nie ma znaczenia, jak to się robi w twoim kraju. Jesteś w Republice Gwinei Równikowej i masz szanować nasze zwyczaje i przestrzegać naszego prawa. Masz tylko jedno imię. Twoja karta stałego pobytu jest nieważna. - Rozumiem, co pan mówi - odparła - ale nadano mi tylko jedno imię, a

przedstawiciel waszych władz, który podpisał moją kartę, rozumiał to.

Policjant zrobił gniewną minę i powtórzył: - Jesteś tu nielegalnie. Prawo zapewnia bezpieczeństwo i spokój w republice, i obcokrajowcy także muszą go przestrzegać. - Ruchami rozmyślnie powolnymi włożył kartę do kieszonki na piersi. - Staw się jutro rano na posterunku policji. Do tego czasu zatrzymam twój dokument. - Następnie odszedł sztywnym krokiem w stronę zamkniętej kordonem alei, a młodszy policjant podążył za nim.

Bradford odprowadził ich wzrokiem, po czym zwrócił się do Munroe i zapytał szeptem: - O co tu chodziło?

Wsunęła mu rękę pod ramię, obróciła w kierunku hotelu i zaczęli iść.

- Na tym przykładzie - odrzekła - mogłeś zobaczyć, dlaczego ten kraj jest taki, jaki jest. Obojętnie jak bardzo ludzie dobrej woli starają się zmienić sytuację albo jak wiele ropy pompuje się z ziemi, pewne rzeczy pozostają niezmiennie, a nawet pogarszają się z powodu napływu pieniędzy. Kiedy nepotyzm jest powszechnie akceptowany, dzisiejszy pasterz kóz jutro staje się despota, a lśniący, nowy gwizdek i używany mundur wystarczą, by stworzyć nowego tyrana. - Spojrzała przez ramię w stronę policjanta, który znowu stanął na rogu z trzema innymi mundurowymi. - Prawo interpretuje się tu dowolnie. Nie zrobią ci nic za jazdę po pijanemu, ale możesz dostać mandat za brudny samochód. To nielegalne proponować im łapówki, ale w porządku, kiedy oni je przyjmują. Według niego złamałam prawo, bo oprócz nazwiska mam tylko jedno imię. - Westchnęła rozbawiona. - A jeśli chodzi o nas, to możemy tylko płynąć z prądem i robić, co w naszej mocy, by trzymać się z dala od kłopotów.

- Spróbujesz ją odzyskać?

- Kartę stałego pobytu? Nie. Gdybym chciała dostać ją z powrotem, musiałabym spędzić większą część jutrzejszego

dnia, a możliwe, że i reszty tygodnia, na posterunku policji, usiłując ustalić, kto ją ma i jakie przeszkody mam pokonać, żeby ją odzyskać... nie mówiąc już o wybuleniu małej fortuny. - Ścisnęła figlarnie jego ramię. - Załatwiłam te inne karty właśnie po to, żebyśmy nie musieli się zajmować takimi sprawami. Ten wieczór spędzili w hotelu, gdyż Munroe wołała uniknąć kolejnych spotkań z policją, kiedy miasto było pod szczególnym nadzorem. Zamiast włóczyć się po ulicach i nawiązywać kontakty z miejscowymi, zjedli na hotelowym patio, gdzie przy każdym z osłoniętych parasolami stołów siedziała inna grupka klientów, w większości związanych z przemysłem naftowym.

Kiedy kelner przyszedł posprzątać ze stołu, Munroe zatrzymała go i wskazała mu głową drugi koniec patio, gdzie dwaj z Cieni popijali importowane, hiszpańskie piwo i rzucali od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia w ich stronę.

- Znasz ich? - zapytała.

Popatrzył we wskazanym przez nią kierunku, po czym, spojrzawszy znowu na stół, odpowiedział: - Lepiej ich nie znać.

Zamówiła trzy takie same piwa jak te, które pili, a kiedy kelner wrócił z nimi, wzięła puszki i wstała. Kiedy ruszyła, Bradford zatrzymał ją, chwytając za przedramię.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

Poczuła na skórze ciepło jego palców i zrobiło się jej szaro przed oczami. Odczekała jedno uderzenie serca, wzięła głęboki wdech, po czym pochyliła się ku niemu, spojrzała mu prosto w oczy i odparła cicho: - Powiem ci to raz, Miles, bo cię lubię. Dotknij mnie w ten sposób znowu, a przysięgam, że połamię ci wszystkie palce.

Cofnął rękę.

- Przepraszam, złe przyzwyczajenie.

- A co do twojego pytania - wyszeptała - mam zamiar się dowiedzieć, kim oni są i czego chcą. - Powiedziawszy to,

wyprostowała się i podeszła do obu Cieni.

Stała przed mężczyznami z fałszywie niewinnym uśmiechem.

- Widziałam was w mieście - powiedziała po hiszpańsku, a potem postawiła puszki na stole i zapytała: - Czy mogę się do was przysiąc na piwo?

Przez chwilę nic nie mówili. Nie czekając na odpowiedź, odsunęła od stołu krzesło i z przekornym spojrzeniem skierowanym do tego, który obserwował ich na lotnisku, usiadła. Pochyliła się ku niemu z wyrazem dziewczęcej kokieteryjności na twarzy i wyciągnęła rękę.

- Jestem Michael. Po sekundzie wahania uścisnął jej dłoń i odpowiedział uśmiechem: - Nicolas.

Jego dłoń była mała, ale twarda, a uścisk mocny. Na jednym z palców miał ciężki, złoty sygnet, a na nadgarstku zegarek marki Fendi. Jego towarzysz, siedzący ze skrzyżowanymi rękami po drugiej stronie stołu, wyszeptał ostrzeżenie w języku fang. Nicolas nie odpowiedział, natomiast wskazał go ręką i przedstawił: - Mój kuzyn Teodoro.

Spojrzała w kierunku Teodora, podała mu rękę i zapytała słodkim tonem: - Czy ty się mnie boisz?

Obaj mężczyźni roześmiali się. Był to nerwowy śmiech, ale i otwarcie, którego potrzebowała. Pchnęła w stronę każdego z nich po puszcę piwa, a potem otworzyła własną i uniosła ją w nieco drwiącym toście.

Wypili po kilka łyków, a potem zadała im parę niewinnych pytań na temat życia w mieście. Oni z kolei zapytali ją o Bradforda.

- Czy on jest twoim chłopakiem?

Uśmiechnęła się figlarnie.

- Nie, nie jest.

- Mężem?

Lekceważące wydęcie ust.

- Nie, także nie.

- Jesteś zameźna?

Uniesione brwi i otwarte szerzej oczy.

- Szukacie żony?

Śmiech.

Munroe zamówiła drugą kolejkę piw. Siedzący za nią Bradford odchylił się na krześle do tyłu, złożył ręce luźno na brzuchu i wyciągnął nogi pod stołem. Oczy miał na wpół zamknięte, ale chociaż każdemu, kto na niego popatrzył, mógł się wydać przyjemnie odprężony, Munroe widziała w jego postawie skrajne napięcie. Zignorowała go.

Przy czwartej kolejce przeszła na alkohol destylowany, wiedząc, że młodzieńcy przywykli do popijania piwa mocniejszymi napitkami. Podczas wiejskich zabaw na wpół opróżnione szklanki często dopełnia się tym, co jest pod ręką, i w rezultacie ludzie piją mieszanki wódki, whisky, wina i innych trunków - zamierzała do tego doprowadzić. Po kilku kolejnych rundkach, porzuciwszy tematy ogólne, zaczęła ich wypytywać o domy i rodziny. Dzieci? Tak. Żony? Tylko Nicolas. Teodora wciąż jeszcze nie było stać na zakup - a raczej na zapłacenie wiana - ale miał dziewczyny i dzieci. Bracia i siostry. Dużo. Sławni rodzice? Stłumiony śmiech. Może pewnego dnia.

- Mówicie w fang - powiedziała. - Jesteście z kontynentu?

- Tak. Z dużej wsi, ważnej wsi.

Uśmiechnęła się z podziwem.

- Najważniejszej wsi w kraju?

Głośny śmiech.

- Oczywiście.

Zaskoczenie.

- Ale żadna ze wsi nie może być ważniejsza od prezydenckiej.

- To nasz dom!

Żyła złota.

Zadawała kolejne pytania, w przyjazny i nienatarczywy sposób: o krajobraz, zwierzęta, plemienne zwyczaje, i każdy z niewinnych szczegółów nakładała na poprzedni, aż w końcu stworzyła sobie dokładny obraz regionu Mongomo, sieci tamtejszych dróg, rozmieszczenia posterunków wojskowych i stanu bezpieczeństwa na stałym lądzie; wiedziała, czego się spodziewać i co się zmieniło. Kiedy młodzieńcy włączyli w siebie ósmą kolejkę, zaczęła ich wypytywać, dlaczego ją śledzili, i na to Nicolas wstał, pożegnał się i ruszył do wyjścia, a Teodoro podążył jego śladem.

Rozmowa dobiegła końca.

Munroe obserwowała ich, gdy szli przez patio, krokiem nie tak pewnym jak wtedy, gdy przybyli, i gdy tylko minęli drzwi prowadzące z hotelu na zewnątrz, jej poza i wyraz twarzy zmieniły się. Farsa się skończyła, zebrała więcej informacji, niż się spodziewała, brakowało tylko jednej, najważniejszej. Wróciła do stołu, przy którym siedział Bradford, wciąż wyciągnięty i z na wpół zamkniętymi oczami.

- Teraz, gdy dwóch z nich się upiło i poszło - powiedziała - wkrótce w pobliżu pojawi się Trzeci Cień. Ja idę do łóżka.

Przechylił głowę, by na nią popatrzeć.

- Usiądziesz ze mną na chwilę? Mam pytanie.

Odsunęła krzesło od stołu. Milczał przez chwilę, uważnie się jej przyglądając, a ona usiadła spokojnie, odpowiadając mu spojrzeniem. W końcu zapytał: - Dlaczego to robisz? - Zaśmiał się cicho, przeczesał palcami włosy i pochylił się do przodu. Jego twarz spoważniała. - Dlaczego się ponizas, udajesz głupiutką gęś? Nie rozumiem tego. Jesteś jedną z najbardziej błyskotliwych osób, jakie znam. Oglądanie, jak się znizas do tego poziomu, jest tak... nie wiem... obraźliwe... bolesne.

- Jeśli robię z siebie idiotkę, tylko ja się nią staję... dlaczego ty miałbyś się tym przejmować?

Wzruszył ramionami.

Munroe pochyliła się do przodu na krześle, naśladowując jego pozę.

- Posłuchaj, Miles, jest wiele spraw w moim życiu, z których nie jestem dumna, ale dzisiejszy wieczór z pewnością do nich nie należy. Robię, co muszę, żeby zdobyć informacje potrzebne mi do wykonania zadania, i wiedziałam, że udawanie głupiej gęsi, jak to ująłeś, będzie tym, dzięki czemu zbliżę się do tych facetów. To dlatego płacą mi tyle, ile płacą, za to, co robię - informacje gdzieś są, a ja zawsze znajdę sposób, żeby je zdobyć. Dziś to była dziecinna igraszka.

Wstała, żeby odejść, po czym oparła ręce na jego barkach, pochyliła się i wyszeptała mu do ucha: - Wiem tak samo dobrze jak ty, dlaczego ci to przeszkadza, Miles. - I poszła.

Życie w malutkiej stolicy zaczynało się przed świtem od przygotowań na puszczenie wody. Gromadzono ją w górach przez noc, a potem za dnia rurami dostarczano do miasta. Około siódmej, czasem ósmej strumień zmieniał się w wąską strużkę, i tyle wody, ile zostało zebrane w wiadrach i pojemnikach, musiało ludziom wystarczyć do następnego ranka. Ci, którzy żyli na terenach wyżej położonych, mieli szczęście, jeśli zgromadzili jej dość, by móc się wykapać, umyć naczynia i spłukać toalety. W stolicy kraju o jednym z największych na świecie poziomie opadów woda była luksusem.

O ósmej Munroe i Bradford wyruszyli taksówką w pięciominutową podróż do ministerstwa. Blokady, które zamknęły miasto poprzedniego dnia, znikły, a wąskie ulice tętniły już życiem.

Nie pojawili się jako pierwsi w poczekalni przed gabinetem ministra; na jednym końcu kanapy siedziała już starsza kobieta, bez wątpienia przybyła niedawno ze wsi. Ubrana była w suknię w kwietne wzory, którą najwyraźniej miała od wielu lat i od wielu lat o nią dbała. Jej buty pochodziły z innej epoki, wysoko sznurowane, skórzane, znoszone i

podzielowane, ale czyste i wypastowane. Dłonie, sękaty po dziesięcioleciach ciężkiej pracy, złożyła na kolanach.

Kobieta wezwana ze stałego ładu, ocalała, jedna z garstki tych, którzy pozostali z brakującego pokolenia, tych, którym udało się jakoś przeżyć ludobójstwa Maciasa Nguemy i jego dekadę terroru. Przez cały ranek uprzyjemniała Munroe czekanie opowieściami bogatymi w historię i legendy.

Dochodziła dwunasta, kiedy przybył minister. Tym razem był bez świty i kiedy przechodził przez hol, skinął głową Munroe i Bradfordowi. Krótco potem sekretarka skierowała ich w stronę zamkniętych drzwi jego gabinetu, a starsza kobieta pozostała na kanapie, nie protestując, że to jej kolej na rozmowę z wielkim człowiekiem.

Minister przyjął ich, siedząc za wielkim, drewnianym biurkiem. Miał na sobie szyty na miarę włoski garnitur, a jego dłoń była równie miękka jak jej uścisk. Mówił po angielsku głosem beznamiętnym i nieco zachrypłym. Wskazał im krzesła stojące naprzeciw biurka - antyki obite ciemnoczerwonym, mocno już poprzecieranym aksamitem - i poprosił, żeby usiedli.

Po wymianie uprzejmości i wygłoszeniu z odpowiednią pokorą pochwał pod adresem Republiki Gwinei Równikowej Munroe wręczyła mu fotografię Emily Burbank oraz kartkę z informacjami o jej wadze i wzroście, i innych cechach fizycznych.

- Poszukujemy naszej przyjaciółki - wyjaśniła. - Zaginęła jakiś czas temu i mamy powody uważać, że jest lub była w Rio Muni⁵, przypuszczalnie gdzieś w pobliżu Mongomo. Znając rzetelność waszego rządu i troskę, z jaką odnosi się do obcokrajowców, mieliśmy nadzieję, że Wasza Ekscelencja będzie coś wiedział o naszej przyjaciółce, że może dotarła do pana jakaś wiadomość o niej. Postanowiliśmy zatem zapytać pana o to najpierw, przed wyruszeniem na poszukiwania.

Wziął fotografię, przyjrzał się jej uważnie, słuchając Munroe z miną wyrażającą brak zainteresowania. Potem, wciąż patrząc obojętnie na zdjęcie, zapytał: - Ile czasu upłynęło od chwili, gdy przekroczyła granice naszego kraju? - Nie znamy dokładnej daty - odparła Munroe. - Stało się to mniej więcej cztery lata temu.

- To bardzo dawno - stwierdził. - Wiele mogło się stać w ciągu czterech lat. Nie stałem wtedy na czele tego ministerstwa.

- Rozumiem.

- A w jakim celu przyjechała do naszego kraju? Dla jakiej firmy pracowała, a może był to Kościół?

- Przyjechała w celach turystycznych - odpowiedziała Munroe. - Tak przynajmniej nam się wydaje.

- Czy ma pani coś przeciwko temu, że to zatrzymam - zapytał i nie czekając na odpowiedź, włożył fotografię oraz kartkę do kieszeni na piersi. Następnie rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu i dodał: - Nic mi teraz nie przychodzi do głowy i niczego nie mogę obiecać, ale każę moim ludziom, żeby się przyjrżeli tej sprawie. Proponuję, żebyście państwo wrócili tu jutro rano. Będę w gabinecie od dziewiątej.

Zeszli na dół i tam zobaczyli zaparkowanego pod budynkiem hummera H2 ministra, czarnego i lśniącego. Munroe zatrzymała się przed nim i popatrzyła na swoje odbicie w oknie.

- Chcesz się założyć, że ten wóz jest jedynym takim w tym kraju?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - zapytał Bradford.

Munroe wzruszyła ramionami.

- Nie dla mnie ani dla ciebie. Jestem jednak pewna, że będzie miało dla właściciela, kiedy pojawi się potrzeba zainstalowania części zamiennych. Największe jednak znaczenie ma to dla tej kobiety na winylowej kanapie, pragnącej porozmawiać z wielkim człowiekiem, który przed

odkryciem ropy naftowej był tak samo biedny jak ona. - Odwróciła się i ruszyła w stronę ulicy. - I nie ma kierowcy - dodała.

- Domyślam się, że to coś oznacza, prawda?

- Tak - odrzekła tak cicho, jakby mówiła do siebie. Zatrzymała się i obróciła, by jeszcze raz spojrzeć na samochód, po czym przez chwilę wpatrywała się w ziemię. W końcu powiedziała: - Ważni ludzie rzadko poruszają się bez świty, a przynajmniej kierowcy. Wczoraj do miasta przyjechał prezydent, co oznacza, że większość z jego służalczych ministrów nawet nie pokaże się dziś w pracy. - Umilkła. - Przyjechał sam. - Kolejna przerwa. - Wiesz, możliwe, że przyjechał do ministerstwa tylko po to, żeby zobaczyć się z nami. Ulewa rozpoczęła się wczesnym wieczorem i trwała przez całą noc. Szum wody siekającej dachy tłumił wszystkie inne odgłosy. Rankiem ulice były płytkimi rzekami płynącymi do oceanu. Na chodnikach nie było widać zbyt wielu przechodniów; kiedy woda atakuje buty i odzież zarówno z ziemi, jak i powietrza, tylko najbardziej zdesperowani wychodzą na dwór. I tak jak inni mieszkańcy miasta, którzy obserwowali deszcz z progów i okien swoich domów, Munroe patrzyła przez drzwi balkonowe, przekonując się w duchu, że w tych okolicznościach nie ma po co wracać do ministerstwa, ale wiedząc, że i tak to zrobi.

Zanim tam dotarli i zajęli miejsca na kanapie, którą okupowali przez ostatnie dwa dni, byli kompletnie przemoczeni. W holu nie zobaczyli nikogo, nawet sekretarki.

- On się dziś nie pokaże - powiedziała Munroe. - Kiedy tak leje, wszystko jest zamykane, jakby były święta. Jeśli wziąć pod uwagę deszcze, które padają tu przez pół roku, i wszystkie oficjalne święta, zaskakujące jest to, że tu w ogóle udaje im się wykonać jakąś pracę.

Bradford strząsnął wodę z karku.

- Gdybyś mi to powiedziała w hotelu, włożyłbym kąpielówki zamiast tego ubrania.

- Chciałabym to zobaczyć.

Nie zastanawiając się, zdjął koszulę i owinąwszy wokół pięści, wyżał ją. Woda powiększyła kałużę u jego stóp, którą utworzyły strumyczki ociekające z jego spodni.

- Jak długo zamierzasz to robić? - zapytał.

Munroe uśmiechnęła się do jego torsu.

- Czekać?

-Tak.

- Ponieważ do Bożego Narodzenia zostały trzy tygodnie, po których wszystko jest tu zamknięte aż do połowy stycznia, musimy uzyskać wszystko, co się da, do końca przyszłego tygodnia. Jeśli do tego czasu nie zdobędziemy żadnych informacji, wyruszymy na kontynent. - Milczała przez chwilę, po czym wskazała na jego nogi i dodała: - A może tak wyźmiesz jeszcze spodnie?

Mrugnął do niej, wciągnął przez głowę wilgotną koszulę, i odpowiedział: - Raczej nie. - A potem zapytał: - Co ludzie, którzy tu mieszkają, robią, żeby się rozerwać? - Widziałeś bary... praca, picie i jedzenie, to wszystko, co tu jest... i kobiety, jeśli nie boisz się HIV.

Po południu ulewa nieco zelżała. Minister przybył krótko przed końcem dnia pracy. Był sam, tak jak poprzedniego dnia. Jeszcze z holu zaprosił ich gestem do swojego gabinetu. Był szorstki, oficjalny i w jego głosie brakowało przyjaznych tonów, które pobrzmiwały podczas ich ostatniej rozmowy.

- Nie mam dla was żadnych nowych informacji - zaczął. - Ale możliwe, że ma je Don Felipe, szef policji w Malabo. - Nagryzmolił coś pospiesznie na kartce liniowanego papieru. - Krótki list polecający - wyjaśnił. - Pokażcie mu go i sprawdźcie, co może dla was zrobić.

- Przepraszam, że pytam - powiedziała Munroe. - Ale jeśli naszą przyjaciółkę widziano po raz ostatni w Rio Muni, to czy

jest szansa, by policja na wyspie Bioko miała o tym jakieś informacje?

- Będziecie musieli się sami dowiedzieć. Don Felipe stoi także na czele prezydenckiej służby bezpieczeństwa i jest zaufanym człowiekiem głowy naszego państwa. Jest więcej niż prawdopodobne, że wie o sprawach, o których ja nie mam pojęcia. - Podał Munroe kartkę, po czym odprowadził ich do drzwi.

Zgodnie z bardziej niż znajomym już schematem byli śledzeni w drodze z ministerstwa do hotelu, a potem z hotelu do restauracji. Podczas obiadu Munroe więcej niż raz pochwyciła spojrzenie któregoś z Cieni, a oni w odpowiedzi uśmiechali się lub kiwali jej głową. Zauważyła, że nie piją już alkoholu, więc kazała zanieść do ich stolika napoje owocowe i desery.

Następnego ranka zlokalizowała wraz z Bradfordem biuro szefa policji, które znajdowało się w parterowym budynku posterunku o podrapanych i zachlapanych błotem ścianach. Z okien, które były pustymi prostokątami osłoniętymi przez otwarte drewniane okiennice, dobiegało na zewnątrz stukanie maszyny do pisania.

Poczekalnia przed gabinetem szefa policji była niemal całkowicie wypełniona trzema biurkami i starą kanapą, a odrobinę pozostałego wolnego miejsca okupowali ludzie czekający na okazję porozmawiania z tym ważnym człowiekiem. Munroe przekazała list polecający jego współpracownikowi, po czym wróciła do frontowego wejścia do budynku. Stała przy otworze służącym jako okno i przygotowała się w duchu na oczekiwanie, które może potrwać większą część dnia, zaczęła obserwować ruch na ulicy. Po upływie kilku minut podszedł do niej policjant w cywilu.

- Pracuję dla Don Felipe - wyjaśnił. - Jest właśnie w drodze na posterunek. - Otworzył drzwi znajdujące się obok

wejściowych do budynku. - Proszę tu poczekać - powiedział, po czym ich zostawił.

Podobnie jak poczekalnia, ten pokój też był niemal od ściany do ściany wypełniony meblami, które poustawiano tak blisko siebie, że kiedy Munroe i Bradford usiedli, ich kolana się zetknęły. Pudełkowaty klimatyzator, umieszczony w ścianie nad zabitym sklejką oknem, prawie zdołał ochłodzić wnętrze, ale usunięcie zastałego zapachu stęchlizny, którym przesiąknięty był cały budynek, przekraczało już jego możliwości.

Don Felipe wszedł do pokoju w towarzystwie dwóch młodych mężczyzn wprawdzie w cywilnych ubraniach, ale uzbrojonych w pistolety, które mieli w kaburach przy pasach. W ręce trzymał list, który zostawiła Munroe. Uścisnął im dłonie, usiadł za biurkiem naprzeciw nich, po czym, jakby po zastanowieniu, zaproponował im kawę. Mówił po hiszpańsku, szorstkim, władcym głosem.

- Silvestre Mba prosił mnie, żebym państwu pomógł - zaczął. - Powiedzcie mi coś więcej o tej dziewczynie, której szukacie.

Munroe wręczyła mu fotografię Emily Burbank, wraz z taką samą kartką papieru, jaką dała ministrowi, po czym, słowami podobnymi do użytych w poprzedniej rozmowie, przedstawiła ich pragnienie odszukania dziewczyny.

Don Felipe wziął fotografię i podobnie jak to przed nim zrobił minister spraw zagranicznych, przyjrzał się jej z uwagą, po czym podał ją mężczyźnie stojącemu w milczeniu po jego prawej ręce.

- Republika Gwinei Równikowej - powiedział do Munroe - słynie z utrzymywania znakomitych i zdrowych stosunków ze swoimi gośćmi. Traktujemy wszystkich obcokrajowców sprawiedliwie i poprawnie, i jeśli kogoś, kto przebywa w naszym wspaniałym kraju, spotka coś złego, dzieje się tak tylko dlatego, że osoba ta nie przestrzegła prawa. Co więcej,

nasz prezydent, dla naszego ludu przedstawiciel Boga na ziemi, uznawany jest przez wasz kraj za dobrego przyjaciela i zwolennika praw człowieka. Ameryka może się wiele od nas nauczyć. - Don Felipe zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie w fotelu, założywszy nogę na nogę. Zaciągnął się, a potem wydmuchnął dym w górę. Zaciągnął się drugi raz, położył papierosa w popielniczce. - Słyszałem o tej dziewczynie, której państwo szukacie - oświadczył. Nie spuszczał oczu z Munroe, która siedziała z kamiennym wyrazem twarzy, utrzymując z nim kontakt wzrokowy. Zapadła cisza i w końcu Don Felipe zwrócił się w fang do mężczyzny stojącego po jego prawej ręce, rozkazując mu, żeby przyniósł dokument.

Kiedy pomocnik wyszedł, w pokoju nadal panowało przedłużające się milczenie, które przerwał dopiero jego powrót. Trzymał małą kopertę, po czym wręczył swojemu szefowi.

- Wierzę - powiedział Don Felipe, zwracając się do Munroe - że ten dokument położy kres waszej podróży. - Z tymi słowami położył kopertę na blacie biurka i pchnął ją ku niej.

W środku znajdowała się pojedyncza kartka papieru, którą Munroe dokładnie przeczytała, a następnie włożyła z powrotem do koperty. Don Felipe zdusił papierosa w popielniczce.

- W Republice Gwinei Równikowej prawo jest najważniejsze - rzekł. - Obowiązuje wszystkich, bez wyjątku. Teraz, kiedy macie już państwo informacje, po które przyjechaliście, radzę wam, żebyście wrócili do waszego kraju.

Munroe pokiwała głową.

- Dziękuję panu za życzliwość i ciepłe przyjęcie - powiedziała, po czym dodała: - Jak z pewnością pan wie, podróż z mojego kraju do waszego jest długa i męcząca. Słyszałam wiele dobrego o plażach w Bacie i parku narodowym Monte Alen. Przed powrotem do domu zrobimy sobie kilkudniowe wakacje.

Don Felipe zmienił pozycję na fotelu. Milczał przez chwilę, wpatrując się w Munroe. W końcu wstał i uścisnął jej dłoń.

- Wszyscy godni szacunku goście są mile widziani na naszej ziemi. - Odprowadził ją do drzwi i otworzył je. - To godne pożałowania - mówił dalej - ale ostatnio nasze granice przekraczają również tacy, którzy nie są mile widziani... niebezpieczni ludzie z sąsiednich krajów. Ja i moi ludzie robimy, co w naszej mocy, żeby utrzymać spokój. Jeśli postanowicie państwo tu pozostać, to wasza decyzja, ale pamiętajcie, że nie możemy zagwarantować wam ochrony przed takimi niepożądanymi elementami.

- Dziękuję panu za łaskawość i troskę - odparła. - Pańscy rodacy mają szczęście, posiadając takiego obrońcę jak pan. - Odwróciła się i wyszła wraz z Bradfordem, po czym drzwi za nimi się zamknęły. Powrót do hotelu zająłby im mniej niż dziesięć minut, gdyby Munroe wybrała spacer, ale zamiast tego zatrzymała taksówkę. Bradford uniósł pytająco brwi, kiedy to zrobiła, ale nie usłyszał żadnego wyjaśnienia. W czasie jazdy siedziała w milczeniu, wpatrując się w zadumie w dach taksówki i nie zwracając uwagi na to, że jej głowa od czasu do czasu uderza w oparcie fotela. Bradford także nic nie mówił.

Kiedy dotarli do hotelu, ruszyła natychmiast w stronę swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi bez słowa, gdyby Bradford nie zatrzymał ich ręką.

- Michael, ja naprawdę chciałbym wiedzieć, co się właśnie stało.

Zawahała się, a potem otworzyła drzwi szerzej i wpuściła go do środka.

Usiadł na krześle przy jej łóżku, a ona podeszła do oszklonych drzwi wiodących na balkon i patrząc przez szybę, skierowała wzrok gdzieś w dal.

- Nie zrozumiałem nawet połowy z tego, o czym tam rozmawialiście - powiedział. - Co on ci dał?

Wciąż patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, odparła: - Akt zgonu Elizabeth.

W pokoju zaległa cisza. Po chwili Munroe odwróciła się w stronę Bradforda. Siedział z pochylonymi ramionami i twarzą ukrytą w dłoniach. Z wyraźnym wysiłkiem zapanował jednak nad sobą, przeczesał palcami włosy i wyprostował się.

- Czy ona naprawdę nie żyje? - Usta miał zaciśnięte, twarz bez wyrazu. - Nigdy nie przypuszczałem, że możemy dostać tę wiadomość tak bezceremonialnie.

Munroe odwróciła się znowu w stronę balkonu.

- Ten papier jest bezwartościowy. Uwierz mi, że gdyby istniało choć najmniejsze prawdopodobieństwo, że ten dokument ma jakąś wartość, wyjechałabym stąd bez zwłoki, by zakończywszy robotę i wykonawszy zadanie, odebrać jeszcze grubą premię za dostarczenie twardych dowodów na to, co stało się z Emily. - Spojrzała na Bradforda. - Nie, nasze poszukiwania właśnie stały się nieco niebezpieczniejsze i dużo bardziej skomplikowane.

- Nie kwestionuję twojej oceny - powiedział. - Jeśli uważasz, że wciąż jest szansa, że ona żyje, chwycę się tej brzytwy, ale naprawdę nie mam pojęcia, dokąd zmierzasz.

Munroe podeszła do łóżka, usiadła i otworzyła kopertę. - Rozpocniemy od tego - odrzekła - chociaż w tym dokumencie tak wiele się nie zgadza, że nie wiadomo, od czego zacząć. - Zagryzła wargę i zmrużywszy oczy, popatrzyła na kartkę. - Na początek sam papier. - Uniosła dokument do góry, żeby mógł zobaczyć wzory wydrukowane wokół krawędzi oraz szczegóły nagłówka. - Widzisz numer na górze? To papier za pięć tysięcy franków CFA - papier rządowy. Trzeba go kupić od ministerstwa finansów.

Jego twarz była zupełnie pozbawiona wyrazu.

- Za każdym razem, gdy ludzie chcą otrzymać oficjalny dokument, muszą kupić taki papier i zanieść go do tej z agend rządowych, która posiada potrzebne im informacje. Jeśli

chcesz odprawić jakieś towary w porcie, zgodę otrzymasz na rządowym papierze. Potrzebujesz świadectwa urodzenia? Rządowy papier. Chcesz otrzymać dowód rejestracyjny swojego samochodu? Rządowy papier. - Podała mu kartkę. - Ktoś musiał za to zapłacić w ministerstwie finansów i przynieść na posterunek. Wątpię, czy tym kimś był urzędnik, który napisał to wszystko na maszynie i który zarabia pięćdziesiąt dolarów miesięcznie.

- A zatem, jeśli dobrze zrozumiałem, każdy, kto prosi o oficjalny dokument, musi dostarczyć odpowiedni papier, żeby go otrzymać?

- Dokładnie tak. A to prowadzi nas do następnej rażącej nieścisłości: akt zgonu w tym kraju jest zupełnie bez znaczenia. Nikt ich nie ma i nikomu nie są one potrzebne. Kiedy w jakiejś wiosce ktoś umiera, nie przeprowadza się autopsji ani nie sporządza policyjnych raportów... z całą pewnością nie ustala się żadnej „przyczyny zgonu”. Odbywa się zwyczajowa ceremonia, potem pogrzeb, jeśli ten człowiek miał szczęście, i na tym koniec. Jeśli poprosisz władze o akt zgonu, pojawi się wielkie pytanie, po co ci on.

- Ale my go dostaliśmy.

Pokiwała głową.

- Dojdę do tego za chwilę. Ten dokument to po prostu wiele błędnie napisanych słów, które zaświadczają, że osoba o tym nazwisku i imieniu umarła w Republice Gwinei Równikowej. - Wskazała palcem papier. - Żadnych szczegółów. Nie napisali nawet, gdzie to się stało ani jakiej była narodowości. Mimo wszystkich wad rządu tego kraju nie zapominajmy, że przez dziesięć lat mieli tu komunizm. Przywiązują dużą wagę do zbędnej, papierkowej roboty i stosowania się do najróżniejszych procedur. Powinniśmy przynajmniej spodziewać się wskazówki, czy zmarła na kontynencie, czy na wyspie.

- Posłuchaj, Michael - odezwał się - chcę ci wierzyć bardziej, niż możesz to sobie wyobrazić, ale dlaczego oni mieliby zadawać sobie trud sporządzania takiego dokumentu? Czy nie byłoby dla nich łatwiej po prostu powiedzieć, że nie mają pojęcia, o czym my mówimy?

- Przychodzi mi do głowy kilka możliwych odpowiedzi na to pytanie - odparła - ale myślę, że najbardziej kupy trzyma się taka: ten kawałek papieru nie dowodzi nawet, że Emily była w tym kraju. To my im podaliśmy jej nazwisko - poznali je z notki biograficznej, którą daliśmy Mbie w ministerstwie. Ten kawałek papieru oznacza tylko tyle, że ktoś, kto odebrał wykształcenie za granicą, kto wie, co akt zgonu znaczy dla ludzi takich jak my, nie chce, żebyśmy weszli na kontynencie, i ma nadzieję, iż to wystarczy, by przekonać nas do powrotu do domu.

Munroe wzięła akt zgonu i włożyła go do plastikowej torebki ze swoim paszportem, którą trzymała w specjalnym pasie założonym pod spodnie.

- Miles, od tej chwili sprawy mogą przybrać niebezpieczny obrót. Usłyszeliśmy groźbę i jeśli nie będziemy ostrożni, ktoś ją spełni. Może powinieneś zadzwonić do Burbanka i sprawdzić, czy w tej sytuacji pozwoli ci zakończyć swój udział w tym zadaniu.

- Zostaje - odparł. - Co robimy?

- Musimy jak najszybciej wydostać się z miasta, najlepiej w kierunku kontynentu. - Popatrzyła na zegarek. - Mamy jeszcze trochę czasu do zamknięcia biura GEASA.

Podobnie jak większość punktów usługowych w mieście biuro linii lotniczej znajdowało się na parterze dwupiętrowego budynku. Było małe, ciemne, wilgotne i puste, jeśli nie liczyć dwóch biurek stojących po przeciwnych stronach pokoju. Pracowało w nim dwoje ludzi, sekretarka lub kancelistka i wyraźnie ważniejszy od niej mężczyzna, który przyjął ich pieniądze i ręcznie wypisał bilety. Cała operacja została

zakończona w piętnaście minut - mieli wylecieć pierwszym samolotem, startującym następnego dnia rano.

W drodze powrotnej z biura Munroe wręczyła Milesowi jego bilet.

- Lot do Baty jest trochę jak gra w rosyjską ruletkę - poinformowała go. - Dosłownie. Samoloty to stare, rosyjskie maszyny, których od dawna się nie konserwuje. Zwykle są przeładowane i latają, dopóki nie spadną - najczęściej do oceanu. Miejmy nadzieję, że jutro to się nie stanie.

Powiedziawszy to, zatrzymała się nagle i przeszukała wzrokiem ulicę w obie strony, przyglądając się przechodniom i przejeżdżającym stale samochodom. Bradford zrobił to samo, a potem zapytał: - Czy Cienie nas dzisiaj śledziły?

- Byłam tego pewna - odparła.

- Ja też.

- Myślisz, że mogli nabrać takiej wprawy, by stać się dla nas niewidzialni?

- Wątpię w to - odpowiedział.

- Ja też.

W drodze do hotelu mieli nadzieję, że zauważą kogoś z Cieni i odnajdą tym samym spokój w normalności bycia śledzonymi, ale zamiast tego odkryli, że są sami.

Podczas kolacji rozmawiali niewiele i po raz pierwszy od przybycia do miasta Munroe wyczuła oznaki niebezpieczeństwa. Nie przejawiało się w słowach, ale właśnie w milczeniu, rzeczach niewypowiedzianych i śmiechach przekomarzających się na zapleczu pracowników hotelu, śmiechach, których już nie było słyhać.

Kelner, poprzednio przyjazny i pogodny, był tego wieczoru poważny i małomówny. Przyniósł ich drinki, ale Munroe je odesłała, prosząc o nieotwarte puszki, a potem, jakby osiągnęli jakieś milczące porozumienie, nie zamówili, ani ona, ani Bradford, nic do jedzenia. Woleli sączyć w milczeniu coca-colę z puszek i udawać, że bawi ich zachowanie hałaśliwej

grupy pijanych cudzoziemców, którzy siedzieli dwa stoliki dalej. A kiedy spędzili już tam dostatecznie dużo czasu, by zachować pozory, opuścili patio.

Postanowili, że najlepiej będzie, jeśli spędzą noc w jednym pokoju. Bradford poszedł do swojego po pościel oraz rzeczy, a Munroe, czekając na niego, zdjęła buty. Kiedy stawiała je przy łóżku, poczuła pierwsze zawroty głowy. Pochyliła się i oparła o łóżko, żeby nie stracić równowagi, i wtedy ogarnęła ją ciemność. Otworzyła usta, by zawołać Bradforda, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Padła na podłogę, a ostatnią myślą, jaka przemknęła jej przez głowę, było pytanie, jak to się, do cholery, stało.

Rozdział 10

Zachodnie wybrzeże wyspy Bioko, Gwinea Równikowa

Świadomość wracała powoli przez mgłę oszołomienia i Munroe walczyła o odzyskanie jasności umysłu, starając się przypisać znaczenie wszystkim bodźcom atakującym jej zmysły. Najpierw był to wilgotny zapach zardzewiałego metalu, a potem przechodzący przez ubranie chłód stali. Było ciemno, a powietrze pachniało słoną wilgocią. Leżała na boku, zakneblowana, z rękami związanymi na plecach. Nogi miała bose i, o ile mogła to stwierdzić, przywiązane do czegoś ciężkiego. W powietrzu wisiał dym papierosowy i słychać było przyciszone głosy ludzi mówiących szybko w języku, którego nie rozumiała.

Gdzie, do diabła, był Bradford?

Wyczuwała ruch - chaotycznie regularne kołysanie się małej łodzi na otwartym oceanie. Z tyłu dobiegał cichy warkot silnika, co wskazywało na to, że płynie powoli do przodu. W świetle gwiazd i lampy na dziobie widać było cienie czterech mężczyzn. Łódź miała nie więcej niż piętnaście stóp długości i oprócz małej kabiny na rufie była odkryta. Czuła w dali zbliżający się deszcz i wiedziała, że oni też go czują.

Jeden z mężczyzn wychylił się za nadburcie zaledwie trzy stopy od niej. Twarz oświetlała mu pomarańczowa poświata papierosa, która jaśniała, gdy się zaciagał. Przy pasie miał nóż, a obok niego kaburę z pistoletem.

Mgła mącająca jej umysł nadal się unosiła i dezorientacja niepostrzeżenie przeszła w gniew. Patio z Bradfordem, pokój hotelowy, ciemność. Obrazy łączyły się i zderzały. Czuła narastające napięcie, promieniujące z żołądka do klatki piersiowej, młot w głowie walił niczym bęben wojenny, którego dudnienie zakończy dopiero rozlana krew. Zrobiło jej się szaro

przed oczami, ale szybko nad tym zapanowała. Myśl przed działaniem, wiedza przed bitwą.

Nie spuszczała wzroku ze strażnika, który palił, i jednocześnie wykręciła się tak, by rękami dotknąć kostek. Wokół stóp miała owinięty łańcuch, który przechodził przez kawałek rury. Ciężar. Kotwica. Wywieziona w morze i wyrzucona jak śmieci. Żadnych pytań, oskarżeń, tortur i żadnej szansy na wyjaśnienie lub błaganie o litość - wypchnięta do wody ma zniknąć z powierzchni ziemi.

Skurwysyny.

Wewnętrzny bęben rozhuczał się znowu, dudniąc mocniej, szybciej, a potrzeba uderzenia stała się nie do zniesienia.

Oddychaj. Myśl.

W oddali niebo było zabarwione łuną wypalającego się swobodnie naturalnego gazu. Spojrzała na gwiazdy i jak to zrobiła już przy wielu okazjach w przeszłości, odnalazła mapę wyrysowaną na równikowym niebie. Luna posłużyła jej jako znak orientacyjny do oceny odległości. Znajdowali się blisko wybrzeża. Jak daleko od niego? Ćwierć mili? Musiało być mniej.

Mężczyzna przy nadburciu wyprostował się i odwrócił. Zastygła w bezruchu. Zbliżył się do niej i wyciągnawszy rękę, pstryknął kilka razy palcami blisko jej twarzy, a kiedy nie dostrzegł żadnej reakcji, kopnął ją w żebra. Jęknęła. Odwrócił się do niej plecami i światło dziobowej lampy obrysowało w ciemności jego sylwetkę. Mimo że był uzbrojony, miał na sobie cywilne ubranie. Wyrzucił do wody niedopałek papierosa, zwrócił się znowu twarzą do niej, przykucnął i zaczął się szarpać z guzikami jej koszuli.

Dudnienie bębna stało się jeszcze głośniejsze, zagłuszając wszystkie odgłosy dochodzące z łodzi. Jeden ruch, szybki i bezszelestny, węzowe uderzenie, wystarczyłoby, żeby sięgnęła po nóż, poderżnęła mu gardło i wypchnęła ciało za burzę. Napięła mięśnie, by sprawdzić wytrzymałość nylonowego

sznura, którym związano jej nadgarstki. Jednak w tej samej chwili dowódca strażnika warknął jakiś rozkaz i mężczyzna odsunął się, wyprostował, jeszcze raz kopnął ją w brzuch, a potem zapalił kolejnego papierosa i wrócił do pozostałych. Załatwić tego jednego, załatwić ich wszystkich. Skierować łódź do brzegu, a potem... a potem co? Powrócić do Malabo, w którym nie ma żadnej kryjówki, i szukać okazji do wyrwania się z tej wyspy-więzienia? Oddychaj. Myśl. Czas. Potrzebowała czasu, by zdobyć informacje, by zrozumieć, by ułożyć jakiś plan.

Spojrzała w stronę łuny na horyzoncie. Firmy naftowe wykorzystywały helikoptery do przewozu swoich chorych pracowników do Kamerunu. To była jakaś możliwość. Zacisnęła zęby, wyszarpnęła prawy kciuk z panewki stawu, wysunęła powoli rękę z więzów, po czym z cichym, bolesnym trzaskiem nastawiła znowu kciuk. Nie zmieniając ułożenia rąk, sprawdziła łańcuch owinięty wokół stóp i stwierdziła, że jest luźny. Ostrożnie, by metal nie zabrzączał, oswobodziła nogi, i pewna już, że uwolnienie się od ciężaru nie będzie problemem, wsunęła je z powrotem w pętlę łańcucha.

Luba. Doprowadzi łódź do Luby i tam zatankuje.

I wtedy okazało się, że sposobność do działania minęła. Silnik nagle ucichł i łódź sunęła już tylko z rozpędu, wznosząc się i opadając na falach. Ktoś chwycił ją za kark, a potem, wsunawszy dłonie pod jej pachy, przyciągnął ją do sięgającego bioder nadburcia i oparł o nie plecami.

Nastąpiła kolejna gwałtowna wymiana zdań w niezrozumiałym języku. Kiedy trzymający ją człowiek rozluźnił na chwilę chwyt, osunęła się na bok. Chwycił ją znowu, wyprostował i wtedy zapadła cisza. Przez półprzymknięte oczy zobaczyła, że dowódca sięga po broń i w jednej chwili zrozumiała, o co się spierali.

Uniósł pistolet, a ona w tym samym momencie podkuliła nogi i wybiła się do tyłu przez nadburcie, wpadając głową

naprzód do oceanu. Woda zakotłowała się wokół niej z wyraźnie słyszalnym sykiem. Kule. Piekący ból niby ostrze noża przeszył jej lewą rękę tuż pod barkiem. Ciężar u jej stóp obrócił ją i pociągnął w dół. Nie mogąc rozluźnić łańcucha, kopnęła parę razy nogami. Ściągając go rękami, zdołała w końcu uwolnić prawą stopę. Dziesięć jardów pod łodzią dotarła do dna, ale prowizoryczna kotwica wciąż trzymała jej lewą nogę. Czuła narastający ból w spragnionych powietrza płucach i ogarnięta paniką, zaczęła szarpać łańcuch. Coraz mniej czasu. Z całej siły wcisnęła palce między stopę a łańcuch, zyskała cal i po chwili była wolna. Odbiła się od dna oceanu i popłynęła w stronę światła, usuwając po drodze knebel. Wyłynęła pod dziobem łodzi, ale zrobiła to tak, że tylko jej twarz wystawała nad powierzchnię. Ciało ułożyła tak, by zasłaniał je kadłub, i poruszając się razem z nim, gdy kołysał się na falach, wciągała łapczywie powietrze do płuc, a kiedy już je napełniła, zanurzyła się znowu. Pod łodzią owinęła kneblem ranę, zaciskając go jak najmocniej, by nie ściągnąć morskich drapieżników. Wyłynęła znowu na powierzchnię, zaczerpnęła powietrza i zanurkowała, tym razem starając się jak najbardziej oddalić od łodzi.

Mężczyźni chodzili tam i z powrotem wzdłuż burt, wypatrując ruchu w wodzie. Świecili latarkami i od czasu do czasu strzelali. Ich głosy były gniewne, oskarżycielskie, i Munroe wiedziała, że nigdy nie złożą raportu o tym incydencie. Była, jeśli o nich chodziło, martwa.

Odwróciła się na plecy, popatrzyła na gwiazdy, ustaliła, gdzie jest wschód, i popłynęła w tym kierunku.

Powierzchniowe prądy były bardzo silne i dlatego minęły blisko dwie godziny, zanim poczuła pod nogami wygładzone przez wodę wulkaniczne skały. Zanim dotarła na brzeg, zataczając się i potykając na czarnych jak węgiel i dziwacznie ukształtowanych kamieniach, upłynęło jeszcze dziesięć minut. Gdy już wyszła z wody, osunęła się na kolana, a potem padła

na ziemię, ciężko dysząc. Była tak wyczerpana, że miała wrażenie, iż jej ręce i nogi są z gumy. W dali, widoczna tylko jak punkcik światła w czerni, kołysała się na falach łódź. Munroe dowlokła się do miejsca, gdzie głązy dotykały dżungli, tworząc niszę niewidoczną zarówno z powietrza, jak i morza. Nie mogła jej zapewnić schronienia przed nadchodzącym deszczem, ale to nie miało znaczenia.

Sama w ciemności, mając przed sobą ocean i dżunglę za plecami, usłyszała własny śmiech, który rozdarł ciszę.

Znajdowała się na zachodzie wyspy. Droga nie mogła być dalej niż milę lub dwie w głębi lądu, ale były to mila lub dwie dziewiczej dżungli, co oznaczałoby przecieranie szlaku boso. Lepiej poczekać do świtu.

Pomacała się, szukając pasa. Wciąż tam był, schowany pod spodniami. Zwiększało to nieco jej szanse; karty kredytowe były bezwartościowe, ale dzięki pięćdziesięciu tysiącom franków CFA i dwustu nasiąkniętym wodą euro, które w nim ukryła, miała jakąś podstawę do targowania się.

Przysnęła kilka razy i z radością powitała pierwsze promienie słońca, które ukazało się między górami, dostarczając jej wystarczająco dużo światła, by mogła ruszyć w drogę. Najpilniejszym zadaniem było znalezienie wody nadającej się do picia, zanim nasili się upał, gdyż inaczej groziło jej odwodnienie. W nocy piła deszczówkę zbierającą się w porowatych zagłębieniach skalnych, ale teraz wody już nie było. Niezbyt daleko od jej schronienia rosły wysokie, smukłe palmy, których cienie sięgały morza. Pod ich pierzastymi liśćmi widać było mnóstwo orzechów kokosowych. Napięła mięśnie rannej ręki i poczuła smugi piekącego bólu przecinające ją w górę i w dół.

Kula utkwiała w mięśni i ręka była słaba. Wspinaczka na palmę była możliwa, ale niewarta ryzyka.

Szła wzdłuż brzegu na południe aż do miejsca, gdzie kamienie ustąpiły drobnemu piaskowi, i tam znalazła grupę

palm kokosowych, z których niedawno pospadały orzechy. Wybrała zielony z odcieniem brązu na obu końcach i używając kamieni do przecięcia włóknistej łupiny, dotarła do nasiona, po czym rozbiła je ostrożnie, żeby nie uronić ani kropli mleka. Wypiła je i rozłupała jeszcze kilka orzechów, a kiedy już całkowicie zaspokoila pragnienie, napełniła jeszcze żołądek ich mięsistym miąższem.

Ruszyła w dalszą drogę, podążając wzdłuż brzegu i często wypatrując łodzi na horyzoncie. Poranione na ostrych krawędziach skał podeszwy jej stóp krwawiły. Kiedy słońce zaczęło prażyć zbyt mocno, poszukała zacienionego miejsca i przespała kilka godzin aż do późnego popołudnia, które przyniosło ulgę, i podjęła wędrówkę.

Po przejściu kolejnej mili zauważyła ścieżynkę wiodącą od morza w głąb zieleni. Podążyła nią i po blisko mili bujna gęstwina krzewów tworzących podszycie dżungli ustąpiła niskim, przysadzistym drzewom, które rosąc w nierównych rzędach, walczyły o światło między gigantami lasu, a z ich pni zwisały dojrzałe owoce, pełne gorzkich ziaren kakaowych. Ścieżka skończyła się na paśmie asfaltu.

To była droga do Luby, dwupasmowa szosa, która zaczynała się w Malabo, biegła wzdłuż wybrzeża przez trzy czwarte wyspy i kończyła się w tym drugim pod względem wielkości mieście na Bioko, pełnomorskim porcie liczącym mniej więcej trzy tysiące mieszkańców. To była jedyna droga biegnąca wzdłuż zachodniego wybrzeża i liczne, leżące w głębi wyspy wioski były z nią połączone tylko wąskimi, wydeptanymi przez wieśniaków drózkami. Po drugiej stronie szosy na wykarczowanej polaci ziemi stał na wpół ukończony dom z betonowych bloków. Wystające z nich zardzewiałe pręty zbrojeniowe zdawały się sięgać nieba, a gruby dywan zielonej pleśni obrósł już podstawę konstrukcji i powoli pełził w górę. Wokół panowała głęboka cisza, maćcona tylko głosami ptaków i bzyczeniem owadów. Było pewne, że w końcu pojawią się

jakieś samochody, może trzy, cztery na godzinę. Wystarczyło tylko usiąść i poczekać.

Munroe wyjęła z pasa plik franków CFA i włożyła je do kieszeni - może ich potrzebować, by zapłacić za miejsce w jakiejś wspólnej taksówce, jeśli nie trafi jej się coś lepszego. Usiadła oparta plecami o pień wielkiego drzewa, dostatecznie daleko od szosy, by pozostać ukryta, ale też wystarczająco blisko, by dostrzec nadjeżdżające samochody. W cieniu liści powietrze pachniało wilgocią i glebą, żyzną, kipiącą życiem.

Zostało mniej więcej dwie godziny do zmierzchu, kiedy to uzbrojeni żołnierze, którzy zakładają punkty kontrolne co kilka mil wzdłuż szosy, wylegną na nią gromadnie, pijani i nazbyt skłonni do strzelania, i tylko najdzielniejsi lub najbardziej szaleni z kierowców będą podejmować ryzyko jazdy. Do tego czasu przejeżdżać nią mogą najróżniejsze pojazdy, od małych wspólnych taksówek, przeładowanych i z popsutymi często amortyzatorami, do ciężarówek europejskich ekip budowlanych, przewożących ludzi i materiały między różnymi placami niekończących się budów. Przy odrobinie szczęścia może się jej trafić jeden z lśniących, klimatyzowanych land cruiserów, którymi poruszali się członkowie kierownictw firm naftowych. To byłoby dla niej najbezpieczniejsze; wmieszać się w ich grono i stać się natychmiast niewidzialną.

Zastanawiając się nad wydarzeniami poprzedniego dnia, Munroe orała patykiem w ziemi, rysując w roztargnieniu różne wzory. Niczym na planie gry trenera piłkarskiego, koła i linie pojawiały się bez wyraźnego porządku - gwałtowne pociągnięcia, przerywane linie - i podobnie jak te koła wyryte w ziemi, jej myśli krążyły bezładnie, ale zawsze wracały do punktu wyjścia: Emily Burbank.

Jedna sekunda. Sześć cali. Znowu odtworzyła w pamięci niekończące się, zapętłone nagranie: pistolet zbliżający się w ciemności do jej twarzy, a potem skok tyłem do wody. Jedną

sekundę przed kulą. Zacisnęła zęby i wbiła patyk szybciej, mocniej. Wrzucona do oceanu, ponieważ nie zrozumiała aluzji, że ma natychmiast opuścić kraj. Emily Burbank. Do ostatniej nocy to zadanie było dla niej tylko pracą, interesem. Teraz stało się czymś osobistym: Ktoś kazał ją zabić i mało brakowało, a skończyłaby z kulą w głowie. Kolejne koło, kolejny wątek. Jeśli podąży zakazanym szlakiem do Emily Burbank, odpowiedzi same będą jej szukały. A kiedy je pozna, dokona zemsty, nawet gdyby miało się okazać, że za wszystkim stoi prezydent tego cholernego kraju.

Bradford. Gdzie on, do diabła, jest? Dlaczego nie było go na łodzi? Był razem z nią przez cały czas, który spędzili w mieście. Miał zarezerwowany bilet na kontynent, tak jak i ona. Czy wyrzucili go za burzę, zanim odzyskała przytomność?

Pomasowała dłońmi oczy i przycisnęła palce do grzbietu nosa. Jakim cholernym ciężarem stał się dla niej. Zamiast jednej zaginionej osoby musiała teraz szukać dwóch.

Nie.

Bradford potrafił zadbać o siebie. Jeśli do łodzi zawleczono ich oboje, nic już w tej sprawie nie można było zrobić, ale jeśli wylądowała w niej sama - wbiła patyk w ziemię tak mocno, że złamał się na pół - to lepiej by dla niego było, do cholery, gdyby jej teraz szukał.

Podniosła inny patyk, wyłobowała nim kilka rowków. Emily Burbank. Mongomo.

Malabo było jedynym miastem na wyspie z regularnymi i nie tak znowu regularnymi połączeniami morskimi z kontynentem. Malabo: kuszące więzienie, miasto, które za sprawą nieustannej obserwacji lotniska, portu, hoteli, banków i dróg wyjazdowych tak łatwo można było odciąć od świata. Z drugiej strony to właśnie tam były siedziby firm naftowych - jeśli udałoby jej się dotrzeć na teren jednej z nich, zyskałaby szansę, aczkolwiek niewielką, wydostania się drogą powietrzną z wyspy do Kamerunu. Jednak nie. Zbyt wiele tych

„jeśli”, zbyt dużo zależałoby od biurokracji i decyzji innych ludzi. Nie. Nie firmy naftowe. Nie Malabo.

Jeśli nie mogła się dostać na kontynent ze stolicy, to może z Luby.

Czas. Informacje. Oparła głowę o pień drzewa. Musiała porozmawiać z kimś, kto lepiej rozumiał lokalną politykę - i miał dostęp do pieniędzy, zapasów oraz nowoczesnych środków łączności. Tymczasem jednak siedziała w środku dżungli, a wokół niej panował kompletny bezruch.

Obejrzała rany na stopach. Na piętach były miejsca, z których zeszła jej skóra, a pod dużymi palcami u nóg uformowały jej się i popękały pęcherze wielkości dziesięciocentówek. Jeszcze dwa tygodnie i utworzą jej się naturalne podeszwy grubości kilku milimetrów, ale do tego czasu chodzenie nie będzie przyjemnością. Oczywiście pokusa wciąż istniała, ale powrót do Malabo był wykluczony. Nie po buty, nie po Bradforda.

Siedziała, czekając, a po jakimś czasie na jej odkrytej szyi, przedramionach i stopach pokazały się jasnoczerwone plamki, widome oznaki tego, że niemal mikroskopijne insekty sycą się jej krwią. W buszu można się było tylko pocić, znosić swędzenie i czekać, a odretwienie, w jakie się popadało na skutek bezruchu, tłumaczyło, dlaczego nicnierobienie jest dla miejscowych ulubionym sposobem spędzania czasu.

Sprawdziłaby godzinę, gdyby miała jeszcze zegarek.

Ciszę zmaćił warkot silnika wielkiego pojazdu. Munroe podczołgała się do szosy i ujrawszy płaski nos oraz szerokie nadwozie ciężarówki budowlanej, wstała i weszła na asfalt. Samochód miał zielone tablice rejestracyjne z rodzaju zarezerwowanych dla firm o specjalnym statusie, a w kabinie widać było sylwetki dwóch mężczyzn.

Ciężarówka zwolniła, a potem zatrzymała się, wzbijając kłęby kurzu, który uniósł się za nią. Opuściło się okno od strony pasażera.

- Halo! - zawołała Munroe. - Czy jedziecie do Luby?

Otworzyły się drzwi od strony pasażera i z ciężarówki wysiadł mężczyzna. Ubrany był w wyblakłe dżinsy i znoszony T-shirt, a jego twarz i przedramiona były opalone niemal na brąz. Robocze buty miał zakurzone i poplamione cementem, ale Munroe i tak chciałyby je mieć na własnych nogach.

- Jedziemy do Luby - odparł łamaną, mocno akcentowaną angielszczyzną. Wskazał głową ciężarówkę. - Jedziesz?

Włosi.

Munroe skinęła głową i wspięła się do kabiny, gdzie zajęła miejsce między obu mężczyznami, rozkoszując się chłodnym podmuchem z klimatyzatora, który przyniósł upragnioną ulgę jej wysuszonej przez słońce skórze.

Kierowca popatrzył na jej stopy, potargane ubranie i ślady ukąszeń owadów na rękach.

- Co ci się przydarzyło?

Pojazd ruszył do przodu w chmurze cementowego pyłu. Pasażer podał jej małą butelkę z wodą.

- *Mi sono perso* - odpowiedziała i zaczęła pić łapczywie, aż opróżniła butelkę. - Oddzieliłam się od przyjaciół i zabłądziłam. Całkowicie.

Po pierwszych słowach w ich języku obaj mężczyźni najwyraźniej szybko zapomnieli o powadze sytuacji, w jakiej się znalazła. Na ich twarzach pojawiły się szerokie uśmiechy.

- *Ma tu parli Italiano?*

Odpowiedziała im uśmiechem.

- Trochę mówię, wystarczająco dobrze, by się porozumieć.

- W języku jest coś głęboko poruszającego. Jeśli jego znajomość jest czymś oczekiwanym, nie znaczy to nic. Ale kiedy ktoś posłuży się nim niespodziewanie, w goście przyjaźni, umożliwia to natychmiastowe nawiązanie bliskiego kontaktu, jest formą pochlebstwa gwarantującą osiągnięcie celu przez osobę, która go opanowała.

Kierowca miał na imię Luca, pięćdziesiąt dwa lata, pochodził z Bari i od blisko ośmiu lat pracował jako brygadzysta na budowach w Gwinei Równikowej. Salvatore, siedzący na miejscu pasażera, był młodszy, ale niewiele.

Mówiąc o sobie, sięgnął do tyłu i wyciągnął zza fotela apteczkę. Trzęsąc się wraz z samochodem, który co chwila wjeżdżał w dziurę, Munroe opatrzyła swoje stopy, a kiedy mężczyźni zapytali ją o zaplamioną szmatę, która owięzała rękę, wzruszyła ramionami.

- Zadrapanie - odpowiedziała i zmieniła temat rozmowy, zadając własne pytania.

Zabawiali ją opowieściami o życiu w Gwinei Równikowej, o swoich rodzinach, które zostały w domach i które widywali tylko przez kilka miesięcy w roku.

Pieniądze, które zarabiali, pracując na wyspie, rekompensowały im z naddatkiem trudne warunki życia, a od malarii dużo dokuczliwsze były muchy tumbu, których larwy wnikały pod skórę i żerowały na swoim żywicielu, wykorzystując go jako inkubator.

Zbliżyli się do zakrętu drogi. Luca zwolnił i odwrócił się do Munroe.

- Masz dokumenty?

Miała dwa paszporty i jedną z kart stałego pobytu. Nie mogła jednak zaryzykować utraty paszportów, a w tych okolicznościach karta mogła się okazać kłopotliwa.

- Nie miałam nic przy sobie, kiedy rozdzieliłam się z przyjaciółmi - odpowiedziała.

Luca zatrzymał samochód na wąskim poboczu, które wdzierało się w ścianę zieleni. Potarł czoło w zadumie, a potem wskazał szosę. - Zbliżamy się do punktu kontrolnego. Będą chcieli zobaczyć twoje papiery. Nie pozwolą nam zabrać cię dalej bez nich.

Munroe rozważyła swoje szanse wybrnięcia z tej sytuacji, odczytała je z twarzy Luki i jakby powtarzając słowa z dobrze

napisanego scenariusza, powiedziała: - Jeśli brak dokumentów stanowi problem, znajdę sposób, by iść dalej pieszo. - Przerwała, a potem spróbowała wstać i precyzyjnie się obok Salvatore do drzwi. - Nie chcę wam przyczynić kłopotów. Dziękuję wam za pomoc i za wspaniałą rozmowę.

Luca wyciągnął rękę i zatrzymał ją. Wiedziała, że to zrobi.

- To dla ciebie niebezpieczne iść pieszo. - Ściągnął swoją brudną czapkę i podrapał się po głowie. - Mamy piwo, które możemy im oferować... nie będą szukać z tyłu.

Włożył czapkę, wygramolił się z kabiny i dał jej znak, żeby poszła za nim. Skrzynia ładunkowa ciężarówki była odkryta, znajdowały się na niej różne sprzęty oraz zapasy.

- Schowaj się pod plandeką i siedź tam, dopóki po ciebie nie przyjdziemy - powiedział. - Za tym punktem kontrolnym jest jeszcze jeden przed Lubą, a może i dwa. - Upewnił się, że jest bezpieczna, i odszedł.

Ukryta pod plandeką Munroe usłyszała trzaśnięcie drzwi i poczuła, jak silnik z pomrukiem powraca do życia.

Kiedy przejechali punkt kontrolny, zmieniła pozycję, żeby spod tymczasowego stropu utworzonego przez niebieski plastik móc wyglądać na zewnątrz i oddychać świeżym powietrzem.

Ciężarówka zatrzymała się z szarpnięciem na jednej z kilku utwardzonych ulic Luby. Zdziwiona Munroe schowała się głębiej pod plandeką. Luca i Salvatore wymienili szybko przyciszonymi głosami kilka zdań, które usiłowała podsłuchać, ale niczego nie zrozumiała. Po kilku minutach drzwi kabiny zamknęły się z trzaskiem i po raz trzeci samochód ruszył do przodu.

Silnik ucichł w końcu na dobre na pustym placu budowy, który znajdował się poza miastem. Ani Luca, ani Salvatore nie przyszli, jak obiecali, i po przeczekaniu mniej więcej półgodziny Munroe zaczęła opracowywać w myślach alternatywne scenariusze. Ostatecznie postanowiła przespać

się, dopóki było to możliwe, a potem wymknąć, kiedy zapadnie głęboka noc. Obudził ją odgłos kroków. Sięgnęła po swoje noże i dopiero kiedy ich nie znalazła, przypomniała sobie, gdzie jest. Przekręciła się na brzuch i przygotowała do ucieczki. Kroki zbliżyły się i po chwili Salvatore zawołał ją cicho.

Munroe odpowiedziała szeptem, po czym wysliznęła się spod plandeki. Usiadła na krawędzi skrzyni ciężarówki, wymachując nogami, a Salvatore wdrapał się na górę i zajął miejsce obok niej. Spóźnił się, wyjaśnił, bo wokół miasta było dużo żołnierzy legitymujących kogo popadnie. Ponieważ ona nie ma dokumentów, uznali, że przed przyjściem do niej lepiej będzie trochę odczekać. Salvatore wręczył jej buty i skarpetki.

- Nie wiem, czy będą pasować - powiedział. - Ale nie możesz chodzić bosą, mając tak poranione nogi. - Buty tłumaczyły powód ich postojów w mieście. Zrobione z płótna przyszytego bezpośrednio do płaskich, gumowych podeszew, importowane z Nigerii lub Kamerunu, były w tej chwili najpiękniejszą parą, jaką kiedykolwiek widziała.

Munroe włożyła je. Były trochę za luźne, ale tylko trochę. Podała mu banknot o nominale pięciu tysięcy CFA. Uśmiechnął się i odmówił przyjęcia.

- Hostele w mieście są pełne - powiedział. - Zawsze są pełne. Jeśli nie wiesz, gdzie szukać dziś w nocy swoich przyjaciół, możesz zostać w ciężarówce. Ale robotnicy zaczną ją rozładowywać wczesnym rankiem.

Wskazała ręką buty.

- Na pewno nie chcecie za nie pieniędzy... albo za podwiezienie?

- Nie, nie - odparł. - Nie jesteś pierwszym turystą, który wpadł w kłopoty w tym wariackim kraju. Pomagamy, kiedy tylko możemy.

Munroe odczekała, aż Salvatore zniknie z jej pola widzenia, po czym ześliznęła się ze skrzyni i wtopiła w

ciemność. Trzymając się z dala od ulic, ruszyła krętą drogą w stronę wybrzeża.

Upłynęło trochę czasu, zanim zwróciła uwagę na wszechobecny zapach dymu i smażonej ryby atakujący jej zmysły, ale gdy to już sobie uświadomiła, zatrzymała się i podażyła z powrotem w kierunku jego źródła. Rozchodził się z polany leżącej na południe od miasta, na której stały małe domy wzniesione z wykonanych domowym sposobem pustaków i przykryte dachami z blachy falistej. Przy ognisku płonącym za największym z nich krzątały się kobiety przygotowujące posiłki. Wokół nich na odwróconych skrzynkach i prostych krzesłach siedzieli mężczyźni z dziećmi, rozmawiając, jedząc i śmiejąc się. W pobliżu człapały kaczki, a w ziemi przy ogniu grzebały kury, zbierając smaczne kąski, które zostały upuszczone. Na drzewie stojącym niedaleko grupy wisiała lampa naftowa, drugą zawieszono na drzwiach jednego z domów. Oprócz ogniska były jednym źródłem światła.

Ludzi ci rozmawiali w bubi, miękkim, śpiewnym języku rdzennych mieszkańców wyspy, w którym słowa łączyły się w sposób wyraźnie różny niż w bardziej szorstkim fang, dominującym na stałym lądzie i w stolicy. Munroe stykała się z bubi w przeszłości, ale zbyt rzadko, by nim mówić, i dlatego słowa powitania wypowiedziała po hiszpańsku.

Dorośli odpowiedzieli uśmiechami i słowami, dzieci nieśmiałymi spojrzeniami. Grała rolę typowej turystki, a oni odpowiadali na jej pytania, mówiąc o mieście i opisując najlepsze miejsca do kąpieli. Kiedy zaprosili ją na kolację, zaoferowała im kilka tysięcy CFA, których nie chcieli przyjąć, ale nalegała, by to zrobili, i w końcu wcisnęła je w dłoń jednemu z młodszych dzieci. Oprócz ryb jedli banany pocięte w paski i usmażone w oleju palmowym oraz ślimaki przygotowane w oleistym przecierze z pomidorów.

Rozmawiała na różne tematy z młodymi mężczyznami i w pewnej chwili zapytała ich o łodzie, którymi można by dopłynąć na kontynent. Zaczęli kręcić głowami, a potem przedyskutowali jej pytanie w swoim języku, podczas gdy ona uważnie im się przysłuchiwała. Takie łodzie bywają od czasu do czasu w Lubię, ale nie teraz, powiedzieli jej. Zaproponowali, że zaprowadzą ją rano do portu i przedstawią człowiekowi, który jest właścicielem łodzi, na co ona odpowiedziała kolejną sumą CFA za miejsce pod jednym z ich dachów. Jej łóżko było betonową podłogą ze zwiniętą kurtką jako poduszką. Sen nadszedł szybko, gdyż wszystko, co wydarzyło się tego wieczoru, było uspokajająco znajome.

Następnego ranka, jeszcze przed świtem, Munroe stała na brzegu morza i w świetle księżyca oraz gwiazd oglądała rząd łodzi leżących na piasku, miniaturową armadę gotową do wypłynięcia. Tak jak to opisali młodzi mężczyźni, były to drewniane łodzie rybackie, stare i spróchniałe. Najmniejsze z nich były pirogami, niektóre z silnikami przyczepnymi, inne bez. Kilka z łodzi było wyposażonych w żagle, a największa, długa na dziesięć stóp, miała prawie nowy silnik. Munroe obeszała ją dookoła, obmacując dłońmi kadłub. Było w niej wystarczająco dużo miejsca na zapas paliwa koniecznego do przepłynięcia odległości dzielącej wyspę od lądu, ale miała zbyt słabą konstrukcję na rejs po otwartym morzu.

Odeszła od łodzi i stanęła zamyślona tuż za granicą, do której sięgały rozbijające się na brzegu fale. Po chwili zaczęła w nie rzucać kamykami, które podniosła na plaży, próbując stłumić rosnący gniew. Uwięziona na wyspie, czas stracony na próżno. To znaczyło, że jednak będzie musiała zaryzykować powrót do Malabo i poszukać tam jakiegoś sposobu dotarcia na stały ląd. Lotnisko było wykluczone. Pozostał zatem główny port. Śledziła wzrokiem świetlne wzory wypisane na czarnym niebie i starała się wymyślić jakieś rozwiązanie.

Był inny sposób. Boniface Akambe powiedział, że on bywa w okolicy Ureki, że można go tam znaleźć. Chciała się z nim zobaczyć, oczywiście, ale nie w takich okolicznościach. Z drugiej jednak strony w sytuacji, gdy jej możliwości działania zostały poważnie ograniczone, musiała korzystać ze wszystkiego, co było dostępne. Zaczęła negocjować z właścicielem warunki rejsu lekką łodzią na południe wyspy.

Popłynięcie do Ureki. Była to izolowana od świata wioska, najbardziej znana z morskich żółwi, które każdego roku wracały na jej brzeg, by składać jaja. Organizacje działające na rzecz ochrony przyrody poczyniły tam duże postępy w walce z kłusownictwem, płacąc miejscowym za pilnowanie plaż w okresie lęgowym. Do wsi można było dotrzeć tylko od strony morza lub po trzynastogodzinnym marszu przez dżunglę między Gran Caldera de Luba a górą Biao.

Gdzieś w tamtych stronach znajdzie Francisca Beyarda.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca, które zaczęło wyglądać zza góry, wrócił z miasta właściciel łodzi. Przyniósł zapas paliwa, wody i płócienną płachtę mającą pełnić rolę plandeki. Towarzyszący mu dwaj chłopcy załadowali jeszcze różne zapasy, które nie miały nic wspólnego z podróżą. Przedsiębiorczy właściciel zamierzał je sprzedać lub wymienić w Urece, zapewniając tym sobie dodatkowy zysk z wyprawy.

Podróż upłynęła im względnie spokojnie. Trzymali się linii brzegowej, płynąc wzdłuż niej dookoła najszerzej części wyspy. Monotonie zieleni dochodzącej do granicy niekończącego się błękitu oceanu urozmaicały od czasu do czasu małe wioski. Leżąca pod plandeką Munroe drzemała niespokojnie, to usypiana przez stałe kołysanie łodzi i widok zasnutego chmurami nieba, to znów budzona przez lęk, jaki wywoływała w jej sercu perspektywa spotkania z Beyardem.

Przez głowę przebiegały jej możliwe scenariusze ich pierwszej po latach rozmowy. Obietnica pieniędzy może do niego przemówić. Jeśli nie, to co? Odwołanie się do

wspomnień przyjaźni, którą zniszczyła, kiedy znikła bez słowa? Jeśli on nie wywiezie jej z wyspy, pozostanie tylko wyczerpujący marsz do Luby i powrotna podróż do stolicy, gdzie będzie musiała się zmierzyć z bardzo realnym zagrożeniem, że kolejnym miejscem jej stałego pobytu stanie się osławione więzienie Czarna Plaża.

Francisco Beyard wart był takiego ryzyka.

Dowodem, że przybyli do Ureki, był widok ludzi na brzegu i charakterystycznej skały, która wystawała na około dwadzieścia stóp ponad powierzchnię pustej plaży niczym samotny obelisk. Właściciel doprowadził łódź jak najbliżej brzegu, po czym razem z Munroe, która zaciskała zęby z bólu w zranionej ręce, przepchnął przez trzydzieści stóp płytkiej wody, aż osiadła bezpiecznie na suchym lądzie. Piasek był miękki i ciemnobrazowy, w przeciwieństwie do porowatych głazów i czarnych skał, które pokrywały zachodnie wybrzeże wyspy.

Bawiący się w pobliżu chłopcy, bosi i bez koszul, przybiegli ich powitać, gdy łódź znalazła się na plaży. Przewoźnik szczekliwym głosem wydał im rozkazy i rozdzielił świecidełka. Chwycili jego pakunki i poprowadzili ich dwoje w głąb ładu.

Szlak do Ureki piał się stale pod górę przez ćwierć mili bujnej roślinności, wciąż wilgotnej po niedawnym deszczu. Sama wieś była schludnym zbiorowiskiem chat, porządnie porozdzielanych wąskimi ścieżkami, po których nigdy nie jeździły pojazdy motorowe. W przeciwieństwie do domów z pustaków na północy wyspy te w Urece w większości były zbudowane z plecionki obrzuconej gliną i kryte grubą strzechą.

Chłopcy doprowadzili Munroe do domu starszego wioski i paplając bez przerwy, weszli do środka. Wkrótce wyszli w towarzystwie starszej kobiety. Miała na sobie znoszony Tshirt, a w pasie była owinięta kolorową tkaniną, która pasowała do

opaski na głowie. Jej pomarszczoną twarz zdobiły blizny. Powitała Munroe i gestem zaprosiła do środka.

Munroe posadzono naprzeciw mężczyzny, który z pewnością był dużo młodszy, niż na to wyglądał. Siedział po królewsku na drewnianym krześle, a jego ręce spoczywały na gładkiej, błyszczącej palce. Munroe potraktowano bardzo uprzejmie i poczęstowano kawą, a kiedy zaczęli ją pić, mężczyzna zapytał, po co przybyła do wioski, i poprosił o okazanie dokumentów zezwalających jej na podróżowanie po wyspie.

Podawała mu swoją kartę stałego pobytu i wyjaśniła, że chociaż nie ma żadnego dokumentu z ministerstwa spraw wewnętrznych, jest członkiem misji dyplomatycznej mającej do spełnienia kilka zadań, z których nie najmniej istotnym było właśnie odwiedzenie Ureki. Z powodu swojej wyjątkowości, tłumaczyła dalej, jest to jedna z najważniejszych wsi na wyspie, a on jako jej starszy jest jednym z najważniejszych ludzi. Skinął głową na znak zgody i więcej nie pytał o papiery. Jak najogólniej i niebezpośrednio zaczęła z kolei zadawać mu pytania, które miały ją doprowadzić do miejsca pobytu Beyarda.

Starszy często popadał w zamyślenie i odpowiadał lakonicznie. Informacji udzielał w sposób wyważony, a jego powściągliwość upewniła Munroe, że Beyard dotarł do jego kieszeni.

Był gdzieś niedaleko.

Z pełną godności pokorą przeprosiła za przyjście z wizytą do tak ważnego przedstawiciela ludności bez prezentu i wyjaśniła, że częścią jej obowiązków podczas tej misji jest spotkanie z człowiekiem, który ma zapewnić transport. Ponieważ podróżowała w pośpiechu, przybyła z pustymi rękami, ale ten człowiek pomoże jej i przywiezie podarunek później.

Starszy milczał przez chwilę, a Munroe powstrzymała się od mówienia, wiedząc, że on porównuje teraz w duchu potencjalną korzyść z potencjalną stratą, którą może ponieść, jeśli narazi się swojemu mocodawcy.

- Nie mogę powiedzieć na pewno, co jest, a czego nie ma - odezwał się w końcu. - Moje oczy i uszy nie są już tak młode, jak były kiedyś. Ale słyszę szepty, że w Point Delores młodzi ludzie znajdują od czasu do czasu pracę.

- To oczywiste - odparła - że jesteś bardzo mądrym człowiekiem i że twoi ludzie są wybrańcami losu, mając takiego przywódcę jak ty.

Skinął znowu głową na znak zgody i za jego pozwoleniem wyszła z chaty.

Odnalazła swojego przewoźnika, otoczonego przez przywiezione towary, które rozłożył dookoła siebie, i kobiety z wioski. Zdawało się, że wszyscy naraz mówią podniesionymi głosami, targując się zawzięcie. Munroe już rozumiała fragmenty tych rozmów i w przeblyskach oświecenia pojmowała znaczenie kolejnych słów. Jeszcze kilka dni i zacznie mówić w tym języku, a po następnym tygodniu będzie go znała biegle.

Kiedy harmider przycichł i tłum się przerzedził, podeszła do przewoźnika. Jeszcze jedna krótka podróż, powiedziała mu, i ich umowa będzie sfinalizowana. Point Delores, jak się dowiedziała, było leżącym kilka mil dalej na wybrzeżu obszarem łęgowym.

Po dopłynięciu na miejsce wyciągnęli łódź na plażę, tak jak to zrobili wcześniej tego samego dnia, i Munroe zaczęła się rozglądać, szukając śladów obecności ludzi. Tuż nad linią wody zobaczyła leżącą na piasku małą pirogę i niezbyt daleko od niej ścieżkę, rozpoznawalną tylko dzięki kilku śladom stóp oraz złamanym tu i tam gałązkom krzewów. Przyklęła i dotknęła ziemi. Była wilgotna, nasączona wodą. Ślady stóp były świeże. Ścieżka prowadziła w głąb wyspy przez mniej niż

pół mili i kończyła się na małej polance, na której stały trzy budynki.

Największym z nich był dom z pustaków podobny w stylu do tych na północy wyspy; pozostałe dwa miały ściany z plecionki obrzuconej gliną. Na zrobionym z blachy falistej dachu największego widać było także płytki ogniów słonecznych, a przewody elektryczne biegnące od jednego z mniejszych wskazywały na obecność generatora. Po jednej stronie osłoniętego siatką ganku przed frontem środkowego domu siedziało dwóch młodych mężczyzn, drzemiąc w cieniu.

Nie poruszyli się, kiedy podeszła do nich. Uklękła obok nich i w ich własnym języku powiedziała cicho: - Przepraszam.

Nie chciała ich przestraszyć, ale jeśli sądzić po ich przerażonych minach, poniosła sromotną klęskę. Zmieniwszy język na hiszpański, dodała szybko: - Przyszłam zobaczyć się z Kupcem. - A kiedy w wyrazie ich twarzy znalazła potwierdzenie, że to on jest właścicielem tej posiadłości, zapytała: - Czy jest w domu?

Niższy pokręcił głową, po czym odparł: - Wraca wieczorem.

- To dobrze. - Uśmiechnęła się. - Poczekam na niego w środku.

Zapłaciła przewoźnikowi resztą swoich pieniędzy i pouczyła go, co ma odpowiadać, jeśli będzie wypytywany o cel jego wizyty w tej części wyspy. W milczeniu odwróciła się w stronę domu, otworzyła osiatkowane drzwi i odprowadzana obojętnymi spojrzeniami obu młodzieńców, weszła do środka. Ożyły wspomnienia, przewijając się w jej głowie jak film poklatkowy.

Inne życie.

Weszła prosto do pokoju dziennego, przestronnego pomieszczenia, które zdawało się przeczyć małym rozmiarom domu. Było duże i prawie puste, o ścianach otynkowanych i pomalowanych na biało. Jego umeblowanie składało się z

topornej kanapy i dwóch krzeseł. Betonową podłogę pomalowano brązową farbą i wszystko było tak nieskazitelnie czyste, że przywodziło na myśl sterylne środowisko dobrze prowadzonej przychodni przyszpitalnej. Okiennice były zamknięte, a powietrze gorące i stęchłe. Spróbowała włączyć wentylator, ale okazało się, że nie ma prądu.

Drzwi z pokoju dziennego otwierały się na mały korytarz i przez drugie otwarte drzwi mogła zajrzeć do kuchni. Położyła się na kanapie, ignorując pokusę rozejrzenia się po innych pokojach. Wdarła się do jego domu, ale pewne rzeczy pozostały święte. W bezruchu i spokoju powieki zaczęły jej ciążyć i szybko zasnęła.

Gdzieś z mglistej dali świadomości dobiegły ją krzyki. Zdając sobie sprawę z tego, że upłynęło trochę czasu, ale nie wiedząc ile, próbowała się obudzić i wydobyć z lepkich oparów snu. Jednak sieć gorąca i wyczerpania otuliła ją na nowo i ściągnęła z powrotem w otchłań niepamięci.

Głęboki ryk generatora rozdarł ciszę i zagłuszył ludzkie głosy. Lampy w pokoju zamrugały kilka razy i zalały go światłem. Wentylatory zaczęły się kręcić, wysyłając wiaterek, który poruszył stęchłe powietrze. Zbliżał się wieczór i temperatura była już wyraźnie niższa. Wkrótce pojawią się chmary moskitów, powstrzymywanych tylko przez siatki w oknach.

Odgłos kroków na ganku, po którym nastąpiła kolejna salwa krzyków. Znała ten głos. Była już zupełnie rozbudzona i czuła się nieswojo. Przesunęła się na kanapie. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły z trzaskiem. Wpadł jak burza do pokoju, a potem, napotkawszy jej spojrzenie, zatrzymał się w pół kroku, niemal się przewracając.

Rozdział 11

Beyard wyprostował się, a potem wpatrywał w nią przez chwilę.

- Cześć, Essa - powiedział w końcu z wyraźnym akcentem, a właściwie bogatą mieszaniną akcentów. Początkowy wstrząs, który odmalował się na jego twarzy, minął, zastąpiony przez nonszalancję.

Nie rzuciwszy jej drugiego spojrzenia, ruszył w stronę kuchni.

- Przynieść ci coś do picia?

- Tak, proszę - wykrzyknęła w ślad za nim. - Może być woda.

Tekturowe drzwi trzasnęły o framugę.

- Muszę powiedzieć - jego głos był podniesiony, ale stłumiony przez odległość - że kiedy moi chłopcy powiedzieli o gościu, byłaś ostatnią osobą, której się spodziewałem. - Wrócił do pokoju dziennego. - Jestem zaskoczony, widząc cię tutaj. To znaczy, nie tylko tutaj, no wiesz, chociaż tak, to nawet bardziej zaskakujące... ale jestem zaskoczony, widząc cię w ogóle... - Przerwał i szerokim gestem pokazał pokój. - W tym samym pokoju ze mną albo nawet w tym kraju. - Podał jej szklanę. - Jest letnia. Ci pracujący dla mnie idioci dopuścili do tego, że w generatorze skończyło się paliwo.

Uniosła szklanę w niemym toaście i wypła łyk.

Siedzieli oboje w milczeniu, on naprzeciw niej z przedramionami na kolanach, ona z nogami wyciągniętymi i ułożonymi na krześle. Zamyślony obracał szklanę w dłoniach. Przyglądała mu się z uwagą, studiowała go. Był bardziej muskularny, jego dawniej rozjaśnione przez słońce włosy pociemniały, opalenizna nie była tak głęboka, chociaż wciąż był ogorzały, a zmarszczki, rezultat długotrwałego przebywania na świeżym powietrzu, dodatkowo uwydatniały

subtelnie rzeźbione rysy jego twarzy. Jego oczy wciąż były uderzająco niebieskie.

On pierwszy przerwał milczenie.

- Jak mnie znalazłaś?

- Kilka dni temu byłam w Kribi i rozmawiałam z Boniface. Wspomniał, że otworzyłeś interes gdzieś w tej okolicy. Wiedziałam, czego szukać.

Odchylił się do tyłu i lekko uśmiechnął.

- A więc wypytywałaś o mnie? - zapytał po dłuższej chwili.

- Tak, wypytywałam. - Umilkła niepewna, jaki kierunek przybierze rozmowa, po czym dodała: - Jak tam interesy?

Na jego twarzy wciąż był ten półuśmiech i kiedy tak się jej przyglądał, zrozumiała, że przełączył swój umysł na tryb analityczny.

- Nie przejechałaś połowy świata stamtąd, skąd tu przybyłaś, gdziekolwiek to jest, żeby mnie zapytać o interesy, tak jak nie spotkałaś się z Akambe, żeby się dowiedzieć, gdzie mnie szukać.

- Nie - odparła i spojrzawszy mu najpierw w oczy, zaczęła się rozglądać po pokoju. - Tak sobie gadam. Do Boniface sprowadził mnie inny interes, a zapytałam go o ciebie, bo chciałam wiedzieć, jak ci się wiedzie. Nie zamierzałam wpadać do twojej kryjówki.

- Ale tu jesteś.

- Tak - odpowiedziała powoli - jestem tutaj. Niestety sprowadził mnie tutaj ten sam „inny interes”. Muszę się wydostać z wyspy i jestem skłonna dobrze ci za to zapłacić. Chciałabym cię także wynająć, żeby skorzystać z twojej wiedzy i doświadczenia.

Nic nie odpowiedział, ale jego spojrzenie powędrowało do brudnego kawałka materiału wciąż owiniętego wokół jej ręki. Następnie wstał.

- Czy jadłaś coś? - zapytał.

Przechyliła głowę na bok, uniosła wzrok, żeby spojrzeć na niego, ale nie ruszyła się z miejsca i nie odpowiedziała.

- Cokolwiek chcesz ode mnie - rzekł, schylając się ku niej i zniżając głos do prawie szeptu - lepiej będzie porozmawiać o tym z pełnym żołądkiem. Chodź.

Kiedy weszła za nim do małej kuchni, zapalił palnik pod stojącym na kuchence garnkiem. Przy jednej ze ścian ciągnęła się wyłożona kafelkami lada, zakończona metalowym zlewem. Ręcznie wykonane szafki zostały wbudowane w ścianę po prawej stronie. Kuchenka i lodówka stały obok siebie przy lewej ścianie, pasując tam tylko dlatego, że były tak małe. Kuchenka dzieliła się na dwie części, jedną zasilaną przez propan, a drugą przez prąd elektryczny. Osłonięte siatką okno nad ladą wychodziło na podwórko. Ponieważ zbliżał się wieczór, Beyard zamknął od wewnątrz okiennice, których ułożone ukośnie drewniane listewki nie zatrzymywały powietrza, pozwalając mu krażyć.

Pod ostatnią ze ścian stał mały stół i dwa wykonane ręcznie krzesła. Podobnie jak pokój dzienny kuchnia była czysta i skromnie urządzona. Wyjął z szafki dwa nakrycia.

- Nie pytaj, co to jest - powiedział, serwując jej porcję potrawy z parującego garnka - nie zabije cię.

Leśny szczur, mięso mały, nie miało to dla niej znaczenia - jadła gorsze rzeczy. Usiadł naprzeciw niej i patrzył, jak je, a kiedy skończyła, wziął jej talerz i włożył go do zlewu.

- Kiedy ostatnio jadłaś? - zapytał.

- Nie wiem - odparła. - Kolację wczoraj.

Wskazał głową na jej rękę.

- Co się stało?

- Zostałam uśpiona, pobita i postrzelona. Wrzuciliby mnie do oceanu, ale udało mi się wyrwać i wyskoczyć... powinnam być martwa.

Oparł się o zlew, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a nogami w kostkach, patrząc na nią w milczeniu i z cieniem

uśmiechu na twarzy. Po chwili pokręcił głową prawie niezauważalnie, po czym podszedł do lodówki i wyjął z niej dwie butelki piwa. Podał jej jedną, ukląkł obok niej i ujął jej lewą rękę w dłonie. Kiedy zdjął zakrwawioną opaskę z rany i nacisnął lekko na jej obrzeże, skrzywiła się z bólu. Dotknął jej czoła.

- Masz gorączkę - powiedział.

- Wiem.

- Kulę trzeba wyjąć. Mam gdzieś w domu butelkę Black Label. Możesz jej potrzebować.

Oddała mu nieotwartą butelkę z piwem.

Wrócił do kuchni z whiskey, wyjął z szafki szklaneczkę i podał jej razem z butelką.

- Jak długo się nie widzieliśmy? - zapytał. - Dziesięć lat?

- Dziewięć.

- Dziewięć lat. To bardzo długo. Nawiasem mówiąc, dobrze wyglądasz. - Ty też.

Postawił na ogniu garnek z wodą, po czym znowu wyszedł z kuchni i wrócił po kilku minutach z małym, metalowym pudełkiem, które wywołało kolejną falę wspomnień. Do wrzącej już wody wrzucił kilka przedmiotów.

Po kilku minutach wyjął z garnka instrument z ostro zakończonym ostrzem, który wyglądał jak skalpel.

- To było dawno temu - powiedział, kładąc go na szmatce rozłożonej przed nią na stole wraz z kilkoma innymi przedmiotami. - Ufasz mi?

Wlała sobie do ust porcję whiskey i przełknęła ją.

- Zawsze ci ufałam, Francisco.

Zdjął opatrunek z jej ręki.

- Źle ulokowane zaufanie może być niebezpieczne.

Jednym haustem wypić drugą porcję, a potem trzecią.

- Czy to było ostrzeżenie?

Wzruszył ramionami.

- Upłynęło dużo czasu, Essa. Zmieniłaś się. Ja się zmieniłem.

Kula trafiła ją, kiedy jeszcze spadała głową w dół, wbiła się w wewnętrzną część ręki i przeszła w kierunku łokcia. Alkohol łagodził ból, kiedy Beyard przeciął mięsień, ale niewiele pomógł, kiedy zaczął wydobywać pocisk. Chciała wrzeszczeć, chciała go uderzyć, ale zapanowała nad sobą. Beyard wyciągnął w końcu kulę i nim odłożył ją na ręcznik, uniósł do światła i dokładnie obejrzał.

- Może zatrzymasz ją sobie na pamiątkę - powiedział.

Kiedy przepłukiwał ranę wodą utlenioną, wlała w siebie kolejną porcję whiskey.

- Masz szczęście, wiesz? - Wbił igłę w jej ciało, zakładając pierwszy szew na otwartą ranę.

- Dlaczego?

- Że mnie tu znalazłaś. - Na jego twarzy malowało się skucie i po chwili rozdzierający ból znowu przeszył jej rękę, sięgając karku. - Nie bywam tu często. Podrzuciłem tu dziś trochę zapasów i zamierzałem wyjechać na miesiąc. Nie planowałem nawet zostać tu na noc. Co byś zrobiła, gdybyś mnie nie znalazła?

- Nie mam pojęcia - odparła, a jej głos zadrżał, kiedy Beyard wbił igłę, by założyć kolejny szew. - Pewnie czekałabym, dopóki nie straciłabym nadziei, a potem użyłabym lustra, żeby zrobić to, co właśnie robisz, wyjadałabym twoje zapasy, wypisała ci rewers i powędrowała z powrotem do Malabo. Beyard zaśmiał się mimowolnie, a ona wzdrygnęła się, gdy przesunął dłoń.

- Widzę, że w gruncie rzeczy tak bardzo się nie zmieniłaś.

- A ty?

Jego twarz spoważniała. Wbił igłę, żeby założyć ostatni szew.

- Jeśli nie przypęta się zakażenie, nic ci nie będzie - powiedział. - Przez jakiś czas powinnaś uważać na tę rękę.

Musiałem ciąć dość głęboko.

Zanim skończył ją opatrywać, wypila trzy czwarte butelki. Pijana i wyczerpana, nie protestowała, kiedy ją rozbierał i kładł do łóżka. W końcu wyszedł z pokoju, a ona z ulgą pograżyła się we mgle niepamięci.

Kiedy się obudziła, było ciemno i miała wrażenie, że nawet gdy ma zamknięte oczy, łóżko unosi się i powoli obraca. Zdawała sobie sprawę z upływu czasu; mimo ciemności musiało już być przynajmniej popołudnie następnego dnia. Na niskim stoliku po drugiej stronie moskitiery znalazła cztery półlitrowe butelki wody. Wzięła jedną i napiła się, zwilżając wyschnięte usta, a potem, chociaż pokój wciąż wirował, zwlokła się z łóżka. Zaczęła się szarpać z okiennicą, próbując ją otworzyć i wpuścić do pokoju trochę światła, a potem uświadomiła sobie, że przybito nad nią koc, którego nie pamiętała z poprzedniego wieczoru.

Oprócz majtek nie miała na sobie niczego. Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu swojego ubrania, ale zamiast niego znalazła świeżo wyprane spodnie Francisca ułożone na krześle, swój pas na pieniądze położony na nich i koszulę wiszącą na gwoździu przybitym do ściany. Na prawo od krzesła znajdowała się łazienka, puste, prostokątne pomieszczenie z betonową podłogą, która była lekko pochylona w stronę północno-zachodniego narożnika i kończyła się metalowym odpływem. Na prawo od odpływu stał osiemdziesięciolitrowy kubeł z wodą. Używając dozownika, wykapała się w zimnej wodzie, pilnując się, żeby nie zamoczyć rany na ręce.

Francisca znalazła w kuchni. Robił coś, starając się zachować ciszę, a kiedy zobaczył ją w drzwiach, zasłaniającą oczy przed światłem dnia, pochylił się i zamknął okiennice.

- Dzień dobry - powitał ją. - Właśnie miałem sprawdzić, co u ciebie.

- Dziękuję za ubranie - powiedziała. - I za twoje łóżko. - Odsunęła krzesło od małego stołu i usiadłszy, podparła głowę dłońmi. - Jak twoja ręka? - Postawił przed nią kubek z kawą, położył obok niego dwie białe pigułki, ujął jej rękę i podwinąwszy rękaw koszuli, sprawdził prowizoryczny opatrunek.

- Nie boli tak mocno jak głowa.

Nacisnął lekko na ranę, po czym opuścił rękaw i położył jej rękę z powrotem na stole.

- Paracetamol to wszystko, co mogę ci dać. Zmienię ci bandaż, kiedy poczujesz się lepiej.

- Dzięki - odparła i połknęła pigułki, popijając je łykiem czarnej kawy.

Nałożył jedzenie na talerz i postawił go na stole przed nią.

- Na wypadek gdybyś była głodna - powiedział, po czym wyszedł z kuchni.

Jedzenie było ostatnią pozycją na liście jej pragnień, ale wiedziała, że musi coś w siebie wcisnąć. Dziobała je niechętnie widelcem, słuchając, jak Beyard tłucze się po łazience, i do czasu, gdy wrócił do kuchni, udało jej się zjeść mniej więcej połowę.

Francisco odsunął od stołu drugie krzesło, obrócił je i usiadł, położywszy ręce na jego oparciu.

- Niewiele spałem tej nocy. - Dotknął palcem wskazującym skroni i przekreślił go. - Zbyt wiele pytań i mnóstwo wspomnień.

Munroe chciała coś powiedzieć, ale powstrzymał ją, unosząc rękę.

- Będzie jeszcze czas, mam nadzieję, na odpowiadanie na pytania i snucie wspomnień. Powiedziałaś mi wczoraj, że chcesz mi zapłacić za wywiezienie cię z wyspy. Chcę o tym usłyszeć coś więcej. Niezależnie od tego, jaka będzie moja odpowiedź, być może tym razem mam niewielki wybór. Muszę

wiedzieć, Vanesso, kto chce cię zabić i czy ten ktoś, kimkolwiek jest, wie, że jesteś tutaj.

Milczała przez chwilę i w końcu odpowiedziała: - Nie wiem.

Siedział, nic nie mówiąc, a ona zrozumiała, że się nie odezwie, dopóki nie usłyszy pełnej odpowiedzi.

- Domyślałam się czegoś - podjęła. - Wiem dlaczego i mam pewne, raczej mgliste wyobrażenie o tym, kto wydał rozkaz. Do tego miejsca nikt mnie nie śledził, ale oczywiście mimo środków ostrożności, które przedsięwzięłam, zawsze istnieje ryzyko, że przewoźnik po powrocie do domu będzie mówił, a jego słowa ostatecznie dotrą do Malabo. - A to... jak powiedziałaś? Wyobrażenie. To twoje wyobrażenie?

- Wynajęto mnie, bym odnalazła dziewczynę, która zaginęła cztery lata temu, a informacje, które do tej pory zgromadziłam, wskazują na przejście graniczne z Gabonem w Mongomo. Było nas dwoje. Moim zadaniem było odnalezienie dziewczyny, a mój partner miał mnie ochraniać i pilnować, żebym unikała kłopotów... nie bardzo mu to wyszło. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. - Przerwała i wypięła wolno kolejny łyk kawy. - Byliśmy śledzeni już od lotniska i bardzo uważnie obserwowani za każdym razem, gdy wychodziliśmy do miasta.

- Chodziliście po Malabo i zadawaliście pytania?

-Tak.

- Kapitalny pomysł. - Nie próbował nawet ukryć sarkazmu.

- Będzie jeszcze lepiej - powiedziała.

Uniósł brwi.

Z pewnym wysiłkiem sięgnęła w dół i wyciągnęła pas spod spodni. Jej ciało było sztywne i obolałe. Otworzyła plastikową torebkę, wyjęła świadectwo zgonu Emily i podała mu. Wziął je i przebiegając wzrokiem linijki tekstu, zapytał: - Mówisz, że ona znikła w Mongomo?

- Wierzę, że stało się to gdzieś w tamtej okolicy. Nie będę miała pewności, dopóki się tam nie dostanę, by tego dowieść

lub to wykluczyć.

- A ten papier dostałaś w Malabo?

- Tak, od szefa policji. Wezwał jednego ze swoich ludzi i kazał mi to wręczyć, a potem zasugerował, żebym wróciła do domu.

- Zawołowana groźba.

- Nie tak bardzo zawołowana.

Beyard popatrzył na papier i przeczytał go drugi raz. Zmarszczył brwi w skupieniu.

- Co będziesz z tego mieć?

- Masę pieniędzy.

Beyard oparł się wygodnie.

- Tak się tutaj nie robi. Gdyby was zawlekli na posterunek i poddali przesłuchaniu, tak, to by było normalne. Tortury, tak. Pobicie na śmierć w więzieniu Czarna Plaża, tak. Ale wsadzić cię do łodzi i wrzucić do oceanu... nigdy o czymś takim nie słyszałem. Kim byli ludzie, którzy to zrobili?

- Nie jestem pewna. Mieli cywilne ubrania i mówili w języku, którego nigdy nie słyszałam. - Gwardia prezydencka?

- Mówię po arabsku.

- Angolczycy?

- Może. Byli uzbrojeni w makarowy, nie, żeby to szczególnie zawężało listę możliwości.

Popatrzył znowu na akt zgonu, po czym umieścił go w torebce, którą jej oddał.

- I mówisz, że przygotowali to z myślą o was?

- Mniej więcej, tak.

Jego czoło nadal znaczyły głębokie zmarszczki.

- Jestem pewna, że to, co mi się przytrafiło, było następstwem poszukiwania tej dziewczyny.

- A więc przestań jej szukać - odrzekł. - To byłby najprostszy sposób, żeby zachować życie.

- Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego nie?

Cholernie dobre pytanie: Dlaczego nie? Popatrzyła mu w oczy i odpowiedziała: - Po prostu nie mogę.

Prychnął zirytowany.

- Może później będziemy mieli trochę czasu na spory semantyczne. - Wstał. - Kiedy wieść dotrze do stolicy, przybędą tutaj i ustalenie, że powinni zacząć szukać także mnie, nie zabierze im zbyt dużo czasu. Mój statek stoi na kotwicy mniej więcej kilometr od brzegu. Wyruszymy o zmierzchu. - Odwrócił się, popatrzył na nią, a potem przykucnął, tak że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. - Gdyby tu chodziło o kogokolwiek innego, Vanesso, sam wydałbym go władzom i został, żeby obejrzeć egzekucję. Jednak raz już cię straciłem i mam zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, żeby pozwolić, by stało się to ponownie... w każdym razie tak szybko.

- Jestem gotowa dobrze ci zapłacić.

Pokręcił wolno głową i rzucił jej ten sam półuśmiech.

- A jak chcesz to zrobić, skoro przybyłaś do mnie właśnie dlatego, że nie masz przy sobie ani pieniędzy, ani nic wartościowego, czym mogłabyś mnie skusić?

- Planowałam cię odwiedzić po wykonaniu tego zadania, Francisco. Nie po to, żeby prosić cię o pomoc, ale by po prostu zobaczyć się z tobą. To - dodała, wskazując na siebie, a potem na pokój - było, jak to się mówi, ostatecznością. Chwilowo znalazłam się w trudnej sytuacji, to prawda, ale to nie znaczy, że nie jestem bez środków... po prostu nie mam ich na tej wyspie. - Umilkła, a potem zapytała: - Masz telefon satelitarny?

- Mam jeden na statku.

- Ile chcesz, Francisco? Podaj swoją cenę...

- Nie chcę niczego - odparł. - Zrobię dla ciebie, co w mojej mocy, Essa, ponieważ chodzi o ciebie, i tylko dlatego.

Już chciała wstać, ale się zatrzymała.

Beyard nie był altruistą. Był rzezimieszkiem i zawsze istniała jakaś cena do zapłacenia; czegoś od niej chciał i w końcu tego zażąda.

- Kiedy to się skończy - powiedziała - będziesz miał okazję zrealizować swoje marzenie i opuścić ten kontynent.

- Być może - odparł, po czym dodał: - Idź odespać kaca. Wieczorem będą ci potrzebne wszystkie siły.

Wróciła do sypialni, ponieważ podporządkowanie się życzeniu Beyarda było najprostszym sposobem uzyskania tego, czego chciała, ale nie zasnęła, nawet nie próbowała zasnąć. W głowie wciąż miała zamęt i chociaż trudno jej było się skupić na przetworzeniu tych informacji, które tworzyły zagadkową układankę poprzedniego tygodnia, jej umysł wracał wciąż i wciąż od nowa do rozmów i wydarzeń z tych dni, i rozmyślał o Milesie Bradfordzie oraz o tym, co się z nim mogło stać.

Francisco przyszedł, kiedy wciąż jeszcze było jasno. Niósł plecak i wręczył jej drugi, mniejszy.

- Zdołasz to ponieść? - zapytał.

- Co w nim jest?

- Tylko trochę rzeczy, które nie chciałbym, żeby wpadły w ręce tym skurwielom, kiedy będą plądrować to miejsce.

Ledwie widoczna kręta ścieżka, którą szli do statku, wiodła początkowo w kierunku przeciwnym do brzegu wyspy, pnąc się stromo pod górę. Prowadząc w głąb bujnej, wyrosłej na wulkanicznej glebie dżungli, omijała wszystkie zamieszkane miejsca na wybrzeżu. Idący przed nią Francisco przecierał szlak i zarys jego sylwetki, zapach wilgotnej ziemi, plecak na grzbiecie i mlaszczący odgłos ich kroków obudziły wspomnienia, wraz z którymi ogarnęło ją dawno już zapomniane uczucie, że jest w domu.

Ścieżka skręciła w stronę wybrzeża i opadała w dół niemal tak stromo, jak przedtem się pięła. Kiedy doszli do linii brzegowej, Beyard odszukał ukrytą tam łódź. Zepchnęli ją do

morza i wdrapali się do środka. Na pokład trawlera, który stał na głębokiej wodzie niedaleko brzegu, weszli po spuszczonej z burty drabinie. Zanim Beyard wciągnął bączka na pokład, słońce zaszło i nad wodą zapadła ciemność.

Statek był większy od tego, który miał ostatnio. Munroe wiedziała, że tak jak to było w wypadku tego poprzedniego, pordzewiały i nijaki z zewnątrz kadłub był tylko dobrze maskującą skorupą dla supernowoczesnego domu na wodzie. Beyard poprowadził ją do znajdujących się pod pokładem kabin załogi.

- Co o tym myślisz? - zapytał.

- Robi wrażenie.

- To były ukraiński trawler rybacki, zbudowany z myślą o piętnastoosobowej załodze. Teraz nie wygląda już tak jak kiedyś.

- Mogę sobie wyobrazić - powiedziała. Przechodziła od kabiny do kabiny, zaglądając do każdej. Wszystkie były niewielkich rozmiarów i tak zaprojektowane, że ani kawałek powierzchni nie pozostał niewykorzystany, a część z nich nosiła ślady świadczące o tym, że niedawno były zajęte przez ludzi.

- Gdzie twoja załoga?

- Niedaleko.

- Na statku?

Pokręcił przecząco głową.

- Mamy wyznaczone spotkanie. Przez ten cały związany z ropą ruch w Gwinei Równikowej trudniej nam się pracuje. Ale są sposoby. I inne interesy.

- Nie boisz się zostawiać statku bez nadzoru, kiedy wybierasz się na brzeg?

- Nie robię tego często - odparł. - Zwykle wybieram się na wyspę szybką motorówką, a statek zostawiam pod opieką załogi, ale nie, nie boję się. Tu, gdzie jesteśmy, diabeł mówi dobranoc... kto odważy się zadzierać z nami? Miejscowi rybacy

wiedzą, że lepiej się nie zbliżać do statku, a jeśli ktoś, kto wie, co robi, dostanie się na pokład... cóż, wiesz, jak to jest... jestem na to przygotowany. - Umilkł, otworzył drzwi do małej kabiny, sięgnął do środka i włączył światło. - Ta jest twoja.

- A gdzie ty będziesz? - zapytała.

- Tam, przy końcu korytarza lub w sterówce. - Machnął kciukiem w obu kierunkach. - Telefon jest także w sterówce. Zaprowadzę cię tam, kiedy już się rozpakujesz. Weszła do kabiny, żeby się rozejrzeć, i usłyszała trzask zamykających się za nią drzwi. Dopiero gdy wyciągnęła rękę, by je otworzyć, uświadomiła sobie, że nie mają klamki.

Oszołomiony Miles Bradford zatrzymał się i powoli obrócił, starając się objąć wzrokiem chaos panujący w salonie, w którym cała podłoga była zasłana porozrzucanymi książkami i kawałkami szkła. Niski stolik był przewrócony, lustro nad kominkiem pęknięte, a w gipsowej ścianie obok pokoju wypoczynkowego, w którą uderzył z całej siły, ziała duża dziura. Popatrzył na rękę i wytarł krew, która ciekła z jego dwóch kłykci.

Teraz, kiedy coś zniszczył, poczuł się lepiej.

Nie było słów, żeby opisać, co czuł. Tyle pracy poszło na marne. Przygotowując się do zadania, ułożył wiele różnych scenariuszy poszukiwania Emily, ale zaginięcia Munroe nie przewidział w żadnym z nich. Wrzał z wściekłości przez całą drogę powrotną do Stanów Zjednoczonych, gniew w nim coraz bardziej wzbierał, szukając ujścia, aż w końcu eksplodował w zaciszu jego domu. Bradford kopnął jeszcze raz kanapę, po czym stanął i rozpostarł ręce. Wystarczy.

Popatrzył znowu na otaczający go bałagan, westchnął, wyjął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Od dawna już nie dzwonił do swojej gosposi, żeby posprzątała po jego wybuchu. Ona z kolei zadzwoni do swojego męża i razem doprowadzą całe miejsce do porządku, załatają dziurę w ścianie, a kiedy wróci wieczorem do domu, tylko zapach

świeżej farby będzie świadectwem tego, że stracił panowanie nad sobą. Przesząpił przewróconą lampę i spojrział na zegarek.

Została mu godzina, by złapać samolot do Houston.

Bradford szedł wolnym krokiem przez ciche korytarze głównej siedziby Titan Exploration. Pracownicy albo ignorowali go, albo udawali, że go nie widzą, a skiniecie głową asystentom Burbanka wystarczyło, by uzyskać natychmiastowy dostęp do gabinetu szefa.

Otworzył drzwi i ujrzawszy Burbanka, zatrzymał się w pół kroku. Człowiek będący siłą napędową Titana siedział zgarbiony za biurkiem po przeciwnej stronie pomieszczenia. Miał zaciśnięte pięści, jego ciało zdawało się zwijać z bólu i najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie jest sam. Zakłopotany Bradford zrobił pół obrotu, żeby wyjść, potem jednak zatrzymał się i pozostał przykuty do miejsca, obserwując te milczące, emocjonalne zmagania do czasu, aż chwila stała się boleśnie długa.

Zapukał cicho w futrynę, a kiedy Burbank uniósł głowę i przesłał mu blady uśmiech, Bradford powiedział: „Hej”, po czym wszedł w głąb pokoju.

Burbank wyprostował się, wstał i wyszedł mu naprzeciw; z jego twarzy zniknął wyraz bólu, zastąpiony przez maskę spokoju. Uścisnął serdecznie rękę Bradforda i łamiącym się głosem zapytał: - Miles, co, do diabła, się stało?

Bradford wzruszył ramionami, a potem się przygarbił, jakby spuszczone z niego powietrze. Burbank stał nieruchomo i żaden z mężczyzn przez chwilę nic nie powiedział, jakby wspólnie dźwigali ciężar nie do zniesienia, którzy słowa mogły tylko powiększyć.

W końcu Burbank skinął głową w kierunku kanapy i powiedział: - Chodź, usiądziemy. - Nalał drinka z barku i podał go Bradfordowi, po czym usiadł naprzeciw niego, opierając łokcie na kolanach. - Nie spałem od czasu, gdy do

mnie zadzwoniłeś. Poważnie, co się, do diabła, stało? Czego się dowiedzieliście o Emily? Co z Michael?

Bradford wypił jednym haustem zawartość szklaneczki, odstawił ją na stolik i po chwili zastanowienia odparł: - Szczerze, Richard, nie mam pojęcia, do cholery.

- Jak to, nie masz pojęcia? Jak możesz tego nie wiedzieć?

- W jednej chwili szykujemy się do podróży na stały ląd, w następnej... puf, Michael znika, a ja jestem persona non grata.

Siedzieli w milczeniu przez kilka minut, zanim Burbank się odezwał: - Miles, przepraszam. Byłem tak skoncentrowany na tej sprawie z Emily. Ja po prostu... posłuchaj, czy wszystko u ciebie w porządku?

Bradford skinął głową i popatrzył na szklanekę stojącą na stoliku.

- Taa, w porządku. Byliśmy blisko, tak cholernie blisko. - Przeniósł wzrok na Burbanka. - Wszystkie odpowiedzi są tam, Richard. Czuję to.

Burbank wziął głęboki wdech i zmienił pozycję. - Naprawdę myślisz, że jest nadzieja?

- Większa niż kiedykolwiek od początku naszych poszukiwań.

- Tym się różnimy - powiedział Burbank. - Przez cztery lata przeżywałem męczarnie z powodu niewiedzy, a teraz, kiedy w końcu mam poczucie, że sprawa jest zamknięta, mogę opłakać Emily i na tym poprzestać. Ale tobie to nie wystarcza, ty chcesz dążyć dalej.

Bradford westchnął.

- Już ci to tłumaczyłem, Richard. Nawet jeśli Michael myliła się co do tego aktu zgonu, jesteś teraz bliżej prawdy niż kiedykolwiek przedtem. Masz szansę uzyskania odpowiedzi. Prawdziwych odpowiedzi. I doprowadzenia do prawdziwego zamknięcia. Skończenia z sytuacją, kiedy „nie wie się na

pewno”. Miałem rację, sprowadzając Michael, i mam rację w tej sprawie.

- Wróciłbyś do Malabo?

Bradford wyprostował się.

- Nie, wróciłbym na stały ład. Zamierzaliśmy polecieć do Baty, kiedy Michael znikła.

- Ta sprawa z persona non grata nie będzie problemem?

- Są sposoby, żeby to ominąć.

Burbank jeszcze raz wziął głęboki wdech.

- Miles, mam problem. Jeśli myślisz, że jest szansa uzyskania odpowiedzi, to oczywiście chcę je usłyszeć, ale nie kosztem utraty jeszcze jednej osoby. Jeśli Emily zagięła w Gwinei Równikowej, a teraz Michael...

- To inna sprawa - przerwał mu Bradford. - W pierwszej kolejności będę szukał Michael.

- Jej ciała?

- Jej samej.

- Ale mówiłeś przecież, że ona nie żyje.

- Tak mi powiedziano.

Burbank milczał.

- Ta kobieta ma niesamowity instynkt przetrwania - kontynuował Bradford. - Jeśli żyje, a tego jestem pewny, wkurzona zmierza na stały ład. Muszę tam lecieć.

- Przyjmując, że ona żyje, w co, bez obrazy, trudno mi po tym wszystkim, co od ciebie usłyszałem, uwierzyć, nie ma żadnego sposobu, by przewidzieć jej następne posunięcia. Marnujesz tylko czas, mój przyjacielu - powiedział Burbank i dodał po chwili namysłu: - Chyba że wiesz coś, czego ja nie wiem, i ukrywasz to przede mną. Bradford pokręcił głową.

- To tylko przeczucie.

Burbank popatrzył w stronę wielkiego okna.

- Nie wiem, Miles, to może być przesada. Gruba przesada... kolejne daremne poszukiwanie, tyle że tym razem bez powodu ryzykuję utratę dobrego człowieka.

- Z twoją pomocą lub bez niej wracam tam. Wolałbym jednak mieć twoje poparcie.

Burbank wrócił spojrzeniem do Bradforda.

- Jeśli jesteś zdecydowany tam pojechać, to oczywiście masz moje poparcie, choć wolałbym, żebyś tego nie robił. Dostałem dowód, którego potrzebowałem, by zamknąć tę sprawę, nie ma więc żadnego powodu, by to ciągnąć, a już na pewno ty nie masz powodu, żeby ryzykować życie.

- Daj spokój, Richard, nie mówisz poważnie.

- Jestem poważny. Jestem emocjonalnie wyczerpany. Już zbyt długo dręczy mnie ta huśtawka nastrojów. Chcesz jechać, to jedź... moje biuro zajmie się wszystkimi szczegółami. - Znowu skierował wzrok na okno, a jego twarz przybrała nieobecny wyraz. - I szczerze mówiąc, obaj wiemy, że możesz nie wrócić do domu.

Bradford nic nie odpowiedział, a Burbank głośno westchnął, jakby uznając swoją porażkę.

- Zanim tam polecisz - powiedział - opisz wszystko, co widziałeś i o czym słyszałeś. Szczegóły, które odkryliście, zniknięcie Michael, zachowanie urzędników rządowych i sprawę tego aktu zgonu, wszystko, o czym mi powiedziałeś i co ci się jeszcze przypomni. Uznaj to za pożegnalny prezent, gdybyś miał jednak nie wrócić.

Bradford skinął głową, a Burbank podniósł słuchawkę telefonu i po krótkiej rozmowie ze swoim prawnikiem położył ją z powrotem na widełki.

- Ma teraz czas - powiedział. - Możesz się z nim zobaczyć, gdy będziesz wychodził. - Po chwili milczenia dodał: - I co stanie się teraz?

- Odnajdę Michael.

- Jesteś tak pewny, że ona żyje?

- Wystarczająco, by na to postawić - odparł Bradford.

- I możesz ją odnaleźć?

Bradford uśmiechnął się lekko.

- Tak. To mogę zrobić.

Rozdział 12

3°10'N, 9°00'E

Zachodnie wybrzeże Kamerunu

Z wnętrza sterówki Beyard patrzył przed siebie ponad przednim pokładem trawlera, stojąc ze skrzyżowanymi na piersi rękami, nieruchomy; tylko oczy przeszukiwały stalowoszarą powierzchnię oceanu. W pewnej chwili pochylił się nad konsolą, wprowadził współrzędne do systemu nawigacji statku i poczuł, jak drgania związane z korektą kursu przenikają go aż do głębi duszy.

Wróciła, po dziewięciu latach pojawiła się znowu w jego życiu tak nagle, jak z niego znikła.

Dziewięć cholernych lat, od kiedy dotarł jej śladem do pełnych mętnej wody basenów portu w Douali.

Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnej oznaki. Żadnego pożegnania, żadnego podziękowania za wszystkie wspomnienia, żadnego pieprze-was-wszystkich-i-wasze-podłężycie. Po prostu znikła, skazując go na katusze, gdy przez dwa miesiące bezsennych nocy składał w całość kawałki układanki, a dniami podążał nieistniejącym tropem, by w końcu natknąć się na ścianę w postaci frachtowca i ogorzałego marynarza snującego opowieści o bójkach na noże i lingwistycznych zdolnościach chłopca imieniem Michael, którym mogła być tylko Essa.

Stał bezsilny, przykuty do miejsca, patrząc, jak *Santo Domingo* niknie w dali, przecinając ostatnią łączącą go z Essą więź. To właśnie tam, gdy wiatr porwał wyszeptane przez niego słowa „Walencja”, „Hiszpania” trop urwał się ostatecznie i nie było żadnej szansy, by mógł go jeszcze kiedyś podjąć. Szedł nabrzeżem, przekonując się, że jest mu to zupełnie

obojętne, przypominając sobie, że świetnie sobie radził, zanim ona wkroczyła w jego życie.

I to była prawda, chociaż w o wiele większym stopniu kłamstwo.

Podobnie jak trzy pokolenia jego przodków, był Kameruńczykiem, białym Afrykaninem bez żadnego innego paszportu, żadnej innej narodowości i żadnego kraju białych ludzi, do którego mógłby wrócić, gdy zrobi się niebezpiecznie. To był jego dom, jego kraj i od kiedy ukończył trzynaście lat, miał tylko jeden cel: opuścić go. Zebrać fortunę, dzięki której mógłby rozpocząć nowe, dobre życie gdzieś poza Afryką, gdzieś w świecie, gdzie ciężka praca jest nagradzana, a faworyci lub krewni tych, którzy w ramach jakiejś oszukańczej demokracji są akurat u władzy, nie mogą ot tak, w mgnieniu oka zniszczyć jej owoców.

Jego pradziadowie ze strony ojca przybyli tu z Francji jeszcze przed pierwszą wojną światową, by budować życie na tym kontynencie, i wszystko to zostało zrujnowane w jednej chwili, której potrzebował lokalny rząd, by wpaść w gniew. Po wszystkim. Koniec. Owoce ciężkiej pracy całych pokoleń zrównane z ziemią praktycznie w jedną noc, ponieważ jego przodkowie wybrali zły kontynent. Powinni byli wybrać Nowy Świat, gdzie ludzie gotowi ujarzmić dzikie pustkowia zatrzymali to, co udało im się opanować.

Rodzinnie jego matki w Gwinei Równikowej nie powiodło się dużo lepiej. Przybyli na wyspę Bioko pod koniec dziewiętnastego wieku i przez wiele dziesięcioleci posiadali tam plantacje kakao, aż sześć miesięcy po odzyskaniu niepodległości rozpoczęły się rzezie. Pierwszym celem ataków byli ludzie wykształceni oraz obcokrajowcy wszystkich kolorów skóry, i rodzina jego matki uciekła do Douali, gdzie próbowali zacząć wszystko od nowa, obserwując jednocześnie, jak ich ojczyzna, niegdyś jeden z najbogatszych krajów w Afryce, przeradza się w pole śmierci.

W wieku dwudziestu kilku lat Beyard radził sobie, według powszechnie przyjętych standardów, doskonale. Ale prawdziwe pieniądze naprawdę zaczęły płynąć dopiero wtedy, gdy poznał Vanessę Munroe. To nie był przypadek. Pogłoski na temat tej niezwyklej dziewczyny rozeszły się szeroko w środowisku cudzoziemców żyjących w Douali i Beyard zaaranżował spotkanie za pośrednictwem braci Papadopoulos, wykorzystując do tego ich dom na plaży w Kribi. Pod pretekstem załatwienia jakiejś sprawy chłopak Vanessy, Andreas Papadopoulos, zostawił ich w zaciszu ogrodu. Wysoka, tyczkowata i z wyjątkiem uderzająco pięknych szarych oczu dość niezgrabna, nie była kimś, kogo Beyard spodziewał się ujrzeć. Nie przerywając milczenia, przyjrzała mu się uważnie, po czym odwróciła się i oparła przedramiona na drewnianej ławce.

Stojąc tak blisko, że mógł oprzeć swoje ręce obok jej rąk, rozpoczął: - Plotka głosi, że znasz fang.

Przytaknęła skinieniem głowy.

- I kilka innych miejscowych języków.

- Potrzebuję tłumacza na wieczór - powiedział. - Jeśli sobie z tym poradzisz, dostaniesz pięćset franków.

Nie odwracając się w jego stronę, odrzekła: - Pięćset franków to dużo pieniędzy, jeśli chcesz mieć kogoś, kto zna fang. Za dziesięć tysięcy CFA dostałbyś to samo od kelnera z La Balise.

Uśmiechnął się.

- To prawda, ale ty nie wyglądasz na kogoś, kto zna fang. Co ważniejsze, potrzebuję kogoś, komu mogę zaufać.

Odwróciła się i przeszła go świdrującym spojrzeniem; jej oczy zdawały się czytać w jego myślach.

- A możesz mi zaufać?

- Nie wiem - odparł po chwili namysłu. - Mogę?

W kącikach jej ust pojawił się cień uśmiechu.

- Dowiedzenie się tego będzie cię kosztowało pięćset franków.

Spotkanie odbyło się na patio budynku stojącego na obrzeżu miasta, który podczas pełni sezonu funkcjonował jako swego rodzaju hotel. Wieczór tętnił życiem, zewsząd dobiegały śmiechy ludzi zmieszane z rytmami soukosus z jakiegoś grającego w pobliżu radia. W powietrzu unosił się zapach smażonego mięsa i dymu płonącego na ogniskach drewna.

Beyard chciał od niej tylko, żeby słuchała wszystkiego, co wokół nich mówiono. W przedpokoju, kiedy przechodzili na patio, odciągnęła go na bok i ostrzegła, że w razie gdyby dokonali transakcji, zostanie wzięty na muszkę.

Spotkanie przebiegło w atmosferze przepelnionej zawołanymi groźbami i kiepską francuszczyzną, która wkrótce przerodziła się w krzyki. Opuścili hotel, nie dokończywszy sprzedaży, i nie zdążyli jeszcze wyjechać z wyboistego parkingu, kiedy zaproponował jej stałą pracę.

W odpowiedzi spojrzała na niego, po czym przesunęła się, by oprzeć głowę na oknie. Patrząc przez szybę na zewnątrz, milczała przez chwilę z rękami skrzyżowanymi na piersiach, po czym odparła: - Wiem, kim jesteś i co robisz, i co to znaczy pracować dla ciebie.

- Prześpij się z tym - poradził. - Możemy porozmawiać jutro.

Następnego ranka zaprosił Andreasa na śniadanie i wypytał go dokładniej o misjonarskie pochodzenie Vanessy, uświadomił sobie ze zdziwieniem, że wbrew wyobrażeniom rodziców Papadopoulosa związek obojga nastolatków wykracza daleko poza granice zwykłej, szczenięcej miłości.

- Czy ona jest w twoim wieku? - zapytał Beyard.

Andreas uniósł wzrok, wyraźnie zaskoczony.

- Młodsza.

- Ile ma lat? Szesnaście? Siedemnaście?

- Czternaście.

Beyard cicho zagwizdał.

- A jej rodzice? Czy oni wiedzą?

- Wiedzą. Wcale się z tym nie kryje. Czasem myślę, że po prostu mnie wykorzystuje, by się na nich odegrać... nie, żeby mi to przeszkadzało. - Uśmiechnął się prawie nieśmiało. - Zabrała mnie do domu na ostatnie Boże Narodzenie, żebym ich poznał, i przysięgam, że najbardziej wymyślny i najgłośniejszy stosunek w moim życiu odbyłem właśnie wtedy, gdy jej rodzice leżeli o sześć cali od mojej głowy, po drugiej stronie ściany. Wierz mi, oni wiedzą.

- A więc ich to nie obchodzi?

- Och, jasne, że obchodzi. Ale co mogą na to poradzić?

- Zabrać ją do domu? Wysłać gdzieś do krewnych? Odciać od pieniędzy?

- Ona nie chce wrócić do domu, już mieszka u przyjaciół rodziny, a nawet gdyby rodzice przestali dawać jej pieniądze, poradziłaby sobie w inny sposób. - Andreas wzruszył ramionami. - W ostatecznym rozrachunku ojciec pozwala jej na wszystko. Myślę, że to jakiś emocjonalny szantaż.

Beyard ponowił swoją ofertę podczas lunchu. Jeśli zgodzi się dla niego pracować, powiedział, pokryje jej wydatki na życie, będzie płacić za wszystkie wybrane przez nią kursy w systemie uczenia się na odległość i da jej procent od zysków z wszystkich transakcji, które z jej pomocą załatwi. Nie odpowiedziała tak ani nie, obiecała o tym pomyśleć, kazała mu wrócić następnego dnia, a kiedy to zrobił, dowiedział się, że wyjechała z Kribi.

Znalezienie jej w Douali zajęło mu kilka dni, a kiedy już mu się to udało, nie przeprosiła go ani słowem i powiedziała tylko, że weźmie pracę, ale chce większego procentu. Kiedy odmówił, wzruszyła ramionami, odwróciła się, żeby odejść, i wtedy ustąpił.

Przeniósł ją do swojego domu na plaży, pozwolił jej z niego swobodnie korzystać i kiedy był zastój w interesach, rzadko ją widywał. Kiedy jednak praca była, stała zdecydowanie u jego boku jako milczący partner z darem obserwacji i lingwistycznymi umiejętnościami wartymi wielokrotnie więcej niż procent od zysku, który jej przyznał.

Później, kiedy napięcie minęło, a pieniądze były bezpiecznie schowane, rozmawiali i pili do późna w nocy. Nauczył ją grać w szachy, a ona dawała mu do myślenia swoimi obserwacjami dotyczącymi kultur ludów, wśród których żyli. Nauczył ją pić dobre wino i słuchać muzyki klasycznej, a ona opowiadała mu miejscowe legendy, spierała się z nim na tematy teologiczne, przy czym ich rozmowy często nabierały charakteru dyskusji filozoficznych.

Blisko rok później dowiedział się, że to nie on ją złowił, ale było wręcz odwrotnie, że już na wiele miesięcy przed ich pierwszym spotkaniem rozpracowała go - wygrzebała informacje, o których istnieniu nawet nie wiedział - przeanalizowała go, zrozumiała, co nim kieruje, wyczuła go, a potem posłużyła się Andreasem, aby zbliżyć się do niego, a nie odegrać na rodzicach. Widząc, że bracia nie utrzymają języka za zębami, podsuwała im pomysły i informacje, tworząc tło mające wzbudzić jego ciekawość. Wiedziała, że zacznie jej szukać, a kiedy to zrobił, skusiła go jedyną umiejętnością, której nie posiadał i której nie potrafił się oprzeć. Ostatecznie uzyskała dokładnie to, czego chciała: niezależność i pieniądze.

Rozbawiło go to; w jakiś przewrotny sposób cieszyło go, że wyprowadziła w pole tak wytrawnego stratega jak on. Jednak tego wieczoru zaczął ją postrzegać inaczej, jako kogoś sobie równego. To właśnie wtedy uświadomił sobie, że ona nie jest już tyczkowatą nastolatką, którą sprowadził do swojego domu. Dotarło do niego, że niezgrabna dziewczyna zmieniła się w piękną kobietę, a wraz z tą obserwacją pojawiło się pragnienie, by ją posiadać. Nie, to były późniejsze refleksje. Tak

naprawdę chciał ją przelecieć, a potem mieć ją na własność, jej ciało i jej umysł.

Zasnęła na kanapie, a jej długie nogi wystawały spod cienkiego koca, którym się owinęła. Ukląkł przy niej i patrzył, jak śpi. Był tak blisko, że czuł jej oddech na policzku. Pomyślał, że mogłaby do niego należeć, i wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ale zaraz ją cofnął. To była świadoma decyzja, strategiczna decyzja. Nie miało to nic wspólnego z żadnym pojęciem dobra ani moralności; żył według własnych reguł i zawsze dostawał to, czego chciał, przy czym nie miało dla niego znaczenia, jakimi metodami to osiągał. Był tym, kim był, nikogo nie udając i z niczego się nie tłumacząc, a w jego życiu barbarzyństwo mieszało się z kulturą. Nigdy przedtem nie zrezygnował z zaspokojenia jednego pragnienia ze względu na inne. I gdyby wiedział, ile bólu mu ta zmiana przyniesie, nigdy by się już nie zaśmiał.

Z czasem to, że jego baza znajdowała się w Kribi, zaczęło być problemem. Wprawdzie jego posiadłość leżała na uboczu, z dostępem zarówno od strony morza, jak i lądu, ale to nie wystarczało. Potrzebne mu było miejsce, które by jeszcze mniej rzucało się w oczy, i dlatego zwrócił uwagę na Gwineę Równikową. Rio Muni, kontynentalna część tego kraju, leżała zaraz na południe od Kamerunu, a od wyspy Bioko dzieliła ich krótka podróż, której czas zależał tylko od tego, jakich łodzi używali. Lokalizacja nowej bazy była obiecująca także z tego powodu, że znajdowała się niemal w połowie drogi między Libreville a Doualą, a ponieważ Gwinea Równikowa była straszliwie biedna i nie miała żadnej floty ani wartej wspomnienia straży wybrzeża, nie istniało także praktycznie żadne ryzyko natknięcia się na miejscowe władze podczas transportowania towarów z jednego miejsca w drugie. Wydawało mu się to formą prawdziwej sprawiedliwości, że kraj odpowiedzialny za biedę jego rodziny wkrótce umożliwi mu zdobycie bogactwa.

Dodał do swojego zespołu kilku nowych ludzi i sprowadził najemników do ochrony. Wykorzystywał pracę jako okazję do ucieczki od euforycznego bólu, który doprowadzał go do szaleństwa, kiedy musiał przebywać w towarzystwie Vanessy, i był wdzięczny Pieterowi Willemowi za to, że zabierał ją do lasu na tak wiele godzin każdego dnia. Mimo jej często ponawianych próśb, by usunął Willema z zespołu, nigdy tego nie zrobił.

Renoma Beyarda rosła, a wraz z tym coraz szerzej rozchodziły się pogłoski na temat towarzyszącej mu kobiety. Nie rozumiał tych plotek i nie zdawał sobie sprawy z zasięgu i siły wiążących się z nią przesądów, bo Munroe nigdy mu o tym nie wspomniała. Dopiero po jej zniknięciu uświadomił sobie, że nie tylko jego serce było tak mocno z nią splecione, ale że jego powodzenie w dużej mierze też opierało się na otaczających ją legendach, a jego partnerzy w interesach po prostu panicznie bali się juju, któremu ona rozkazywała. I nagle juju odeszło.

Stał tamtego dnia na nabrzeżu portu, patrząc na ocean, śledząc wzrokiem *Santo Domingo* do czasu, aż znikł za widnokretem. A potem, nienawidząc jej, wrócił do Kribi, by zacząć od nowa z tym, co mu zostało. Odbudował swój interes, doprowadził go do rozkwitu, tak jak to zawsze robił. A teraz ona wróciła.

Munroe przesunęła ręką po drzwiach w miejscu, gdzie powinna być klamka. Obmacała palcami futrynę i zbadała wytrzymałość samych drzwi, odnotowując w pamięci, że pod drewnopodobną okładziną są metalowe. Przyłożyła do nich ucho, nasłuchując odgłosów kroków Beyarda w korytarzu, i nic nie usłyszawszy, zapukała cicho, po czym powiedziała: - Francisco, czy możesz otworzyć, proszę?

Cisza.

Zawiasy były po zewnętrznej stronie.

Wyjęła ze swojego pasa kartę stałego pobytu i wsunęła ją w szparę między drzwiami a framugą na wysokości zamka.

Nic.

Obmacała ściany kajuty.

Metal.

Do każdej ze ścian kajuty była przymocowana mała koja, między nimi stał składany stolik, a nad każdą wisiała szafka. Nie było iluminatora ani łazienki.

To była cela. Więzienie.

Wezbrał w niej gniew tak wielki, że aż zrobiło jej się szaro przed oczami, ale zapanowała nad nim. Spodziewała się rewanzu, ale nie takiego i nie tak szybko.

Rzuciła plecak na koję, a potem, po chwili wpatrywania się w niego, wysypała na koc jego zawartość. Wolno, zaskoczona widokiem, usiadła obok. Były to jej rzeczy osobiste, które zostawiła, wyjeżdżając przed laty z Kamerunu: szczotka do włosów, notatnik i kilka sztuk odzieży. Podniosła szczotkę i przesunęła palcami po twardym włosiu. Następnie ujęła jedną ręką jej główkę, a drugą rączkę i mocno pociągnęła. Części rozdzieliły się i spod włosia wysunęło się czterocalowe ostrze. To była pamiątka z czasów, gdy zmagала się z Pieterem Willemem, jedna z wielu prymitywnych broni, które sobie zrobiła, żeby nigdy nie być bezbronna. Złożyła z powrotem obie części szczotki i rzuciła ją na inne rzeczy. Obojętnie jakie są zamiary Beyarda, nigdy nie użyje przeciwko niemu broni, którą przygotowała z myślą o Willemie.

Statek nagle zadrżał. Silniki ożyły i zaczęły go pchać gdzieś w nieznane. Munroe zgasila światło i położyła się na jednej z koi. Wzięła jeden głęboki wdech, potem drugi i trzeci, starając się wprowadzić w stan spokoju i jasności myśli.

Jeśli Beyard nie planuje jej zagłodzić, wkrótce wróci. Miała jeszcze dwa dni do terminu, kiedy Breeden spodziewała się od niej wiadomości. Dwa dni bez zegarka i żadnego innego sposobu mierzenia czasu; mogła tylko czekać.

Statek poruszał się ze stałą szybkością, stałe też były wibracje wzbudzone przez silniki, i upłynęły dwie godziny, najwyżej trzy, zanim wyczuła inne drgania, których źródłem były kroki w korytarzu. Wsunęła szczotkę w spodnie na biodrze i znowu wyciągnęła się na koi z rękami założonymi za głowę. Nie wstała, kiedy drzwi się otworzyły.

W progu widać było ciemną sylwetkę Beyarda, wyraźnie rysującą się na tle jasno oświetlonego korytarza.

- Nie mów mi, że ta kabina była zarezerwowana specjalnie dla mnie - odezwała się.

- Nie jesteś tu pierwszym gościem, jeśli to miałaś na myśli.

- Czego chcesz, Francisco?

- Jeszcze nie wiem - odparł. - I dopóki tego nie postanowię, chcę mieć pewność, że nigdzie nie uciekniesz. Na razie dotrzymałem obietnicy i zabrałem cię z wyspy.

Obserwowała go, studiowała jego pozę i analizowała intonację.

- Dokąd miałabym uciec? Jesteśmy na otwartym morzu.

Usiadła. Napiął mięśnie.

- Nie boję się ciebie, Francisco, i nie mam żadnych powodów, by uciekać.

- Już to kiedyś zrobiłaś - odparł cichym, melancholijnym głosem. - Nie mam gwarancji, że nie zabierzesz w nocy którejś z małych łodzi. - To prawda - przytaknęła i wstała. Nie widząc jego oczu, skrytych w cieniu, starała się na podstawie drobnych reakcji jego ciała ocenić, jak szybko mogła się poruszać. - Ale dlaczego miałabym to zrobić, jeśli powiedziałeś, że mi pomożesz? Ja nie tylko muszę dostać się na stały ład, potrzebna jest mi jeszcze twoja wiedza i umiejętności, kiedy już tam będę.

- Nie interesuje mnie dzielenie się moją wiedzą i umiejętnościami.

Zrobiła krok w jego stronę.

- Chciałam ci dobrze zapłacić, ale najwyraźniej pieniądze cię już nie interesują. - Jeszcze jeden krok, powoli i jakby od niechcenia. Gesty wykonywane przez jej ręce były nieco przesadnym uzupełnieniem słów. - Muszę się dostać do Mongomo i chciałabym, żebyś pojechał tam ze mną. Powiedz, co cię interesuje... nazwij to, a ja znajdę sposób, żeby ci to dać. - Jeszcze trochę i będzie mogła go osiągnąć.

- Szukałem cię przez dwa miesiące - odparł. - Nie miałem pojęcia, co ci się przytrafiło, nie wiedziałem, czy umarłaś, czy ktoś cię porwał dla okupu, czy po prostu się zgubiłaś. - Głos mu się urwał, a potem uniósł gwałtownie głowę i popatrzył na nią gniewnie. - Dwa miesiące, Vanesso. Czy masz pojęcie, jakie to było piekło?

Dotknęła lekko jego przedramienia i w tej samej chwili, gdy poczuł na skórze ciepło jej palców i schylił głowę, by na nie popatrzeć, uderzyła go pięścią w szczękę. Siła ciosu odrzuciła go do tyłu, ale ona skoczyła za nim, zadając mu drugi, a potem trzeci i przypierając go do ściany. Trzymał się za szczękę i patrząc na nią szeroko otwartymi oczami, potrząsał głową. Krew ciekła mu z kącika ust i barwiła na czerwono palce. Zanim zdołał zareagować, stanęła przed nim i rozłączywszy obie części szczotki, pokazała mu ostrze, trzymając je o kilka cali od jego twarzy.

- Mogłam cię zabić - powiedziała. - Pamiętaj o tym. - Złożyła szczotkę i rzuciła ją na podłogę. A potem, przyjąwszy mniej agresywną postawę, dodała łagodniejszym głosem: - To, co mówiłam, było prawdą, Francisco. Muszę się dostać do Mongomo i nie znam nikogo, kto wiedziałby o tej piekielnej dziurze więcej niż ty. Teraz, gdy cię znalazłam, nigdzie się już nie wybieram.

W korytarzu zapadła cisza.

Wciąż oparty plecami o ścianę Beyard osunął się wolno na podłogę z jedną nogą zgiętą w kolanie, a drugą wyciągniętą na

środek korytarza. Przygarbiony zasłonił dłonią oczy i rozplakał się, targany bezgłośnym łkaniem.

Munroe stała nad nim, wstrząśnięta i przerażona, i właśnie wtedy zrozumiała.

Osunęła się na kolana obok niego, położyła mu głowę na ramieniu i przeszłość wróciła do niej wielką falą, w jej pamięci odżyły wspomnienia o tak wielu wydarzeniach i wskazówkach, których nie dostrzegała, zaabsorbowana unikaniem Willema.

- Francisco - wyszeptała. - Tak mi przykro. Nie miałam pojęcia.

Objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i przytulił tak mocno, że rano pewnie będzie miała sińce. Ciepło jego oddechu owionęło jej włosy i szyję, a resztką łez zwilżyła skórę. Rozluźniła się w jego ramionach. Po jakimś czasie Beyard zdołał zapanować nad emocjami i zapytał: - Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego zniknęłaś w ten sposób?

- Musiałam uciec przed tym, kim się stawałam - odpowiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

- Mogłaś mi powiedzieć, mogłaś się pożegnać, dać mi znać, że nic ci nie jest.

- Nie twierdzę, że postąpiłam słusznie, ale wiesz równie dobrze jak ja, że gdybym cię uprzedziła o moim zamiarze, błagałbyś mnie, żebym została.

- Każdej nocy przychodziłaś do mnie w snach - mówił dalej. - Najbardziej bałem się tego, że Pieter wrócił po ciebie, by zrobić mi na złość. Każdej nocy przypominały mi się te chwile, kiedy prosiłaś, żebym go odesłał, a ja ci odmawiałem. - Głos Beyarda załamał się. Odetchnął głęboko kilka razy i kontynuował: - Kiedy się dowiedziałem, że opuściłaś Afrykę, nienawidziłem cię. Nienawidziłem cię za ból, który przez cały czas szarpał mi trzewia. I co dziwne, byłem także szczęśliwy, bo wiedziałem, że żyjesz i że sama podjęłaś tę decyzję, że to nie Pieter zrobił to za ciebie.

- Willem nie żyje - powiedziała Munroe. - Tej nocy, kiedy się pokłóciliście, poszłam za nim, gdy ruszył do łodzi. Poderżnęłam mu gardło i nakarmiłam nim dzunglę.

Beyard puścił ją, potem odsunął od siebie i obrócił, by patrzyła mu prosto w oczy. Szok malujący się początkowo na jego twarzy ustąpił pełnemu niedowierzania uśmiechowi.

- Dlaczego miałabyś to zrobić? - Bo był sadystycznym psychopata i zabijając go, nie tylko zemściłam się za codzienne tortury i gwałty, ale uratowałam także jego przyszłe ofiary od tego samego lub gorszego losu. To jego łodzią wróciłam do Kamerunu... zatopiłam ją trochę na południe od Douali. Pewnie wciąż tam jest. - Przerwała, po czym dorzuciła: - Musiałam odejść, Francisco, bo inaczej stałabym się takim samym potworem jak on.

Beyard milczał przez chwilę, starając się zrozumieć pełne znaczenie jej słów, które wciąż zdawały się pobrzmiwać w ciszy korytarza, po czym przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Nie wiedziałem, Essa, przysięgam. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę teraz, że powinno to być dla mnie takie oczywiste, ale wtedy tego nie widziałem.

- Wiem. I ukrywałam to przed tobą, bo wiedziałam, że gdybyś zdawał sobie z tego sprawę, próbowałbyś mnie chronić, a on by cię zabił.

- Mówił mi, że lubi z tobą ćwiczyć, ponieważ zmuszasz go do utrzymania najwyższej czujności i formy. Powiedział, że masz taki sam talent do noża jak do języków.

- Albo i w tej sprawie jestem przeklęta.

- Wciąż je nosisz?

- Noże? Nie. Zbyt łatwo przychodzi mi zabijanie, kiedy mam nóż w ręce. - Popatrzyła na swoje dłonie, wydało jej się, że widzi na nich plamki krwi, których nie można zmyć, i zacisnęła pięści. - Ciągle ćwiczę, żeby zachować refleks, ale nawet noże treningowe są niebezpieczne w niewłaściwych

rękach. Kiedy walczę, choćby podczas treningu, często ogarnia mnie nieodparte pragnienie przetrwania. Myślę wtedy tylko o tym, by zabić i zwyciężyć. Willem nie jest jedynym człowiekiem, którego zabiłam.

- Ostatniej nocy widziałem blizny na twoim ciele.

- To dzieło Willema. Wszystkie z wyjątkiem dwóch lub trzech.

Beyard nic nie powiedział, trzymał ją tylko mocno, a potem szepnął: - Obiecuj mi, że kiedy to się skończy, kiedy znowu będziesz chciała odejść, powiesz mi o swojej decyzji i o tym, dokąd pojedziesz.

- Może - odparła.

Tej nocy spała na kanapie w mesie. Beyard proponował jej dowolną kabinę, łącznie ze swoją, ale odmówiła. Rano, po śniadaniu, zaprowadził ją do sterówki i odpowiedział na wszystkie pytania dotyczące sprzętu nawigacyjnego, jaki był na statku. Kiedy już zaspokoił jej ciekawość, wskazał telefon satelitarny i wyszedł.

W Dallas była druga nad ranem i głos Breeden brzmiał bezbarwnie do chwili, gdy zrozumiała, że rozmawia z Munroe.

- Michael! Gdzie jesteś? Słyszeliśmy od Milesa, że nie żyjesz, że utonęłaś i morze wyrzuciło twoje ciało na brzeg.

Munroe otworzyła usta, ale przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Potem jednak wzięła się w garść i zapytała: - Miles Bradford żyje? Rozmawiałaś z nim?

- Tak i nie. To znaczy, tak, żyje, ale z nim nie rozmawiałam. Dwa dni temu zadzwonił do mnie Richard Burbank. Odebrał Bradfordowi tę sprawę.

- Możesz powiedzieć Burbankowi, że wiadomość o mojej śmierci jest mocno przesadzona i że będę kontynuowała poszukiwania, tak jak to uzgodniliśmy w kontrakcie.

- Po co? On mówi, że jest akt zgonu.

Munroe pomasaowała palcami oczy.

- Tak, do pewnego stopnia to prawda.

- A więc to prawda? Emily nie żyje?

- Ten akt zgonu jest bezwartościowy, poza tym, że stanowi dowód, że ktoś nie chce, bym szukała Emily.

- Jeśli chodzi o Burbanka, sprawa jest zamknięta.

- To jego decyzja. Jeśli chce to zakończyć, powiedz mu, że jest mi winny dodatkowe dwa i pół miliona. Ja zamierzam dalej robić swoje, niezależnie od tego, czy będzie pokrywał moje wydatki czy nie. Ktoś próbował mnie zabić i nie przestanę, zanim dotrę do sedna tej sprawy.

- Skontaktuję się z nim z samego rana. Czy masz jakiś numer, pod który mogę zadzwonić z odpowiedzią? Gdzie jesteś? Potrzebujesz pomocy? Czy wszystko u ciebie w porządku?

- Nic mi nie jest - odpowiedziała Munroe. - Pożyczyłam telefon i pozostanę w ukryciu do czasu, aż sobie wszystko poukładam, ale zadzwonię do ciebie za kilka dni.

- Czy potrzebujesz czegoś? Czy mogę coś zrobić?

- Dopilnuj tylko, żeby Burbank dostał wiadomość, a jeśli uzna, że zadanie zostało wykonane, dopilnuj, żeby mi zapłacił. Odezwę się. Munroe z trudem zapanowała nad chęcią trzaśnięcia telefonem w widelki. Miles Bradford: żywy i z powrotem w Stanach. Vanessa Michael Munroe: utopiona i wyrzucona przez morze na brzeg. Richard Burbank: uznaje zadanie za zakończone z powodu rzekomego aktu zgonu. Co się dzieje, do diabła? Miles Bradford ma dużo do wyjaśnienia, a jeśli miał coś wspólnego z jej nocną przygodą w wodzie, zajmie się nim w następnej kolejności.

Wybrała kolejny numer.

- Logan, tu Michael.

W odpowiedzi usłyszała odgłos upuszczanego telefonu, następnie brzęk rozbijanego szkła, a na koniec głos Logana: - Jasna cholera, Michael! Kate powiedziała mi, że nie żyjesz. Wypiłem za ciebie dziesiątki kieliszków. Co się, do diabła, stało?

- To długa historia, której teraz nie mogę opowiadać, ale potrzebuję twojej pomocy. Jak szybko możesz się zająć listą potrzebnych mi rzeczy?

- Mogę zacząć jutro od rana. Jak długa jest ta lista?

- Jeszcze nie wiem na pewno. Muszę to omówić z konsultantem i potem znowu się do ciebie odezwę. A tymczasem skontaktuj się z Kate i powiedz jej, że czekasz na zamówienie ode mnie i żeby przygotowała dla ciebie pieniądze. Już z nią rozmawiałam. Wie, że żyję i nadal wykonuję zadanie.

- Nie ma sprawy - powiedział, a potem dodał: - Posłuchaj, wiem, że potrafisz o siebie zadbać, ale martwię się o ciebie. Co to za pieprzenie, że woda wyrzuciła cię na brzeg?

- Jeszcze nie wiem - odparła, powoli wymawiając każde słowo. - Ale się dowiem. Muszę przemyśleć i wyjaśnić kilka spraw, a potem znowu pogadamy... miejmy nadzieję, że tym razem o jakiejś przyzwoitej dla ciebie porze.

- Wcale nie spałem - powiedział. - Piłem za twoją pamięć.

- Dzięki, Logan. Poczekaj z tym na prawdziwą okazję.

Munroe znalazła Beyarda w ładowni statku. Zaprojektowana jako sortownia i chłodnia dla ryb, została wybebeszona i zmieniona w hangar dla szybkich motorówek. Jedna z nich, o długim, cygarowym kadłubie, spoczywała na ruchomym stojaku przymocowanym do podłogi dwiema śrubami, obok którego znajdował się drugi, pusty, a nad nim jeszcze dwa, też puste. Beyard robił coś przy kilkudziesięciu drewnianych skrzyniach, które leżały na paletach po przeciwnej stronie ładowni. Munroe odchrząknęła, żeby powiadomić go o swojej obecności.

- Dokąd płynie ten ładunek? - zapytała.

Nie uniósł głowy.

- Nie obchodzi mnie to, naprawdę - odparł, po czym pochylił się i za pomocą korby naciągnął mocniej taśmę mocującą skrzynie. - Do Sierra Leone, Liberii, Nigerii... nie ma to dla mnie żadnego znaczenia.

- Ma dla ludzi, którzy znajdują się po drugiej stronie tych luf.

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się lekko drwiąco.

- Może przedyskutujemy to przy butelce caberneta i partyjce szachów.

Wytrzymała jego spojrzenie i zakłęła w duchu. Jak mogła nie dostrzec tego, że on jest tak cholernie czarujący? Postawiła stopę na najniższej listwie barierki, a przedramiona oparła na poręczy.

- Kiedy dostawa? - zapytała.

- Jutro w nocy. Dziś po południu spotykamy się z moimi ludźmi, żeby zabrać to, co jeszcze dostarczą, a potem ruszamy na północ. Towar przekazemy w umówionym miejscu na morzu. To prosta robota bez żadnej harówki w buszu. Po wszystkim zabiorę cię, dokądkolwiek zechcesz popłynąć. - Pochylił się i patrzył na nią przez chwilę, po czym powiedział cichym, prawie błagalnym głosem: - Essa, ja naprawdę chciałbym, żebyś była po mojej stronie podczas finalizowania tej transakcji.

- Tak jak za dawnych czasów?

- Tak jak za dawnych czasów - powtórzył.

- Z kim będziemy mieli do czynienia?

- Z Nigeryjczykami.

- Jasne, mogę nawet okazać się pomocna - powiedziała, a potem dodała: - Masz trochę czasu? Chciałabym się ciebie poradzić w paru sprawach.

- Za pół godziny będę w sterówce. Spotkajmy się tam.

Kiedy zapukała do drzwi, był pochylony nad mapami rozłożonymi na stole nawigacyjnym. Odsunął je na bok, by zrobić miejsce dla niej, a uśmiech na jego twarzy mówił, że naprawdę się ucieszył na jej widok.

Przysiadła na rogu stołu, zwiesiwszy z niego jedną nogę, i zapytała: - Jak długa jest lista ludzi w tym kraju, którzy mają taką władzę, że mogą kazać wrzucić mnie do Atlantyku?

Beyard wypuścił cicho powietrze z płuc i odchylił się do tyłu na krześle.

- Trudno powiedzieć, naprawdę, kiedy się nie wie, kim byli ludzie, którzy wykonali ten rozkaz. Jeśli założymy, że byli Angolczykami, to musiałby to być ktoś z rodziny prezydenta, ktoś mający wystarczająco silne powiązania, by nie obawiać się podobnego losu, gdyby prezydent był niezadowolony z takiego obrotu spraw. Jeśli byli szeregowymi żołnierzami, to główną sprawą, jak sądzę, jest odpowiedź na pytanie, kim ty jesteś i z kim jesteś powiązana. Jeśli nie masz żadnych ważnych znajomości, lista tych, którzy mogli to zrobić, wydłuża się eksponentalnie.

Munroe popatrzyła przez okno na zewnątrz. Statek otaczały różne odcienie błękitu, ciągnące się aż do horyzontu, gdzie w oddali zlewały się z ledwie widocznymi szczytami gór wyspy Bioko. Przesunęła palcami po karku. Tyle kawałków układanki, ale z wyjątkiem centralnej postaci Emily Burbank żaden z nich nie łączył się z innymi.

- Co wiesz o Titan Exploration? - zapytała.

- Poza tym, że ich obecność nastrecza mi trudności, co tu wiedzieć? - odpowiedział. - Są tu od czterech, pięciu lat, zaczęli od małej operacji u wybrzeża Rio Muni, a kiedy trafili na ropę, ich działalność ruszyła z kopyta i od tego czasu stale się rozwija. Właśnie w zeszłym miesiącu uruchomili kolejną platformę wiertniczą. Tankowiec przy pływa mniej więcej raz na tydzień, zostaje napełniony i odpływa.

- Dziewczyna, której szukam, jest córką założyciela Titana.

Beyard siedział przez chwilę spokojnie, stukając piórem w stół.

- Co ona robiła w Mongomo? Dlaczego nie Bata, nie Mbini?

- Nie sądzę, żeby jej podróże po tej części Afryki miały coś wspólnego z Titanem. Wydaje się, że to był zbieg okoliczności.

- Cóż, jeśli była spokrewniona z szefem jednej z firm naftowych i coś jej się tutaj przytrafiło, to potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś w tym kraju może nie chcieć, żebyś jej szukała.

- To nie tłumaczy, dlaczego byłam śledzona od chwili przybycia do Gwinei.

- Prawda.

- A ponadto - kontynuowała Munroe - jeśli ktoś z rządu stara się ukryć prawdę o jej zniknięciu, to czy ta osoba wie, kim ona była, kiedy stało się to, co się stało.

- Masz jej fotografię? - zapytał.

- Nie przy sobie, ale mogę jedną ściągnąć przez Internet, jeśli masz dostęp.

Wyjął laptop, połączył modem z telefonem.

- To jest boleśnie powolne.

Munroe otworzyła stronę ze szkolnym zdjęciem Emily, ściągnęła je, wypełniła ekran jej twarzą, po czym zwróciła go w stronę Beyarda.

Siedział w milczeniu, wpatrując się w zdjęcie.

- Widziałem ją - powiedział w końcu.

Munroe pokręciła głową.

- Robisz sobie jaja, co?

- Nie, mówię serio. Jakieś trzy lata temu byłem w barze Central w Bacie. Miała inną fryzurę, ale to ta sama dziewczyna... te same oczy, ten sam nos. Była z grupą miejscowych mężczyzn. Może towarzyszyła im też jeszcze jedna kobieta, nie pamiętam. Była w ciąży. Wydało mi się to wtedy dziwne, nie mogłem sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek widział w Gwinei Równikowej ciężarną cudzoziemkę, a jeśli widziałem, była to przypuszczalnie Hiszpanka, ale nigdy blond dziewczyna i to tak biała jak ona. Musiałem się na nią gapić, bo odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Uśmiechnąłem się do niej, a ona odpowiedziała mi uśmiechem.

Munroe zacisnęła usta.

- Jesteś pewny, że to ta sama dziewczyna?

- Minęły trzy lata, Essa, nie postawię na to życia. Ale równie dobrze jak ja wiesz, że w części kontynentalnej tego kraju żyje tylko garstka obcokrajowców, a ich kobiet jest jeszcze mniej. Wyróżniają się i rzucają w oczy.

Jeszcze jeden kawałek układanki.

- Powiedziałeś, że po przekazaniu towaru zabierzesz mnie, dokąd tylko zechcę. Czy może to być Bata?

- Nie mogę wprowadzić trawlera do portu, ale mogę cię tam dostarczyć.

- A czy potem pojedziesz ze mną do Mongomo, jeśli tam właśnie zaprowadzą mnie poszukiwania?

Beyard westchnął.

- Jeśli nie ma żadnego sposobu, żeby cię powstrzymać, to tak, pojedę. Chciałbym widzieć cię żywą. Ktoś musi strzec twoich pleców. Równie dobrze mogę to być ja. Uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci - wyszeptała. - A teraz muszę się dowiedzieć, ile będzie mnie to kosztować.

Milczał przez chwilę, a potem odwrócił się od okna i spojrzał jej prosto w oczy.

- W zamian chcę twojej obietnicy - powiedział - że kiedy to się skończy, tak po prostu nie odejdziesz. Chcę wiedzieć, gdzie jesteś i jak się z tobą skontaktować.

Poczuła, jak niewidzialne kajdany zatrzaskują się na jej rękach i nogach, wzięła głęboki wdech i odparła: - Jeśli to wszystko, czego potrzeba, obiecuję.

Rozdział 13

2°40'N, 9°30'E

Zachodnie wybrzeże Kamerunu

Było już popołudnie, kiedy Munroe po raz pierwszy usłyszała jakieś odgłosy w pobliżu statku. Wyglądając ze sterówki, z której miała widok na cały pokład, zobaczyła, że przy burcie trawlera stoją trzy łodzie, wszystkie wylądowane do granic możliwości. Pięciu członków załogi już weszło na pokład, a jeden został na dole, by pokierować pracą żurawików podnoszących łodzie. Żadna z twarzy, które zobaczyła, nie była znajoma.

Łodzie w kształcie cygara zostały jedna po drugiej przeniesione do ładowni statku i umieszczone na ruchomych stojakach, które na nie czekały. Mniejszy dźwig umieścił w środku ładunki przywiezione przez łodzie, które tymczasem przepchnięto na przeznaczone dla nich miejsca i przymocowano do podłogi. Mniej więcej w połowie procesu załadunku Munroe opuściła sterówkę i podeszła do luku towarowego, skąd miała lepszy widok. W mniej niż pół godziny trzy łodzie wraz z ładunkiem znikły z oceanu i znalazły się we wnętrzu statku, i dopiero wtedy, gdy już ukończyli załadunek i ruszyli w stronę schodów, członkowie załogi zauważyli, że są przez nią obserwowani.

W ładowni, która przez cały czas rozbrzmiewała rozmowami i okrzykami pracujących ludzi, zapadła cisza.

Beyard wytarł wilgotne ręce o spodnie.

- Przepraszam, panowie - powiedział. - Pozwólcie, że przedstawię wam naszego gościa. To jest Essa Munroe.

Jego słowa wywołały lawinę pytań zadawanych bez ładu i składu w różnych językach i różnie akcentowanych. Beyard uniósł rękę i ponownie zapadła cisza.

- Wygląda na to - zwrócił się do Munroe - że twoja reputacja cię wyprzedza. - Mrugnął do niej. - Z jakichś niewy tłumaczalnych powodów stałaś się swego rodzaju legendą w tej części świata. Jestem pewny, że ci dżentelmeni chętnie skorzystają z okazji sprawdzenia, czy opowieści, które słyszeli, są prawdziwe.

Przedstawił jej członków swojego zespołu i kolejno uścisnęła każdemu rękę. Pochodzili z czterech krajów - Rumunii, Stanów Zjednoczonych, RPA i Kamerunu, do którego oprócz Beyarda przyznawało się jeszcze dwóch z nich. Angielski był *lingua franca* tych ludzi, chociaż niektórzy używali go rzadziej od innych, wypełniając luki francuskim.

Podczas obiadu Beyard zabawiał swoją załogę historiami z dawnych czasów, z poetycką licencją przesadzając przy opisach wydarzeń, które wcale przesady nie potrzebowały. Munroe dobrze się bawiła, słuchając opowieści przedstawiających w humorystycznym świetle zdarzenia, które wymazała z pamięci na niemal dziesięć lat. Beyard mówił z ożywieniem i więcej niż raz pochwycił jej spojrzenie. Kiedy to mu się udawało, rumieniała się.

Po posiłku nastrój załogi zmienił się ze świątecznego w dość ponury. Mieli płynąć nocą na północ, a przed operacją przekazania towaru musieli poczynić odpowiednie przygotowania. Mesa opustoszała, a na statku zapanowała upiorna cisza.

Nie było niczego oprócz czasu - czasu i stałego kołysania się statku. Munroe obeszła go, zapoznając się z każdym jego zakątkiem, a potem, nie mogąc sobie znaleźć miejsca z braku zajęcia, zaczęła szukać towarzystwa innych ludzi. Wyglądało na to, że jedyny członek załogi, który został na pokładzie, znajdował się w sterówce. George Wheal był zastępcą Beyarda na lądzie i pierwszym oficerem na morzu. Ten Afroamerykanin, były żołnierz SEAL, mając sześć stóp, górował nad pozostałymi członkami załogi.

Zbliżyła głowę do drzwi i zapukała w nie.

- Czy mogę dotrzymać ci towarzystwa?

- Jasne, włącz do środka. - Grzmiące tony pobrzmiwające w głosie Wheala przypomniały jej Boniface Akambe.

Usiadła na obrotowym krześle obok niego i oboje zaczęli obserwować wodę ciętą przez dziób sunącego wzdłuż wybrzeża trawlera. Pierwsza przerwała milczenie Munroe: - A więc jak to się stało, że załapałeś się do takiej fajnej roboty?

Wheal obrócił się na krześle, wyprostował palce wskazujące i spojrzał w dal ponad ich czubkami.

- Kiedy twoją specjalnością jest wysadzanie różnych rzeczy w powietrze, nie masz zbyt wielu możliwości w życiu cywilnym. Francisco potrzebował faceta, który umiałby robić bum, a ja potrzebowałem pracy. *Voilà*, i oto jestem tutaj.

Przyglądała się przez chwilę jego twarzy i czekoladowej skórze, po czym odwróciła się w stronę oceanu i uśmiechnęła się.

- Miejscowi traktują cię inaczej niż pozostałych, prawda?

Wheal zachichotał i potarł ręką czubek głowy, gdzie byłyby jego włosy, gdyby je miał.

- Taa, dopóki się nie zorientują, że jest inaczej, traktują mnie tak, jakbym był służącym Beyarda. Albo, jeśli akurat idziemy przez las, jego tragarzem. Dobrze przy tym być wielkim facetem - dodał z gromkim śmiechem. - Zapewnia ci to przynajmniej odrobinę szacunku.

Pokiwała głową z miną wyrażającą zrozumienie.

- To działa w obie strony, czyż nie? Wspomnisz w domu o Afryce, a jedyne, co ludziom przychodzi do głowy, to filmy przyrodnicze i Masajowie ganiający w kółko z dzidami.

Wheal uśmiechnął się.

- Taa, to działa w obie strony.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, aż w końcu Wheal wstał, żeby pokręcić pokrętłami konsoli.

- Czy to prawda, co gadają o tobie? - zapytał. - Że mówisz do miejscowych jak bogini i że oni cię tak postrzegają?

Munroe roześmiała się, a potem odparła: - Nie, to nieprawda.

- A więc ktoś po prostu wymyślił te pierdoły?

- Nie do końca. Oni wierzą, że jestem potężną czarownicą, i boją się jujy. - Wzruszyła ramionami. - Mówię ich językami, znam ich kultury i rozumiem niuanse ich zachowań... z tego rodzą się legendy. Tak naprawdę trudno im się dziwić, jeśli zważyć na siłę i rolę przesądów w ich życiu. Do diabła, od czasu do czasu nadal składa się tu ofiary z ludzi.

- Ty i Beyard - zagadnął Wheal. - Byliście kiedyś bardzo blisko, co?

- Taa, byliśmy. - Podciągnęła nogi na krzesło i objęła je rękoma. - Dużo ci powiedział? - Mówi o tobie tylko wtedy, gdy jest pijany, ale jestem z nim od siedmiu lat, wystarczająco długo, by sporo zrozumieć z jego gadaniny. Skłamałbym, gdybym powiedział, że twoja obecność tutaj nie budzi mojego niepokoju.

- Czy myślisz, że jestem dla ciebie zagrożeniem?

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

- W życiu, nawet gdyby wszystkie opowieści, które słyszałem, były prawdziwe.

Przewróciła oczami.

- Jak zapewne nie jest. - A potem, spojrzawszy mu prosto w oczy, wpatrywała się w nie przez chwilę i w końcu zapytała: - O co zatem chodzi?

Wzruszył ramionami i odwrócił się.

- Po prostu troszczę się o niego. Troszczę się o siebie. Mamy tu porządny interes. Nie zepsuj nam tego.

- Myślisz, że to zrobię?

- Wiem, że to zrobisz - odpowiedział. - Francisco nie zajmuje się tym dlatego, że to lubi. Robi to, bo jest cholernie błyskotliwym strategiem i takie rzeczy przychodzą mu

naturalnie. - Zerknął na nią. - Teraz, gdy tu jesteś, nie będzie myślał o następnej robocie, będzie myślał o tobie. Dla mnie to problem.

Wstała, żeby wyjść.

- Rozumiem twój punkt widzenia. Gdyby nasze role były odwrócone, pewnie widziałabym to tak samo. - Jej ręka dotknęła drzwi. - Jesteś dobrym człowiekiem, Wheal. Jeśli to coś warte, cieszę się, że Francisco cię znalazł.

Zegar na ścianie mesy pokazywał, że było już po północy. Nawet przy stałym kołysaniu się statku i szumie silników Munroe nie mogła zasnąć. Zbyt wiele wspomnień zderzało się w jej głowie z kawałkami układanki, które do siebie nie pasowały. Nalała sobie kubek kawy, a potem, pod wpływem impulsu, nalała jeszcze jeden dla tego, kto był w sterówce.

Zapukała do drzwi, a kiedy odpowiedział Beyard, zawahała się, po czym weszła do środka. Podała mu kubek, mówiąc: - Nie mogłam zasnąć. Pomyślałam, że ten, kto tu jest, może pragnąć towarzystwa.

Wziął od niej kubek, postawił go na wąskiej półce, po czym uścisnął jej pustą dłoń. - Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział. - Właśnie o tobie myślałem.

- O czym myślałeś?

Ciszę wypełniały dźwięki dobiegające od ekranu radaru, omiatanego regularnie przez monochromatyczną wiązkę, która mierzyła czas niczym swego rodzaju metronom. Beyard popatrzył na konsolę, a potem wziął drugi kubek z jej dłoni i postawił go na półeczce obok swojego. Objąwszy ją jedną ręką w pasie, przyciągnął do siebie i koniuszkami palców powiódł po jej szyi. Musnął wargami jej wargi.

- Myślałem po prostu o tobie - wyszeptał.

Jego usta były coraz bliżej, dłonie na jej karku, a palce zatopił w jej włosach. Pachniał solą i oceanem, i jeszcze wieloma innymi znajomymi rzeczami. A potem pocałował ją delikatnie, zawahał się i ponownie przycisnął usta do jej ust.

Całował ją długo i namiętnie, a jego dłonie błędziły przez jakiś czas po jej łopatkach i karku, by następnie zsunąć się niżej wzdłuż jej kręgosłupa.

Nie opierała się, ale też nie odwzajemniała jego pieśczoć. Po tym, co powiedział w korytarzu, rozumiała, skąd wzięło się to jego zachowanie, i jeszcze nie postanowiła, co powinna z tym zrobić i jak to wykorzystać. Francisco sięgnął do guzików jej koszuli, ale zaraz się pohamował i cofnął. Pogłaskał ją po twarzy.

- Przez jedenaście lat pragnąłem to zrobić - wyznał, po czym znowu przyciągnął ją do siebie i przytulił. - Mogłabyś mnie bez trudu zniszczyć. To byłoby takie łatwe. - Puścił ją i odwrócił się w stronę okna oraz konsoli nawigacyjnej. Stojąc tyłem do niej, poprosił: - Zostań ze mną dziś w nocy, dobrze?

Usiadła na krześle za nim i przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, przy czym ona wpatrywała się w jego kark, a on w dziób trawlera.

- Opowiedz mi o swoim życiu - odezwał się w końcu.

- Coś konkretnego?

- Czy byłaś szczęśliwa?

- Nie byłam nieszczęśliwa.

- To nie to samo - rzekł. - A co z małżeństwem? Znalazłaś swoją drugą połówkę?

Takie proste pytanie i tyle skomplikowanych odpowiedzi. Powiedziała więc tylko: - Nie, nie znalazłam. Odwrócił się, żeby popatrzeć na nią krótko, po czym znowu skierował wzrok przed siebie.

- To trudne, prawda? Komuś takiemu jak ty lub ja nie jest łatwo znaleźć kogoś, kto będzie go rozumiał i zechce się z nim związać, nie bacząc na to, kim naprawdę jest, nie oceniając go, nie próbując narzucić mu własnych poglądów na życie.

Umilkł znowu i czas upływał im w ciszy.

- Wyjechałem z Afryki, Essa - przerwał w końcu milczenie - po tym, gdy cię wytropiłem i mniej więcej wiedziałem, dokąd

się udałaś i że żyjesz. Nigdy nie powiedziałaś mi o legendach, które cię otaczały. Zanim doszliśmy do tego, o co w tym wszystkim chodziło, kilka naszych dostaw zakończyło się katastrofalnie. Potem odszedł Jean. Zgromadziłem wystarczająco dużą fortunę, by móc się wycofać, więc to zrobiłem. Spakowałem się i wyjechałem, by zacząć od nowa we Francji, a kiedy nie wyszło, przenieśliśmy się do Hiszpanii. Po dwóch latach byłem z powrotem w Afryce. - Odwrócił się, by na nią popatrzeć. - To nie interesy mi nie wyszły. Zarobiłem w Europie sporo pieniędzy i nawiązałem nowe kontakty, które wciąż wykorzystuję. Mogłem tam siedzieć w nieskończoność. - Uderzył się pięścią w pierś. - To jest w środku. Nie mogłem żyć ich życiem, nie potrafiłem się dostosować. - Wstał, żeby sprawdzić konsolę nawigacyjną, a potem znowu usiadł. - A więc jestem znowu tutaj, gdzie zaczynałem, z powrotem w swoim żywiole, w którym rozkwitam... nienawidzę go, ale mam się w nim świetnie. Obojętne, jak podłe to życie może być w twoich oczach, przynajmniej patrzę na siebie w lustrze każdego ranka, co jest lepsze od drugiej możliwości.

Wstała i oparłszy mu ręce na ramionach, zaczęła masować jego napięte mięśnie.

- Wszyscy mamy swoje demony, Francisco. Z niektórymi trudniej się walczy niż z innymi.

Uniósł rękę, nakrył dłonią jej dłoń i delikatnie przyciągnął ją do siebie.

- Jakie są twoje demony, Essa?

Odpowiedziała mu smutnym uśmiechem i pokręciła głową.

- Samotność. Niewidzialne mury. To, że zawsze jestem kimś z zewnątrz, zagląającym do środka. Innym. Niezwykłym. Gardzę ich światem, płytkością tego wszystkiego, a mimo to pragnę być jego częścią. Zastanawiam się czasem, o ile prostsze byłoby moje życie, gdybym była naiwna i niczego

nieświadoma. - Odsunęła się i wróciła na krzesło. - Od czasu do czasu znajduję ludzi, którym mogłabym zaufać i powiedzieć, kim naprawdę jestem, ale kiedy to się zdarza, odchodzę.

Wyraźnie zaskoczony odwrócił się, by na nią spojrzeć.

Wzruszyła ramionami.

- Tak jest bezpieczniej... dla nich, dla mnie. O wiele łatwiej jest znosić własny ból, niż wziąć na siebie odpowiedzialność za kogoś innego. Czuję się bezpiecznie wśród ludzi równie twardych jak ja, ale nie spotyka się ich tak często. - Uśmiechnęła się blado. - Więc odchodzę.

Została z nim przez całą noc, po czym tuż przed brzaskiem wstała, zbierając się do odejścia.

- Będiesz jeszcze spać? - zapytał.

- Jeśli mi się uda.

- Weź moją kajutę, proszę. Lepiej tam odpoczniesz i... - uniósł rękę - przysięgam na moje życie, że nie zamknę cię w środku.

- W porządku - powiedziała i odeszła.

Jego kajuta był większa od innych. Zamiast dwóch koi wciśniętych obok siebie, było w niej podwójne łóżko, a na dodatek miała własną łazienkę. Widać było, że jest od dawna zamieszkana, że jest domem, którego mieszkaniem nigdy nie opuszcza na długo, ale jednocześnie zachowała się w niej atmosfera sterylności, świadectwo pedantycznej natury Beyarda. Sięgająca od podłogi do sufitu i wbudowana w ścianę biblioteczka była wypełniona najróżniejszymi książkami, od takich, które wymagały od czytelnika pewnego wysiłku intelektualnego, po czysto rozrywkowe, a we wnęce wyglądającej tak, jakby zbudowano ją specjalnie w tym celu, leżała marmurowa szachownica. Munroe popatrzyła na układ rozstawionych na niej figur i uniosła jeden z pionków. Każda z figur miała pod spodem gumową podkładkę, dzięki której nie przesuwiała się po szachownicy, gdy statek się zbyt mocno

kołysał. Przeanalizowała grę, a potem wzięła prysznic i po raz drugi poszła spać w ubraniu, kładąc się na narzucie, którą Francisco przykrył łóżko. Jakiś czas później, kiedy była gdzieś na granicy świadomości, usłyszała go wchodzącego do kajuty, poczuła, że położył się obok niej, i znowu pogrążyła się we śnie.

Przed zmierzchem następnego dnia wpłynęli na wody u wybrzeży Nigerii, gdzie starannie wyznaczyli swoją pozycję, posiłkując się dla maksymalnej dokładności systemem GPS. Światła na trawlerze zostały wygaszone, silniki ucichły, a każdy z ludzi Beyarda miał pod ręką tyle broni, że starczyłoby tego na małą wojnę. Na dachu sterówki leżał ukryty Lupo, Rumun, z wyciszonym karabinem snajperskim, a reszta członków załogi, w kamizelkach z kevlaru i z pistoletami maszynowymi w rękach, zajęła pozycje na całym statku. Ciężkie od deszczu chmury przesłoniły gwiazdy i księżyc i dziesięć minut po drugiej w nocy ciemność na horyzoncie rozdarły dwa błyski światła, a kilka minut później czekający usłyszeli niesiony nad wodą odgłos silników.

Beyard stał na dziobie twarzą do zbliżającego się statku, a Munroe w pewnej odległości za nim; to była jej pozycja, obserwatora, milczącego cienia. Widziała tylko kontur jego ciała, ciała wysokiego mężczyzny o szerokich, wyprostowanych ramionach, całkowicie kontrolującego swoje otoczenie i czującego się w nim bezpiecznie. Obserwowanie go i podziwianie było czymś znanym jej z przeszłości, ale zaskoczyło ją uczucie, które niejako kryło się pod podziwem. W pewności siebie Beyarda przejawiała się siła, której człowiek mniejszego kalibru nigdy nie zdołałby okazać, i ta właśnie siła ją przyciągała.

Z ciemności wyłonił się drugi statek, nie tak duży jak trawler, ale smuklejszy, o bardziej eleganckich liniach, i bez wątplenia szybszy. Munroe obserwowała łódź pontonową z pięcioma mężczyznami, która szybko pokonała odległość

między obu jednostkami. Czekala do chwili, gdy mogła ocenić, jak byli uzbrojeni, a kiedy pierwszy z nich zaczął się wspinać po drabince, cofnęła się, by znaleźć ukrycie w ciemności. Z pięciu, którzy przyплыли łodzią, na pokład weszło trzech, i Beyard ruszył im na spotkanie.

Ich dowódcą był niski, mocno zbudowany mężczyzna w mundurze polowym. Jego ludzie pozostali przy relingu, a on zrobił kilka kroków do przodu i powitał Francisca mocnym uściskiem dłoni, który sugerował, że są przynajmniej dobrymi znajomymi. Wręczył Beyardowi teczkę, przekomarzając się z nim i żartując. Jego angielski był doskonały, dykcja nieskazitelna, co ostro kontrastowało z dość kulawą angielszczyzną Francisca.

Wiatr tłumiał odgłosy ich rozmowy, dlatego Munroe skupiła ponownie uwagę na członkach załogi trawlera, upewniając się, jaką każdy z nich zajął pozycję w stosunku do pozostałych. Przesunęła się o kilka kroków wzdłuż relingu przy burcie statku i właśnie wtedy usłyszała cichy, niemal niesłyszalny szum silnika elektrycznego. Zerknęła na Beyarda, który kiwał głową z aprobatą nad otwartą teczką, a potem w górę, w stronę Lupo, niewidzialnego na dachu sterówki.

Odgłos silnika ucichł. Munroe zwróciła się w stronę drabinki, zobaczyła, że przybyszów już tam nie ma, i dokładnie w tej samej chwili nocną ciszę rozdarła seria wystrzałów.

Rzuciła się na pokład, przyciskając do niego dłonie, i pierwsza fala adrenaliny przepłynęła przez jej żyły. Czekala. Nasłuchiwała. A potem podpełzła pomalutku do burty statku, popatrzyła w dół i tak jak się tego spodziewała, zobaczyła tam drugą łódź pontonową, pustą. Zakłęła pod nosem. Przybysze najwyraźniej dobrze znali trawler i rozkład urządzeń na jego pokładzie; świadczyła o tym swoboda, z jaką poruszali się po pokładzie. To nie było przekazanie towarów na morzu, ale

cholerny napad - ich celem będzie sterówka oraz ładownia ze składem broni.

Na pokładzie nie było nigdzie widać Beyarda, podobnie jak i oficera, a na statku zapadła głęboka cisza. Munroe wzięła głęboki wdech, przypomniała sobie, w których miejscach byli członkowie załogi, po czym zdjęła buty. Chłód metalowego pokładu przeniknął od palców jej stóp aż do szpiku kości. Tej nocy nie będzie żadnych połowicznych rozwiązań, żadnego rozejmu. Jeśli trawler przejmą tamci, zginie ona i cała załoga, a jeśli uda im się go obronić, umrzeć muszą ich wrogowie. Taka była bezwzględna rzeczywistość zdrady; tak czy inaczej, ocean dostanie swoje trupy. Munroe uniosła się i stanęła na bosych nogach, co w jakiś sposób podsycalo jeszcze dzikie upojenie, które ją ogarnęło na myśl o nadchodzącym polowaniu.

Z rufy dobiegła kolejna seria wystrzałów, po której dało się słyszeć przytłumione puknięcie karabinu snajperskiego. Idąc przy samej ścianie nadbudówki, Munroe ruszyła w stronę pokładu, gdzie ukrył się Wheal. Powietrze przeszył kolejny syk karabinu snajperskiego, któremu towarzyszył głuchy odgłos uderzenia, po czym nastąpiła gorączkowa wymiana ognia.

Cisza.

Munroe wysunęła się za róg nadbudówki. Przyczajony Wheal dał jej znak, wyciągając rękę do przodu i prostując trzy palce. Skinęła głową i poprosiła go gestem o nóż. Pchnął jej jeden po pokładzie i Munroe wzięła go, po czym wycofała się tą samą drogą, którą przyszła. Z nożem w zębach zsunęła się po burcie trawlera do wody.

Napastnicy zostawili swoje łodzie bez straży. Munroe nie była pewna, czy zdecydowała tu głupota, czy też zbyt pewność siebie, ale nie miała wątpliwości, że to niedopatrzenie będzie ich drogo kosztowało. Przecięła materiał pierwszego pontonu, wpatrując się w sylwetkę wrogiego statku, odległego o mniej niż trzysta metrów. Ponton zapadł się pod nożem,

nabrał wody i zatonał, podczas gdy majaczący w ciemności duch stał w miejscu, czekając niewątpliwie na sygnał do zbliżenia się. Munroe zrobiła dziurę w drugim pontonie, wdrapała się szybko po drabince na górę i ostrożnie wśliznęła na pokład, starając się nie tylko unikać napastników, ale i uważając, by nie wejść w pole ostrzału któregoś z członków załogi.

Schody prowadzące do sterówki zasypał grad kul, z których większość zrykoszetowała. W odpowiedzi padło kilka strzałów, a po chwili ciszy dał się słyszeć kolejny głuchy odgłos pocisku uderzającego w pokład. Lupo, dobrze ukryty i uzbrojony w karabin snajperski z celownikiem noktowizyjnym, miał chwilową przewagę. Ale jak długo mógł ją utrzymać i ilu miał przeciwników? To było dobre pytanie.

Munroe przeszła ostrożnie na śródkręcie i wśliznąwszy się do luku, umknęła z pokładu, na którym w każdej chwili mogła wpaść w krzyżowy ogień, i dostała się do ładowni, jedyne miejsce, gdzie mógł się ukryć Beyard. Wylądowała w wilgotnym brzuchu statku i zniknęła, pochłonięta przez ciemność. Zdezorientowana brakiem światła, wymacała po chwili poręcz balustrady i ruszyła po omacku do przodu, stawiając ostrożnie krok po kroku.

Po jakimś czasie wyczuła czyjaś obecność, nie przed sobą, jak się tego spodziewała, ale za plecami; był to wydech tak delikatny, że uniósł tylko włoski na jej ramionach. Jednym płynnym ruchem prześliznęła się ponad poręczą i zastygła w absolutnym bezruchu, podczas gdy obok przesunął się cień, zostawiając po sobie zapach ciała, mydła, papierosów i oleju do smażenia. Nie miała jak ocenić jego wzrostu ani nawet dzielącej ich odległości, przez co atak nożem stawał się zbyt ryzykowny. Istniały jednak legendy i zabobony. Tu, w ciemności, były bronie.

Nie mogąc określić dokładnie swojego położenia w stosunku do elementów wyposażenia i towarów w ładowni,

Munroe położyła się przy balustradzie, zwróciła twarzą w stronę przeciwległej ściany i podniósłszy głos o oktawę, powiedziała łamaną angielszczyzną z silnym, miejscowym akcentem: - Kto ośmiela się zakłócać mój sen? Odgłos kroków obcego, którego wyraźnie ogarnęła niepewność, zmieszał się z echem jej słów, powiedziała więc jeszcze raz, ale z większą mocą: - Kto ośmiela się zakłócać mój sen?

Obcy zaklął i wymamrotał pod nosem kilka słów na tyle wyraźnie, że mogła rozpoznać jego język. Powtórzyła zatem swoje pytanie w ibo. Miętko, śpiewnie i nieco głośniejsze, dodała: - Zostaw mnie.

Nie odwrócił się, ale zawahał, a ona nie ustępowała, sięgając jednocześnie ręką w ciemność, aż w końcu udało się jej szarpnąć jego sznurówkę.

- Jeśli będziesz mnie niepokoić - rzuciła przeciągłym, zawodzącym głosem - zabiję cię.

Jego oddech stał się urywany i głośniejszy. Teraz już wiedziała, gdzie jest, знаła kierunek, w którym patrzył, mogła oszacować wysokość, na której była jego głowa. Wiedziała, że musi uderzyć, ale kiedy właśnie prześlizgiwała się nad poręczą, mężczyzna rzucił się do ucieczki drogą, którą przyszedł. Munroe podążyła za nim, ale tylko tak daleko, by się upewnić, że napastnik zmierza do luku. Przy odrobinie szczęścia Lupo sprzątnie go, gdy stanie na pokładzie.

Obojętnie, ilu ludzi było jeszcze w ładowni - a miała pewność, że pozostał tam przynajmniej dowódca napastników - słyszeli głosy i ona zamierzała to wykorzystać, żeby ich stamtąd wypłoszyć. Zeszła po schodach na sam dół i poruszając się ostrożnie w ciemności, nawoływała i szydziła na przemian w hausa, ibo i joruba, a słysząc coraz głośniejsze stąpanie oraz szuranie nóg, stopniowo lokalizowała kolejnych intruzów.

Mniej więcej w połowie drogi na drugą stronę ładowni wpadła na jednego z wrogów, zaskakując go bardziej niż samą

siebie. Wrzasnął, zamachnął się na oślepa, ale zanim zdążył wystrzelić, wbiła mu nóż w gardło, przeklinając w duchu swoją szybkość, instynkt i jeszcze jedną śmierć, której tak jak innych nigdy nie zdoła z siebie zmyć. Podtrzymała go, gdy osuwał się na podłogę, i ułożyła na niej z rozrzuconymi rękami i nogami.

Przemykając obok kilu jednej z szybkich motorówek, usłyszała szept Beyarda, idealnie nakładający się na echo jej upiornego zawodzenia. Poczłogała się na brzuchu w jego kierunku.

- Jest ich pięciu - szepnął.

- Potrzebujemy światła gwiazd - odparła. - Czy możesz otworzyć górę? - Zajmie mi to trzy minuty.

Wyśliznęła się spod łodzi i przeszła do przedniej części ładowni, gdzie poczekała, aż zaczęły się tam sączyć pierwsze promienie zakrytego chmurami księżyca. Ostrem i przenikliwym głosem krzyknęła: - Patrzcie na waszego zmarłego! Zabrałam go! Odejdźcie teraz i żyjcie!

Odpowiedzią był gwałtowny ogień z karabinów automatycznych, prowadzony chaotycznymi seriami, które przerywały krzyki i przekleństwa, a wszystko to wypełniło otchłanną ładownię ogłuszającym hukiem. A potem na krawędzi otwartego luku syknął kilka razy karabin snajperski. W ładowni zapadła cisza.

Po jakimś czasie z ciemności dobiegł głos dowódcy napastników.

- Nawet ja słyszałem legendy - powiedział. - Wyjdziemy.

Munroe ruszyła, kierując się jego głosem, i przemknawszy cicho jak duch przez ciemność, stanęła za nim, przyłożyła mu nóż do gardła i zabrała broń. Rzucił rozkaz swoim dwóm żyjącym jeszcze podwładnym, którzy położyli karabiny na podłodze i wystąpili na środek ładowni.

Wyłączony wszystkie światła, Beyard skierował trawler na północny zachód, zwiększając powoli odległość dzielącą ich

od wrogiego statku, a potem ocalałym napastnikom, których w sumie było pięciu, pozwolono popłynąć do swoich, podczas gdy trupy wylądowały w morzu. Przy tak dużej ilości krwi było wielce prawdopodobne, że to rekiny zakończą walkę. Teczka - teraz opróżniona - w której napastnicy przynieśli pieniądze na przynętę, także wylądowała w oceanie, po czym załoga starannie przeczesała cały statek, szukając ładunków wybuchowych i urządzeń naprowadzających. Na wszelki wypadek postanowili także trzymać kolejno straż aż do świtu.

Była czwarta rano, kiedy Munroe zapukała do drzwi Beyarda. Krzyknął w odpowiedzi, a gdy otworzyła drzwi, zobaczyła, że stoi przy łóżku owinięty w pasie ręcznikiem, a jego włosy i ciało wciąż są mokre. Zamarła na chwilę w milczeniu, po czym uświadomiwszy sobie, że się na niego gapi, zarumieniła się. Jego ciało z wiekiem stało się jakby miłsze dla oka - albo to, albo nigdy nie doceniała go tak, jak powinna. Ile miał teraz lat - trzydzieści siedem, trzydzieści osiem? - Muszę znowu zadzwonić do Stanów - oznajmiła.

- Daj mi pięć minut - poprosił. - Pójdę na górę z tobą i do czasu, gdy skończysz, zastąpię Augustina, który jest teraz w sterówce. - Poklepał łóżko, zapraszając ją w ten sposób, by na nim usiadła, po czym wrócił do łazienki.

Kiedy wszedł znowu do kajuty, był już całkowicie ubrany. Usiadł obok niej i powiedział: - Fajnie, że byłaś z nami.

Pokiwała głową. Uśmiechnęła się.

- Czy wróciłabyś, gdybym cię o to poprosił?

- A czy wiedząc, że zbudowałam sobie dobre życie z dala od tego wszystkiego - odparła - poprosiłbyś?

- Nie wiem.

Przesunęła dłonią po jego gładko ogolonej twarzy.

- A gdybym to ja poprosiła ciebie, żebyś pojechał ze mną i stał się częścią mojego życia? - To było pytanie retoryczne, wyzwanie dla niego, a nie zaproszenie, ale on zignorował wszelkie niuanse, ujął jej dłoń i pocałował ją.

- Gdybym mógł, spędziłbym z tobą każdą chwilę każdego dnia jako część twojego życia - odparł. - Ale tam nic dla mnie nie ma, Essa. Już to wiem.

Pochylił się, pocałował ją w czoło i wstał. Chwyciła rękę, którą jej podał, i poszła za nim na mostek, skąd zadzwoniła do Logana.

Logan odetchnął z ulgą, kiedy się z nim przywitała.

- Cieszę się, słysząc twój głos - powiedział. - To znaczy, że wciąż żyjesz, wciąż jesteś bezpieczna.

- Za dużo się martwisz - odparła. - Jestem w dobrych rękach. - Zerknęła na Beyarda stojącego plecami do niej.

- Przygotowałaś listę potrzebnych ci rzeczy? - zapytał.

- Tak naprawdę, to nie. Dlatego dzwonię. Mogę tego wszystkiego nie potrzebować... sytuacja może być prostsza, niż myślałam. Ale nigdzie się nie wybieraj, odezwę się za kilka dni.

- Michael, zanim się rozłączysz... wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie Miles Bradford. Myślę, że powinnaś z nim porozmawiać.

- Co takiego?

Logan wziął głęboki wdech.

- Wyjaśnianie tego wszystkiego zajmie mi za dużo czasu, bo sprawa jest bardzo zawikłana. Po prostu sędzę, że powinnaś do niego zadzwonić.

- A zatem on wie, że ja żyję?

- Wie ode mnie. Przedtem to były z jego strony tylko spekulacje. Najwyraźniej próbował porozmawiać z Kate, ale ona nie zdradzi mu nawet, która jest godzina.

- W porządku, daj mi jego numer. - Zanotowała go, a potem powiedziała: - Dziękuję, Logan, będę w kontakcie.

Popatrzyła na kartkę, po czym wybrała numer. Kiedy Bradford podniósł słuchawkę, rzuciła: - Tu Michael. Chciałeś ze mną porozmawiać.

Przez sekundę nikt się nie odezwał z drugiej strony, a potem usłyszała głos Bradforda: - Czy wszystko u ciebie w porządku?

- Teraz już tak - odparła i kontynuowała: - Ta rozmowa kosztuje pięć dolców za minutę. Mów szybko, streszczaj się i zadbaj, żeby to było warte czasu, który ci poświęcę. Co się, do diabła, dzieje i co mają znaczyć te bzdury o moim ciele wyrzuconym na brzeg?

- Do mojej rozmowy z Loganem wczoraj wieczorem - odpowiedział - tylko wierzyłem, że nadal żyjesz, ale nie byłem tego pewny, nie wiedziałem. Odetchnąłem z ulgą, kiedy to potwierdził. Ogromnie się cieszę, słysząc twój głos. - W jego słowach pobrzmiwała prawdziwa szczerłość. - Próbowałem się skontaktować z Kate Breeden - dodał. - Nie odbiera moich telefonów.

- Słyszałam.

- Posłuchaj, Michael, jest kilka spraw, o których powinnaś wiedzieć. Po pierwsze, o tym, że utonęłaś i morze wyrzuciło na brzeg twoje zwłoki, poinformowała mnie ambasada Stanów Zjednoczonych. Po drugie, przedstawiciele miejscowych władz nigdy nie pokazali mi ciała, a kiedy zacząłem się zbyt natarczywie tego domagać, usłyszałem, że mój pobyt w ich kraju się skończył i do następnego lotu mam być pod strażą. Od samego początku miałem wątpliwości w związku z twoim zniknięciem: wiedziałem, że zostałem uspiiony, i myślałem, że to znowu twoja robota. Kiedy poszedłem do twojego pokoju, żeby cię opieprzyć, zobaczyłem ślady włamania. Przeszukałem hotel i jego okolice i oberwałem w łeb od policjanta, kiedy wdąłem się w bijatykę z członkami personelu hotelowego, którzy nie potrafili lub nie chcieli dać mi jasnej odpowiedzi na pytanie, czy wyszłaś do miasta czy też nie. Wiele razy rozmawiałem z Richardem o tej sytuacji - kontynuował - i przedstawiłem mu twoją teorię, że Emily jest w Gwinei Równikowej. Ale on uczeplił się tego świadectwa zgonu i nie

chce przyznać, że jest ono dosyć dziwne. Mówi, że jest zmęczony i to jest dla niego zamknięcie sprawy.

Munroe milczała przez chwilę, po czym powiedziała: - Mam naocznego świadka, który widział Emily w kontynentalnej części Gwinei mniej więcej trzy lata temu.

W słuchawce zapadła cisza.

- Jesteś tam? - zapytała.

- Taa. - W jego głosie słyhać było napięcie. - Myślę tylko o tym, co powiedziałaś, i tym, co to może oznaczać. Co planujesz zrobić?

- Kilka dni temu rozmawiałam z Kate. Powiedziała mi, że Burbank uznał, że nasze zadanie zostało wykonane. Kontrakt daje mi rok na odnalezienie Emily, a jeśli on go unieważni, mam zagwarantowaną furę pieniędzy, które chętnie wezmę. Ale ja nie zrezygnuję. Ktoś próbował mnie zabić, Miles, i wiesz równie dobrze jak ja, że stało się tak z powodu naszych poszukiwań Emily. Nie mam pojęcia, dlaczego padło na mnie, a nie na ciebie albo na nas dwoje, ale się d o w i e m. Z błogosławieństwem Burbanka czy bez, jadę do Bata i będę nadal robić swoje, aż znajdę albo ją, albo mojego niedoszłego zabójcę, obojętnie co będzie pierwsze.

- Chcę pojechać z tobą - powiedział.

Munroe roześmiała się. Był to szorstki śmiech, sarkastyczny i nieczuły.

- Nie byłeś mi zbyt wielką pomocą za pierwszym razem. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego miałabym cię potrzebować za drugim.

- Nie łapiesz tego, co? - W jego głosie pobrzmiwały ostre tony. - Emily jest dla mnie jak córka. Wziąłem to zlecenie od Richarda dla niej, a nie dla niego. Ciebie ona nic nie obchodzi. Ty wzięłaś zlecenie dla pieniędzy, a teraz chodzi ci o zemstę. Ja chcę wziąć w tym udział, bo zależy mi na niej.

- Zapomnij o tym, Miles - odparła. - Nie potrzebuję żadnej kuli u nogi i mam wszelką pomoc, jakiej mogę potrzebować. -

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć.

Wyciągnęła kartkę papieru z faksu i narysowała diagram, niby układankę z niepewnych informacji, które miała, otoczonych wielkimi, ziejącymi dziurami. A w środku dodała jeszcze jedną, niepowiązaną z innymi: Rano w ambasadzie Stanów Zjednoczonych wiedzano już o jej śmierci. Wszystko wskazywało na to, że powiadomiono ich, zanim jeszcze wylądowała w łodzi. Siedziała przez jakiś czas, wpatrując się w kartkę i usiłując znaleźć jakąś odpowiedź.

Nic. Potrzebowała więcej kawałków tej układanki.

Do rzeczywistości przywróciły ją dłonie Beyarda.

- Możemy to zabrać do kajuty - powiedział - i tam zastanowić się nad szczegółami. - Kiwnęła głową przytakująco i złożyła diagram, a on wziął krótkofalówkę i wezwał Augustina z powrotem do sterówki. Do wschodu słońca została godzina.

- Ambasada została poinformowana o mojej śmierci wczesnym rankiem - powtórzyła Munroe.

Leżała na łóżku Beyarda z rękami założonymi pod głowę i studiowała wzory na suficie. On leżał obok niej, na boku, i obserwował ją w milczeniu.

- Dobrze byłoby wiedzieć, kto ich powiadomił, który z organów państwowych i kto w tym organie - powiedziała. - Muszę zdobyć numer do ambasady. Jestem pewna, że jest na jakiejś stronie z informacjami konsularnymi gdzieś w Internecie.

Oderwał wzrok od jej profilu, który właśnie podziwiał, i odparł: - Zdobędziemy go, ale najpierw musisz się wyspać. - Za czeła się podnosić, żeby zaprotestować, ale on położył palec na jej ustach i dodał: - Wiesz tak samo dobrze jak ja, że odzyskasz jasność myślenia i zdolność koncentracji, kiedy będziesz wyspana i najedzona. Mamy czas. Do Kribi dopłyniemy dopiero jutro po południu.

Położyła się znowu na plecach i w tej chwili uległości zrozumiała, że Beyard jest niebezpieczny.

Sunał palcem po jej ciele, najpierw po szyi, a potem klatce piersiowej. Nie odrywał oczu od ręki, tak że uniknął jej spojrzenia.

- W czasie jednej z tych rozmów - odezwał się po chwili milczenia - użyłaś imienia Michael. To imię, które podał mi marynarz z *Santo Domingo*.

Jego dłoń zatrzymała się na jej brzuchu. Ujęła ją i zbliżyła do ust.

- To pseudonim, który przyjąłem, by móc robić to, co robię. - Nie powiedziałaś mi jeszcze, co robisz.

- To temat na inny dzień - odrzekła. Przekreśliła się na bok, żeby na niego popatrzeć, a potem siadła na nim okrakiem, przyciskając mu ręce do łóżka. Pochyliła się nad nim i dotknęła ustami jego ust.

Westchnął głęboko, a potem bez ostrzeżenia uwolnił jednym szarpnięciem ręce, chwycił ją w tali i położył z powrotem na łóżku.

- Nie baw się mną, Essa - powiedział.

Był silny. Bardzo silny.

- Dlaczego zakładasz, że się tobą bawię? - zapytała. - Pragnę twojego ciała równie mocno, jak ty pragniesz mojego.

Uśmiechnął się. Jego oczy były smutne; usta wykrzywiły się w okrutnym grymasie.

- To niemożliwe.

Pogłaskał jej włosy, wciąż unikając wzroku.

- Kiedy byłaś ze mną, opierałem się temu, czego najbardziej pragnąłem, a kiedy odeszłaś, przez całe lata próbowałem zapomnieć o tym, czego pragnąłem. - Delikatnie musnął dłonią jej szyję i piersi. - I oto jesteś tu z powrotem. Przede mną, obok mnie, chętna. Nie jestem pewny, czy cię Kocham, czy nienawidzę i chcę zniszczyć.

- Czy to takie ważne? - zapytała.

Uklękła przy łóżku, zdjęła koszulę, ujęła jego ręce i przyciągnęła je do swoich piersi, a potem pochyliła się i pocałowała go, dotykając ustami lekko jego ust, prowokując językiem. Poszukał jej spojrzenia.

- Dla ciebie to gra o kontrolę - wyszeptał.

Musnęła ustami jego szyję, na co on odpowiedział przyspieszonym oddechem.

- Jeśli tak jest - odparła - to co to znaczy zdaniem stratega, który jest w tobie?

Patrzył na nią przez sekundę, a potem otoczył ją ramionami, przytulił do siebie, nappełnił nią usta, a kiedy to zrobił, ogarnęła ją fala gorąca, które najpierw ścisnęło ją za gardło, a potem przebiegło przez całe ciało.

Dopuszczenie mężczyzny do swojego ciała to było jedno, ale dopuszczenie go do duszy to było coś zupełnie innego.

Rozdział 14

2°00'N, 9°55'E

Zachodnie wybrzeże Gwinei Równikowej

Morze było nieskończoną płachtą stalowej szarości, w której odbijało się zasnute chmurami niebo, a trawler malutką, czarną plamką na horyzoncie. Zbliżał się zachód słońca, ta pora dnia, kiedy niebo zwykle wybucha feerią jaskrawych barw, a fale oceanu zdają się mienić najróżniejszymi kolorami. Munroe wystawiła twarz na wiatr i pył wodny, zamknęła oczy i pozwoliła myślom płynąć swobodnie, licząc na przebłysk olśnienia pozwalającego dostrzec jakiś porządek w mozaice strzępów informacji, które wciąż rodziły więcej pytań, niż przynosiły odpowiedzi - ale nie dostrzegła niczego.

Łódź motorowa mknęła po wodzie z ogromną szybkością, błyskawicznie zmniejszając odległość dzielącą ich od miasta Bata, które obecnie było jeszcze niewidocznym punktem za linią widnokręgu. Trzy godziny wcześniej trawler rzucił kotwicę u południowych wybrzeży Kamerunu i, z wyjątkiem Georgea Wheala, który zgodził się pozostać na statku do powrotu Beyarda, załoga popłynęła na brzeg. Natomiast Munroe, Beyard i Wheel spędzili jakiś czas w sterówce, studiując mapy, które Francisco zgromadził przez lata, i dyskutując o zaopatrzeniu oraz o zorganizowaniu transportu dla kilku możliwych tras z Baty do Mongomo.

Był to teraz projekt Beyarda. Munroe nigdy mu go oficjalnie nie przekazała; sam go sobie wziął, rozłożył na czynniki pierwsze, a potem metodycznie wszystko zaplanował, jak wielki strateg ustawiający pionki do jeszcze jednej partii szachów, w której stronami są żywi ludzie. To był powrót do innego życia, innego świata, i tak jak dawniej, teraz też nie

miało być żadnej dyskusji o tym, żeby wykonać zadanie na jej sposób. Beyard nie był niczym sługą; przekazanie mu dowództwa było ceną, którą musiała zapłacić za jego udział w dalszych poszukiwaniach.

A potem na horyzoncie ukazała się Bata, ledwie widoczna w postaci czerwono-białej plamki. Jeszcze przez jakiś czas płynęli na południe, tak że do brzegu dobili kilka mil za miastem, tuż za granicami terenu portowego. To właśnie tam znajdowała się jedna z posiadłości Beyarda, w której zamierzali zamienić motorówkę na samochód.

Deski pomostu były wygładzone na skutek wielu lat użytkowania i podniszczone przez deszcze, wiatr i słońce, ale całość wspierała się na solidnych, głęboko wbitych palach. Ciągnął się od tyłów dobrze utrzymanej posiadłości, ponad piaszczystą plażą, wybiegając na pięćdziesiąt stóp w morze, a na jego końcu przycumowana była mała, zupełnie nowa łódź rybacka. Beyard doprowadził motorówkę do przeciwnej strony pomostu i wyskoczywszy z niej ze zręcznością świadcząca o dużej wprawie, nałożył cumy na pachołki.

Dom stojący na terenie tej dwuakrowej posiadłości był parterowy, rozłożysty i wtapiał się w bujny, zielony krajobraz. Z tylnych drzwi wyszła kobieta i ruszyła w ich stronę z małym dzieckiem, które ledwie szło, trzymając się jej sukienki, opinającej się na kształtnych nogach. Miała jasnobrązową skórę, delikatne i doskonałe rysy twarzy, którą rozjaśnił szczery uśmiech, kiedy objęła Beyarda na powitanie. Przez całe popołudnie, które spędzili na planowaniu, Francisco jakoś zapomniał wspomnieć o niej i o dziecku, i kiedy przywitała Munroe ze swobodą kogoś jej równego, Munroe stłumiła uczucie wrogości i zmusiła się do przywołania na twarz maski uprzejmości.

Kobieta uśmiechała się, kiedy Beyard mówił, a ciepło, które sobie nawzajem okazywali, świadczyło o bliskości idącej o wiele dalej niż platoniczna przyjaźń. Beyard uklęknął, tak że

jego oczy znalazły się na tym samym poziomie co oczy chłopczyka, i połaskotał go w zaokrąglony brzusek, a potem wziął malucha w ramiona i podrzucił do góry. Śmiech dziecka niósł się po całej okolicy, chociaż Munroe nie słyszała niczego, oprócz szumu krwi tętniącej w jej uszach, i stała jak sparaliżowana ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Beyard postawił w końcu malca na ziemi i odwrócił się do Munroe. Widząc, że jego usta się poruszają, zmusiła się do zarejestrowania dźwięku.

- To jest Antonia - mówił. - Ona, jej mąż i ich troje dzieci mieszkają tutaj... to ich dom i ich ziemia, chyba że akurat jestem w mieście. - Skinął głową w stronę domu. - Po drugiej stronie posiadłości jest domek dla gości. Tam spędzimy noc.

Dom dla gości wyposażony był w niezbędne meble i rzeczy, ale nic ponadto. W środku były dwa pokoje: sypialnia połączona z małą łazienką i większe pomieszczenie, przedzielone czteroosobowym stołem na dwie części, z których jedna pełniła funkcję saloniku, a druga kuchni. Nie było tam żadnych urządzeń klimatyzacyjnych, ale sufity znajdowały się wysoko, a stała bryza łagodziła niedogodności związane z wysoką wilgotnością powietrza.

Zanim się oboje wykąpali, zrobiło się ciemno i Antonia, a nie jedna ze służących, przyniosła jedzenie z głównego domu. Munroe usłyszała z sypialni, jak weszła, a zza zamkniętych drzwi podsłuchiwała fragmenty prowadzonej półgłosem rozmowy. Przedzierały je okresy milczenia. Ociąganie się. A potem drzwi frontowe zamknęły się i oboje, Beyard i kobieta, gdzie poszli, a Munroe uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech w napięciu, i poczuła niechęć do samej siebie z tego powodu.

Uczucie, które się w niej rodziło, było pogwałceniem kardynalnego prawa przetrwania; maciło rozsądek, zakłócało zdolność logicznego myślenia i dlatego należało je wykorzenić.

Munroe zrobiła głęboki wdech, a potem wydech. Musiała odzyskać kontrolę nad sobą, a to wymagało zduszenia tego w sobie, zamknięcia. Jeszcze jeden wdech, a potem zamknęła oczy i wbrew rozsądkowi spróbowała się przekonać, że to nie jest tak groźne, że może warto zaryzykować, i ostatecznie odłożyła decyzję na później. Beyard był rzadkim przykładem mężczyzny równego jej pod każdym względem, mającego zarówno umiejętności, jak i powód, by zniweczyć jej plany i zniszczyć ją samą. Niebezpieczeństwo miało upajający powab, któremu trudno było nie ulec.

Beyard wrócił po mniej więcej dwudziestu minutach. Podczas kolacji rozmawiali - Munroe wiedziała o tym, bo jej oczy widziały poruszające się usta Francisca - flirtowali, bo Beyard uśmiechał się czarująco w odpowiedzi na jej słowa, których odgłos odbijał się echem w jej głowie. Trwało to przez cały posiłek, zewnętrzna harmonia zasłaniała wewnętrzny niepokój. Zamknięcie było nieuniknione. Ale mogło poczekać.

Obudzili się przed świtem, o tej porze doby, kiedy dżungla ożywa wrzaskami małp i ptasimi chórami zagłuszającymi krzyki nocnych drapieżników. Powietrze było wilgotne od lekkiej mgły, a kiedy wstało słońce, temperatura szybko się podniosła i zrobił się parny upał.

Samochodem Beyarda był nierzucający się w oczy peugeot, który na początku był beżowy lub może biały, a teraz na stałe przybrał kolor rdzy. W przeciwieństwie do jego innych rzeczy, których stary wygląd był tylko maską skrywającą supernowoczesny sprzęt, ten peugeot był naprawdę wrakiem. Munroe wyraziła pewne zastrzeżenia, ale Beyard się uparł.

- Tak będzie dla nas najlepiej - powiedział. - Moje inne samochody są dobrze znane. Jeśli weźmiemy ten, zapewni nam do pewnego stopnia anonimowość, a poza tym i tak nie jedziemy daleko... za mniej więcej pięć kilometrów drogi są już utwardzone.

- Nie bierzemy tego wraka do Mongomo?

- Nie - odparł. - Pojedziemy land roverem, a możliwe, że jedną z ciężarówek, najpewniej bedfordem.

- Masz do nich tak łatwy dostęp?

- Nie powinno to być zbyt wielkim problemem - odrzekł. - Kiedy ja ich nie używam, są wynajmowane Malezyjczykom lub Chińczykom... mam firmę, która zajmuje się organizacją przewozu drewna z miejsc wyrębu lasów do portu. Zapewnia mi to legalną przykrywkę dla ruchu ciężarówek i daje możliwość zapłacenia moich należności w postaci solidnych datków dla miejscowego grona nepotów.

Munroe pokiwała głową, a potem zapytała: - Masz jakiś schowek, na wypadek gdybym chciała zostawić parę rzeczy?

- Mam - odpowiedział. Zaprowadził ją z powrotem do łazienki w domku dla gości, wyjął wprawdzie część framugi drzwi i wyciągnął ze ściany wąski, szczelnie zamknięty pojemnik z kilkoma tysiącami euro. Podał go jej ze słowami: - Powinno tu być jeszcze trochę miejsca.

Zdjęła pokrywkę.

- Jak bezpieczna jest ta posiadłość? - Żaden wojskowy tu nie wejdzie, jeśli o to ci chodzi.

Wyjęła z pasa na pieniądze gwinejską kartę stałego pobytu, a sam pas wraz z paszportami, kartami kredytowymi i świadectwem zgonu Emily włożyła do pojemnika.

- Jaką masz gwarancję, że jest tu bezpiecznie?

- Antonia jest najstarszą i ulubioną siostrzenicą jednej z żon prezydenta, a mąż Antonii związany jest z prezydentem poprzez wojsko. Dzięki nim dwojgu posiadłość jest bezpieczna.

Nałożyła pokrywkę.

- No to mają dobrze, ale to nie chroni twoich kosztowności. - Wskazała głową pojemnik w swoich rękach.

Uśmiechnął się, wziął od niej pojemnik, wsunął go z powrotem w dziurę w ścianie, którą następnie zasłonił framugą.

- Musisz wiedzieć wszystko? Znać wszystkie moje tajemnice?

Munroe wzruszyła ramionami.

- To, czy mi o tym powiesz teraz czy nie, nie ma tak naprawdę znaczenia. Kiedy chcę mieć jakąś informację, zdobywam ją. Dowiem się tak czy inaczej.

- No dobrze, niech ci będzie - powiedział. - Znamy się z Antonią od dawna... jestem ojcem jej najstarszego syna. Ma teraz osiem lat, możesz więc sobie wszystko dodać. - Mówiąc to, Beyard ruszył w stronę drzwi frontowych, a Munroe podażyła za nim. - Mniej więcej cztery lata temu, kiedy nasz związek się rozleciał i wyglądało na to, że nie ma dla nas przyszłości, wyszła za swojego obecnego męża... jest jego żoną numer trzy. On mieszka w stolicy i widują się raz lub dwa razy w miesiącu.

Beyard otworzył Munroe drzwi peugeota i przez jakiś czas szarpał się z klamką, żeby je dobrze zamknąć. Kiedy mu się to w końcu udało, usiadł na miejscu dla kierowcy i zanim włączył silnik, trzasnął kilka razy drzwiami ze swojej strony.

- Kupiłem to miejsce dla niej - podjął przerwany wątek. - Zapisalem na jej nazwisko. To jej polisa ubezpieczeniowa, dzięki której będzie mogła sobie kupić wolność, jeśli tego zechce... wiesz, jak to tutaj jest... a teraz, kiedy firmy naftowe mają w pobliżu swoje osiedla, jest to mała, ale bardzo cenna nieruchomość.

Munroe dobrze wiedziała, co miał na myśli. Kiedy kobieta w Gwinei Równikowej wychodziła za mąż, stawiała się tak mocno związana z mężem i jego rodziną, że często przybierało to formę własności. Rozwód, choć formalnie rzecz biorąc możliwy, nakładał na nią ciężar niemożliwy do udźwignięcia: zgodnie z prawem mąż zatrzymywał dzieci urodzone podczas małżeństwa, a kobieta była zobowiązana do zwrotu wiana albo szła do więzienia, co w tym kraju podupadających więzień, w

których nie uwzględniano podziału na płci, było niewiele lepsze od wyroku śmierci.

Pojazd ruszył z charkotem.

- Zgodzisz się zapewne - podsumował Beyard - że moje zaufanie jest uzasadnione, a posiadłość bezpieczna.

Munroe popatrzyła na niego z ukosa i założyła ręce na piersi.

- Tak, zgodzę się. - Milczała przez chwilę, po czym odwróciła się w jego stronę. - Może i upłynęło dziewięć lat, ale ty się zbyt nie zmieniłeś. Zawsze jest jakaś cena. Wykorzystujesz ją.

Popatrzył na nią, odrywając wzrok od drogi gruntowej, która uchodziła za szosę.

- Nigdy temu nie zaprzeczałem - powiedział. - Prawdą jest, że jej to nie obchodzi.

- A jej mąż, czy jego też to nie obchodzi? Na pewno zna waszą historię, wie, że korzystasz z tej posiadłości, że bywasz tu, kiedy go nie ma... i nie może mu się to podobać. Pewnie nie zmartwiłby się zbyt, gdybyś zniknął.

- Nie - odrzekł Beyard. - To ja ich sobie przedstawiłem, a on jest jednym z moich najbliższych przyjaciół. - Wzruszył ramionami. - Sprawy wyglądają tak, jak wyglądają, Essa. Mój związek z Antonią skończył się cztery lata temu i to, mogę dodać, nie z jej winy. To ja mam popieprzone w głowie. Mamy syna i obojętnie, jak sprawy mają się teraz, chcę, żeby była szczęśliwa. Czy ją wykorzystuję czy nie, ona i tak dobrze na tym wychodzi, podobnie jak chłopiec. - Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. - Zadowolona?

- Pewnie tak. - A potem, po kilku sekundach milczenia, zapytała: - Czy twój syn wie, że jesteś jego ojcem? Często go widzisz?

- Tak i niezbyt. Kiedy skończył siedem lat, zabrałem go do Paryża. Mieszka tam u przyjaciół rodziny Antonii i uczy się w jednej z najlepszych szkół w kraju. I tak - odpowiedział na jej

niezadane pytanie - na mój koszt. Przywożę go do domu dwa razy w roku. Chcę doprowadzić do tego, że kiedy dorośnie, będzie miał dwa światy do wyboru, i poczyniłem przygotowania, żeby w sytuacji, gdyby mnie zabrakło, został otoczony należytą opieką. - Po chwili milczenia dodał: - Ze wszystkich ludzi ty masz najmniejsze prawo do wygłaszania krytycznych sądów o wykorzystywaniu lub niewykorzystywaniu innych, bo przecież właśnie w tej chwili wykorzystujesz mnie, żeby dostać to, czego potrzebujesz.

- Zaproponowałam, że cię wynajmę. To, że nie chcesz wziąć pieniędzy, nie jest moją sprawą.

Beyard uśmiechnął się. Był to uśmiech człowieka wiedzącego i rozumiejącego.

- Essa, może w twoim innym życiu, pośród innych ludzi takie słowa miałyby jakieś znaczenie... ale nie między nami. Oboje wiemy, że semantyczne gierki są całkowicie nieistotne, kiedy ma się głębszą znajomość ludzkiej natury. A ty mnie wykorzystujesz. Wiesz, czego pragnę bardziej niż pieniędzy, i dajesz mi to jak narkotyk, w małych dawkach, podsycając mój głód, aż stanie się nałogiem. Nie popełnij błędu, myśląc, że o tym nie wiem. Tak jak Antonii, także tobie pozwoliłem się wykorzystywać. Ty i ja, Vanesso, jesteśmy do siebie bardzo podobni.

Droga prowadząca z posiadłości Beyarda nie była niczym więcej niż pełną kolein drogą gruntową, która biegła przez napierającą ze wszystkich stron dżunglę, i kiedy samochód włókł się nią w żółwym tempie, od czasu do czasu przez jedno z otwartych okien muskały ich gałęzie. Kilka kilometrów dalej droga łączyła się z szerszą, która jeszcze trochę dalej dochodziła do asfaltowej szosy, i właśnie tam, gdzie skończyła się nawierzchnia z pomarańczowoczerwonej ziemi, natknęli się na pierwszy punkt kontrolny.

W poprzek szosy przeciągnięto kilka drutów kolczastych, a oba pasy były dodatkowo zablokowane przez prowizorycznie

wykonane, drewniane kozły, które miały zatrzymywać niemal nieistniejący ruch. Pięciu żołnierzy musiało się dzielić jednym karabinem, a na poboczu szosy paliło się ognisko, osłonięte kłodami i kamieniami, nad którym wisiał aluminiowy garnek z gotującą się zawartością. Beyard poprzekomarzał się i pożartował z dowódcą grupy i jakiś czas później o pięć piw lżejszy peugeot jechał już po asfalcie, jedynym odcinkiem nadbrzeżnej szosy, który miał taką nawierzchnię, kierując się do Baty, największego i głównego miasta kontynentalnej części Gwinei Równikowej.

Licząca około siedemdziesięciu tysięcy mieszkańców Bata była drugim pod względem ludności miastem w kraju, ale pod względem powierzchni była większa od stolicy. W przeciwieństwie do Malabo, które było przeludnione, zatłoczone, a jego wąskie ulice zapchane, Bata rozciągała się na długiej i obszernej połaci ziemi, jej ulice były szerokie, dość puste i w większości o asfaltowej lub brukowanej nawierzchni. Budynki stojące blisko oceanu były jedno- lub dwupiętrowe, zbudowane w stylu śródziemnomorskich i hiszpańskich willi. Dalej od brzegu domy były w większości parterowymi prostopadłościanami z pustaków, wzniesionymi raczej z myślą o funkcjonalności niż o względach estetycznych, aczkolwiek zadbano o to, by stały w równych liniach wzdłuż ulic i w dość dużych odstępach od siebie.

Kilka kilometrów na południe od miasta leżał port, z którego w zdumiewającym tempie wysyłano w świat bogactwa naturalne kraju, a za portem były osiedla cudzoziemców, w których, niczym w malutkich kawałkach Ameryki przeszczepionych do zachodniej części Afryki Środkowej, mieszkali pracownicy firm naftowych. Kilka kilometrów na północ od miasta był pojedynczy pas asfaltu, który służył jako największy port lotniczy w kontynentalnej części Gwinei Równikowej i funkcjonował tylko za dnia, kiedy widoczność była dobra - pas na tyle długi i szeroki, że mógł na nim

wylądować boeing 737, ale już nic większego. W kierunku wschodnim wychodziła z miasta szosa biegnąca przez północno-środkową część kraju. Kiedyś jej nawierzchnię tworzyła czerwona glina, która podczas pory deszczowej przeobrażała się w nieprzebyte błocko, teraz był to asfalt, opłacony z zysków za ropę.

Peugeot trząśł się i charczał, zanim w końcu zatrzymał się przed Bar Central. Była to jedna z najpopularniejszych w mieście restauracji, pełniąca także rolę knajpy, i wizyta w niej mogła być, jak miała nadzieję Munroe, pierwszym krokiem do podjęcia tropu Emily Burbank.

Podobnie jak Malabo, Bata była miastem bez rozrywek, w którym wyjście do klimatyzowanego sklepu spożywczego stawało się najważniejszym wydarzeniem dnia, i z braku czegokolwiek innego restauracje i bary były miejscami spotkań towarzyskich. Ci, którzy je prowadzili, czuli puls miasta, znali wszystkie pogłoski, słyszeli plotki i w pełni zdawali sobie sprawę z tego, co się działo. I jak większość restauracji w kraju, także Bar Central był własnością ekspatriantów, w tym wypadku dwóch braci pochodzących z Libanu. Starszy z nich stał właśnie za barem przy kasie i kiedy dostrzegł Beyarda, uniósł rękę w geście przypominającym salut. Wkrótce podszedł do ich stolika, uściśnął rękę Francisca, po czym objął go jak brata. Pożartował z niego przez chwilę i przysiadł się do nich.

Salim miał czarne, przyprószone siwizną włosy i ciemno-orzechowe oczy. Chociaż nie mógł mieć więcej niż czterdzieści pięć lat, długotrwały stres porzył jego twarz tak głębokimi zmarszczkami, że wyglądał na sześćdziesiąt. Beyard przedstawił mu Munroe, a kiedy to zrobił, ona ujęła rękę Salima i powiedziała: - *As-salam alajkum*.

Salim uśmiechnął się szeroko i odparł: - *Wa alajkum salam...* - po czym zwrócił się do Beyarda i dodał: - Podoba mi się ta dziewczyna. Gdzie ją znalazłeś?

Przez jakiś czas rozmawiali o tym i owym, aż w końcu Munroe wyjęła internetowe zdjęcie Emily i położywszy je na stole, podsunęła Salimowi.

- *Nabhatou an hadihi al bint.*

Beyard uznał, że powinien interweniować.

- Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, czy widziałeś tę dziewczynę. Ale jeśli ktoś zapyta, przyszliśmy tylko na śniadanie.

Salim odsunął się od stołu i powiedział takim tonem, jakby był zaskoczony: - Francisco, mój przyjacielu. Czy musisz o to prosić? Dla ciebie wszystko. - I zwróciwszy się do Munroe, dodał: - Tak, widziałem tę dziewczynę. - Przesunął palcem po uchu i przechylił głowę. - Ostatni raz chyba z sześć miesięcy temu.

- Często tu przychodzi? - zapytała.

- Nie powiedziałbym, że często. Raz, może dwa razy w roku.

- Przychodzi sama?

- Sama? Nie, nigdy. Zawsze jest z innymi ludźmi. A jej mąż bywa tu częściej.

Munroe milczała przez chwilę.

- Ona jest mężatką?

Salim wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko.

- Czy jest mężatką? Cóż, nie wiem, czy przekazano posag i czy podpisano odpowiednie dokumenty, ale jest z nim, tak, tego jestem pewny. On nazywa się Nchama, to także wiem.

- Klan Mongomo - odezwał się Beyard.

- Czy ona mieszka tutaj, w Bacie? - zapytała Munroe.

- Tego nie wiem - odrzekł Salim. - Ale myślę, że nie. Munroe schowała wydrukowane zdjęcie do kieszeni koszuli.

- Jeśli nie masz nic przeciwko moim pytaniom, to czy jest w tej dziewczynie coś szczególnego, co sprawiło, że ją zapamiętałeś... cokolwiek?

Salim jeszcze raz wzruszył ramionami i zamyślił się. Ponownie przesunął palcem po uchu, na koniec uśmiechnął się lekko i powiedział: - Znam moją klientelę; po jakimś czasie przyzwyczajasz się do pewnych wzorców zachowań. W większości wypadków ludzie przestają z podobnymi sobie. Hiszpanie trzymają się z Hiszpanami, Francuzi z Francuzami. Nieczęsto się zdarza, że widzisz mężczyznę z tego kraju z kobietą zupełnie inną, która, jak on utrzymuje, jest jego własnością.

- Czy wydawała się szczęśliwa, nieszczęśliwa, czy była gruba, szczupła, dobrze ubrana, biednie?

Salim zastanawiał się przez chwilę.

- Kiedy ją widziałem po raz ostatni, była szczupła, prawie chuda, a jej włosy były dużo dłuższe niż na tym zdjęciu i owinięte ciasno wokół głowy. Miała na sobie niewyszukany, ale drogi strój, trochę jak te, które noszą żony miejscowych bogaczy... to szczególny styl, nie afrykański, ale i nie zachodni. Wydawała się nie tyle smutna lub nieszczęśliwa, ile raczej... cóż, może jakby nieobecna.

- A jaka była wtedy, gdy ją widywałeś przedtem? - dążyła Munroe. - Jak byś ją wtedy opisał?

- Prawdę mówiąc - zaśmiał się cicho Salim - nigdy jej się tak specjalnie nie przyglądałem. W ciągu ostatnich kilku lat widziałem ją może cztery lub pięć razy, ale nigdy nie zwróciłem na nią większej uwagi.

- Jestem wdzięczna za twoje informacje - odrzekła Munroe. - Czy jeśli przypomni ci się coś jeszcze, będziesz tak miły i skontaktujesz się z Franciskiem?

Salim skinął głową, a potem powiedział do Beyarda: - Powinniście wiedzieć, że nie tylko wy pokazujecie zdjęcia w tym mieście.

Munroe, która właśnie zamierzała ugryźć kawałek ciasta, rozmyśliła się i odłożyła je na talerz.

- Są inni, którzy pokazują ludziom zdjęcia tej dziewczyny?

- Twoje zdjęcie - odparł Salim. - Z mojej strony nic wam nie grozi. Nie spodziewam się kłopotów, a jeśli zostanę zapytany, mogę kategorycznie powiedzieć, że zupełnie nie przypominałaś osoby z fotografii. - Zachichotał znowu. - Może byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś się przez kilka dni nie pokazywała w mieście.

- Jak on wyglądał... ten człowiek z fotografią?

- Było ich dwóch. Jeden wojskowy, ale bez munduru, a drugi młodszy, może dwudziestokilkuletni, możliwe, że z klanu Mongomo. Był dobrze ubrany. - Salim wstał. - Chwileczkę - powiedział, po czym podszedł do baru i wyciągnął zza kasy kawałek papieru. - Dali mi ten numer, żebym zadzwonił, gdybym cię zobaczył. - Dał papier Beyardowi, a Munroe wzięła go od niego i wsunęła do kieszeni.

- Czy zostawili fotografię? - zapytała, po czym dodała, zwróciwszy się do Beyarda: - To zdjęcie mogłoby nam dużo powiedzieć o tym, kim są ci ludzie, którzy mnie szukają.

- Nie zostawili niczego oprócz numeru - odrzekł Salim. - Ale fotografia była tak kiepskiej jakości, że niełatwo cię na niej rozpoznać.

Kiedy już wsiedli do samochodu, Munroe odwróciła się w stronę Beyarda.

- Gdybym była tu sama, spróbowałabym zgromadzić jeszcze trochę informacji przed opuszczeniem miasta, ale teraz nie tylko ja nadstawiam tu karku, no i znasz miasto lepiej ode mnie. Co sądzisz o tym wszystkim?

- Myślę, że powinnaś się zdrzemnąć na tylnej kanapie, gdzie nie będzie cię widać - odpowiedział. - Są jeszcze dwa miejsca, gdzie mam godnych zaufania znajomych. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

Wiadomości z dwóch innych restauracji były podobne: Tak, znali lub widywali Emily Burbank, nieczęsto, może raz w roku. Kierownik La Ferme był pewny, że Emily nie mieszka w

Bacie, i sądził, iż jej domem jest Mongomo. Obaj potwierdzili, że poprzedniego dnia odwiedziło ich dwóch mężczyzn, którzy szukali białej kobiety, ale żaden nie wiedział dlaczego.

Munroe ułożyła się na tylnej kanapie samochodu, starając się uniknąć możliwie wielu wystających sprężyn, zasłoniła rękami twarz i zamknęła oczy. Chaotyczne myśli przewijały się w jej głowie, zderzając się i łącząc ze sobą. To już nie była jedna łamigłówka; teraz były dwie... a możliwe, że trzy. Wciągnęła powietrze do płuc i z każdym głębokim wdechem wprowadzała się w stan coraz większej koncentracji i jasności umysłu, porównując nowe informacje z tym, co już wiedziała. To wszystko musiało gdzieś do siebie pasować, odpowiedź była tuż-tuż, prawie w jej zasięgu.

A potem nagle skojarzyła dwa wspomnienia: minister spraw zagranicznych i szef policji w Malabo - dziwne miny, jakie pojawiły się na ich twarzach, kiedy zobaczyli zdjęcie Emily Burbank, można było interpretować tylko jako próbę ukrycia tego, że ją rozpoznali. Emily była im znana, i to osobiście. Wielki kawałek układanki wsunął się na swoje miejsce. Emily Burbank była stałą, tym fragmentem danych, które miały sens.

Jeśli wiadomości, które usłyszała tego dnia, były prawdziwe, to jeszcze sześć miesięcy wcześniej Emily Burbank żyła i jawnie uczestniczyła w życiu towarzyskim mieszkańców Baty. Nie czyniono z tego sekretu, dziewczyna nie ukrywała się ani jej nie ukrywano. Ale prawdą też było, że w ciągu ostatnich czterech lat nie skontaktowała się z rodziną - przecież musiała wiedzieć, że jej szukali. Trop się wyłaniał, materializował, stawał dotykalny, czekając, aż ktoś go odkryje i nim podąży. Jeśli Munroe zdoła się dostać do Mongomo, Emily znajdzie się w jej zasięgu.

Poza sprawą samej Emily inne wydarzenia były postrzępionymi, niepasującymi do siebie kawałkami łamigłówki. Wraz z Bradfordem byli śledzeni w Malabo od

chwili, gdy tam przylecieli. Ona wylądowała w łodzi, podczas gdy Miles został wydalony z kraju. Mężczyźni w łodzi musieli przyjąć, że ona nie żyje, choćby tylko po to, by uniknąć konieczności przyznania się do spieprzenia prostego zadania, i na pewno tak przedstawili sprawę w swoim raporcie.

Żeby rozpocząć jej poszukiwania w tym mieście, teraz, ktoś z lokalnych władz wojskowych musiał wiedzieć, że ona żyje i że zmierza właśnie tutaj. Munroe nie mogła odrzucić nieprzyjemnej możliwości, że ludzie pokazujący wkoło jej fotografię zostali poinformowani o miejscu jej pobytu przez kogoś jej bliskiego, kogoś, kto znał jej zamiary, kto mógł wysłać zespół, który śledził ją od chwili, gdy postawiła nogę w Gwinei Równikowej.

Ludzie z fotografią byli w Bacie przed dwoma dniami. Gdzie ona wtedy była? Gdzieś u wybrzeży Nigerii. Ilu ludzi wiedziało, że ona żyje i kieruje się do tego miasta?

Logan. W rozmowie z nim nie wspomniała, gdzie jest i dokąd płynie.

Kate. Kate wiedziała o niemal każdym jej kroku - ale Bata? Nie, o tym jej nie powiedziała. Francisco. Zanim pokazała się w jego domu, nie miał pojęcia, że Munroe jest w Gwinei Równikowej, i w żadnym razie nie zdołałby zorganizować śledzenia jej w Malabo. Chyba że... chyba że dowiedział się o jej rychłym przyjeździe od Boniface Akambe.

Bradford. Cholera. Powiedziała mu o Bacie i on był z nią tam, w Malabo, leżąc w milusim, przytulnym łóżeczku, mniej więcej w tym czasie, kiedy ona wylądowała z kotwicą u nogi na dnie oceanu. Znał z wyprzedzeniem jej wszystkie ruchy. A kiedy pojawiła się zupełnie żywa, nieutopiona, nalegał, żeby pozwoliła mu wrócić do Afryki, i chciał pojechać z nią do Baty.

Trzy układanki, w podobnych kolorach, z identycznymi kawałkami i ząbającymi się wzorami.

- Pewnie powinniśmy wyjechać z miasta - powiedziała do Beyarda.

Pozostała na tylnej kanapie, podczas gdy on prowadził samochód przez centrum, a potem, kiedy większość budynków pozostała w tyle, przesiadła się na przedni fotel. Beyard wyciągnął rękę i odsunął kosmyk włosów z jej twarzy.

- To, co robisz, żeby się utrzymać... ta twoja praca, o której mi jeszcze nie powiedziałaś. Jesteś strategiem?

- Nie takim jak ty - odparła, a potem się roześmiała. - A tak właściwie, to w dużym stopniu takim jak ty. Jeżdżę do krajów rozwijających się i zbieram informacje - zwykle ogólne i mało znane - i zamieniam je w coś, co korporacje mogą wykorzystać w procesie podejmowania biznesowych decyzji.

- A więc szukanie zaginionych ludzi nie jest tym, czym się zajmujesz, żeby zarobić na życie?

- Nie - odpowiedziała i przekreśliła się na fotelu, tak że siedziała twarzą do niego. - A gdybyśmy tak założyli spółkę, która odpowiadałaby nam obojgu? - zapytała. - Coś legalnego, co nie będzie się wiązało z koniecznością uchylania się przed kulami. Byłbyś bardzo dobry w tym, co ja robię... moglibyśmy pracować razem.

- Pozwól mi się nad tym zastanowić.

Jechali w milczeniu do chwili, gdy po pokonaniu łagodnego zakrętu zobaczyli w odległości mniej niż trzydziestu metrów przed sobą punkt kontrolny, którego tam wcześniej nie było. Obsadzony był przez grupę mężczyzn bliższych pod względem wyglądu dobrze wyćwiczonej i potężnie uzbrojonej gwardii prezydenckiej niż zbieraninie, na którą natknęli się rano. Było tam ośmiu żołnierzy, każdy z karabinem automatycznym, i trzy samochody. Oba pasy szosy blokowały przenośne kolczatki. Samochody, jeden SUV i dwa pickupy, były czarne i miały zaciemnione wszystkie szyby. We wnętrzu SUV-a majaczyły sylwetki mężczyzn, których cienie padały od środka na okna, a sam samochód stał zaparkowany tak, że jego przednia szyba nie była widoczna z drogi.

Beyard zwolnił, zacisnął usta, a jego oczy przybrały twarde wyraz.

- Z tyłu mamy karton papierosów. Jeśli to zawiedzie, zostanie gotówka. Zakładamy najgorsze, czyli to, że szukają właśnie nas. Zachowujemy się tak, jakby przydarzyło nam się najlepsze z tego wszystkiego... czyli że chcą trochę zarobić lub zabrać nam samochód. Na podłodze pod siedzeniem leży czapka. Włóż ją.

Peugeot powoli zbliżał się do celu. Twarz Beyarda była całkowicie pozbawiona wyrazu i tylko strzelał oczami na wszystkie strony, popatrując to na ludzi, to na pojazdy i dalej, na drogę, a Munroe wiedziała, że podobnie jak jej, jego umysł też przeszedł w stan hiperaktywności, błyskawicznie interpretując wszystkie dane i tworząc wszelkie możliwe scenariusze dalszego rozwoju wypadków.

Na drogę wystąpili dwaj żołnierze i gestami rąk nakazali im zjechać na pobocze. Munroe sięgnęła pod fotel, szukając czapki, i zapytała: - Masz jakieś narzędzia? Scyzoryk? Nóż do wykładzin podłogowych? Cokolwiek?

- Sprawdź w schowku. Mogę mieć śrubokręt.

Znalazła czapkę. Była brudna i zakurzona, ale włożyła ją bez zwłoki. Wielu z miejscowych miało kłopot z odróżnieniem rysów twarzy jednego cudzoziemca od drugiego, a tym bardziej, gdy widzieli je na fotografiach. Czapka pomoże zmienić wygląd. Do punktu kontrolnego zostało dziesięć metrów.

Munroe siedziała wyprostowana, patrząc przed siebie, podczas gdy jej palce przeszukiwały schowek i w końcu trafiły na latarkę w kształcie długopisu, którą schowała do kieszeni.

Beyard zatrzymał samochód na poboczu szosy, wciskając go między asfalt i gęste zarośla. Wyłączył silnik, a tymczasem Munroe wyciągnęła rękę nad jego kolanami, wyjęła kluczyk ze stacyjki, ściągnęła go z kółka, oddała mu, a resztę kluczy zatrzymała w zaciśniętej dłoni. Do peugeota podeszło trzech

żołnierzy. Dwóch wycelowało karabiny w jadącą nim parę, a trzeci zażądał okazania dokumentów wozu. Beyard podał je przez otwarte okno, a kiedy żołnierz odwrócił się i ruszył z nimi w kierunku jednego ze stojących dalej samochodów, Munroe zobaczyła jego profil i rozpoznała go jako jednego z tych, którzy wyrzucili ją z łodzi. W czasie, gdy dokumenty krażyły z rąk do rąk, Beyard wysiadł z peugeota. Wskazał na bagażnik, potem uniósł dwa palce do ust.

- Zostawiłem tam moje papierosy - powiedział.

Żołnierz pokazał głową na tył samochodu i poszedł za Beyardem, wciąż trzymając go na muszce. Francisco wyjął jeden karton i wrócił na miejsce kierowcy, gdzie demonstracyjnie otworzył jedną paczkę.

- Mają jeszcze jeden samochód za nami, tam, gdzie droga zakręca - powiedział. - Dwóch ludzi, taki sam ekwipunek.

- Przynajmniej jeden z nich był ze mną na łodzi tamtej nocy - odparła. - Nie rozpoznaję żadnego z pozostałych.

- Jeśli zobaczysz dowódcę, wskaż mi go - mruknął pod nosem.

- Może być w SUV-ie. Widzę cienie.

Z kierunku, z którego przyjechali, do punktu kontrolnego zbliżała się bush taxi⁶. W samochodzie siedziało sześć osób, a jego dach ginał pod stosem pakunków i tłumoków. Dwaj żołnierze stojący po przeciwnej stronie drogi podeszli do taksówki, zajrzeli przez okna do środka, a potem, bez pytania o dokumenty ludzi czy też wozu, odsunęli kolczatki i kazali kierowcy jechać dalej.

Beyard wyciągnął z paczki papierosa i zaczął się nim bawić.

- Jeśli widziałaś to samo co ja - powiedział - to rozumiesz, że mamy problem.

- Widziałam to - odrzekła. - Mam przy sobie kartę stałego pobytu, której muszę się pozbyć. Nie chcę dać im dowodu, że jestem osobą, której szukają.

Beyard zapalił swojego papierosa, podał jej zapalniczkę, po czym wysiadł z samochodu z kilkoma paczkami marlboro w rękach. Oparł się plecami o drzwi peugeota, ułożył papierosy na masce i zapytał najbliższego żołnierza: - Masz ochotę zapalić?

Mężczyzna żadnym gestem nie dał po sobie poznać, że usłyszał pytanie, i w odpowiedzi na ten brak reakcji Beyard rozpoczął monolog głosem wystarczająco silnym, by słyszeli to żołnierze stojący najbliżej niego: o pogodzie, o jedzeniu w mieście - o wszystkim i niczym, gdyż ważne było tylko to, że mówił.

Tymczasem Munroe położyła kartę pobytu na podłodze przed sobą i podpaliła ją. Paliła się powoli, a jej plastikowe opakowanie zwijało się, wypełniając jednocześnie wnętrze peugeota śmierzdzącym dymem. Płomień pochłonął już jedną trzecią karty, łącznie ze zdjęciem i większością danych osobowych, kiedy nastrój na zewnątrz samochodu nagle się zmienił. Munroe zdusiła nogą ogień i wsunęła resztkę karty za poduszkę siedzenia.

Żołnierz, który wziął od nich dokumenty wozu, wrócił bez nich. W języku, brzmiącym podobnie do tego, który słyszała tej nocy, kiedy została postrzelona, rozkazał coś dwóm stojącym przy samochodzie, a oni z kolei kazali Munroe wysiąść. Beyard zaciągnął się głęboko i wypuścił dym wysoko w powietrze. Niedobrze. Beyard nie palił i to, że udawał ofiarę nałogu, który uważał za szczególnie odrażający, było starym sygnałem, ostrzeżeniem. Nie opieraj się, bądź posłuszna.

Trzech żołnierzy przeszło przez szosę i dołączyło do trójki, która już tam była. Jeden z nich rozkazał Munroe i Beyardowi, by się położyli na ziemi, po czym kolejno, kopnięciami rozrzucił szeroko ich nogi, ściągnął im ręce do tyłu i skuł na plecach kajdankami. Trzymani przez cały czas na muszkach, zostali następnie zmuszeni do wejścia na tył jednej z półciągarówek. Mocno popychani, padli na podłogę

twarzami w dół, a żołnierze zasiedli na ławeczkach po obu stronach, przez cały czas mierząc do nich z karabinów. Kiedy wszystko było gotowe, pojazd gwałtownie ruszył do przodu.

Po kilku chwilach zjechali z szosy. Munroe zrozumiała to, kiedy samochodem zaczęło trząść na wybojach, przenoszony przez podwozie odgłos silnika się zmienił, a w powietrzu wyczuła duszną woń błota i różnych żywych stworzeń. Z najwyższym wysiłkiem starała się chronić głowę i nie dopuszczać do tego, by uderzała w podłogę. Jechali teraz jakąś wąską drogą. Kierowca zmienił światła i dostrzegła zieloną gęstwinę. Zanurzali się coraz głębiej w buszu.

Nie widziała Beyarda - miała głowę odwróconą w drugą stronę - ale go czuła. Przysunął się do niej, niewątpliwie pragnąc w ten sposób dodać jej otuchy, ale w ich sytuacji nic nie mogłoby jej uspokoić. O kilka cali od swojej głowy widziała czarne, zabłocone buty, a trochę wyżej matowy, metaliczny połysk broni, którą ten człowiek wymierzył w jej głowę.

Półcieżarówka zatrzymała się nagle, bez ostrzeżenia. Żołnierze wyskoczyli na zewnątrz i chwilę później Munroe została wyciągnięta tyłem z samochodu. Po drodze uderzyła głową w tylną klapę, po czym upadła na kolana. Jej czaszkę przeniknął pulsujący ból, po twarzy pociekła jej wiele mówiąca strużka, a nozdrza wypełnił ostry zapach krwi. Wzrok zasnuła jej szara mgła, a bęben wojenny, który miała gdzieś w sobie, zaczął wybijać rytm. Na poziomie głowy miała pas jednego z żołnierzy. Pistolet. Amunicja. Nóż. Narastało w niej pragnienie uderzenia, instynktowna chęć zadania ciosu, ale potem, w jednej chwili cała furia zgasła niczym ogień, któremu zabrakło paliwa. I znieruchomiała.

W ułamku sekundy, kiedy zobaczyła Beyarda, ogarnął ją lęk. Lęk. Było prawdopodobne, że jej ucieczkę Francisco przypłaci życiem. Zamiast, natężywszy wszystkie zmysły, dążyć do uratowania życia, ona się cholernie bała o Beyarda. To było coś nowego, to uczucie strachu.

Zmuszono ją do wstania. Niedaleko od samochodu była wąska ścieżka, która prowadziła w głąb zarośli. Stojący najbliżej żołnierz wbił jej lufę karabinu w żebra i wskazał głową kierunek, w którym powinna iść, a kiedy się nie ruszyła, popchnął ją. Kolor drzew i krzewów zmieniał się stopniowo od szmaragdowego do zgniłozielonego, a bicie wewnętrznego bębna było teraz cichym stukaniem w klatce piersiowej. Ścieżka ginęła w gęstym podszyciu i trudno było ją odnaleźć, ale kiedy Munroe zwolniła, by się rozejrzeć, lufa karabinu zaraz uderzyła ją w plecy. Wewnętrzny młot zahuczał. Uśmiechnęła się jak śmierć i zacisnęła pięść, w której wciąż trzymała kluczyki. Posługując się kciukiem, poprzestawiała je w ten sposób, że wystawały między palcami.

Nie była w stanie się zorientować, ilu mężczyzn podała za nimi ani czy Beyarda prowadzą tą samą drogą, czy też zmuszono go do całkiem prywatnego marszu śmierci. Nie mogła wykonać żadnego ruchu ani niczego zaplanować, dopóki nie wiedziała, gdzie on jest i ilu mężczyzn idzie między nimi. Zaryzykowała kolejne dźgnięcie w żebra i zabczała jak dujker Petersa, jedna z małych antylop żyjących w gęstych lasach równikowych. Po chwili usłyszała odpowiedź. Beyard był gdzieś z tyłu, ale prowadzono go tą samą ścieżką. Droga skończyła się nagle na brzegu koryta niewielkiej rzeki. Piętnaście stóp błota i powykręcanych korzeni dzieliło miejsce, gdzie stała, od płynącej po dnie mętnej, rdzawoczerwonej wody. W porze deszczowej rzeka byłaby wezbrana, pełna rwącej wody, teraz jednak była nędzną pozostałością po samej sobie. Żołnierz szarpnął Munroe za nadgarstki, zmuszając ją do przykłęknięcia, po czym przyłożył jej lufę karabinu do karku. Twarzą była skierowana do rzeki, plecami do ścieżki, którą przyszli, a jego pas miała na wysokości oczu, pistolet kilka cali od policzka. Z tyłu dobiegł odgłos kroków, a wraz z nim wołanie dujkera.

Beyarda doprowadzono na miejsce tak odległe od niej, jak na to pozwalały zarośla. Ręce miał skute na plecach i była pewna, że podobnie jak ona klęczał na ziemi, a stojący przy nim żołnierz mierzył mu z karabinu w głowę. A potem zapadła względna cisza.

Słysząc było, że ścieżką zbliżają się jeszcze inni mężczyźni. Ilu, trudno było powiedzieć, chociaż instynkt mówił Munroe, że nie mogło być ich więcej niż sześciu.

Wszystko było gotowe do egzekucji i pilnujący ich żołnierze czekali tylko na rozkazy, które z każdą sekundą były coraz bliższe. Munroe zamknęła oczy, żeby się skupić. Przypuszczalnie mogła jeszcze wyjść z tego z życiem. Gdyby jednak musiała się martwić o Beyarda, jej szanse malały, a każda sekunda wahania przyspieszała tylko chwilę jej śmierci. Sytuacja była, jaka była; należało działać teraz albo nigdy.

Wyciągnęła prawy kciuk z panewki stawu, zsunęła kajdanki z nadgarstka, wcisnęła kciuk z powrotem na miejsce i ścisnęła kluczyki w dłoni. Pochyliła się do przodu, napięła mięśnie i spojrzała w górę na żołnierza. Kiedy zwrócił się ku niej, uśmiechnęła się słodko i zapytała po portugalsku: - Czy zabijesz mnie teraz?

Nic nie mówiąc, odwrócił głowę, tak że patrzył przez wodę na drugi brzeg, ale zanim to zrobił, ona dostrzegła to, co chciała zobaczyć. Wyraz jego oczu zdradził, że zrozumiał, co powiedziała. Był Angolczykiem.

- Nie mogę umrzeć, nie powiedziawszy nikomu o skarbie - kontynuowała. Jej głos był miękki i śpiewny, każde słowo wymówione powoli i dokładnie. - Znajdziesz go zakopanego pod wydumą na plaży, pięć kilometrów na południe stąd, tam, gdzie rzeka wpływa do oceanu. - Z każdym słowem mówiła coraz ciszej, a ostatecznie kłamstwo wyszeptała. To było mimowolne - mężczyzna nic na to nie mógł poradzić; z każdym słowem jego głowa pochylała się coraz niżej, żeby mógł usłyszeć to, co powiedziała.

Jej uderzenie było jak atak mamby. Śmiercionośne. Ciche. Błyskawiczne. Klucze bezdźwięcznie rozdarły szyję żołnierza, zastępując jego tchawicę ziejącą dziurą. Siła ciosu rzuciła go na ziemię, a z gardła trysnęła mu krwista piana. Macał na oślep po ziemi, szukając swojej broni, która leżała tuż poza jego zasięgiem, i Munroe kopnięciem odrzuciła ją dalej. Nie mogło być żadnego strzału, tylko podstęp i cisza. Rzuciła się do niego, chwyciła za głowę i wykręciła ją tak mocno, aż usłyszała trzask. Następnie przetoczyła się na brzuch i ciągnąc jedną ręką ciało żołnierza, a w drugiej trzymając jego broń, zsunęła się do koryta rzeki, stawiając stopy na wystających ze stromego brzegu korzeniach drzew. Po drodze wyciągnęła nóż zza pasa swojej ofiary, jego pistolet wsadziła sobie z tyłu za pasek spodni, kałasznikowa zarzuciła na plecy i na koniec zepchnęła ciało na dół. Zsunęło się po skarpie i wylądowało twarzą w błotnistej wodzie, barwiąc ją jeszcze bardziej na czerwono. Wszystko to trwało pięć sekund, wystarczająco długo, by Beyard umarł dziesięć razy, ale z miejsca, gdzie klęczał, nie dobiegł żaden strzał ani inny odgłos. Munroe uniosła głowę ponad krawędź koryta rzeki, gotowa zabić żołnierza, który go pilnował, ale powitał ją widok butów Francisca, zsuwającego się po skarpie jej śladem i wlokącego ze sobą ciało. Nadal był skuty, ale ręce miał z przodu.

Obmacała szybko zwłoki strażnika Beyarda, poszukując kluczyka do kajdanek, ale niczego nie znalazła.

- Jak to, do diabła, zrobiłeś? - zapytała szeptem.

- Myślisz, że udało mi się tak długo przetrwać, bo pozwalałem innym toczyć moje walki? - Zaśmiał się cicho, z nutą okrucieństwa w głosie. - Dzięki za odwrócenie uwagi. - Przesłał jej wymuszony uśmiech, a potem wrzucił ciało do rzeki i syknął. - Ruszamy.

Przylgnęła do skarpy i zaczęła się przesuwać w bok jak krab, chwytając się czego popadnie i przeskakując z korzenia

na korzeń. Liczyła się wyłącznie szybkość. Beyard był tuż za nią, chwytając się, czego tylko mógł, by uchronić się przed zsunieniem na dno. Kiedy z tyłu dobiegły ich odgłosy zamieszania, wdrapali się na górę i ukryli w zaroślach. Zdołali oddalić się o mniej więcej czterdzieści metrów od miejsca niedosłej egzekucji. Pełznąąc na brzuchu, posuwali się powoli do przodu. Cisza była ich najlepszym przyjacielem. Pusta obręczka kajdanek zwisała z ręki Munroe, działając jej na nerwy. Mimo że starała się zachować ostrożność, kajdanki pobrzękiwały, kiedy metal uderzał w metal. Cicho. Niemniej jednak był to hałas, a każdy hałas mógł ściągnąć na nich ogień karabinów.

Opierając się łokciami na gąbkowatej ziemi, posuwali się coraz głębiej w zarośla. Munroe musiała zgadywać, gdzie są, ale kiedy była już pewna, że nie ma możliwości, by ktoś dostrzegł ich z brzegu rzeki, przekręciła się na bok i dała znak Beyardowi, by wysunął się przed nią. Gdzieś niedaleko jej głowy rozległ się charakterystyczny syk żmii gabońskiej. Zastygła w bezruchu i po czasie, który wydał się jej wiecznością, ostrożnie przekręciła się z powrotem na brzuch. Jad tego węża mógł zabić w piętnaście minut, a cywilizacja była o wiele dalej.

Z kierunku, z którego przybyli, dobiegł grzechot strzałów, a potem zapadła cisza. Czołgali się powoli, zatrzymując się co stopę, by nasłuchiwać, po czym pełzli dalej. Jeśli żołnierze podążali ich śladem wzdłuż koryta rzeki, najwyraźniej nie znaleźli miejsca, gdzie weszli w zarośla; odgłosy pościgu przesuwwały się w innych kierunkach. Kolejna seria strzałów przeszła piętro koron drzew, ale stało się to dalej od poprzedniej strzelaniny, tak daleko, że nie słychać było żadnych głosów.

Podnieśli się i zaczęli posuwać się nisko pochyleni, a potem, gdy pokonali większą odległość i cisza się pogłębiła, zupełnie wyprostowani.

Byłoby inaczej w porze deszczowej, gdy czerwona glina oblepiłaby ich ubrania, włosy, twarze i zmieszana z potem szczypałaby w oczy, a jej smak wypełniłby im usta. Pokryłaby warstwą ich skórę, działając jak kamuflaż i chroniąc przed dokuczliwymi owadami. I te deszcze, przeobrażające glinę w błoto, padałyby często, gasząc ich pragnienie. Ale deszcze skończyły się przed wieloma tygodniami.

Do domku gościnnego dotarli przed świtem, kiedy cisza jest najgłębsza, kiedy umilkły już krzyki nocnych stworzeń i świat powoli budzi się ze snu. Przez ostatni kilometr szli drogą gruntową, trzymając się jednak kurczowo pobocza, na wypadek gdyby musieli zniknąć w zaroślach. Szerokim tukiem obeszli jeden punkt kontrolny obsadzony przez typowy oddział obdartych i niezdyscyplinowanych żołnierzy, z których kilku upiło się do nieprzytomności, a reszta przysypiała. Oprócz tego nie widzieli żadnego śladu wojska. Dręczące ich pragnienie było nie do zniesienia i dlatego w świetle niemal pełnego księżyca, niczego nie zrzucając ani nie przewracając, poszukali najpierw w kuchni wody. Pili łapczywie, wielkimi łykami, woda spływała im po twarzach, wymywając w pokrywającym je brudzie wzory, które wyglądały jak dziwny rodzaj wojennych malunków, a kiedy Munroe nie mogła już więcej pić, zaczęła szukać spinacza biurowego, kawałka drutu, czegokolwiek, czego mogłaby użyć do otwarcia zamka kajdanek. Niczego nie znalazła. A były to rzeczy tak powszechne na Zachodzie, w tym innym świecie.

Tymczasem Beyard wyszedł do sypialni i zaraz wrócił bez swoich kajdanek. Położył jej na dłoni kluczyk. Otworzyła zamek.

- Dzięki - powiedziała i jednym płynnym ruchem zatrasnęła pokryte zaschniętym błotem kajdanki na jego nadgarstkach, a następnie wyciągnęła pistolet, który cały czas miała zatknięty za pasek z tyłu spodni.

Wymierzyła w jego głowę.

Rozdział 15

Beyard spojrział jej w oczy i nawet w ciemności było widać, że jest zszokowany.

- Co ty, do diabła, robisz?

Jego słowa padły zduszonym półszepcetem, w którym nie było kontroli ani spokoju.

- Nie chcę cię zabić - odpowiedziała Munroe - ale rozwalę ci ten pieprzony łeb, jeśli będę musiała. - Kopnęła krzesło w jego stronę. - Siadaj.

Zrobił, co mu kazała, i było jasne, że postąpił tak z powodu kompletnego zamętu w głowie i chęci zrozumienia jej, a nie prawdziwego strachu. Wyjęła z kieszeni latarkę w kształcie długopisu, skierowała ją w jego prawe oko i stanęła przed nim, tuż poza zasięgiem jego rąk.

- Uważam cię za zagrożenie - zaczęła. - Jestem zmęczona, głodna i wściekła jak cholera, nie nadużywaj więc mojej cierpliwości. Chcę usłyszeć odpowiedzi i chcę poznać prawdę, nawet jeśli myślisz, że mnie to wkurzy. Nie mam czasu do stracenia i kłamstwa, przeinaczenia oraz półprawdy przyczynią się tylko do tego, że nasze spotkanie po latach skończy się twoją śmiercią i moją ucieczką.

Oślepiiony strumieniem światła Beyard zmrużył oczy i odsunął się od niego.

- Nigdy cię nie okłamałem - rzucił.

- Ale nie mówiłeś mi całej prawdy. Czy masz mnie za idiotkę? - Odczekała chwilę, pozwalając, by cisza wypełniła pokój, i szukając w jego oczach oraz zmieniającym się wyrazie twarzy niewidocznych wskazówek, które zdradzą jego oszustwo. - Kiedy ostatni raz rozmawiałeś w Boniface? Kąciki ust Beyarda lekko zadrgały i odwrócił głowę w bok. Wziął płytki wdech i w ułamku sekundy, który upłynął, zanim spojrział w oczy Munroe, jej podejrzenia zostały potwierdzone.

- Jeśli to chodzi o Akambe - odparł - to brak mi słów.
- Odpowiedz na cholerne pytanie.
- Mniej więcej dwa tygodnie temu.
- Powiedział ci, że jadę do Malabo.

Brawura zmieniła się w zakłopotanie. Milczenie, które zapadło na chwilę, było brzemiennie w znaczenie.

-Tak.

- Dał ci zdjęcia, prawda? Wysłałeś ludzi, żeby mnie śledzili, żeby obserwowali moje wszystkie ruchy.

Głęboki wdech, a potem: -Tak.

- I kazałeś mnie uśpić, zabrać na łódź i utopić.

- Nie.

Napięcie widoczne na jego twarzy i ton głosu powiedziały jej, że to prawda; uniosła broń, jakby miała zamiar strzelić.

- Kłamiesz.

- Vanessa, przysięgam - rzucił pospiesznie - że nie miałem nic wspólnego z tym, co ci się przytrafiło na tej łodzi. Kiedy rozmawiałem z Boniface, powiedział, że zrobił dla ciebie dokumenty i że wybierasz się do Malabo. W pierwszej chwili czułem tylko gniew... chciałem się na tobie odegrać. A potem pojawiła się ciekawość, chciałem wiedzieć, jaka jesteś, dlaczego tu przyjechałaś, co robisz. Bałem się spotkać z tobą osobiście, nie wiedziałem, jak zareagujesz. Więc kazałem cię śledzić.

Munroe pokręciła wolno głową.

- Źle ulokowane zaufanie może być niebezpieczne - powiedziała w końcu. - Te słowa coś znaczyły, chociaż wtedy tego nie wiedziałam. Przez cały czas, w każdej chwili, mogłeś mi o tym powiedzieć - dać mi informację, której potrzebowałam, żeby znaleźć związek - i nie zrobiłeś tego. I teraz po raz drugi w ciągu tygodnia zostałam schwytana przez tę samą grupę ludzi, a ty jesteś jedynym ogniwem łączącym te wydarzenia - mówiła dalej. - Ani razu nie chcieli zobaczyć

moich dokumentów, i nawet mi się dokładniej nie przyjrzeni. Wytłumacz to.

- Jestem tym tak samo zadziwiony jak ty - odparł. - Co? Myślisz, że ja to zaplanowałem? Że postanowiłem udawać kogoś, kogo mają rozwalić obok ciebie? Po jaką cholere? To byłby dopiero fortel, bez dwóch zdań. Nie, to nie tylko ty miałaś tam umrzeć. W tym momencie chcę poznać odpowiedzi niemal tak bardzo jak ty.

- A co z Malabo? - zapytała. - Twój bełkocący idioci zniknęli na moment przed tym, gdy mnie wywleczono z hotelu.

- To był czysty przypadek - odrzekł. - Przysięgam, nie miałem z tym nic wspólnego. Obojętnie, jak bardzo byłem na ciebie zły... ale kazać cię zabić? Nie, Vanesso, nie mógłbym tego zrobić. - Przerwał i popatrzył na nią z chytrym uśmiechem. - Wiem, do czego jesteś zdolna. Gdybym ciebie tak bardzo nienawidził, zrobiłbym to sam, dopilnował roboty... a nie wynajmował jakichś zidiociałych partaczy, żeby mnie w tym wyręczyli. - Umilkł, a kiedy Munroe nic nie powiedziała, podjął przerwany wątek: - Gdy usłyszałem, że kupiłaś bilety do Baty, kazałem moim ludziom zwinąć manatki i powiadomić mnie, kiedy opuścisz miasto. Dopiero następnego dnia, kiedy nie przyleciałaś tym samolotem, zrozumiałem, że coś się stało... co konkretnie, trudno było powiedzieć. Pośród wielu możliwości była też ta, że twoja wizyta w biurze GEASA była fortem, a tak naprawdę zamierzałaś pojechać zupełnie gdzie indziej.

Munroe podeszła bliżej i stojąc przed nim, wcisnęła mu lufę pistoletu pod brodę, zmuszając do odchylenia głowy do tyłu. Następnie przeszła za jego plecy, przesuwając broń po szyi. Podążał za nią wzrokiem, chociaż nie poruszył głową. Kontynuowała to do chwili, gdy lufa znalazła się u podstawy jego karku.

- Emily Burbank - powiedziała. - Ile z informacji, którymi mnie karmiłeś, jest prawdziwych?

- Nigdy cię nie okłamałem - powtórzył. - Jaki mógłbym mieć w tym cel?

- Widziałeś ją trzy lata temu w Bacie?

-Tak.

- Informacje, które podał nam Salim, a także te, które jakoby usłyszałeś od dwóch pozostałych przyjaciół... czy one były prawdziwe?

- O ile wiem, wszystko to prawda. Przyszło mi do głowy, że mogli widzieć tę dziewczynę. To dlatego tam pojechaliśmy.

Pod koniec tego wyjaśnienia Munroe usłyszała niesłyszalne, słowa, których tam nie powinno być. Wzięła głęboki wdech i na sekundę uniosła głowę ku sufitowi.

- Francisco - zaczęła głosem miękkim i śpiewnym - czuję niedomówienie, jego smak i zapach, mogę wręcz ich dotknąć. Czego mi nie mówisz? Milczał.

- Muszę ruszać dalej, więc mów, co masz do powiedzenia. Albo nie mów. - Popchnęła mu głowę do przodu lufą pistoletu. - To, czy będziesz żyć, czy umrzesz... zależy od ciebie.

Westchnął. Był to głęboki wdech, a wydech zabrzmiał jak głos człowieka pokonanego, pogodzonego z nieuniknionym, z ostatecznością, jakby tym, co miał zaraz powiedzieć, pieczętował własną śmierć i witał tę perspektywę bez sprzeciwu.

- Kiedy zobaczyłem tę dziewczynę w Bacie trzy lata temu - odrzekł - rozpoznałem mężczyzn, którzy z nią byli. Wiem, kim oni są i gdzie ich szukać.

W niemym krzyku Munroe zacisnęła zęby i kopnęła w tył krzesła tak mocno, że mało brakowało, a Francisco spadłby na podłogę.

- Przez ciebie omal nas nie zabili - wysyczała. - Za nic! Niech cię szlag trafi, Francisco, wiedziałeś! Co ty przez cały dzień kombinowałeś, do cholery? Przecież, kurwa, wiedziałeś!

- Chciałem się upewnić, że informacje, które miałem, są aktualne.

W tym wyjaśnieniu coś było nie tak, coś tu nie pasowało. Mimo furii, która zmaćla jej rozum, wiedziała to.

- To zupełnie bzdury! - rzuciła. Potem wzięła głęboki wdech i monotonnie, niemal szeptem, zaczęła mówić: - Chciałabym cię teraz pocałować, pogłaskać po włosach i powiedzieć, jak mi przykro, że muszę to zrobić. - Stawiając ostrożnie stopy, nie spiesząc się, zrobiła kilka kroków, aż stanęła znowu przed nim. - Znaczyłeś dla mnie więcej niż którykolwiek inny człowiek w moim życiu - powiedziała i uniosła pistolet do jego czoła. - Żegnaj, Francisco.

Łamiącym się głosem niemal krzyknął: - Poczekaj! - A potem, trochę tylko głośniejszym niż szeptem, dodał: - Niech to szlag, Vanessa, co mam, do cholery, zrobić, by ci udowodnić, że mówię prawdę?

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego - odparła. - Zabicie ciebie to kwestia przetrwania, Francisco. Konieczne zło. Nic osobistego. Jestem pewna, że zrobiłbyś to samo, gdyby role się odwróciły.

Wypuścił głośno powietrze z płuc i wbił wzrok w podłogę.

- Jak długo potrwa realizacja tego zadania? - zapytał. - Dwa tygodnie, może trzy. Wpadasz tu, wypadasz, łatwe, proste. Cóż, teraz już może nie takie łatwe, ale dziś rano nie mogłem tego przewidzieć. I co robisz, kiedy wykonasz już zadanie? Wracasz do swojego świata, a ja zostaję w moim. Mam cię tylko tak długo, aż skończysz to, co tu robisz. - Spojrzał jej w oczy wyzywająco. - Biorąc pod uwagę ten scenariusz, może tak dasz mi powód, dla którego nie miałbym pojechać do Baty?

Bez względu na to, jak żalosna, była to prawda, której potrzebowała, by wydarzenia ułożyły się w sensowną całość. Skierowała latarkę w bok, żeby nie świecić mu w oczy, a potem zupełnie ją wyłączyła.

- To najbardziej durne i popieprzone usprawiedliwienie, jakie kiedykolwiek słyszałam. - Zabezpieczyła pistolet i wsunęła go z tyłu za pasek spodni. - O czym ty, do diabła, myślałeś? Ze wszystkich ludzi właśnie ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że nie należy podejmować taktycznych decyzji, opierając się na emocjach. - Ujęła jego nadgarstki i zdjęła z nich kajdanki. - Uznaj to za odpłatę za zamknięcie mnie w celi na swoim statku.

Siedział nieruchomo i patrzył na nią, masując nadgarstki w miejscach, gdzie przed chwilą miał kajdanki.

- Nawet arcyministrzowi zdarza się od czasu do czasu popełnić błąd - powiedział w końcu. Uniósł głowę i dodał: - Nie wiem, czy cię pocałować, czy ci spuścić lanie.

Skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na niego z góry.

- Przysięgam, Francisco, jeśli się dowiem, że mnie oszukałeś, jesteś trupem. Wytropię cię nawet na końcu świata i ani ty, ani nikt inny w żaden sposób nie zdoła mnie powstrzymać przed dotrzymaniem tej przysięgi - Przyznaję, że nie byłem całkowicie szczery - odrzekł. - Powinienem ci powiedzieć o śledzeniu w Malabo i nie powinienem zatajać informacji o dziewczynie, ale poza tym nie zrobiłem nic, by sabotować twoją pracę. Mam gdzieś twoje zadanie i tę dziewczynę, którą próbujesz odnaleźć, ale chcę, żebyś przeżyła i była ze mną jak najdłużej. Czy to ci wystarczy?

- Na razie wystarczy.

- I może powinnaś wiedzieć, że od tej nocy, kiedy cię postrzelono, nie mogę nawiązać kontaktu z jednym z moich ludzi. Prawdopodobnie jest jednym z tej dwójki pokazującej twoją fotografię w Bacie, ale przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. - Beyard nadal masował nadgarstki. - Czy naprawdę byś mnie zabiła?

- Nie wiem. Ale na pewno zostawiłabym cię tutaj i zabrała łódź do Kamerunu. Ruszyła w stronę łazienki, a on podążył za nią. Przesunęła palcami po framudze drzwi, szukając

schowka. Beyard stał w milczeniu, patrząc, jak usuwa fragment ściany, wyjmując pojemnik i wyciąga z niego pas na pieniądze.

- Jak zabrałabyś łódź? - zapytał. - Przecież nie masz kluczyka.

Założyła pas na biodra i wepchnęła go pod spodnie.

- Nie jest mi potrzebny, tak jak i tobie - odparła. - Mimo to mogłabym go zdobyć, gdybym chciała. - Popatrzyła w stronę głównego domu. - Jest tam.

- Antonia nie wie gdzie.

- Wie, do którego pokoju wchodzisz najczęściej, a dzięki tobie... - postukała w drewno, które trzymała w ręce, po czym wsunęła fragment ościeżnicy na miejsce - ...wiem, gdzie szukać.

Beyard otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Skinął głową w kierunku głównego domu.

- Chodźmy.

W czasie ich nieobecności motorówka została zatankowana do pełna i miała teraz w zbiorniku tyle paliwa, że starczyłoby go na pokonanie odległości dwukrotnie większej. Głośny warkot silnika przerwał ciszę i Beyard odbił łodzią od miejsca cumowania. Kiedy byli już na otwartych wodach, wcisnął Munroe do ręki małe pudełko.

- Zawieszenie broni - powiedział. - Gest dobrej woli... bez tego nie odnajdę mojego statku i daję ci to, bo ci ufam, i mam nadzieję, że ty zaufasz mi. Kiedy to aktywujesz, zobaczymy nasze współrzędne, a George będzie wiedział, że jesteśmy już w drodze do niego.

Kolor wschodniego nieba zmienił się od roziskrzonych gwiazdami czerni do najciemniejszego z błękitów. Zanim dotarli do trawlera, słońce już całkowicie wzbilo się ponad horyzont, zaczynając kreślić swój odwieczny łuk po niebie. Kiedy weszli na pokład, Wheal powitał Munroe skinieniem głowy i chwycił obiema dłońmi rękę Beyarda.

- Nie spodziewałem się was tak szybko - powiedział.

Beyard sięgnął po gumowego węża, który leżał zwinięty pod ścianą kilka stóp dalej.

- Natrafiliśmy na kilka problemów - odparł i odkręciwszy wodę, zlał się nią od stóp do głów, zmywając z butów, ubrania i całej reszty błoto ostatnich dwudziestu godzin. Całkowicie przemoczony podał wąż Munroe, a do Wheala powiedział: - Za dziesięć minut będziemy w sterówce. Możesz się tam z nami spotkać?

Wciąż brudni, ale przynajmniej nieubłoceni i w czystych ubraniach, zebrali się w sterówce. Z myślą o Whealu Beyard podsumował wydarzenia minionego dnia, które sprowadziły ich z powrotem na statek. Mówił po angielsku i mimo że nie posługiwał się nim biegle, opisał wszystko dość wiernie, chociaż w swojej wersji starannie unikał jakichkolwiek wzmianek o tym, co działo się w domku dla gości od chwili, gdy zobaczył przy głowie lufę pistoletu.

Kiedy skończył, siedzieli przez jakiś czas w milczeniu. Nie czuli potrzeby powiedzenia tego, co każde z nich myślało. Minuty mijały wolno, co podkreślało jeszcze regularne tykanie radaru, które wypełniało ciszę. Beyard gryzł kciuk, Wheal stukał piórem w stół, a Munroe siedziała z głową odchyloną do tyłu i wyciągniętymi przed siebie nogami.

Wheal odezwał się pierwszy: - Chcę wiedzieć, co stanie się teraz. - Odwrócił się w stronę Munroe. - Wiesz, że jeśli tam wrócisz, podejmiesz straszne ryzyko... to ogromnie niebezpieczna gra, w której stawką będzie twoje życie i... - przerwał i wskazał głową Beyarda - co dla mnie ważniejsze, życie Francisca, gdyby postanowił ci towarzyszyć. Czy ta cała sprawa jest tego warta?

Munroe postukała palcami w stół, wybijając coś alfabetem Morse'a, a potem w odpowiedzi na pytanie Wheala niemal niedostrzegalnie pokiwała głową.

- Tak i nie - odrzekła. - Żeby doprowadzić tę sprawę do końca, jestem skłonna zaryzykować moje życie, ale nie życie Francisca... ani nikogo innego, jeśli o to chodzi. To decyzja, którą on musi podjąć sam, ale ja tam wracam, bez względu na wszystko.

Wheal oparł się przedramionami na stole.

- Posłuchaj - zaczął. - Wszyscy jesteśmy lekko stuknięci, prowadząc takie interesy, mamy trochę popieprzone w głowach i za mało się boimy. Wisi mi, że życie ci niemiłe, ale to, co zamierzasz zrobić, jest czystym samobójstwem, i to jest to miejsce, gdzie wyznaczam granice. Nie z twojego powodu. Jedź tam i daj się, kurwa, zabić, mam to gdzieś. - Wheal znowu wskazał głową Beyarda. - Moim zadaniem jest pilnowanie, żeby on trzymał się z dala od kłopotów, a ty... - teraz wskazał Munroe - jesteś kłopotem. - Och, jakie to słodkie - odpowiedziała wysokim, protekcyjnym głosem. - Odgrywasz tatusia. Czy Francisco dostanie szlaban za to, że był nieposłuszny?

Jak było do przewidzenia, Wheal odsunął się od stołu, wyprostował i skrzyżował ręce na piersi. Twarz Munroe pozostała niewzruszona, w duchu ona sama była jednak rozbawiona. Miał nad nią osiem cali i ponad sto funtów przewagi, posturę klasycznego samca alfa, mistrza w zastraszaniu innych. Zdarzało jej się już walczyć z facetami jego rozmiarów i braki w wielkości oraz sile nadrabiała szybkością i zwinnością. Kiedy indziej i w innym miejscu takie wyzwanie mogłoby nawet być interesujące. Prowokowałyby go, dopóki by nie eksplodował gniewem, i wtedy jak błyskawica przeskoczyłaby przez stół i chociaż niewątpliwie ucierpiałaby w rezultacie walki, która by się wywiązała, ten ból byłby katartyczny - ale nie teraz i nie tutaj.

- Nie mogę ci dać tego, czego chcesz - powiedziała. - Status quo już zostało zakłócone i nawet gdybym teraz znikła, nikt, a zwłaszcza ty ani ja, nie jest w stanie tego cofnąć. Tak

jak i ty nie chcę, żeby to, co tu mieliście, popadło w ruinę, ale teraz to już jest poza twoją kontrolą, i dobrze o tym wiesz.

- Jeśli mam stracić przyjaciela, chciałbym wiedzieć, że ta sprawa jest tego warta, do cholery.

- Nie mam dla ciebie odpowiedzi, George. Jest całkiem możliwe, że skończymy jako dwa rozkładające się ciała w jakimś rowie. To byłoby tragiczne i jeśli zważyć na statystyczne prawdopodobieństwo, bardzo spóźnione. Tak, mogłabym to rzucić i zagwarantować sobie kilka dodatkowych dni, ale za jaką cenę? Żeby mnie to dręczyło do końca życia? Nie, dzięki. Obojętnie, czy tego chcę czy nie, nie mogę się od tego odciąć. Chciałabym także dostać w swoje ręce tych skurwieli, którzy próbowali mnie zabić. No i jest jeszcze sprawa Emily Burbank: jeśli ona naprawdę żyje, muszę ją odnaleźć, dla zasady i dlatego, żeby spełnić obietnicę, którą dałam matce pewnego chłopca w Europie. - Odwróciła się w stronę Beyarda. - Doceniam to, co dla mnie zrobiłeś, i naprawdę nie oczekuję, że będziesz mi towarzyszyć, ale ja tam wracam, a kiedy zacznę działać, dobrze by było wiedzieć, co planujesz zrobić.

Beyard, który w trakcie tej wymiany zdań siedział cicho, z rękami skrzyżowanymi i głową zwieszoną tak nisko, że podbródkiem dotykał piersi, spojrział na nią i odparł: - Czy musisz jeszcze o to pytać? Wheal pochylił się, żeby ściągnąć na siebie jego spojrzenie.

- Czy ta sprawa jest warta twojego życia?

Beyard prychnął.

- Znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby o to nie pytać.

- No to po jaką cholere chcesz tam wracać?

Beyard objął ręką oparcie krzesła.

- Mam swoje powody.

Wheal wstał i oparłszy się rękami na stole, pochylił się tak nisko, że jego głowa znalazła się niemal na tej samej wysokości co głowa Beyarda.

- To jest do dupy, Francisco, wiesz, że to jest do dupy. Zaryzykowałeś wszystko, co mamy. Siedem lat przyjaźni. - Strzelił palcami. - Siedem lat przyjaźni. Po co?

Beyard nie odpowiedział, więc Wheal podszedł do drzwi.

- Rozwiążcie to we dwoje. To jest szalone i nie chcę brać w tym udziału.

Kiedy Wheal wyszedł na zewnątrz, Beyard powiedział: - Przekroczyłem Rubikon.

- Wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie.

Beyard oparł łokcie na stole, a podbródek na złożonych dłoniach.

- Nie - odrzekł. - Obojętnie, jak się sprawy potoczą, nie ma już odwrotu.

Munroe położyła nogi na stole i odchyliła się do tyłu na krześle.

- A zatem dobrze - powiedziała. - Wybieramy się tam ponownie, ale tym razem zrobimy to po mojemu.

Wyraz zabarwionego niepokojem smutku, który widniał na twarzy Beyarda, zmienił się w uśmiech rozbawienia, ale on sam nic nie powiedział. Munroe zignorowała znaczenie tego uśmiechu. Wojna była klubem dla chłopców, do którego przeniknęła już dawno temu, a on, tak jak wielu innych przed nim, w końcu to zrozumie.

- Musimy się zaopatrzyć w sprzęt, którego nie masz - kontynuowała - zatelefonuję więc do kilku osób. Jeśli masz kontakty i przyjaciół w rządzie, to byłby dobry czas, by poprosić o odwzajemnienie przysług, jeśli mają wobec ciebie długi. Dobrze byłoby ustalić, co oni wiedzą i czy sami nie możemy się dowiedzieć od nich czegoś nowego.

- Czy masz jeszcze ten numer, który dostałaś od Salima? Gdyby ktoś odebrał ten telefon, moglibyśmy usłyszeć coś wielce pouczającego. - Jest teraz papką w jednej z moich kieszeni.

Przeprowadzenie wszystkich rozmów zajęło Beyardowi godzinę. Munroe w tym czasie sporządziła listę potrzebnych im rzeczy, którą wysłała e-mailem do Logana, po czym, kiedy już się upewniła, że nie zdoła się z nim skontaktować telefonicznie, zeszła razem z Franciskiem do kambuza, gdzie wspólnie upieczli posiłek z najróżniejszych mrożonych i puszkowanych półproduktów. Pierwszy raz od ponad doby coś jedli i przegryzając kolejne kęsy, omawiali tę garść informacji, które udało się zdobyć Beyardowi.

Do wydarzeń u wybrzeża wyspy Bioko i na brzegu rzeki Boara najwyraźniej nigdy nie doszło. W stolicy nic na ten temat nie wiadano, nie krążyły też żadne plotki, a jeśli rozkazy wydano oficjalnymi kanałami, nie trafiły one do ludzi, u których Beyard szukał informacji. Ambasada Stanów Zjednoczonych w Malabo dostarczyła kilka dodatkowych wskazówek. Wiadomość o śmierci Munroe pochodziła od rybaka, który nie szczędząc drastycznych szczegółów, opisał dokładnie ciało znalezione na brzegu i przedstawił znaną jakoby przy zwłokach kartę stałego pobytu.

Munroe położyła na stole kawałek papieru i zaczęła coś na nim szkicować.

- Przedzieramy się przez te informacje na oślep - stwierdziła. - Co wiemy na pewno?

- Wiemy, że dziewczyna była żywa kilka miesięcy temu - odpowiedział. - Że mieszka w Mongomo, że jest żoną lub kochanką Timotea Otoro Nchamy, wiceministra kopalnictwa i energii, i że ktoś w rządzie Gwinei Równikowej jest gotów zabić, byle tylko ciebie do niej nie dopuścić.

Munroe nie odrywała wzroku od papieru, szybko coś na nim pisząc i szkicując.

- Najważniejszym pytaniem, na które musimy znaleźć odpowiedź, jest dlaczego. Nie wiemy także kto.

- Czy wzięłaś pod uwagę możliwość, że ta dziewczyna nie chce być odnaleziona? Że to ona stoi za tym wszystkim i

pociąga za sznurki, by trzymać cię z dala od siebie.

Munroe przestała pisać i popatrzyła na niego, a kącik jej ust uniósł się lekko, wyciągając wargi w półuśmiechu.

- Wzięłam pod uwagę wiele możliwości - odrzekła. - Ale nie tę.

- Jest warta zastanowienia. - Tak, jest - mruknęła i wróciła do kartki. - Możemy założyć, że gdziekolwiek Emily by była, jest pilnowana... dla jej dobra lub dlatego, że jest trzymana wbrew swojej woli. Możemy założyć, że tak jak w Bacie, na każdym przejściu granicznym ktoś mnie wypatruje i obojętnie, ile razy spróbuję dostać się do kraju, zostanę wyśledzona. Nie wiem jak i nie wiem dlaczego, ale ponieważ to za mną snują się kłopoty, nie wybiorę się tam ponownie.

- Co jest, do cholery, Essa? Dwie godziny temu omal nie pobiłaś się z George'em, bo upierałaś się, że musisz tam wrócić.

- Och, ależ wracam - odparła. - Ale nie jako ja. - Przestała pisać i odwróciła kartkę tak, by Beyard mógł ją przeczytać. - Jest taka grupa obcokrajowców, którzy mogą wjeżdżać i wyjeżdżać, kiedy tylko zechcą. Mają błogosławieństwo prezydenta, nikt im nie zawraca głowy, nikt ich nie obserwuje, nikt nie chce o nich nic wiedzieć: izraelscy wojskowi. - Postukała piórem w kartkę i szkicowała dalej. - Tak więc, udając wyjeżdżających z Kamerunu Izraelczyków, przekroczymy granicę na przejściu północno-wschodnim i ruszymy prosto na południe do Mongomo.

Beyard popatrzył z uwagą na kartkę, zacisnął usta i pokręcił lekko głową.

- Nie jestem pewny, czy kompletnie zwariowałaś, czy też jesteś pieprzonym geniuszem.

- Pewnie już wkrótce się dowiemy. - Wróciła do swojej kartki. - Ponieważ mamy teraz porę suchą i drogi są przejezdne, w najlepszym z możliwych scenariuszy zdołamy wjechać, załatwić swoje i wyjechać w ciągu dwóch dni. W

najgorszym... - Munroe przerwała i westchnęła. - Jest kilka istotnych niewiadomych, które utrudniają stworzenie takiego scenariusza. To powinna być czysta akcja, wjazd i wyjazd, zanim ktokolwiek zorientuje się, że tam dotarliśmy. Powinna... - Umilkła. - Najniebezpieczniejszym dla nas miejscem będzie Mongomo. To mnie najbardziej niepokoi - podjęła przerwany wątek. - Z wielu powodów powrót drogą, którą wjechaliśmy do kraju, może się okazać niemożliwy, i tak jak ja to widzę - a ty masz w tej sprawie o wiele większe doświadczenie niż ja - mamy dwie możliwe trasy powrotne. Potencjalnie najszybsza i najbardziej problematyczna prowadzi na wschód do Gabonu - w przybliżeniu pięciokilometrowy bieg do granicy. Druga to podróż drogami przez całą kontynentalną część Gwinei Równikowej do wybrzeża - bardziej niebezpieczna z powodu czasu spędzonego wewnątrz kraju i różnych nieprzewidywalnych przeszkód, na które możemy natrafić po drodze, ale po osiągnięciu wybrzeża dająca możliwość łatwej ucieczki.

- Obie są do przyjęcia - powiedział Beyard. - Jeśli będziemy mieli kłopoty w Mongomo, musimy wykluczyć port w Bacie jako bramę wyjazdową z kraju; będą się nas tam spodziewać. Mbini byłoby lepsze. Leży nieco dalej na południe, na uboczu, i mam tam kontakty. - Odchylił się i po chwili dodał: - Według najnowszych wiadomości izraelska obecność militarna w tym kraju jest niezwykle mała i ograniczona do wybranych rejonów. Ponadto nie ma tu żadnych oddziałów kobiecych, a jeśli natkniemy się na prawdziwych żołnierzy, zostaniemy natychmiast zdemaskowani.

- To wszystko prawda - zgodziła się. - I właśnie dlatego za dwa dni od dzisiaj będę w drodze do izraelskiej bazy pod Jaunde, dokąd się wybiorę po to, by się zorientować w izraelskich operacjach w Kamerunie i dostać się na teren samej bazy, jeśli zdołam... zrobić coś na kształt próby generalnej. Nie będzie mnie przez dwa tygodnie.

- Wydaje mi się, że to zupełnie niepotrzebne ryzyko - od parł. - Kamerun może nie jest Gwineą Równikową, ale aż tak bardzo się od niej nie różni. Jeśli cię złapią, to nie tylko nie zrealizujesz swojego pierwotnego celu, ale następne dziesięć, piętnaście lat życia będziesz gnić w jakiejś więziennej dziurze.

- Wiem - odrzekła. - Ale wiem również, co robię. Nie złapią mnie.

- Jeśli zważyć na to, jak sytuacja się rozwijała do tej pory, wydajesz się niezwykle pewna siebie.

Munroe przestała pisać i popatrzyła na niego, a potem bez żadnych dodatkowych wyjaśnień powiedziała: - Zbieraniem informacji zarabiam na życie. Nie zostanę złapana. - Wróciła wzrokiem do kartki. - Twoje zadanie: Potrzebujemy środka transportu z tablicami rejestracyjnymi i dokumentami z Kamerunu, Gwinei Równikowej i Gabonu. Jeśli odnajdziemy Emily i ona zechce z nami wyjechać, musimy być przygotowani na zabranie jej oraz dwójki, a może i trójki dzieci. My oboje będziemy także potrzebować izraelskich paszportów wojskowych.

- Dwa samochody?

Munroe skinęła głową. - To wszystko jest wykonalne - powiedział. - I jestem przekonany, że Boniface da sobie radę z dokumentami samochodowymi i tablicami, nawet z papierami dla Emily i kilkorga dzieci. Jeśli chodzi o paszporty, to nie jestem pewny. Żeby je zdobyć, będzie musiał pojechać do Nigerii, a nawet tam nie będzie to łatwe, bo izraelskie wojskowe paszporty bardzo rzadko pojawiają się na rynku... a my potrzebujemy dwóch naraz. Może wystarczą fałszywki. Pogranicznicy na pewno nie widzieli tylu tych paszportów, żeby odróżnić prawdziwe od podrobionych.

- Mogą być fałszywki - zdecydowała, kontynuując szkicowanie - chociaż to nie pograniczników się obawiam. Samochody trzeba będzie przystosować do przeszmugłowania broni i sprzętu.

- Nic z tego nie powinno być problemem - odparł. - Ale potrzebne będą poważne pieniądze, a o ile rozumiem, nie masz ich zbyt dużo przy sobie.

- Kiedy tylko dotrzemy do Douali, będę ci mogła dać sześćdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki. Zdobycie reszty potrwa kilka dni... muszą mi je przesłać telegraficznie. Będziemy potrzebować broni - dodała.

- Poza kilkoma MP5, które trzymamy na pokładzie, ograniczam się do sprzętu rosyjskiego, wschodnioeuropejskiego, czasem chińskiego.

- Musimy być jak najbardziej autentyczni.

- Coś wymyślę.

- Amunicja?

- Mamy dużo.

- Lupo używał wintorieza, kiedy bawił się w snajpera na dachu sterówki. Jakie są szanse, że go dostanę?

- Wszystko jest do negocjacji - odrzekł. - Jeśli cena będzie właściwa, jestem pewny, że da się coś załatwić.

Kiedy Munroe dodzwoniła się w końcu do Logana, on już pracował nad listą zaopatrzenia, którą mu przysłała.

- Niektóre z tych rzeczy będzie trudno zdobyć - powiedział jej. - Wyszukanie ich może mi zająć kilka tygodni.

- Dwa lub trzy tygodnie to nie będzie problem, ale tym razem jest haczyk... chcę, żebyś większość z tego dostarczył mi tutaj osobiście.

- Robisz sobie jaja.

- Nie robię. Kilka rzeczy potrzebuję zaraz, a więc wyślij mi je do biura FedExu w Douali: mundury pilotów i kurs hebrajskiego dla samouków. Co do reszty, to załatw sobie wizę i przygotuj się do lotu do Douali. Sprawy finansowe standardowo załatwia Kate. Zrobienie z ciebie kuriera to jedyny sposób, w jaki mogę sobie zagwarantować, że te rzeczy dotrą do Kamerunu. Myślę, że będziesz wiedział, jak to wszystko zapakować, by nie przyciągało uwagi służb ochrony

linii lotniczych, a jeśli nie, daj mi znać, a ja cię przez to przeprowadzę. Czy możesz to umieścić w swoich planach?

Odpowiedź Logana była ledwie słyszalnym chrząknięciem, a w tle słychać było klikanie klawiatury komputera.

- Wyślij mi e-mail z planem lotu, gdy tylko go dostaniesz. Masz wracać najwcześniej, jak to możliwe, najlepiej, żeby to był przylot i odlot tego samego dnia, nawet jeśli to oznacza różne linie.

Kolejne chrząknięcie.

- Jeśli z jakichś powodów pieniądze miałyby opóźnić sprawę, pokryj należność z mojej opłaty za mieszkanie; powinno wystarczyć. I ostatnia sprawa, Logan: mam jeszcze dwa dni. Nie jestem w stanie z całą pewnością powiedzieć, kiedy i jak często będę mogła potem dzwonić. Czy wystarczy tego czasu, żebyśmy wszystko ustalili i potwierdzili?

- Powinno.

- No to odezwę się za dwa dni. I jeszcze jedno, Logan.

- Taa?

- Dzięki.

Dwa dni. Nie dlatego, że tego chciała, ale ponieważ było to konieczne. Pozostając na statku, wprowadzi przerwę między fazy operacji; okres wyciszenia niezbędny do przetrawienia wszystkich informacji, które zebrała w ciągu ostatnich tygodni, i przejścia od jednego planu działania do drugiego. Takie okresy wyciszenia zwykle trudno było znieść, gdyż trwanie w bezruchu sprzyjało stałemu wzrostowi napięcia, wraz z którym narastały też potrzeba działania i głód adrenaliny - mimo to były one niezbędne.

Tym razem cisza była inna. Kiedy całe zaopatrzenie zostało zapakowane, broń rozłożona, metodycznie wyczyszczona i złożona z powrotem, i nie było już nic innego do zrobienia dla zabicia czasu, godziny mijały jej nad szachownicą i na filozoficznych dyskusjach z Franciskiem.

Było to jak cofnięcie się do innego czasu, do zapomnianego świata, i Munroe czuła, jak powraca jej spokój ducha.

Dwa dni później stała oparta o reling i patrzyła, jak jeden z żurawi pokładowych opuszcza do wody motorówkę. Świtało, ocean był spokojny, a w powietrzu niosły się tylko odgłosy pracującej maszynierii. Po jakimś czasie Munroe wróciła do sterówki. Od piątej rano próbowała dodzwonić się do Logana i zamierzała kontynuować te próby w piętnastominutowych odstępach do czasu, aż odbierze. Sprawdziła godzinę. W Dallas był późny wieczór; powinien być o tej porze w domu i już dawno podnieść słuchawkę. Po szóstej próbie odebrał.

- Od godziny próbuję się do ciebie dodzwonić - rzuciła z lekką irytacją.

- Bateria padła. Nie miałem czasu jej podładować, bo szukałem rzeczy z twojej listy.

- Jak stoimy?

- W ciągu następnych dziesięciu dni będziemy mieć wszystko, czego potrzebujesz - odparł. - Paczka FedExu jest już w drodze. Zapewnili mnie, że dotrze najdalej za trzy dni, ale wszyscy wiemy, że to oznacza co najmniej tydzień. Najtrudniej było zdobyć izraelskie mundury, ale mam faceta, który właśnie nad tym pracuje, i zagwarantował dostawę w ciągu tygodnia. Należność pokryłem z opłaty za mieszkanie. Nastąpiło jakieś opóźnienie z przekazaniem pieniędzy, a ja byłem zbyt zajęty, żeby dochodzić, co się stało.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała Munroe. - I tak muszę zadzwonić do Kate, to przy okazji dopilnuję, żeby to załatwiła. Masz plan swojego lotu?

- To inna sprawa. Ponieważ Miles Bradford faktycznie wybiera się do ciebie, Kate zasugerowała, żeby przywiózł ci te rzeczy i oszczędził mi kłopotu. I tak naprawdę, Michael, jeśli mógłby to zrobić, byłbym bardzo wdzięczny, bo mam tu masę roboty.

Munroe milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała: - Jeśli do jutra nie usłyszysz ode mnie innej decyzji, przekaż te rzeczy Milesowi. Dziesięć dni, tak?

- Taa, dziesięć dni.

Wiadomość o zaopatrzeniu była dobra. Ta o Milesie Bradfordzie już nie.

- Nie mamy zbyt dużego wyboru - rzekła Kate, odpowiadając na pytanie Munroe. - Na skutek twojego nalegania na kontynuowanie zadania i determinacji Milesa, żeby wrócić do Afryki, Richard Burbank zmienił zdanie co do zakończenia sprawy. Chce, żeby Miles ci towarzyszył, a że obowiązuje cię kontrakt, nie możemy z tym zbyt wiele zrobić. Dobrą wiadomością jest to, że skoro kontrakt nadal obowiązuje, Richard pokrywa wydatki, a zważywszy na rachunek, który Logan mi ostatnio przysłał, nie jest to mała rzecz.

- To tylko jedna trzecia tego, czego potrzebuję - powiedziała Munroe. - Chcę, żebyś mi przesłała telegraficznie jeszcze dwa razy tyle. Wyślę ci e-mailem informacje bankowe.

- Wyślę ci je, gdy tylko będę mogła. Księgowość w Titanie mnie zwodzi. Zanim wypłacą pieniądze, chcą wyszczególnienia wydatków. Próbowalam się skontaktować z Richardem, żeby to wyjaśnił, ale najwidoczniej jest gdzieś poza miastem.

- Wiesz, jak to jest - odparła Munroe. - Nie mamy pojęcia, jakie jest przeznaczenie pieniędzy, do czasu, aż zostaną wydane. A połowa z nich idzie na smarowanie rączek i oliwienie biurowatycznej maszynerii. Jeśli do jutra nie złapiesz Burbanka, zrób to, co robiłyśmy już przedtem. Ponazywaj to, jak chcesz, przyczep dowolne etykiety, byleby tylko dostała pieniądze, których potrzebuję, i byleby dostał je Logan. Musiał sięgnąć do mojej opłaty za mieszkanie.

- Załatwię to jutro.

Munroe odłożyła słuchawkę, stała przez chwilę nieruchomo, a potem, z zaciśniętymi zębami, trzasnęła pięścią

w ścianę i kopnęła najbliższe krzesło. Beyard, który stał po drugiej stronie pomieszczenia, powiedział: - Jakikolwiek masz problem, z pewnością nie możesz o to winić ani ściany, ani krzesła.

- Byłoby lepiej, gdyby chodziło o mebel, a nie człowieka. - Westchnęła i usiadła na krześle, patrząc na Beyarda. - Mamy problem - odezwała się po chwili milczenia. - Albo kłopot, albo jak tam do cholery go nazwiemy.

-Go?

- Miles Bradford, mój partner z Malabo. Jestem pewna, że wiesz, o kim mówię. Przyleci do Douali za mniej więcej dwa tygodnie i albo go zabiję w ramach prewencji, albo będzie nam towarzyszył do Mongomo.

Beyard usiadł na krześle naprzeciw niej i po chwili namysłu odparł: - Essa, jest coś, czego mi nie mówisz. Ten człowiek, który był twoim partnerem, zna cały scenariusz, i jeśli moje źródła były dokładne, zupełnie dobrze ze sobą współpracowaliście. Logicznie rzecz biorąc, powinien być wartościowym pomocnikiem przy wykonaniu tego zlecenia.

- Są dwie sprawy, Francisco. - Wyprostowała się tak, że patrzyła mu prosto w oczy. - Po pierwsze, nie wiem, czy mogę mu zaufać. Niezbyt mi się podoba, że kiedy mnie wywleczono z hotelu i miano zamordować, a potem wrzucić do morza, jego pozostawiono w spokoju, ale mogę z tym żyć. Tego, co mnie najbardziej złości, nie da się logicznie wytłumaczyć. - Przerwała. - Po prostu nie chcę go tutaj. - Wskazała ręką kontrolki sprzętu nawigacyjnego. - Nie chcę z nim dzielić się tym, nie chcę z nim dzielić się tobą. To... to jest ta część mnie, mojego życia, która jest święta, moja własna. Nie chcę, żeby została zbrukana przez intruza, który wie już o mnie wszystko inne, co można wiedzieć. To jest moje.

Beyard pokiwał głową, a potem wstał.

- Cytując twoje słowa: „Ze wszystkich ludzi właśnie ty powinnaś wiedzieć najlepiej, że nie należy podejmować

taktycznych decyzji, opierając się na emocjach”. Tak jak i ty nie chcę tutaj żadnego intruza - mówił dalej. - Ale plan jest najważniejszy. Jeśli ten człowiek stwarza zagrożenie dla całego przedsięwzięcia, możemy go odsunąć, ale myślę, że powinniśmy być w tej sprawie bardzo ostrożni. - Wyciągnął do niej rękę. Chwyciła go za dłoń, a on jednym pociągnięciem postawił ją na nogach.

Skierowali motorówkę na północ do Douali i po dopłynięciu do celu przycumowali na najbardziej na południe wysuniętym obrzeżu portu. W dokach było mnóstwo ludzi i kontenerów, poustawianych jeden na drugim po trzy lub cztery i wypełnionych dobrami, które czekały na przeprowadzenie odprawy celnej, najeżonej żądaniami łapówek i wątpliwych opłat manipulacyjnych. Muskularni robotnicy o ciałach lśniących od potu przeładowywali towary już odprawione na ciężarówki, dawno temu wycofane z użytku na półkuli północnej, które stały w pobliżu z pracującymi na jałowym biegu, buchającymi dymem silnikami. Woń spalonego paliwa mieszała się ze smrodem zgnilizny i dopływającym od oceanu zapachem soli oraz ryb.

Kierowca Beyarda czekał już na nich i razem rozładowali motorówkę. Pieniądze zmieniły ręce, dokumenty zostały podpisane i zyskali pewność, że nikt nie będzie zadawał im niewygodnych pytań, kiedy pojedą do miasta z małym arsenałem na tylnym siedzeniu. Najpierw skierowali się do Société Générale de Banques au Cameroun, a potem, kiedy pieniądze zostały już podjęte i przelane na inne konta, pojechali do nowoczesnego mieszkania z dwiema sypialniami, które znajdowało się w samym sercu miasta.

Było to jedno z czterech parterowych mieszkań w trzypiętrowym budynku, stojącym obok dwóch innych, identycznych, na terenie spokojnego osiedla, które otaczał wysoki mur, pobielony i pokryty na górze potłuczonym szkłem, lśniącym w promieniach jasnego słońca. To właśnie

tam mieli się spotkać, gdy wszystkie kawałki układanki znajdą się na swoich miejscach.

O wpół do szóstej rano następnego dnia Beyard podrzucił Munroe na dworzec autobusowy. Początkowo planowała wyruszyć samotnie, zniknąć w mroku wczesnego poranka, ale Francisco nie chciał o tym słyszeć. Uparł się, że podwiezie ją na dworzec, i gdyby zdołał postawić na swoim, czekałby tam do chwili, aż weszłaby do autobusu, który za kwadrans szósta wyruszał do Jaunde. Munroe wiedziała, że był to nie tyle gest opiekuńczy, ile raczej wyraz niechęci do rozstania się z nią. Pocałowała go, po czym wyrwała się z jego objęć.

- Jeśli nie wrócę za dziesięć dni, to dlatego, że coś się stało - powiedziała. - Nie opuszczam cię. - A potem, kiedy tylne światła jego samochodu w końcu znikły w dali, Munroe złapała taksówkę i wróciła do centrum miasta.

Sama.

Po niemal czterech tygodniach stałego towarzystwa innych samotność przyniosła z sobą uczucie nagości, wkrótce zastąpione przez radosne podniecenie wolnością. Na alei de Gaulle'a znalazła cieszącego się dobrą opinią fryzjera i poczekała na schodkach przed wejściem do otwarcia zakładu. Nadszedł czas, by wrócić do dawnej postaci. A potem był czas zakupów i, jeszcze później, czterogodzinna podróż do stolicy.

Rozdział 16

Jaunde, Kamerun

Było krótko po piątej po południu, kiedy autobus wjechał na teren miejskiego dworca. Był to otoczony przez niskie domy plac o nawierzchni z mocno ubitej ziemi, na którym roilo się od pasażerów z pudłami i torbami, handlarzy z towarami, złodziei i kieszonkowców.

Munroe wyszła z autobusu i zarzuciła ciężki plecak na ramię. Miała na sobie rozpinaną koszulę z krótkimi rękawami wypuszczoną na wyblakłe džinsy i buty o płaskich podszwach, których znalezienie nie przyszło jej wcale łatwo. Jej włosy były przystrzyżone krótko, po żołniersku. Swoje raczej mizerne piersi owiazała szerokim bandażem elastycznym, podobnie jak to zrobiła tej nocy, gdy weszła na pokład *Santo Domingo*, i spryskała się wodą kolońską o mocnym, męskim zapachu. Oprócz tego nie zrobiła nic więcej. Ubranie i włosy były subtelnymi wskazówkami, wystarczającymi, by przyciągnąć wzrok i zrobić pierwsze wrażenie, i chociaż nigdy nie należało lekceważyć wpływu wody kolońskiej na podświadomość, tym, co naprawdę maćilo innym w głowach, były postawa i zachowanie.

Pojechała taksówką do hotelu Hilton Jaunde, najlepszego w mieście. Było to jedenaście pięter białego betonu i jak gigantyczny monolit górowało nad większością stojących wzdłuż ulic budynków. Jaunde, chociaż stolica, było mniejsze i gorzej rozwinięte od swojej siostry na wybrzeżu. Ale to tutaj mieszkał prezydent i tutaj stacjonowała elitarna gwardia, a zatem właśnie tutaj należało szukać izraelskich żołnierzy, którzy ją szkolili. Munroe chciała się do nich zbliżyć, nauczyć się ich języka, ich sposobu bycia, i, jeśli to będzie możliwe, zaobserwować, jak współdziałają z ludźmi, których ćwiczą.

Być może będzie musiała niepostrzeżenie wśliznąć się na teren jednostki i działać jak szpieg, czego Francisco niewątpliwie się spodziewał. Ale na razie nie było takiej potrzeby. Istniały lepsze sposoby, szybsze i niewiążące się z tak wielkim ryzykiem.

Munroe wzięła prysznic i przespała kilka godzin, a potem, gdy zrobiło się późno, przeniosła się do hotelowego baru i kasyna. Istniały tylko trzy typy miejsc, w których spodziewała się znaleźć to, czego szukała: zagraniczne ośrodki kultury i ambasady, międzynarodowe szkoły oraz nieliczne lokale, w których toczyło się nocne życie miasta. Bar w Hiltonie był równie dobrym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań jak każde inne.

Dwa dni upłynęły jej na rozpoznawaniu potencjalnych źródeł informacji, zanim pojawił się pierwszy prawdziwy trop. Po dwóch nocach, które trwały niemal do świtu, i rankach, które zaczynały się krótko potem, jadła właśnie w La Biniou posiłek zbyt późny na lunch i zbyt wczesny na kolację, kiedy to w gwarze prowadzonych dookoła niej rozmów wyłowiła fragmenty zdań w języku dającym się rozpoznać, ale niezrozumiałym. Głosy należały do trojga nastolatków i było oczywiste, że w tej grupce dwoje jest rodzeństwem, a jeśli język ciała mógł być jakimś wskaźnikiem, druga z dziewczyn była przyjaciółką siostry oraz potajemną kochanką brata.

Munroe zaczęła ich obserwować, poświęcając szczególną uwagę siostrze. Miała szesnaście, najwyżej siedemnaście lat, ciemne, kręcone włosy, ciemne oczy, piękny uśmiech i pogodną osobowość. Była młodszą z rodzeństwa, całkowicie nieświadoma pożądania tłącego się między jej przyjaciółką a bratem. Będzie znakomitym celem.

Gdyby sprawy układały się tak, jak by tego chciała, Munroe wołałaby kobiety. Mężczyzn trzeba przekupywać lub straszyć albo usypiając ich podejrzewania, zaprzyjaźniać się z nimi, by w końcu zdradzili swoje tajemnice przy butelce,

kobiety natomiast z natury lubią mówić. I chociaż nie jest dla nikogo sekretem, że mężczyzna powie wszystko, kiedy rozpaczliwie pragnie się dostać między nogi kobiety, Munroe tak nie pracowała. Kobiety reagują na poświęconą im uwagę i kiedy Munroe przyjmowała postać mężczyzny, potrafiła przebić się przez ich kompleksy i lęki i dotrzeć bezpośrednio do ich umysłu. Problem polegał na tym, że sprawy rzadko układały się tak, jak by tego chciała. Postukała lekko palcami w blat stołu i obserwowała dalej trójkę młodych ludzi, zerkając na nich ukradkiem ponad przewodnikiem turystycznym. Dzięki dziewczynie uzyska łatwo dojście do rodziców, a przez nich do całej społeczności.

Wstała, podeszła do ich stolika z przewodnikiem w ręce i najpierw łamaną francuszczyzną, a potem biegle po angielsku przedstawiła się jako Michael i poprosiła o wyjaśnienie kilku podanych w książce informacji. Rozmawiała z bratem i między słowami nawiązała kontakt wzrokowy z siostrą, po czym uśmiechnęła się do niej zalotnie. Brat był pomocny, ale to siostra zaprosiła Munroe do ich stolika, a po upływie czterdziestu pięciu minut także do ich domu na kolację następnego dnia. W innym miejscu, innym klimacie takie zaproszenie mogłoby się wydać nazbyt pochopne, ale nie w świecie wspólnoty obcokrajowców w Kamerunie, którzy byli nieliczni i daleko od domu.

Dziewczyna nazywała się Zemira Eskin i z tą informacją, numerem telefonu oraz wskazówkami, jak dotrzeć do domu jej rodziców, Munroe udała się do brytyjskiego centrum kultury. Wystarczyło jej mniej niż pół godziny pogaduszek, by dowiedzieć się, że została zaproszona do domu pułkownika Laviego Eskina, dowódcy izraelskich sił w Kamerunie.

Pod wpływem tej wiadomości Munroe całkowicie zmieniła plany swojego pobytu w Jaunde. Dalsze szukanie nie miało już sensu; nawiązanie zbyt wielu kontaktów w małej społeczności może przynieść odwrotny do zamierzonego

skutek. Nie miała innego wyboru, musiała czekać, a kiedy tak samotnie czekała, jej myśli wypełniał Francisco. Wprowadzał zamęt w jej głowie, utrudniał koncentrację, tak potrzebną na następny dzień, był niczym zerwana nić w sieci informacji, którą próbował prząść jej umysł.

Nie mogąc się skupić, Munroe zadzwoniła do Stanów Zjednoczonych i po kilku próbach uzyskała połączenie z Kate Breeden. Ich rozmowa była krótka. Munroe potwierdziła, że pieniądze dotarły na konto w Douali, i uspokoiła Kate, że naprawdę żyje, ma się dobrze i nie planuje wrócić do Gwinei Równikowej, w każdym razie nie do przyjazdu Bradforda.

A potem zadzwoniła do Francisca. Usłyszawszy jego głos, poczuła się tak, jakby znalazła się w ciepłym kokonie, w którym jest ciemno, znajomo i bezpiecznie. Rozmowa trwała tylko tak długo, jak to było konieczne do przekazania mu informacji o transferze pieniędzy, ale najbardziej pragnęła po prostu zostać na linii i przeciągać swoją relację jak najdłużej po to tylko, by jeszcze choć przez chwilę słyszeć jego głos. Chciała wrócić do Douali, do niego.

Odłożyła słuchawkę i spuściwszy głowę, oparła ją na rękach. Taki stan umysłu był niebezpieczny; tak właśnie popełniało się błędy; to dlatego interesy i uczucia były z konieczności rozdzielone; to dlatego powinna się odciąć od niego tej nocy pod Bata. Wciąż jeszcze mogła to zrobić - powinna to zrobić - ale nie chciała. W ciszy jej głowę wypełniły głosy, ale nie były to demony z jej wnętrza - to był Francisco.

Następnego dnia tuż przed siódmą wieczór Munroe stanęła przed bramą domu, do którego skierowała ją Zemira. W sąsiedztwie były same duże posiadłości, ogrodzone wysokimi na osiem-dziesięć stóp murami, zza których wyglądały górne piętra i dachy budynków. Jak w większości miast na kontynencie, w Jaunde nie było adresów w ogólnym znaczeniu tego słowa. Dlatego trudno było myśleć o rozwoju takich usług pocztowych, jak dostarczanie przesyłek do domu

- nie radziły sobie z tym nawet DHL i FedEx. Wskazówki, dzięki którym docierano do celu, składały się z nazw dróg, informacji o odległościach, punktach orientacyjnych, ogólnego opisu sąsiedztwa i samego domu. I to, na co Munroe teraz patrzyła, pasowało do tego, co jej powiedziano.

Uzbrojeni wartownicy otworzyli furtkę w bramie i zanim pozwolili jej wejść na teren posiadłości, powiadomili mieszkańców domu. Zemira czekała na nią przy drzwiach i Munroe pocałowała ją na powitanie w oba policzki, przy czym każdy z tych pocałunków trwał wystarczająco długo, by pobudzić wyobraźnię nastolatki, po czym wręczyła jej bukiet kwiatów.

- Dla twojej matki - powiedziała.

- *Ima* - zawołała przez ramię Zemira. - Chodź, poznasz Michaela.

Matka Zemiry była filigranową kobietą, która wyglądała tak młodo, że mogłaby uchodzić za jej siostrę, i to jej dziewczyna bez wątpienia zawdzięczała urodę. Przedstawiła się, wzięła bukiet z uprzejmym uśmiechem i zadała kilka grzecznych pytań, zanim wróciła do tej części domu, z której przyszła.

Dopiero kiedy zasiedli do stołu, Munroe musiała się skupić na zadaniu, które sprowadziło ją do Jaunde. Do jadalni wszedł pułkownik Eskin i ujrawszy ją, wyciągnął rękę na powitanie. Jego usta uśmiechały się, gdy ścisnęła mu dłoń, ale oczy powiedziały: „Jeśli dotkniesz mojej córki, wykastruję cię”, chociaż reszta siedzących przy stole usłyszała: „Witam”. Miał pięć stóp i jedenaście cali wzrostu, gęste, szpakowate włosy i, jak to później Munroe sobie uświadomiła, rozkosznie sarkastyczne poczucie humoru. Na pozór był mężem i ojcem, który jadł w domu kolację z rodziną, i nawet jeśli przywykł do wydawania rozkazów oraz do tego, że były natychmiast wykonywane, najwyraźniej nie zdarzało się to pod tym dachem.

- A zatem, Michael - powiedział w pewnej chwili, nakładając sobie jedzenie na talerz - Zemira mówi, że dopiero przyjechałeś do Jaunde. Jak długo już jesteś w Kamerunie?

- Tym razem tylko dwa tygodnie, ale urodziłem się tutaj.

Matka przesunęła miskę w kierunku córki, mówiąc: - Jakie to interesujące. Czy twoi rodzice byli wojskowymi? Dyplomatami?

- Misjonarzami - odparła Munroe i wzruszyła ramionami. - Powrót tutaj jest interesującym przeżyciem. To zadziwiające, jak mało się zmieniło po latach, przynajmniej zgodnie z tym, co pamiętam.

- Jak długo planujesz tu zostać? - zapytał pułkownik.

- Tylko tydzień, niestety, ale w końcu wrócę. - Zawsze najlepiej było mówić prawdę, choćby i mocno zaciemnioną, gdyż takie opowieści rzadko podawano w wątpliwość, a poza tym łatwo je można było zmodyfikować.

Pod stołem Zemira musnęła lekko dłoń Munroe, która w odpowiedzi mrugnęła do niej. I tak rozpoczął się istny spacer na linie, jak można było nazwać subtelną grę, którą tego wieczoru musiała prowadzić. Nie miała żadnych informacji, na których mogłaby się oprzeć, nie wiedziała nic o tym człowieku, o jego życiu, zainteresowaniach ani pasjach, i dlatego była zmuszona słuchać uważnie rozmów prowadzonych przy stole, by wyławiać z nich odpowiednie wskazówki. A potem, gdy już wyklarował jej się w głowie obraz tej rodziny, zmieniła sposób zachowania, wcielając się w postać, która powinna zjednać sobie sympatię matki, zyskać aprobatę ojca i jednocześnie lekko wytrącić z równowagi Zemirę. Umysł Munroe działał w stanie jakiejś superświadomości, błyskawicznie wnioskując i przemyśliwając, dzięki czemu jej reakcje i odpowiedzi były dokładnie takie, jakich od niej oczekiwano, ale kiedy wieczór zbliżył się do końca i pułkownik zaproponował, żeby jego kierowca odwiózł ją do hotelu, była mentalnie i fizycznie zupełnie wyczerpana. Rezultaty były lepsze, niż się

spodziewała: lunch następnego dnia w biurze pułkownika i oglądanie jego kolekcji modeli samolotów wojskowych.

Sen w hotelu przyszedł łatwo i trwał długo. To było zdrowe zmęczenie zadaniem, zmęczenie, które zmusiło ją do skupienia się na chwili obecnej, uciszając wewnętrzne głosy i uwalniając jej umysł od myśli o Franciscu.

Lunch następnego dnia przerodził się w częściowe zwiedzanie terenu jednostki, a grający rolę przewodnika pułkownik opowiadał o różnych wydarzeniach z życia codziennego ludzi ćwiczących elitarne oddziały miejscowej armii. Zanim Munroe wróciła do hotelu, zobaczyła i usłyszała wszystko, co było jej potrzebne.

Nic już jej nie trzymało w Jaunde, nie miała żadnego powodu, by przedłużyć swój pobyt. Pożegnania nie były obowiązkowe, ale nie chciała zachować się po świńsku i chyłkiem uciec z miasta, zadzwoniła więc do Zemiry, zaprosiła ją na kolację, a potem odwiozła do domu wystarczająco wcześnie, by pułkownik był zadowolony. Następnie, nie chcąc czekać na poranny autobus, wynajęła taksówkę, zapłaciła podwójną stawkę za jazdę w jedną stronę i opuściła Jaunde. Jazda nocą wiązała się z ryzykiem, ale było to ryzyko wymierne, które chętnie podjęła. Francisco wzywał.

Kiedy dotarła do Douali, było już po północy. Powiedziała Franciscowi, że wróci za dziesięć dni, a uwinęła się w sześć. Stała na progu jego mieszkania z kluczem w ręce, ale zamiast go włożyć do zamka, najpierw zapukała. Drzwi otworzyły się od środka i zobaczyła przed sobą Francisca, bosego, z gołą piersią i wyrazem konsternacji na twarzy, po prostu patrzącego na nią. Z wyjątkiem lampy na stole, która oświetlała część kanapy w saloniku, mieszkanie tonęło w ciemności, i było jasne, że Francisco nie spał, tylko coś czytał.

- Wpuścisz mnie do środka? - zapytała.

Francisco odsunął się na bok, robiąc jej miejsce. Weszła do pokoju i położyła plecak na podłodze. Zamknął drzwi i

odwrócił się ku niej, a osłupienie zniknęło już z jego twarzy, zastąpione przez minę wyrażającą neutralność.

- Jeśli to dla ciebie jakiś problem - powiedziała, wskazując najpierw na swoją głowę, a potem ciało - mam inne ubranie i perukę.

W odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i przycisnął jej głowę do ramienia. - Tęskniłem za tobą - odparł.

- Wiem - wyszeptała. - Ja też tęskniłam. - A potem dodała pytająco: - Kłopoty z zaśnięciem?

Skinął głową, zbliżył usta do jej ust, a kiedy odpowiedziała mu pocałunkiem, odsunął ją na długość rąk. Rozpiął jej koszulę i zsunął w dół po ramionach.

- Jestem wciąż tą samą osobą - powiedziała, ale na jego twarzy zobaczyła, że te słowa były niepotrzebne.

Rozluźnił bandaż, który opinał jej piersi, pozwalając, by się rozwinął i spadł na podłogę, po czym przycisnął ją do drzwi. Cała rezerwa i zdolność panowania nad sobą opuściły ją. Oplotła go nogami w pasie i pocałowała równie mocno. Ujął w dłonie jej twarz, szukając ust, i w jakiś sposób, uderzywszy najpierw w drzwi w korytarzu, a potem o ścianę, doniósł ją do sypialni, ale już nie do łóżka.

Później, gdy tak leżeli na podłodze, zaplątani w ściągniętej z łóżka pościeli, pośród porozrzucanych dookoła poduszek, powiedział do niej: - Moglibyśmy osiągnąć kompromis, na przykład popłynąć trawlerem na jakąś wyspę, gdzieś, gdzie moglibyśmy żyć i zapomnieć o świecie.

Uśmiechnęła się, przewróciła na bok, a potem usiadła na nim okrakiem. Nie wiedziała, jak odpowiedzieć, bo aż skręcała się z bólu na myśl, że dla jego i jej dobra będą musieli się rozstać. Pochyliła się, pocałowała go w czoło, podbródek i usta, a potem, nic nie mówiąc, położyła się obok niego z głową na jego ramieniu.

Następnego ranka Munroe wiedziała, że jest późno, zanim jeszcze otworzyła oczy, a kiedy to zrobiła, zobaczyła Francisca,

który się w nią wpatrywał. Uśmiechnęła się i wyszeptała: - Jak długo mi się przyglądasz?

- Przez wieczność i jedno uderzenie serca - odrzekł, po czym powiódł palcami po jej czole i twarzy, aż do podbródka. - Obiecuj mi, że nigdy nie odejdziesz bez ostrzeżenia. Zniosę wszystko, jeśli obiecasz mi tylko to.

- Obiecuję - szepnęła.

Wypowiedziała to bez żadnego przymusu, poczucia zniewolenia i uśmiechnęła się, po czym zamknęła oczy.

Cztery dni później Munroe stała w mundurze pilota na pasie międzynarodowego lotniska w Douali blisko rękawa lotniczego, czekając, aż samolot Air France dokołuje do terminala. Airbus 340 wylądował kilka minut wcześniej i był teraz plamą w oddali, rosnącą z każdą sekundą. Niedaleko od miejsca, gdzie stała, do wylądunku samolotu przygotowywali się bagażowi oraz ekipa personelu naziemnego i nikt z nich nie zwracał większej uwagi na nią ani na stojącą w pobliżu białą furgonetkę, która odgrywała rolę ambulansu. Tak to się wszystko upraszczało po włożeniu mundurów: nikt się im nie przyglądał, zwłaszcza w takim miejscu, gdzie dodatkowe dziesięć euro było najlepszym dowodem tożsamości, jakiego człowiek potrzebował.

Dzięki staraniom Logana Bradford wioził ze sobą dwa kufry. Oba były wypełnione w większości najróżniejszymi ciuchami, które miały uchodzić za to, co typowy podróżnik zapakowałby na drogę, i jeśli Munroe miała szczęście, a Logan był miły i zadał sobie trochę trudu, część z nich mogła nawet na nią pasować. Między tymi wszystkimi rzeczami były ukryte izraelskie mundury, sprzęt łączności, kamery wideo, systemy GPS i przenośny telefon satelitarny, tak drogi i zaawansowany technicznie, że powinien bez kłopotów odbierać sygnał nawet w najdalszych zakątkach równikowej dżungli. Oba kufry miały specjalne oznakowanie i Munroe dołożyła wszelkich starań, żeby Beyard wiedział, czego ma szukać.

Kiedy cały ten sprzęt znajdzie się już w kraju, będą w pełni wyposażeni na wyprawę do Mongomo, nie mogli jednak pozwolić, żeby te rzeczy przeszły kameruńską odprawę celną lub zostały sprawdzone, nawet pobieżnie, przez jakiegoś przekupionego urzędnika. Plan był taki, że ambulans posłuży do wwiezienia tego wszystkiego na obszar kraju, a ciało nieprzytomnego Bradforda uwiarygodni całą sytuację.

Airbus 340 skręcił w kierunku wyjścia. Munroe czekała, chcąc zobaczyć, czy maszyna ustawi się tak, żeby pasażerowie mogli ją opuścić przez rękaw, czy też, jak to się zwykle działo, po ruchomych schodach. Samolot toczył się nadal w stronę terminala i rękaw zaczął się wysuwać, weszła więc na górę. Zgodnie z planem do czasu, gdy wróci z Bradfordem, kufry miały być już załadowane do ambulansu.

Munroe oderwała z pagonów paski pilota, które spełniły swoją rolę podczas powierzchniowej kontroli służby ochrony lotniska, włożyła je do kieszeni i stanęła przy drzwiach do samolotu z wózkiem inwalidzkim u boku. Zaczęła witać wychodzących pasażerów, a jeśli nawet członkowie personelu lotniczego czuli, że nie jest ona uprawniona do przebywania w tym miejscu, nic nie mówili. Zauważyła Bradforda, zanim wyszedł z samolotu, i jego mina, kiedy zobaczył wózek inwalidzki, zdawała się mówić: „Nie mogę uwierzyć, że to robisz”.

Zbliżyła się niego z wózkiem i powiedziała: - Proszę usiąść, panie Bradford, to dla pańskiego dobra.

Usiadł, a Munroe, zanim zaczęła go pchać, wręczyła mu małą butelkę z sokiem pomarańczowym.

- Wywieziemy cię w ambulansie - wyszeptała nad jego ramieniem. - Bądź więc grzecznym chłopcem i wypij swoje lekarstwo.

- Odegram swoją rolę w tym fortelu, ale nie ma mowy, żebym to wypił - odparł.

- Zrobisz to albo użyję strzykawki. - Uśmiechnęła się, nie do niego, ale z myślą o tych, którzy mogli ich obserwować. - Teraz, kiedy tu wróciłeś, masz przerabane, Miles. Pogódź się z tym. Chcesz tu być, musisz grać po mojemu. - Wzięła od niego butelkę, otworzyła ją i wręczyła mu z powrotem. - Wypij to.

Jego mina wyrażała gniew i bezsilność. Widząc, że unosi butelkę i wlewa jej zawartość do ust, Munroe uśmiechnęła się szeroko i zaczęła pchać wózek korytarzem rękawa w stronę terminalu lotniska.

Rozdział 17

Douala, Kamerun

Było ciepło, ale nie duszno. Z sufitu zwisała moskitiera, udrapowana jak całun. Miles Bradford zamrugał, a potem zrobił głęboki wdech. Leżał na wąskim łóżku, nadal ubrany, chociaż bez butów. W ścianie po lewej stronie widać było rząd małych okien, przez które wpadało światło rzucające w całym pokoju dziwne cienie. Bolała go głowa, był głodny, a w myślach wciąż wracał do ostatnich słów wypowiedzianych przez Munroe. Nie spodziewał się powitania godnego bohatera, ale przyjazne: „Cześć, witam z powrotem” nie było chyba nadmiernym oczekiwaniem. To prawda, wracając do Kamerunu, postąpił wbrew jej życzeniom, ale nie mogło to być powodem aż takiego poziomu wrogości. Powinien był jednak się tego spodziewać. Ta kobieta naprawdę nie potrafi współdziałać z ludźmi.

W innych okolicznościach dawno już podszedłby do okien, rozejrzałby się po okolicy i ocenił, jakie ma szanse wydostania się na zewnątrz, może nawet rozwaliłby parę głów po drodze, łącznie z głową Munroe. Ale tym razem było inaczej. Nie chciał uciekać, chciał zdobyć jej zaufanie, chciał razem z nią wrócić do Gwinei Równikowej, by szukać tam Emily - musiał z nią wrócić. Leżał przez chwilę nieruchomo, a potem, kiedy sięgnął przez siatkę po szklanke wody stojącą na niskim stoliku obok łóżka, zobaczył, że nie jest sam w pokoju.

Na krześle stojącym po prawej stronie, o kilka stóp od łóżka, siedział mężczyzna o rysach twarzy lekko zniekształconych przez dzielącą ich moskitierę, i chociaż jego głowa nie poruszyła się wcale, oczy śledziły każdy ruch sięgającego po szklanke Bradforda. Nie przerywając kontaktu wzrokowego, Miles podniósł szklanke do ust. Nieznajomy miał mocne, dobrze umięśnione ciało, był trochę wyższy do niego i

może nieco starszy. Chyba nie miał broni, a sposób, w jaki siedział, nie sygnalizował żadnych złych zamiarów ani groźby.

Bradford wypił wodę kilkoma dużymi łykami, a kiedy skończył, mężczyzna pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach, i powiedział: - Dzień dobry.

Dzień. Jak długo był nieprzytomny?

Bradford kiwnął głową w odpowiedzi i uniósł lekko szklanke, gotowy w razie konieczności wykorzystać ją jako broń. To była gra Munroe; zobaczy, dokąd ona go prowadzi.

- Czy pan wie, kim jestem? - zapytał nieznajomy. Bradford milczał, więc mężczyzna mówił dalej: - Pan nazywa się Miles Bradford, jest pan Amerykaninem, specjalistą od ochrony, najemnikiem, i pomaga pan Vanessie Munroe w tej jej misji, czy mam rację? - Mówił z silnym akcentem i chociaż słowa brzmiały neutralnie, w jego tonie wyczuwało się napięcie i coś jeszcze... może ostrzeżenie.

Bradford ponownie skinął głową.

- Nazywam się Francisco Beyard. Jestem przemytnikiem broni, przemytnikiem narkotyków, biznesmenem i strategiem. To na mnie spadło podjęcie decyzji o pańskim losie. Witam w moim świecie.

I wtedy wszystko nagle zaczęło mieć sens. Brakujące lata z życia Munroe i to, jak szybko udało jej się stanąć na nogi w kontynentalnej części Gwinei Równikowej, mimo że nie miała pieniędzy ani zaopatrzenia. Wykorzystała stare kontakty i znajomości, a ten człowiek był postacią z jej nieznannej przeszłości... nieznannej przeszłości „Vanessy”. Bradford uniósł się, oparł plecami o ścianę i zapytał: - Jestem tutaj gościem czy więźniem?

Francisco Beyard wzruszył ramionami.

- Trudno byłoby nazwać pana więźniem. Bez większego trudu mógłby pan uciec z tego pokoju, z tego domu, a gdyby zniknął pan gdzieś w zaułkach Douali, ułatwiłoby mi to bardzo życie i pracę. Przywiózł pan zaopatrzenie, którego

potrzebowała Vanessa, i może pan w każdej chwili wrócić do domu. Ale pan nie chce stąd wyjechać, jest pan zdecydowany wrócić z nami do Gwinei Równikowej, i dlatego pan i ja prowadzimy tutaj, w tym pokoju, tę... - Przerwał. - Tę rozmowę.

- Chciałbym porozmawiać z Michael, jeśli jest w pobliżu.

- Obawiam się, że to nie jest możliwe. Widzi pan, panie Bradford...

- Miles.

Beyard skinął głową.

- Widzisz, Miles, zupełnie nie obchodzi mnie powodzenie tego waszego projektu ani los dziewczyny, którą macie nadzieję odnaleźć. Biorę udział w tym przedsięwzięciu z jednego - i tylko jednego - powodu: by chronić Vanessę. Jak rozumiem, ty jesteś w głównej mierze odpowiedzialny za to, że podjęła się tego zadania. Ty byłeś z nią w Malabo, kiedy zabrano ją z hotelu, a ciebie z jakichś nieznanych powodów pozostawiono w spokoju. A teraz uparłeś się, by wrócić do Afryki i móc jej towarzyszyć, chociaż twoja pomoc jest niepotrzebna i niechciana. To ci dobrze nie wróży. Jestem pewny, że rozumiesz moje stanowisko.

- Nie miałem nic wspólnego z tym, co się przytrafiło Michael - odrzekł Bradford. - Jestem tak samo zdezorientowany, jeśli chodzi o te wydarzenia, jak zapewne jesteś ty lub ona.

- Ale bardzo chcesz - a nawet tego żądasz - by pozwolono ci towarzyszyć Vanessie, kiedy wróci do tego kraju. Dlaczego?

- To moja praca.

Beyard pokręcił lekko głową.

- W pewnej chwili przestało to być twoją pracą, ale nalegałeś.

- Posłuchaj - zaczął Bradford głosem, w którym słychać było irytację - znałem Emily i jej rodzinę od czasu, gdy była dzieckiem. Przeszedłem przez piekło z obojgiem jej rodziców,

kiedy próbowali ją odnaleźć... jej matka w końcu popełniła samobójstwo z tego powodu. Po czterech latach poszukiwań mamy wreszcie konkretny trop, którym możemy podążać. Nie zostawię tego. Jestem osobiście zainteresowany sprowadzeniem Emily do domu.

- I uważasz, że Vanessa nie jest w stanie tego zrobić?

Bradford zaczął coś mówić, ale umilkł w pół słowa. Zorientował się w porę, że niezależnie od tego, co powie, i tak zapędzi się w ślepią uliczkę.

- To, co usłyszałem od ciebie - kontynuował tymczasem Beyard - powiedziała mi też Vanessa. - Przerwał i popatrzył na Bradforda, pocierając kciukiem podbródek. - Ale to nie jest główny powód, dla którego wróciłeś. Wiesz to ty, wiem ja i wie ona. Żeby ocenić precyzyjnie, jak wielkim zagrożeniem jesteś dla Vanessy - a tym samym dla mnie - lub dla powodzenia misji, muszę zrozumieć, co kazało ci wrócić, czego nam nie mówisz.

- Jest tak, jak powiedziałem - odparł Bradford. - Nie mam nic więcej do dodania.

Beyard wstał.

- Jak podejrzewałem. I dlatego zarezerwowałem ci bilet na lot powrotny do Houston... wylatujesz jutro rano. Zostaniesz uspiiony, a ja będę ci towarzyszył do samolotu, by mieć pewność, że się w nim znajdziesz. Radzę ci nie wracać tutaj ani nie próbować nas szukać, a gdybyś był tak głupi i jednak usiłował to zrobić, osobiście dopilnuję, żeby cię powstrzymano. To mój dom, Miles, i mam tu liczne koneksje. Nie lekceważ mnie. - Odwrócił się do wyjścia. - Nie będzie więcej pytań. Pewnie jesteś głodny. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Bradford zamknął oczy i zrobił głęboki wdech. Nie wyglądało to najgorzej. Mógł opuścić ten dom - nie powinno to być tak trudne - i mieć ich na oku, śledzić ich. Tak, oczywiście. Może na innym kontynencie, w innym kraju, ale

nie w tym. Nie znał terenu ani języka, brakowało mu też środków, których nie miał czasu zdobyć. Munroe wybierze drogę przez odległe i trudno dostępne okolice, będzie wiedziała, że on podąży za nią, i kiedy uzna za konieczne, zlikwiduje zagrożenie, które w nim widzi. Nie, jeśli chciał tam być, kiedy Emily zostanie odnaleziona, jedynym sposobem było zdobycie zaufania Munroe. Przewidziała to i manipulowała sytuacją, używając tego Beyarda jako bufora, tak że dotrzeć do niej można było jedynie za jego pośrednictwem. W głosie Beyarda nie wyczuwało się blefu ani złośliwości. Przedstawił możliwość, która wkrótce będzie nieaktualna. Bradford zastanawiał się do chwili, gdy ręka Beyarda dotknęła drzwi, i wtedy powiedział: - Kochałem jej matkę.

Beyard zatrzymał się i zwrócił w jego stronę.

- Jaką mogę mieć gwarancję - zapytał Bradford - że to wystarczy?

- Żadnej - odparł Beyard i wrócił do krzesła, na którym poprzednio siedział. - Ale motyw to coś bardzo potężnego i ja chcę poznać twój. Ostateczną decyzję podejmie Vanessa. Ja jestem... jak to ująć? Jestem sitem odsiewającym prawdę od kłamstw. - Prawda jest taka, że złożyłem obietnicę jej matce. W nocy poprzedzającej dzień, kiedy się zabiła, kazała mi przysiąc, że sprowadzę Emily do domu.

- Przysięga to coś, co mogę zrozumieć - powiedział Beyard.
- Dlaczego ją złożyłeś?

- Kochałem ją - odrzekł Bradford. - To naprawdę jest takie proste.

Beyard pokiwał głową.

- A ten Richard Burbank, ojciec, ten, którego na różne sposoby nakłoniłeś do wynajęcia Vanessy, bez wątpienia o tym nie wiedział?

- Na różne sposoby. - Bradford prychnął i potrząsnął lekko głową. Ile oni tak naprawdę wiedzieli? - Taa, nakłoniłem

Richarda do wynajęcia Michael, i nie, on nie miał pojęcia o tym, jaki rodzaj przyjaźni łączył mnie i Elizabeth.

- A więc to ty jesteś odpowiedzialny za to, że Vanessa dwa razy była bliska śmierci?

- Och, jestem pewny, że ona była bliska śmierci o wiele więcej razy - odrzekł Bradford, a potem szybko dodał: - Byłem odpowiedzialny za to, że została wynajęta, ale jak już powiedziałem, nie miałem nic wspólnego z tym, co się stało w Malabo, ani z tym, co jeszcze, do cholery, masz na myśli. Na pewno nie pragnę jej śmierci. Chcę, żeby odnalazła Emily.

Beyard nic nie odpowiedział, tylko z rękami założonymi na piersi i wyciągniętymi przed siebie nogami przyglądał się Bradfordowi z uwagą.

W końcu Bradford przerwał przeciągające się milczenie: - Richard przedstawił mnie Elizabeth mniej więcej rok po ich ślubie. Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, Richard i ja. Znajomymi, współnikami w interesach, tak można by nas nazwać, ale przyjaciółmi nie. Przez lata współpracowaliśmy od czasu do czasu w różnych sprawach i to właśnie na jakimś przyjęciu wydanym z okazji rozpoczęcia lub zakończenia któregoś z tych przedsięwzięć zobaczyłem ją po raz pierwszy. Bez względu na to, jak to wyglądało na zewnątrz, nie byli szczęśliwi. Richard jest despotycznym, trudnym w pożyciu dupkiem i to odbiło się na ich małżeństwie. Elizabeth coraz częściej prosiła mnie o radę i z czasem staliśmy się sobie bardzo bliscy. - Głos mu się załamał, więc przerwał, żeby odzyskać panowanie nad sobą. - Zrobiłbym dla niej wszystko, rozumiesz? - podjął po chwili. - Boże, jak ja ją kochałem. - Uniósł głowę, żeby spojrzeć Beyardowi prosto w oczy. - Tak, byliśmy kochankami. - I byłem z nią dzień przed jej śmiercią. Poszedłem zobaczyć się z nią w domu, w którym chroniła się przed światem. Odwiedzałem ją dosyć regularnie, po prostu żeby sprawdzić, jak się czuje, ale tego konkretnego dnia

zachowywała się inaczej, była wyraźnie zestresowana, spięta i nie mogła się skoncentrować.

Poprzedniego dnia był u niej Richard - mówił dalej - który przyjechał porozmawiać o jej testamencie. Najwyraźniej wszystko, co posiadała, miało przypaść Emily, a ponieważ ona była zaginiona od prawie roku, Richard chciał, żeby Elizabeth przepisała testament. Z oczywistych powodów rozmowa nie potoczyła się najlepiej. Elizabeth nie chciała uwierzyć, że jej córka nie żyje. Richard chyba myślał inaczej. Przez długi czas przekonywała Richarda, że nie powinien zmuszać jej do wprowadzania zmian, których nie chciała wprowadzić. Nakłoniła mnie do złożenia obietnicy, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odnaleźć Emily, i że sprowadzę ją do domu. - Bradford popatrzył prosto w oczy Beyarda. - Zrobiłem to, a następnego dnia Elizabeth już nie żyła.

Beyard milczał przez chwilę, a potem zapytał: - Dlaczego Vanessa?

Bradford uśmiechnął się. Prawie roześmiał.

- Jesteś z jej przeszłości. Domyślam się, że nie wiesz zbyt wiele o jej teraźniejszości. Michael handluje informacjami i o ile mi wiadomo, nie ma nikogo lepszego od niej w ich zdobywaniu. Wystarczy dać jej scenariusz, kraj, obojętnie jaki, a ona już znajdzie sposób, by wykonać zadanie. Nic nie jest dla niej przeszkodą język, płeć, klimat, wojskowa dyktatura i co tam jeszcze - ona zawsze robi swoje. W mojej pracy korzystałem kilkakrotnie z zebranych przez nią materiałów. Zawsze były dokładne, zawsze dobre. - Bradford przerwał, przeczesał palcami włosy, westchnął i popatrzył w stronę okna. - Kończył mi się czas. Od zaginięcia Emily upłynęły już cztery lata i uświadomiłem sobie, że jeśli nie spróbujemy czegoś innego, będziemy nadal kręcić się w kółko. Od kilku lat obserwowałem Michael i zebrałem na jej temat sporo informacji; można powiedzieć, że założyłem jej coś na kształt teczki. - Umilkł i popatrzył na Beyarda. - Zanim zaczniesz

wyciągać pochojne wnioski, chcę zaznaczyć, że moja ciekawość była czysto zawodowa... to był podziw tego rodzaju, jakim jeden artysta darzy drugiego. Tak czy owak, wiedziałem, że zadanie, które Michael wykonywała w Turcji, jest bliskie ukończenia, przyniosłem więc Richardowi wszystko, co na jej temat zebrałem, i poprosiłem, żebyśmy spróbowali ostatni raz. Powiedziałem mu, że jeśli Michael nie zdoła odnaleźć Emily, nikomu się to nie uda, i że wtedy będzie mógł ją definitywnie uznać za zmarłą i mieć to zamknięcie, którego tak pragnął. - Bradford wzruszył ramionami. - To w zasadzie wszystko, od początku, moja wersja tej historii. Michael, jak to ona, wzięła się energicznie do dzieła, a potem poleciliśmy do Malabo i wszystko się popieprzyło, a ja wciąż próbuję zrozumieć, co się, do diabła, stało.

Beyard oparł ręce na kolanach i powiedział: - Cóż, Miles, to bardzo interesująca historia. - Wstał. - Jeszcze ostatnia sprawa: zostałem poproszony o zabranie notatnika. Jest tam, w twojej torbie. Widziałem go, ale zamiast go od ciebie wziąć, wolę, żebyś był tak uprzejmy i mi go dał.

- Czy jest jakaś różnica? - zapytał Bradford i zsunął nogi z łóżka. - Tak czy siak, nie mam wyboru.

- Kwestia semantyki.

Bradford pokiwał głową, wyciągnął notatnik ze swojej torby i podał go Beyardowi.

- Dziękuję - powiedział Beyard i otworzył drzwi. - Możesz wyjść, zostać lub pospacerować, wedle woli. Czuj się jak u siebie w domu.

- Chciałbym porozmawiać z Michael.

- Nie ma jej teraz tutaj. - Beyard zerknął na zegarek. - Może za jakieś trzy godziny.

Rozdział 18

Kiedy Munroe wróciła tego popołudnia do mieszkania, zobaczyła Milesa i Francisca siedzących przy kuchennym stole i rozmawiających jak starzy kumple od kieliszka, którzy dawno się nie widzieli i bardzo się za sobą stęsknili; wrażenie to pogłębiał jeszcze widok stojących między nimi pustych butelek po piwie. Nie mając wcale takiego zamiaru, wpatrywała się w nich do chwili, gdy w kuchni zapadła cisza, po czym przewróciła oczami zde gustowana i poszła do sypialni. Różnych rzeczy się spodziewała po powrocie, ale na pewno nie tego, że zastanie ich zachowujących się jak starzy przyjaciele. Czy chodziło o jakiś pieprzony kod braterstwa broni najemników, który w sobie wywęcchali? ' Rzuciła na łóżko rzeczy, które przyniosła, i wróciła do kuchni. Chłopcy wciąż rozmawiali, ale nie byli tak rozbawieni jak przedtem, a kiedy Munroe wyjęła szklankę z jednej z szafek, Francisco zdołał wychwycić jej spojrzenie. Widząc skrywane napięcie na jego twarzy, zrozumiała, że niepokoi go jej możliwa reakcja, więc nie zważając na siedzącego obok Bradforda, podeszła do stołu, pochyliła się nad Franciskiem i pocałowała go.

Zareagował, przyciągając ją bliżej i całując jeszcze mocniej, a ona kątem oka zobaczyła, że Bradford odwraca się, wyraźnie zakłopotany tą manifestacją uczuć. Powstrzymała złośliwy uśmiech, który cisnął się jej na usta, i szepnęła coś do ucha Francisca. Równie dobrze mogłaby unieść nogę i nasikać na niego; znaczyła terytorium, ugruntowywała swoją dominację, dając Bradfordowi do zrozumienia, że bez względu na to, co zaszło między nimi dwoma podczas jej nieobecności, ona nadal tu rządzi. Francisco sięgnął po jej rękę i wstał, a kiedy wychodzili razem z pomieszczenia, powiedział do Bradforda: - Czuć się jak u siebie w domu.

Munroe spojrzała za siebie przez ramię, zobaczyła w oczach Bradforda prawdziwy ból i była zadowolona.

W sypialni uklękła na łóżku, objęła Francisca za szyję, przyciągnęła go do siebie, przesunęła dłońmi po jego klatce piersiowej i pocałowała go. Oddał jej pocałunek, a potem chwycił za nadgarstki, cofnął się o krok i powiedział: - Nie rób tego, Essa. Wiem, że to manipulacja, ale wcale nie jest potrzebna. - Uniósł do ust jej dłoń. - Nie próbuj mnie kontrolować... już mnie masz, czego chcesz więcej?

Objęła go znowu za szyję i wyszeptała: - Przepraszam.

Usiadł na łóżku, pociągnął ją za sobą i rzekł: - Mamy wiele do omówienia.

Oparła mu głowę na ramieniu, a on powtórzył jej wszystko, co usłyszał od Bradforda. Kiedy skończył, Munroe wstała, podeszła do okna i wybiegła wzrokiem gdzieś przed siebie.

- Żałuję, że nie wiedziałam tego wszystkiego przed przyjęciem zadania - odezwała się w końcu.

- Czy to utwierdziło cię w przeświadczeniu, że Miles jest zagrożeniem?

Odwróciła się w stronę Francisca.

- Jeśli dobrze zrozumiałam, Miles chciał odnaleźć Emily, ale trafił w ślepy zaułek, posłużył się więc Richardem i jego pieniędzmi, żeby wciągnąć w to mnie. - Zachichotała mimowolnie. - Kapitalne, naprawdę. - Odwróciła się z powrotem w stronę okna. - Jeśli powiedział ci prawdę, a ty chyba w to wierzysz, to nie, Miles nie jest zagrożeniem, w każdym razie nie bezpośrednim, i nie, żeby on sam zdawał sobie z tego sprawę. - Pokręciła głową. - Zostałam wrobiona - powiedziała. - Pieprzony skurwieli.

-Kto?

- Richard Burbank, facet, który mnie wynajął, biedny ojciec o krwawiącym sercu, tak desperacko pragnący odnaleźć córkę. - A potem, widząc konsternację na twarzy Francisca,

dodała: - Mniejsza o to, nie przejmuj się. Nie masz informacji, na podstawie których doszłam do tego wniosku. Czy od czasu, gdy się obudził, Miles gdzieś dzwonił albo korzystał z Internetu?

- Nie. Jestem tego pewny.

- A co sądzisz o tym, żeby do nas dołączył? - Wierzę, że w większości sytuacji byłby dla nas atutem. Wie, o co w tym biega... włączyłbym go chętnie do mojego zespołu, gdyby przyjmował takie oferty. Szczerze mówiąc, kusi mnie, żeby mu ją złożyć. Ponadto dobrze zna tę dziewczynę, co może być bardzo przydatne, kiedy ją znajdziemy.

Munroe pokiwała głową.

- W porządku. A co z notatnikiem? Masz go?

Beyard wyjął z szuflady książeczkę i podał Munroe. Otworzyła ją i zaczęła czytać. W pewnej chwili w kącikach jej ust pojawił się uśmiech, a kilka stron dalej roześmiała się. Kto by pomyślał? Ten uzbrojony twardziel pisał romans, a z dołączonych notatek wynikało, że nie była to jego pierwsza powieść.

Munroe znalazła Bradforda na sofie w saloniku, gdzie zgarbiony nad stolikiem do kawy studiował sytuację na szachownicy. Usiadła obok niego.

- Grasz w szachy?

- Od mojej ostatniej partii upłynęło z dziesięć lat, a może i więcej - odparł. - I nigdy nie byłem w tym zbyt dobry. A ty?

- Często grywałam z Franciskiem... oczywiście jakiś czas temu. - Wskazała głową szachownicę. - Rzadko jestem w stanie go pokonać, ale tym razem daję mu w skórę. - Podała Milesowi notatnik. - Czy już coś wydałeś?

- Taa - odpowiedział, a jego policzki pokryły się rumieńcem. - Cztery książki.

- Sądzę, że wszyscy mamy nasze małe tajemnice - powiedziała i uśmiechnęła się lekko. A potem, już poważnym tonem, dodała: - Wyruszamy jutro o pierwszym brzasku. Jeśli

chcesz do nas dołączyć, możesz to zrobić, ale jest kilka warunków, na które musisz się zgodzić. Po pierwsze: pod żadnym pozorem nie wolno ci się z nikim kontaktować bez mojej wyraźnej zgody - żadnych telefonów ani e-maili, kropka. Po drugie: jeśli staniesz się dla nas ciężarem, zostawimy cię, gdziekolwiek będziemy, i sam będziesz musiał znaleźć sposób, żeby się stamtąd wydostać.

- Jakoś to przeżyję.

- I nie jestem już twoim zadaniem - kontynuowała. - Obojętnie jakie były warunki twojej umowy z Richardem, zmieniły się. Pozwalam ci do nas dołączyć, ponieważ Emily cię zna i to może się okazać przydatne, kiedy ją odnajdziemy. Nie idziesz z nami po to, żeby mnie chronić lub tkwić u mojego boku, i musisz się zgodzić wykonywać moje polecenia, niezależnie od tego, czy twoim zdaniem będą one miały sens czy też nie. Czy to będzie dla ciebie jakiś problem?

- Dam sobie radę.

Pokiwała głową.

- W takim razie witam z powrotem. - Wzięła głęboki wdech, po czym dodała: - Szkoda, że na samym początku nie powiedziałeś mi o Richardzie. Może uratowałoby mnie to przed wrzuceniem do oceanu i może do tej pory znaleźlibyśmy już Emily.

Bradford zawahał się, a potem zapytał: - Czego ci nie powiedziałem o Richardzie?

- Że to nie on stał za tym całym zadaniem... ale ty. Nie wspominając już o tym, że pieprzyłeś jego żonę.

Bradford wciągnął powietrze do płuc, a jego twarz stwardniała, pokazując, jak bardzo go dotknęła tymi słowami. Chociaż spodziewała się, że ostro zareaguje, po chwili milczenia powiedział tylko: - Nie rozumiem tego, myślisz, że Richard chce cię zabić?

- Powiedziałeś mu, że jedziemy do Malabo?

- Taa.

- A o Bacie?

- Tak. - Jego szept był tak cichy, że niemal niesłyszalny.

- Jeszcze sobie wszystkiego nie poukładałam - powiedziała. - Ale wygląda na to, że Richard w jakiś sposób macza w tym palce. Z opowieści Francisca wynika, że to ty byłeś osobą najbardziej zainteresowaną odnalezieniem Emily, niezależnie od tego, jak przedstawił mi się Richard. To przemawia na jego niekorzyść. To, że Titan Exploration posiada szyby naftowe w tym samym kraju, w którym zaginęła Emily, mogło być zbiegiem okoliczności, ale ja tak nie myślę... w każdym razie Richard ma w Gwinei Równikowej kontakty na szczeblu rządowym. To również stawia go w nie najlepszym świetle. Ktoś będący blisko mnie przekazywał informacje złym facetom... tylko tak mogę wytłumaczyć niektóre z tych wydarzeń. Trzeci argument na jego niekorzyść.

Bradford przeczesał palcami włosy, a potem wbił wzrok w sufit. Przez jakiś czas oddychał głęboko i wolno, a na koniec zapytał: - Ale dlaczego?

- Nie wiem, Miles. W tym momencie jest jeszcze wiele niewiadomych. Ale gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że chodzi o pieniądze. Na twarzy Bradforda wypisane było niedowierzanie.

- Richard ma forsy jak lodu.

- Może ma, a może nie ma. Jestem żywym dowodem, że to, co widzisz, nie zawsze jest tym, na co wygląda. Powiedziałeś, że Richard próbował nakłonić Elizabeth do zmiany testamentu. To wskazuje na pieniądze. Jesteś inteligentnym człowiekiem, Miles. Nie mów mi, że o tym nie pomyślałeś.

- Wiesz, ta sprawa z Elizabeth, mogę to zrozumieć. Był fatalnym mężem i może wtedy rzeczywiście chodziło mu o pieniądze... to się wydarzyło, zanim Titan trafił na ropę, przed wielkim przełomem. Ale mimo wszystkich swoich wad jest dobrym ojcem, kocha Emily i sporo się z powodu tej sprawy wycierpiał. Może rzeczywiście to ja naciskałem, by prowadzić

poszukiwania, ale Richard finansował każdy krok, ani razu się nie zawahał. Dopiero w ostatnim roku zaczął protestować, ale powodem nigdy nie były pieniądze. Chodziło raczej o ból, jaki sprawiały mu kolejne nieudane próby. Dlaczego miałby chcieć zabić jedyną osobę, która może odnaleźć Emily? To nie ma sensu.

- Może wykorzystuje go ktoś inny. Jest zbyt wiele niewiadomych, ale mogę się założyć o ogromną sumę, że kiedy odnajdziemy Emily, wiele odpowiedzi będzie czekało razem z nią. - Wstała. - A teraz muszę przeprowadzić rozmowę telefoniczną, której wolałabym uniknąć.

Munroe podniosła słuchawkę i wystukała numer biura Burbanka. Tak jak poprzednio została natychmiast z nim połączona, ale tym razem musiała poczekać kilka minut, zanim odebrał. Kiedy to zrobił, nawet kiepska jakość połączenia nie zamaskowała zmęczenia pobrzmiewającego w jego głosie.

- Upłynęło sporo czasu, Michael. Słyszałem, że przeżyłaś tam ciężkie chwile... mam nadzieję, że teraz już wszystko jest w porządku.

- Sprawy mają się dobrze, panie Burbank - odpowiedziała.
- Zgodnie z umową, dzwonię, żeby przekazać panu najświeższe wieści. Jak zapewne pan już słyszał od Milesa, i choć może trudno w to uwierzyć, mamy naocznych świadków, którzy widzieli pańską córkę żywą w kontynentalnej części Gwinei Równikowej, przy czym ostatni raz zdarzyło się to w ciągu minionych sześciu miesięcy.

- Tak - odrzekł. - To były zdumiewające wieści, nadal są. Informacja o świadectwie zgonu była druzgocącym ciosem, ale z drugiej strony przyniosła mi swego rodzaju ulgę. Znaczyła, że moglibyśmy pogodzić się z jej śmiercią. Wzbudzenie zaraz potem nadziei, że ona może jednak żyje, wydało mi się bardzo okrutnym żartem. Od tego czasu żyję na emocjonalnej huśtawce.

- Zapewniam pana, że moje źródła są prawdziwe - powiedziała.

- Jaki będzie twój następny krok?

- Teraz, gdy Miles już jest tutaj, czekamy tylko na wyjaśnienie kilku szczegółów. Oceniam, że za jakiś tydzień będziemy gotowi wrócić do Rio Muni... to nazwa tej części Gwinei Równikowej, która leży na stałym lądzie.

- Tydzień? Tak długo?

- Mniej więcej tyle, tak.

- Dziękuję ci, Michael - odrzekł. - To wspaniałe wieści, chociaż szczerze mówiąc, panicznie się boję, że wzbudzę w sobie fałszywą nadzieję, a potem będę cierpiał w dwójnasób. Proszę mnie o wszystkim informować.

- Oczywiście.

Po zakończeniu rozmowy Munroe zwróciła się w stronę Bradforda, a potem Beyarda, który właśnie wszedł do pokoju.

- Jeśli szczęście nam sprzyja, właśnie kupiliśmy sobie tydzień.

Rozdział 19

Droga do Ebebiyin, Kamerun

Droga była sucha, powietrze zamglone przez harmattan - drobny, saharyjski pył nawiewany z północy - który zakrywał niebo, zmniejszał widoczność i barwił horyzont na pomarańczowo niczym smog w wielkich miastach. Munroe zerknęła we wsteczne lusterko, dostrzegła w dali samochód Beyarda, po czym znowu skupiła uwagę na pełnej wybojów drodze przed sobą, zatrzymała się i włączyła napęd na cztery koła.

Wciskając pedały sprzęgła i gazu, wjechała najpierw pod górę, a potem zjechała, pokonując odcinek bez drogi, którą najpewniej zmyły ostatnie ulewy. Bradford wyglądał na zewnątrz przez okno pasażera, siedząc ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Była to mniej więcej ta sama pozycja, jaką przyjął jeszcze w Douali, i w tych warunkach bardziej już odwrócić się od niej nie mógł. Obojętnie w jakim był nastroju, miał do tego prawo; od kiedy wrócił do Kamerunu, traktowała go jak szmatę, i chociaż w końcu będzie musiała być dla niego miła, jeszcze nie nadszedł ten czas.

Wyruszyli z Douali przed świtem trasą prowadzącą najpierw na wschód, w kierunku Jaunde, a potem na południe. Podróż z Kamerunu do Gwinei Równikowej jest w najlepszym razie niewygodna, i to nie tylko dlatego, że w miarę zbliżania się do granicy pogarsza się jakość drogi. Na wybrzeżu oba kraje oddziela rzeka Ntem, a tam, gdzie granicy nie wytycza woda, teren porasta gęsta dżungla, którą przemierzają pieszo mieszkańcy okolicznych wiosek, często nawet nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie dokładnie kończy się jedno państwo, a zaczyna drugie. Wzdłuż ciągnącej się przez sto dwadzieścia mil połaci lasów jest tylko jedno

przejście graniczne dla pojazdów, i właśnie jechali drogą, która do niego prowadzi.

Wjazd do Gwinei Równikowej wyznaczały szlaban na drodze i stojący obok niego mały budynek. Munroe zatrzymała się. Na pozór posterunek był opuszczony. Kiedy po minucie z budyneczku, w którym powinien się mieścić urząd kontroli granicznej, nikt nie wyszedł, wyłączyła silnik i wysiadła z klimatyzowanego wnętrza samochodu prosto w popołudniowy upał.

Jednoizbowy domek był pusty, miał betonową podłogę, ale ściany z desek, nagie i z dziurami, które pełniły rolę okien, a jedyne dźwięki, jakie było słychać, wydawały kłębiące się pod sufitem owady. Munroe stała przez chwilę w drzwiach, potem odwróciła się i podeszła do metalowego szlabanu. Był przymocowany do słupa trzema łańcuchami, co oznaczało, że będą musieli znaleźć trzech strażników, każdego z osobnym kluczem. Granica powinna być otwarta do piątej, ale na tym odosobnionym przejściu, przy niemal nieistniejącym ruchu i dość późnej godzinie, strażnicy bez wątpienia uznali, że się już tego dnia dość napracowali. Nie byłoby wcale dziwne, gdyby przynajmniej jeden z nich zdążył wrócić do swojej wioski, zabrawszy klucz ze sobą.

Przez grubą warstwę kurzu pokrywającą przednią szybę jego samochodu widziała Beyarda, który oparty na kierownicy śledził pilnie jej poczynania, a kiedy ruszyła zamaszystym krokiem w jego stronę, wysiadł z auta.

- Trzy kłódki - poinformowała go - pusta budka.

Popatrzyła w kierunku miasta. Gdzieś na tych ulicach, w jakimś barze, hotelu lub restauracji, jakiś człowiek o nieznannej twarzy, który spodziewał się jej przyjazdu za tydzień, czekał, by puścić w obieg odpowiednią wiadomość i uzyskać tym samym gwarancję, że ona nigdy nie dotrze do Mongomo.

Gdyby przyjechali do tego kraju pod innym pozorem albo gdyby mieli więcej czasu, może mądrzej byłoby zawrócić, skierować się na zachód i przekroczyć granicę w jakimś nieoznaczonym miejscu. Tutaj byli wystawieni na widok jak cele na strzelnicy i już wkrótce mieli się dowiedzieć, czy sztuczka z izraelskim konwojem uda się czy nie.

Kobiety i dzieci podchodziły do samochodów, przy czym niektóre próbowały przez okno zwrócić uwagę Bradforda, a inne gromadziły się wokół Beyarda i Munroe, oferując różne towary na sprzedaż. Ośmio-lub dziewięcioletni chłopiec balansował na głowie brudną, plastikową misą, wypełnioną bananami. Beyard obejrzał jedną kiść, po czym wyciągnął z kieszeni garść drobnych. Ukląkł, żeby jego oczy znalazły się na wysokości oczu chłopca, dał mu pieniądze i posławszy Munroe szelmowski uśmiech, rozpoczął rozwiązywanie zagadki zaginionych strażników.

Upłynęło pół godziny, zanim udało im się zlokalizować pierwszego z nich wraz z kluczem, kolejne czterdzieści, nim znaleźli drugiego. Jeszcze dwie godziny zajęło im poszukiwanie trzeciego, a kiedy go znaleźli, był już pijany i twierdził, że nie pamięta, gdzie zostawił klucz. Powtarzał to do czasu, aż Munroe, która nie miała ochoty dawać łapówek, zaczęła rzucać różnymi nazwiskami. Jej groźby odniosły skutek, brakujący klucz szybko się odnalazł i samochody wjechały do miasta Ebebiyin. Do tego czasu nawet najbardziej niekompetentni obserwatorzy musieli już wiedzieć o ich obecności. Jeśli ktoś czekał - a Munroe była tego pewna - najwyraźniej nie został w porę ostrzeżony o ich przyjeździe.

Kilkutysięczne Ebebiyin jest bramą na skrzyżowaniu dróg między Gabonem, Kamerunem i Gwineą Równikową; rozległym targowiskiem i siatką głównie nieutwardzonych dróg, wzdłuż których stoją bielone wapnem domy; i jak w większości wiejskich miast na kontynencie, życie w nim toczy się w letargicznym tempie. Przejechanie przez ciągnące się w

różnych kierunkach, zakurzone ulice zajęło im mniej niż dziesięć minut, i kiedy dotarli do wąskiej, ale asfaltowej szosy, która miała ich zaprowadzić do Mongomo, z dala od ciekawskich mieszkańców miasta, Munroe skręciła w bok i zjechała z drogi.

Bujna roślinność rosnąca po obu stronach asfaltowej szosy tworzyła nieprzeniknione ściany zieleni, i tak, niczym nieosłonięci przed wzrokiem każdego, kto przejeżdżałby obok, Munroe i Beyard musieli się spieszyć, zmieniając kameruńskie tablice rejestracyjne na te z Gwinei Równikowej i chowając stare pod tapicerką na drzwiach. Zrobili to tak szybko, że już po kilku minutach byli z powrotem na drodze w samochodach zarejestrowanych na nazwisko prezydenta kraju. Do Mongomo mieli jeszcze osiemdziesiąt kilometrów i dzięki wyraźnie lepszej nawierzchni szosy mogliby tam dotrzeć wczesnym wieczorem. Postanowili jednak odczekać do świtu następnego dnia; znacznie lepiej zbliżyć się do celu, mając w zapasie cały dzień, a spędzenie nocy w Mongomo wiązało się ze zbyt wielkim niebezpieczeństwem zdemaskowania.

Pół godziny po zapadnięciu zmroku zjechali na wąski trakt, który łączył małą wioskę z szosą do Mongomo. W ciągu godziny od opuszczenia Ebebiyin pokonali czterdzieści kilometrów pustej na ogół drogi, mijając od czasu do czasu wspólne taksówki, kilka porzuconych i rozebranych na części samochodów i spodziewanych blokad drogowych; nic nadzwyczajnego, co wskazywałoby na to, że ich obecność w kraju nie jest tajemnicą, a względnie niewielkie natężenie rozmów na lokalnych częstotliwościach wojskowych było potwierdzeniem, że wszystko jest w porządku.

W pewnej odległości od wioski, do której prowadził szlak, zjechali na bok, do ciemnego już lasu, kryjąc się na noc wśród drzew. Nie włączając światła, Munroe znalazła po omacku aparaturę łączności, wszystko rozłączyła, włożyła poszczególne urządzenia do worka marynarskiego, po czym

zarzuciła go sobie na ramię i otworzyła drzwi. Kiedy wyszła z samochodu, Bradford zapytał: - Dokąd idziesz?

Skinęła głową do tyłu.

- Do drugiego samochodu - odparła i chociaż wiedziała, że nie jest to konieczne, dodała: - Nie włączaj świateł i jeśli nie chcesz być pożarty przez moskity, trzymaj drzwi i okna zamknięte. Nie włączaj klimatyzacji, bo warkot silnika będzie przyciągał uwagę. Wrócę przed świtem. - Zatrzasnęła drzwi, zanim zdążył odpowiedzieć, wiedząc, że będzie ją za to jeszcze bardziej nienawidzić.

Wsunęła się na tylną kanapę drugiego samochodu. Francisco siedział na przednim z założonymi za głowę rękami, a kiedy zamknęła drzwi, wyprostował się, po czym wcisnąwszy się między dwa przednie fotele, przeszedł do tyłu. Po drodze jego noga kopnęła worek marynarski.

- Co tu przyniosłaś?

- Wszystko, co przekazuje sygnały.

Wśliznął się na miejsce obok niej i wciągnął ją na swoje kolana, tak by usiadła twarzą do niego.

- Wciąż mu nie ufasz?

- Nie ufam na tyle, żeby zostawić mu to wszystko na całą noc - odpowiedziała.

Jego dłonie były już pod jej koszulą. Ściągnęła z niego mundur, po czym jak u dwojga nastolatków na zakazanej schadzce hormony odwróciły ich uwagę od upału i niewygody i zatracili się w sobie, sprawiając, że ostatecznie wewnątrz samochodu stało się tak samo duszne i parne jak powietrze na zewnątrz.

Było już dobrze po północy, kiedy w końcu wrócili na przednie fotele i opuścili oparcia w nadziei, że uda im się przespać resztę nocy. W lusterkach stojącego przed nimi samochodu odbijały się punkciki przefiltrowanego przez gałęzie drzew światła księżyca i Francisco skinął głową w ich kierunku.

- Nie musiałaś przynosić tego sprzętu - wyszeptał. - Wiesz, że to nie on próbuje cię zabić.

Munroe popatrzyła na zewnątrz przez okno pasażera.

- Widzę, jak on na ciebie patrzy, kiedy stoisz do niego tyłem - mówił dalej Francisco. Przerwał i odwrócił głowę w jej stronę. - Jesteś bardzo spostrzegawczą kobietą, Essa. Musisz wiedzieć, że on chce, żebyś to wszystko przeżyła, równie mocno jak ja.

- Myślałam, że to ci będzie przeszkadzać, ale ty za nim orędujesz.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

- To mi przeszkadza. Chcę, żeby był daleko od ciebie, chcę, żebyś była tylko dla mnie. - Westchnął. - Ale nie jesteś moją własnością i to jest poza moją kontrolą. - Odwrócił się i znowu patrzył przed siebie. - Chcę tylko powiedzieć, że znam to cierpienie i nie ma potrzeby, żebyś była rozmyślnie okrutna.

Zamknęła oczy. Chodziło o dużo więcej niż tylko o to. Do czasu, aż wyjaśnią się wszystkie niewiadome, trudno było rozstrzygnąć, jak bardzo można zaufać Bradfordowi, a nieustanne wytrącanie go z równowagi było najłatwiejszym sposobem znalezienia odpowiedzi na to pytanie. Położyła nogi na desce rozdzielczej i wzięła głęboki wdech.

- Nie chcę o nim mówić. - Tak naprawdę nie chciała rozmawiać o niczym, ponieważ, choć to było zupełnie niezaplanowane, historia się powtarzała: troje obcokrajowców, dwóch mężczyzn i kobieta, zmierzało do Mongomo i niezależnie od tego, co znajdą, kiedy dotrą do miasta, zrobi się przysłowiowa chryja.

Chociaż żadne z nich by tego nie przyznało, wszyscy wiedzieli, że wydostanie się stamtąd i powrót w bezpieczne miejsce jest pod wielkim znakiem zapytania. Ta noc była ciszą przed burzą. Ciszą.

Munroe znowu wciągnęła głęboko powietrze do płuc i poczuła, jak spływa na nią spokój, jaki zawsze ogarniał ją przed wykonaniem zadania.

Wjechali do Mongomo wczesnym rankiem, kiedy krzątania i ruch na ulicach dopiero się zaczynały. Jak na miasto znajdujące się na obrzeżu cywilizacji, w całości otoczone przez szerokie połacie wspaniałej, bujnej roślinności i pozbawione bezpośredniego dostępu do jakiegokolwiek ośrodka przemysłu, Mongomo wyglądało zaskakująco nowocześnie. Zawdzięczało to bez wątpienia nieoczekiwanemu przyływowi pieniędzy z ropy naftowej, trafiających do wielopokoleniowych rodzin klanu, który obecnie zajmował pałac prezydencki.

Krótko po ósmej zatrzymali się przed komisariatem policji. Beyard został w samochodzie i przeszukiwał wszystkie lokalne częstotliwości radiowe, a Munroe i Bradford w tym czasie odszukali najwyższego stopniem oficera, który był obecny. Po wymianie uprzejmości Bradford, grający rolę przełożonego Munroe, wygłosił stanowczym tonem porcję brzmiących zagranicznie nonsensów, które ona, dużo młodszy, męski podwładny, przetłumaczyła jako prośbę o pomoc. Oficer spełnił ją, przydzielając im pomocnika, który miał ich pokierować do domu Timotea Otoro Nchamy, wiceministra kopalnictwa i energii.

Dom był parterowy, oddzielony od sąsiednich szerokimi trawnikami i zbudowany w odległości dziesięciu metrów od spokojnej, nieutwardzonej ulicy. Ulica ta zwężała się dalej, przechodząc w zieloną ścieżkę, która biegła w stronę brzydkich budynków z pustaków i ciągnącej się za nimi dżungli. Munroe przejechała obok domu raz, a potem, zostawiwszy Beyarda w drugim samochodzie przy wjeździe na ulicę, odwiozła przewodnika do jego miejsca pracy, co było gestem czysto taktycznym, niemającym nic wspólnego z uprzejmością.

Przy drugim przejeździe Munroe dotarła do samego końca ulicy, gdzie zmieniała się ona w wąską ścieżkę, po czym zawróciła, by zaparkować przed domem. Brak innych samochodów w tym miejscu wskazywał, że ministra nie ma w domu, a łatwość dostępu do posiadłości oznaczała też mniejsze ryzyko wpadnięcia w pułapkę, gdyby spotkanie potoczyło się w kierunku innym niż oczekiwany. Oznaczało to też, że będą widoczni z ulicy oraz z chodników i posiadłości sąsiadów, którzy już zauważyli ich obecność.

Munroe i Bradford podeszli do frontowych drzwi - ona stanęła z boku, by być poza polem widzenia tego kogoś, kto je otworzy. Bradford zapukał trzy razy w grube drewno, po czym odsunął się o krok i zaczęli czekać w milczeniu. Podczas pierwszego przejazdu widzieli w oknach poruszające się cienie, a Beyard potwierdził, że nikt od tego czasu nie opuścił domu. Po chwili oczekiwania na znak Munroe Bradford zapukał ponownie.

Unosił już rękę do trzeciej próby, kiedy drzwi otworzyły się i ukazała się w nich starsza kobieta w znoszonej sukni oraz butach na płaskich obcasach, która popatrzyła na niego z miną wyrażającą irytację oraz brak zainteresowania. Na podstawie jej wyglądu Munroe założyła, że jest służącą lub nianią, ale równie dobrze mogła być matką lub siostrą. Nie mówiła po angielsku, a że Bradford nie potrafił się porozumieć w żadnym lokalnym języku, wręczył jej wizytówkę i dał znak, żeby zaniósła ją do środka.

Kilka minut później kobieta wróciła i zaprosiła go gestem do wejścia. Munroe dołączyła do niego i chociaż kobieta była początkowo zaskoczona jej pojawieniem się, poprowadziła ich oboje do wnętrza domu z widocznym przyzwoleniem i bez komentarza. Zrobili zaledwie kilka kroków, kiedy do przedpokoju weszła energicznie filigranowa blondynka i zobaczywszy Bradforda, zatrzymała się gwałtownie, otworzyła ze zdumienia usta, po czym wybuchła płaczem.

Cherubinkową nastolatkę ze szkolnych zdjęć zastąpiła kobieta postarzała ponad swój wiek.

Przez chwilę panowała kłopotliwa cisza, przerywana łkaniem, a potem Bradford powiedział: - Cześć, dzieciaku - i podszedł do Emily, by ją objąć. Wtuliła twarz w jego pierś, nie próbując zapanować nad ramionami, które drżały z jej każdym oddechem, a Miles pogłaskał ją po włosach, po czym dodał półszepem: - Hej, wszystko będzie dobrze.

Popatrzył w stronę Munroe ze smutnym uśmiechem. Od tej chwili musieli improwizować. Emily zaginęła przed czterema laty, teraz ją odnaleźli, i z wyjątkiem tego, że Munroe dwa razy próbowano zabić, nic więcej nie było pewne.

Munroe miała wrażenie, że brak w tym równowagi; po wszystkim, co się wydarzyło przedtem, osiągnięcie celu okazało się niepokojąco łatwe. Emily wyprostowała się, pociągnęła nosem, po czym śmiejąc się i płacząc jednocześnie, powiedziała: - Chodźcie dalej, usiądźmy. - Te słowa przyszły jej z pewnym trudem, jakby to było pierwsze zdanie, które wypowiedziała po angielsku od czasu, gdy zaginęła. Do kobiety, która otworzyła drzwi i teraz trzymała się w cieniu, rzekła: - *Nza ve belleng café*.

Munroe uśmiechnęła się, rozpoznawszy język fang, i przesunęła się tak, żeby obiektyw kamery przymocowanej do klapy jej munduru był skierowany prosto na Emily. Był to najbardziej bezpośredni i jednocześnie najmniej nachalny sposób udokumentowania wszystkiego, co nastąpi, i nagrywały to dwa urządzenia: jedno schowane w kieszonce jej koszuli, a drugie w rękach Beyarda, odbierające sygnał drogą bezprzewodową.

Emily zaprowadziła ich do salonu i usiadła na wielkiej kanapie. Bradford zajął miejsce naprzeciw niej, a ona zerknęła na niego ciągle i za każdym razem uśmiech wygładzał linie, które udręka wyryła na jej twarzy. W uśmiechach tych widać było niewinność, szok, lęk, dezorientację, a przede wszystkim

czystą, nieklamana radość. Podejrzenia Beyarda były bezpodstawne. Ta dziewczyna chciała być odnaleziona, nie było co do tego wątpliwości, a w związku z tym nasuwało się pytanie, dlaczego przez cztery lata, odkąd zaginęła, nie skontaktowała się ze swoją rodziną.

Emily zwróciła się w stronę Munroe i zawahała, na co Bradford powiedział: - Emily, to jest Michael. - Munroe wyciągnęła rękę i Emily uścisnęła ją, z kolejnym uśmiechem. - Twoja rodzina próbo wała cię odnaleźć przez ostatnie cztery lata - mówił dalej Bradford - i to Michael cię ostatecznie wytropił. To jej zasługa.

Emily cofnęła rękę, jej uśmiech zgasł, gdy przechyliła głowę na bok i zmrużyła oczy, jakby przetwarzając w myślach to, co właśnie usłyszała, po czym odwróciła się do Bradforda i zapytała: -Co?

- Emily - zaczęła Munroe - jesteśmy tu, żeby ci pomóc, jeśli tego chcesz. Przyjechaliśmy przygotowani, by wywieźć cię z tego kraju. Czy jesteś tym zainteresowana?

Emily pokiwała wolno głową.

- Jestem - odparła - ale nie rozumiem. Dlaczego teraz? Proszę o zgodę na powrót do domu, odkąd tu jestem. Bradford zerknął na Munroe, a ona odpowiedziała mu spojrzeniem, które można było zinterpretować tylko w jeden sposób: albo Emily zwariowała, albo mają cholernie poważny problem. Najpewniej to drugie. Serce Munroe waliło, jej umysł usiłował utkać z myśli gobelin, który miałby jakiś sens, a potem nagle to przerwała, wiedząc, że zna odpowiedź na swoje następne pytanie, jeszcze zanim słowa wyszły z jej usta.

- Emily, kogo o to prosiłaś?

Emily otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale powstrzymała się, gdy do pokoju weszła służąca z tacą pełną filiżanek. Położyła ją na stoliku do kawy, a Emily złożyła ręce na kolanach i czekała. Mijały sekundy, każda mierzona bolesnym oddechem, aż w końcu kobieta wyszła z saloniku.

- Nie ufam jej - wyjaśniła Emily. - Nie wydaje mi się, żeby znała angielski, ale nie wiem tego na pewno. Jest ciotką mojego męża i o wszystkim mu donosi.

Munroe podeszła do kanapy i uklękła przed Emily, tak że ich oczy znalazły się prawie na tym samym poziomie.

- Przyjechaliśmy, żeby cię stąd wydostać, żeby cię zabrać do domu, jeśli tego chcesz. Czy chcesz tego?

Emily skinęła głową.

- W takim razie posłuchaj uważnie - powiedziała Munroe. - Od czasu, gdy próbuję cię odnaleźć, dwa razy nieomal mnie zabito i wszystko wskazuje na to, że ci, którzy próbowali zrobić to przedtem, spróbują jeszcze raz, kiedy się dowiedzą o naszej tu obecności. Informacje, które nam przekazano, przeczą temu, co ty mówisz, i jeśli szybko nie uporządkujemy faktów, możemy się nie wydostać z tego kraju cali i zdrowi - co oznacza, że jeśli nie zostaniesz zabita razem z nami, utkniesz tu na całe życie. Emily, musimy wiedzieć, kogo prosiłaś o zgodę na powrót do domu, kto cię tu trzyma i kto próbuje zabić mnie. Możesz nam w tym pomóc?

- Prosiłam tatę - odparła Emily. - Zajęło mi to dużo czasu, może z rok, ale w końcu się z nim skontaktowałam, a kiedy to zrobiłam, wpadł w złość i nie chciał ze mną rozmawiać. - Słowa Emily zaczęły płynąć swobodniej, jej mowa była mniej sztywna, biegłość, nawet akcent wracały. - Udało mi się z nim skontaktować tylko ten raz, ale nigdy nie zdołałam porozmawiać z mamą. Prosiłam też wiele razy mojego męża. Kiedyś myślałam, że pewnego dnia pozwoli mi pojechać, ale teraz bije mnie, kiedy poruszam ten temat, więc przestałam prosić. - Łza spadła z jej policzka na kolana, a ona pociągnęła nosem i otarła palcami oczy. - Mówi, że trzymając mnie tutaj, robi mi przysługę, że bez, niego byłabym już martwa i że nigdy nie mogę stąd wyjechać, i powinnam być wdzięczna. - Spuściła wzrok. - Więc naprawdę nie rozumiem, dlaczego przybyliście właśnie teraz.

- Gdzie jest teraz twój mąż? W Malabo?

- Tak myślę.

- Ludźmi, którzy próbowali mnie zabić, byli wynajęci angolscy żołnierze, którzy zwykle przyjmują rozkazy od prezydenta. Czy twój mąż ma kontakty, które pozwoliłyby mu wykorzystać ich do innych celów?

Emily wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - odrzekła. - Nic nie wiem o jego interesach ani pracy. Wiem trochę o jego rodzinie. Jest bratankiem prezydenta i jego bracia są ważnymi osobami.

- Czy tylko on ciebie tu przetrzymuje? Czy są inni?

- Nie wiem - powiedziała. - Myślę, że to głównie on. - Popatrzyła na Bradforda. - Nie mam pieniędzy, a ludzie w mieście... oni wszyscy mnie znają. Jeśli wyjadę, ktoś mnie zobaczy i powiadomi mojego męża. Próbowalam. Znalazł mnie, zanim wydostałam się z kraju, po czym zamknął mnie w domu i trzymał tak przez kilka miesięcy, dopóki nie przyrzekłam, że nigdy więcej nie wyjadę.

- Wydostaniemy cię - obiecał. - Masz moje słowo.

- Mam dwóch synów - powiedziała Emily. - Jeden ma dwa i pół roku, a drugi prawie rok... co z nimi?

Bradford pokiwał głową.

- Mamy paszporty dla ciebie i dla dzieci.

- Pójdę się spakować - rzuciła Emily, ale Munroe położyła rękę na jej dłoni, żeby ją zatrzymać. - Wyjdiesz z nami z domu w tym ubraniu, które masz na sobie. Powiesz ciotce swojego męża, że idziemy coś zjeść, i każesz jej w tym czasie przygotować dzieci do wyjścia. Musi wierzyć, że wrócicie za kilka godzin.

Emily skinęła głową, po czym zawołała kobietę. Kiedy skończyła przekazywać instrukcje i ciotka jej męża opuściła pokój, Munroe, cały czas łamiąca sobie głowę nad kawałkami tej układanki, między którymi nie było żadnego widocznego związku, powiedziała: - Nie mamy zbyt dużo czasu i nie

musimy znać wszystkich szczegółów, ale czy mogłabyś, najlepiej jak potrafisz, opowiedzieć nam, jak to się stało, że wylądowałaś tutaj? Rozpocznij od Namibii.

Emily zareagowała wymuszonym uśmiechem, po czym odsunęła kosmyk włosów, który opadał jej na oczy.

- Było nas troje - zaczęła. - Ja, Kristof i Mel. Podróżowa-
liśmy razem od Kenii i przewędrowaliśmy z plecakami więk-
szość wschodniej i południowej Afryki. Chcieliśmy z kolei
ruszyć w górę zachodniego wybrzeża, sprawdzić, czy uda nam
się dotrzeć aż do Nigerii, a potem wrócić samolotem. Nie
mieliśmy dużo czasu, ponieważ mama chciała, żebym wracała
już do domu, a Mel miał coś do zrobienia u siebie. Byliśmy w
Windhoek i próbowaliśmy znaleźć sposób na dostanie się albo
do Konga, albo do Gabonu, bo Angola była zbyt
niebezpieczna.

Poznaliśmy tego gościa, nazywał się Hans jakoś, i bardzo
się polubili z Kristofem, bo Kristof był Niemcem, a rodzina
Hansa pochodziła z Niemiec. Był pilotem taksówki powietrznej
i jak mówił, często latał do Angoli. Kiedy usłyszał, że
próbujemy się dostać na północ, powiedział, że leci tego
popołudnia do Luandy, i zaoferował się, że nas tam zabierze.
Powiedział też, że w Luandzie będziemy mogli złapać łódź lub
inny lot do Gabonu, postanowiliśmy więc skorzystać z jego
propozycji. Zadzwoniłam do domu i powiedziałam tacie, co
zaplanowaliśmy i że skontaktuję się z nim, kiedy tylko
dotrzemy do Libreville.

Munroe przechwyciła spojrzenie Bradforda. Miał
zmarszczone brwi, a na jego twarzy malowała się
konsternacja. Każda wiadomość od Emily po opuszczeniu
Namibii byłaby bardzo ważna dla wszelkich działań
poszukiwawczych, a o tej rozmowie i przekazanych w niej
informacjach geograficznych nikt nigdy nie wspomniał.
Munroe kusilo przez chwilę, żeby przerwać Emily i poprosić o
wyjaśnienia, ale nie zrobiła tego.

- Powiedział, że niecierpliwie czeka na mój powrót - mówiła dalej Emily - i zapytał, czy skoro już jadę do Gabonu, planuję także odwiedzić Gwineę Równikową. Nie zamierzaliśmy tego zrobić, bo nie było zbyt wiele wiadomości o tym kraju i wydawało się, że podróż w te strony może się wiązać ze zbyt wieloma kłopotami. - Umilkła na chwilę, jakby zastanawiając się nad tym ostatnim zdaniem, po czym popatrzyła jeszcze raz na Munroe i podjęła przerwany wątek: - Powiedział, że to właśnie w Gwinei prowadzi wiercenia poszukiwawcze i że to wciąż dziki i prymitywny kraj, i o tych legendach o starym prezydencie, który zakopał skarb koło swojej wioski. Poleciliśmy do Luandy i, jak mi się wdaje, jeszcze tej sa mej nocy załapaliśmy się na towarowiec płynący do Gabonu. Spędziliśmy w stolicy mniej więcej trzy dni, a potem postanowiliśmy ruszyć łodem do Kamerunu. To właśnie wtedy opowiedziałam chłopakom te wszystkie historie, które słyszałam od taty o Gwinei Równikowej. Obaj uznali, że to byłoby super, wybrać się do kraju, do którego jeździ tak mało ludzi, zdecydowaliśmy zatem, że do Kamerunu pojedziemy przez Gwineę Równikową. Dostaliśmy wizy, a potem, ponieważ nie mogłam się dodzwonić do żadnego z moich rodziców, wysłałam do taty e-mail, w którym mu napisałam, dokąd zmierzamy.

- Dlaczego do ojca? - przerwała Munroe. - Dlaczego nie do mamy?

- Cóż, kiedy rozmawiałam z tatą, gdy jeszcze byłam w Luandzie, powiedział mi, że mama odwiedza naszych przyjaciół na ranczu w Wyomingu i nie wróci jeszcze przez kilka tygodni, więc gdybym wysłała e-mail, to lepiej do niego, a nie do niej.

Munroe zerknęła na Bradforda, szukając potwierdzenia informacji o tym wyjeździe do Wyomingu, i Miles pokręcił przecząco głową, a tymczasem Emily, najwyraźniej nieświadoma tej wymiany gestów, kontynuowała: - Byliśmy na

drodze z Oyem do Mongomo, tuż pod miastem, i na punkcie kontrolnym jacyś żołnierze zaczęli się nas czepiać. W tamtej chwili nie wydawało się to tak szczególnie niebezpieczne... przechodziliśmy już coś takiego w innych miejscach. Ale wtedy Melowi nagle odbiło. Coś podobnego zdarzyło się już raz kilka dni wcześniej, może z tydzień, kiedy to ni z tego, ni z owego zaczął paplać coś do siebie i dziw nie się zachowywać, trochę paranoicznie. Ale potem był znowu normalny, a kiedy mu opowiedzieliśmy, co robił, wszyscy nieźle się uśmialiśmy. Jednak tym razem było inaczej - on kompletnie zwariował. Wrzeszczał, a potem rzucił się na jednego z żołnierzy, no i wszystko się poplątało. - Jej głos stał się bezbarwny, a ona sama wbiła wzrok w podłogę na środku pokoju. - Zabili go - mówiła dalej. - Od razu, tam na miejscu, maczetami, a Kristof i ja patrzyliśmy na to. I wtedy Kristof rzucił się do ucieczki, a ja nie wiedziałam, co robić, pobiegłam więc za nim. Biegliśmy bardzo długo i prawie udało nam się uciec. Myślę, że Kristofowi się udało. Kiedy go widziałam po raz ostatni, biegł w stronę granicy, a potem dostałam w głowę i zemdlałam. Ocknęłam się w miejskim areszcie. Byłam cała we krwi, posiniaczona, miałam złamaną rękę i, jak mi się wydaje, pęknięte jedno lub dwa żebra. Bolała mnie też bardzo noga, więc chyba była złamana. Miałam dużo ran ciętych, myślę, że od uderzeń maczetami. - Sięgnęła w dół i uniosła suknię nad kolana, ukazując szerokie blizny na nogach, widoczną pozostałość po głębokich rozcięciach, których nie zszyto. - Mam ich więcej, na brzuchu i plecach. Nie wiem, jak długo tam byłam. Budziłam się kilka razy i znowu traciłam przytomność. Następne, co pamiętam, to że odzyskałam świadomość w czystym pokoju i nie czułam już tak wielkiego bólu jak poprzednio, i to tam właśnie pierwszy raz zobaczyłam mężczyznę, który teraz jest moim mężem. Powiedział, że mnie uratował, że wie, kim jestem, i że dopilnuje, bym wróciła do domu. Był dla mnie naprawdę miły.

Ale nigdy nie odesłał mnie do domu. Obiecywał, że to zrobi, kiedy odzyskam siły, ale ciągle się to opóźniało. Trudno mi powiedzieć, ile dokładnie upłynęło czasu, ale myślę, że jakieś trzy lub cztery miesiące później powiedział mi, że moje życie jest w niebezpieczeństwie i że jedynym dla mnie ratunkiem jest małżeństwo z nim. Próbowałam uciekać dwa razy i w obu wypadkach skończyło się to tak, że mnie zamykano. Były groźby, kilka razy mnie pobito, i były inne rzeczy. - Emily przerwała i przełknęła ślinę, rozglądając się po pokoju, a dla Munroe było jasne, że młoda kobieta z trudem powstrzymuje łzy. - Mniej więcej po roku, jak myślę, wpadł mi w ręce telefon z dostępem do linii międzynarodowych. Próbowałam zadzwonić do mamy, ale jej numer nie był już aktualny. - Odwróciła się w stronę Bradforda. - Czy oni nadal mieszkają w Houston? - Bradford zawahał się, ale po chwili skinął głową. - No to potem zadzwoniłam do biura taty. Trudno mi było przebić się przez jego sekretarki, ale w końcu podniósł słuchawkę. To było bardzo dziwne. Powiedziałam mu, kim jestem, gdzie jestem i że chcę wrócić do domu, ale ludzie tutaj nie chcą mnie wypuścić, a on odparł, żebym nigdy więcej do niego nie dzwoniła. Może myślał, że to był jakiś głupi żart... nie wiem. Nie udało mi się nigdy więcej z nim skontaktować, chociaż próbowałam. Pewnego razu zostałam przyłapana z telefonem i mój mąż zbił mnie mocniej niż kiedykolwiek przedtem, i powiedział, żebym nigdy więcej nie robiła czegoś tak głupiego, że byłam głupia i wystawiłam moje życie na niebezpieczeństwo. Mniej więcej w tym samym czasie zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że nie uda mi się stąd wyjechać, i jedyne, co mogłam naprawdę zrobić, to polepszyć moje życie tutaj, zgodziłam się więc poślubić Timotea. Przestałam próbować uciekać i dzwonić. Od tego czasu sprawy układają się mniej więcej dobrze.

Krótkofalówka przyczepiona do paska Munroe zaświergotała, przerywając rozmowę. Bradford rzucił jej niespokojne spojrzenie; wiedział, że Beyard próbowałby się skontaktować z nimi tylko w razie niebezpieczeństwa. Munroe odczepiła kamerę od klapy munduru, wyjęła z kieszeni urządzenie nagrywające i wcisnęła je do ręki Bradfordowi. Przypinając kamerę do jego kołnierzyka, wyszeptała: - Prawdopodobnie będziemy tego potrzebować do czegoś więcej niż tylko udowodnienia, że ona żyje. Każ jej wyrecytować przed obiektywem wszystkie dane personalne, dzisiejszą datę i miejsce, datę urodzin, nazwiska i imiona obojga rodziców... ma to być w zasadzie całe oświadczenie. Dobrze by było, gdyby włączyła w to wspomnienia jakichś wydarzeń z dzieciństwa, o których ty i ja nie moglibyśmy wiedzieć.

Bradford odwrócił się w stronę Emily z uśmiechem, który jednak nie ukrył niepokoju, jaki go ogarnął, kiedy usłyszał sygnał krótkofalówki. Munroe wyszła z pokoju, a kiedy była już pewna, że znalazła się poza zasięgiem słuchu Milesa i Emily, odpowiedziała na wezwanie.

- Otwórz frontowe drzwi - usłyszała. To było wszystko, co Beyard miał do powiedzenia.

Rozdział 20

Munroe ruszyła energicznym krokiem do wejścia. Przedpokój był pusty i chociaż nie miała wątpliwości, że domowy donosiciel czai się gdzieś w pobliżu, otworzyła drzwi i Beyard wśliznął się do środka. Jego mundur zniknął, zastąpiony przez džinsy i T-shirt dość duży, żeby niemal zamaskować kształt worka, który zawiesił sobie na piersi. Miał twardą, rzeczową minę. Podał jej dwa próżniowo zapakowane komplety cywilnych ubrań.

- Państwowe radio właśnie podało, że udaremniono próbę zamachu stanu - powiedział. - Wojsko poszukuje w okolicy Mongomo ludzi ubranych w izraelskie mundury, a podawane opisy dobrze pasują do ciebie, Milesa oraz mnie. W mieście już zaczęła narastać atmosfera paranoi. - Umilkł na sekundę, a potem, kiedy ona nic nie odpowiedziała, stwierdził rzecz oczywistą: - Nie było żadnego zamachu, Vanesso. Szukają nas. Połączenie faktów nie zajmie ludziom w tym komisariacie dużo czasu. Musimy stąd zwiewać.

Bębny wojenne znowu zaczęły wybijać swój rytm w piersi Munroe. To nie mogła być robota domowej donosicielki - wszystko potoczyło się zbyt szybko i było zakrojone na zbyt dużą skalę. Tylko troje ludzi wiedziało o planie przekroczenia granicy w przebraniu izraelskich żołnierzy: Logan był w Stanach Zjednoczonych, a pozostałych dwoje znajdowało się w tym domu. Zrobiła głęboki wdech i uszczypnęła się w grzbiet nosa. To właśnie dlatego, cholera, zawsze pracowała sama. Żadnych obciążeń, żadnych partnerów, żadnych niepotrzebnych dodatków, przez które sprawy się pieprzą.

- Przynieś telefon satelitarny, paszporty i pięć tysięcy euro - postanowiła. - Zostawimy to jej. Ja idę po Milesa. Beyard wcisnął kawałek plastyku pod drzwi wejściowe, a Munroe uniosła głowę, wzięła łyk powietrza, pohamowała wściekłość,

po czym spokojnie wróciła do salonu. Była już tak blisko, tak cholernie blisko.

Kiedy weszła do pokoju, Bradford spojrzął na nią niespokojnie. Emily, która mówiła właśnie o swoim dzieciństwie, umilkła. Munroe powiedziała tylko: - Emily, muszę porozmawiać z Milesem.

Po wyjściu z salonu, gdy byli już poza zasięgiem słuchu Emily, Munroe, szepcząc Bradfordowi do ucha, wyjaśniła mu sytuację w możliwie niewielu słowach. Jego twarz wykrzywiła się, zdradzając kolejno cały szereg emocji, z których ostatnią Munroe odczytała jako szok i grozę. Zaciśnął pięści i syknął przez zęby: - Nie zostawię jej.

- Jeśli zabierzemy ich ze sobą, spowolnią nas, przez co ostatecznie możemy zginać wszyscy... lepiej, żeby tu została.

- Nie mogę jej zostawić - powtórzył z uporem.

- Żyła tu w miarę spokojnie przez te wszystkie lata i nic jej nie groziło - przekonywała go Munroe. - Będzie tu bezpieczniejsza niż z nami.

Bradford stał nieruchomo i nic nie odpowiedział.

- Rób, jak chcesz. - Munroe przyklękła i zaczęła rozwiązywać buty. - Sam wykombinuj, jak ją stąd wywieźć. Francisco i ja ruszamy, dopóki jeszcze mamy szansę. - Ściągnęła mundur, z pakunku, który dał jej Beyard wyjęła koszulę i wciągnęła ją przez głowę. - Ty rób to, co musisz zrobić.

Bradford przeczesał palcami włosy i wbił wzrok w sufit. Oddychał szybko, jakby miał zaraz doznać ataku hiperwentylacji, i Munroe wiedziała, że rozważa w pośpiechu różne scenariusze, które przychodzą mu do głowy. Pojedzie z nimi, co do tego nie było żadnej wątpliwości. Wiedział równie dobrze jak ona, że nawet gdyby samochody się rozdzieliły i on pojechał z Emily oraz dziećmi w przeciwnym kierunku, podczas gdy ona i Beyard staraliby się odciągnąć od nich pościg, po zaniknięciu przejść granicznych, co musiało

nieuchronnie nastąpić - jeśli już nie nastąpiło - nie zdołałby na własną rękę wywieźć ich z kraju. Kiedy Munroe podała mu drugi komplet cywilnych ubrań, wziął je bez słowa.

- Francisco wróci z paszportami, pieniędzmi i telefonem satelitarnym - powiedziała. - My jej nie porzucamy, Miles. Kiedy wrócili, Emily wciąż siedziała na kanapie. Ręce opuściła na kolana i zaciskając bezwiednie dłonie, wpatrywała się w filiżanki na stoliku. Gdy weszli do pokoju, uniosła gwałtownie głowę.

- Nie jedziemy, prawda? - rzuciła. - Po tym wszystkim nie jedziemy.

Bradford usiadł obok niej i pokręcił głową.

- Hm, plany się zmieniły.

- Jada tutaj ludzie, którzy próbowali mnie zabić - wyjaśniła Munroe. - Musimy stąd szybko odjechać i jeśli będziecie nam towarzyszyć, to istnieje niebezpieczeństwo, że ty i dzieci nie przeżyjecie tej ucieczki. Zostawimy ci pieniądze, paszporty i telefon. Jeśli uda nam się wydostać z tego kraju, wrócimy.

- Jestem gotowa podjąć ryzyko - odparła Emily. - Proszę, pozwólcie mi jechać z wami.

- Nie możemy tego zrobić, Emily.

- Tak czy inaczej - wtrącił Bradford - wyciągnę cię stąd. Może to potrwać miesiąc, a nawet i rok, ale wrócę po ciebie, obiecuję.

Do pokoju wszedł Beyard z małą walizeczką w ręku. Nie tracąc czasu, wręczył ją Munroe, a ta z kolei podała ją Emily, która tymczasem się rozpłakała.

- Przykro mi - powiedziała do niej Munroe, a potem, zwróciwszy się do Bradforda, dodała: - Wyruszamy za dwie minuty. Pokaż jej, jak się obsługuje ten telefon. - Ona i Beyard wyszli z domu, a minutę później dołączył do nich Bradford.

Beyard przełożył najpotrzebniejsze rzeczy z obu samochodów do jednego i Munroe zostawiła kluczyki do drugiego pod jego przednim fotelem. Odjechali spod domu, przy czym siedzący za kierownicę Beyard prowadził powoli, wypatrując jakiegokolwiek zagrożenia na ulicy i daleko poza nią. Krążyły już tam patrole wojskowe, zatrzymujące pieszych, którzy mieli tego pecha, że nie zdążyli schronić się w jakimś bezpiecznym miejscu. Te nieliczne samochody, które były jeszcze na drogach, także zatrzymywano, a jadących nimi ludzi zmuszano do wyjścia na zewnątrz z rękami nad głową. Atmosfera aż iskrzyła od paranoicznych podejrzeń i wiszącej w powietrzu przemocy.

Munroe siedziała na tylnej kanapie, tak przechylona na bok, że słuchawka przyczepiona do jej ucha nie była widoczna przez okno. W lusterku wstecznym widziała twarz Beyarda, jego zaciśnięte usta i oczy, w których malowało się napięcie. Były tylko trzy drogi wyjazdowe z miasta, wszystkie zamknięte, i gdyby musieli się przebijać siłą przez którąś z tych blokad, w obliczu tak przeważającej siły ognia byłiby w bardzo niekorzystnej sytuacji.

Dzięki wystawionym na nazwisko prezydenta dokumentom wozu oraz godnemu podziwu występowi Beyarda udało im się przedostać przez pierwszą grupę uzbrojonych w karabinki szturmowe żołnierzy. Od prostej czteromilowej szosy, która prowadziła do granicy, dzieliło ich zaledwie kilka minut jazdy, i gdyby szczęście im sprzyjało, mogliby tam dotrzeć, zanim poziom wrogości podniesie się o kolejny stopień i dokumenty przestaną zapewniać im bezpieczeństwo. Munroe naciskała guziki, zmieniając częstotliwości; tam, gdzie powinno panować zamieszanie i gorączkowa aktywność, słyszała tylko szum i ciszę, ale w końcu trafiła na głosy.

Pochyliła głowę, usiłując wychwycić fragmenty prowadzonej w fang rozmowy, która skończyła się tak samo

nagle, jak się zaczęła.

- Granice lądowe zostały odcięte - poinformowała Beyarda.

- Nie mówią nic o wybrzeżu.

- Nie wydostaniemy się tą drogą - odparł.

Munroe poczuła, że samochód przyhamował, po czym znowu gwałtownie przyspieszył. Zaparła się nogami o tył fotela Bradforda i osłoniła dłońmi uszy. Samochodem znowu szarpnęło. Beyard dojechał do końca ulicy biegnącej równoległe do tej, przy której mieszkała Emily, i skręcił w ścieżkę wychodzącą z miasta. Gdy tylko na nią wjechali, gałęzie zaczęły chłostać przednią szybę, a zawieszenie głośno jęczeć. Po chwili samochód zakołysał się gwałtownie i ze ścieżki wjechał w koryto strumienia.

- Coś nowego? - zapytał Beyard.

-Nic - odparła Munroe, której palce nieprzerwanie operowały kontrolkami skanera, podczas gdy ona sama z całej siły zapierała się o fotel Bradforda, by zachować równowagę.

- Wiedzą, że słuchamy.

- Skąd, do diabła...? - Munroe urwała. Ktoś wiedział, że są w Mongomo, wiedział o ich przebraniu, wiedział o skanerach... i o czym jeszcze, do diabła? Ściągnęła słuchawki, wyłączyła odbiornik i spojrzała gniewnie na przedni fotel. C h o l e r a .

Strumień płynął na południowy zachód i podążali w tym kierunku przez kilka mil, maćąc i burząc płytką wodę, aż dotarli do miejsca, gdzie koryto skręcało na północ i gdzie wjechali w busz, kierując się w głąb kraju. Jeśli mogli to ocenić, wymknęli się z miasta niezauważeni i nikt ich nie gonił, więc atmosferę przemocy zastąpił zwodniczy spokój głuchej puszczy. Zamierzali posuwać się na południowy zachód, aż ich droga połączy się ze szlakami prowadzącymi do Evinayong, i tam, w głębi kraju, ukryć się do czasu, gdy gorączka opadnie i ścigający ich ludzie uznają, że już ich nie ma w okolicy. Mieli zapasy na kilka dni, a dzięki

wykorzystaniu zasobów lasu mogli rozciągnąć ten okres nawet do dwóch tygodni.

Ich celem był Mbini, płytkowodny port morski leżący osiemdziesiąt kilometrów na południe od Baty, po południowej stronie szerokiego na prawie milę ujścia rzeki Benito, otoczony przez nieskazitelnie białe plaże, na których łamały się potężne oceaniczne fale, co w każdym innym miejscu na świecie dałoby początek sieci pięciogwiazdkowych hoteli. To właśnie z Mbini wypływały barkasy przewożące ludzi do Gabonu, tam też przyływały te, które wiozły pasażerów w drugą stronę, i dlatego widok w tym miejscu zaopatrzonej w paliwo oraz prowiant łodzi nie powinien wzbudzać specjalnego zainteresowania ani podejrzeń.

Do wieczora oddalili się od cywilizacji o trzydzieści bardzo męczących kilometrów. Obozowali pod plandeką, okoloną moskitierą i rozwieszoną między dachem samochodu a drzewami. Munroe z twarzą pokrytą warstwą brudu, obolałym ciałem i przedramieniem zakrwawionym w miejscu, w którym je głęboko zadrapała, siedziała oparta o tylne koło, objawszy rękami kolana. Beyard wybrał się do lasu i zniknął w ciemnościach, a Bradford siedział oparty o przedni zderzak z wyciągniętymi przed siebie nogami, skrzyżowanymi na piersi rękami i głową uniesioną ku niebu. Munroe milczała; nie miał do powiedzenia nic, co nie przypominałoby plucia jadem. Wydarzenia wyrwały się spod kontroli, a informacje, które do tego doprowadziły, musiały pochodzić z kręgu najbliższych zaufanych. Logika mówiła, że źródłem musiał być albo Miles, albo Francisco, ale coś tu nie grało, coś się nie zgadzało. Pochyliła głowę, tak że dotknęła nią kolan, i głęboko westchnęła.

- To nie byłem ja - odezwał się Bradford.

Munroe uniosła głowę, a Bradford kontynuował: - Potrafię liczyć. Nie ma zbyt wielu ludzi, których można by obarczyć winą, a ja jestem tym, kogo najbardziej nienawidzisz i komu

najmniej ufasz... czyni mnie to głównym kandydatem, ale to nie byłem ja, Michael.

- Boisz się, że zostawię cię tutaj?

- Powiniennem, ale się nie boję. - Był spokojny, mówił cicho, wciąż wpatrując się w niebo. - Bardziej niepokoi mnie to, że koncentrując się na mnie, skupisz swoją uwagę na niewłaściwej osobie. Ustalenie, skąd oni o tym wiedzieli, także dla mnie stało się kwestią przetrwania. - Przerwał i popatrzył w ciemność. - Wiem, jak bliski jest ci Francisco. Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś, by uczucie osłabiło twoją zdolność oceny sytuacji.

Munroe znowu oparła głowę na kolanach, a na jej twarzy pojawił się zmęczony uśmiech. Jej szacunek dla Bradforda właśnie zwiększył się o jeden stopień.

- Nie nienawidzę ciebie, Miles - powiedziała - i ufam ci bardziej, niż myślisz. - I wtedy uświadomiła sobie, że Francisco wrócił. Przemknął do nich przez zarośla jak kot, cicho i niepostrzeżenie. W przyćmionym świetle tłącego się ogniska dostrzegła napięte mięśnie szyi Bradforda i zrozumiała, że pod powierzchnią pozornego spokoju ten człowiek wrze z wściekłości. Było też dla niej jasne, że on również zdaje sobie sprawę z obecności Beyarda.

I wtedy Francisco wkroczył w krąg światła, niosąc dwa leśne szczury. Usiadł na skraju ziemi osłoniętej przez plandekę i odwrócony do nich plecami oskórował oraz wypatroszył swoją zdobycz. Munroe, która obserwowała, jak szybkimi ruchami nadgarstka i noża oddziela mięso od kości, poczuła piekący ból po zdradzie i uświadomiła sobie, że jeśli czegoś nie zrobi, ktoś tej nocy umrze.

Wstała, otworzyła tylne drzwi samochodu, sięgnęła pod fotel i wyjęła dwa schowane tam pistolety PB/6P9. Tłumiki były już przykręcone do luf, więc Munroe musiała tylko włożyć magazynki, by przygotować broń do działania. Przez cały czas wyęzżała słuch, żeby stworzyć sobie w głowie obraz tego, co

działo się za jej plecami, i bardziej z przyzwyczajenia niż ze strachu starała się zachować ciszę. Dwóch siedzących na zewnątrz mężczyzn pożerała wzajemna nieufność i w swym zapamiętaniu nie zwracali uwagi na to, co robi ona, aż było za późno. Wtedy to odwróciła się i wymierzyła broń w każdego z nich. Bradford uniósł głowę i zacisnąwszy usta, spojrzał na nią twardo. Beyard westchnął, mruknął: - No nie, znowu to samo gównu - i nadal oparował zwierzęta. - Pchnij nóż w tym kierunku, z łaski swojej - powiedziała Munroe. Kiedy Beyard zrobił, co mu kazała, rzuciła każdemu z nich rolkę taśmy samoprzylepnej. Kiwnęła głową do Bradforda. - Jego nogi. - A potem do Beyarda. - Zrób mu to samo. - Kiedy obaj mieli już skrępowane nogi, kazała Beyardowi związać nadgarstki Bradforda, a potem, przyciskając mu broń do kręgosłupa, wolną ręką owinęła taśmę wokół jego rąk. Gdy obaj mężczyźni byli już obojętni, kazała im się jeszcze przesunąć i usiąść plecami do samochodu, przy czym Beyarda umieściła przy jednym kole, a Bradforda przy drugim.

Szczury leśne, które oskórował Beyard, leżały na kamieniu przy ognisku. Munroe nadziała je na patyki i umieściła nad żarem, a potem podniosła z ziemi nóż Francisca i zważyła go w dłoni, starając się wyczuć punkt równowagi. Kiedy ostrze zaczęło wołać, wrzeszcząc, że chce być użyte, wbiła je w ziemię blisko nóg obu mężczyzn.

Usiadła po turecku naprzeciw nich i skinęła głową na Beyarda.

- No i? Proszę bardzo, powiedz, co masz do powiedzenia..

Milczał przez chwilę, po czym odwrócił się w stronę Bradforda.

- I pomyśleć, że cię naprawdę polubiłem. Jesteś pierdolonym, podstępnym zdrajcą. Sprzedałeś nas, kutasie... - Przerwał i spróbował rzucić się na Bradforda.

Munroe kopnęła go w stopy.

- Hej! - Wymierzyła broń w jego pierś. - Przestań.

Beyard znieruchomiał, a potem podciągnął się znowu do pozycji siedzącej.

- Miles, a co ty powiesz? - zapytała.

- To mógł być jedynie ktoś z nas trojga - odparł - i to nie byłem ja.

- Tak jest, do cholery, to nie byłeś ty - rzucił szyderczo Beyard.

Munroe wstała, podniosła nóż i podeszła do ogniska. Fragmenty układanki zaczynały do siebie pasować, a wydarzenia, które poprzednio wydawały się niezrozumiałe, nabierały sensu. Głosy obu mężczyzn za jej plecami były coraz bardziej podniesione. Przekrzykiwali się, zarzucali oskarżeniami, a ich słowne potyczki tworzyły kakofoniczne tło dla jej rozważań. Dźgnęła nożem dymiące mięso. Dlaczego miałyby się przejmować tym, że ściga ją cała armia tego kraju z rozkazem zastrzelenia na miejscu, kiedy tę robotę może jeszcze tej nocy załatwić dwóch samców alfa, którzy tylko czekają na okazję, by wyciąć sobie nawzajem serce? Wrzaski z tyłu stały się niebezpiecznie głośne, odwróciła się zatem i wystrzeliła jeden pocisk między obu mężczyzn, obsypując ich wzbity przez kulę ziemią.

- Zamknijcie się! - krzyknęła. - Obaj.

Mężczyźni byli pochyleni ku sobie. Z kącika ust Beyarda, którego Bradford zdołał jakoś uderzyć bykiem w twarz, spływała strużka krwi. Zaskoczeni tym, co zrobiła, patrzyli teraz na nią z otwartymi ustami, ale nic nie mówiąc.

- Będziecie musieli zawrzeć rozejm - powiedziała. - Ponieważ nie chcę jutro rano po obudzeniu stwierdzić, że jeden z was nie żyje albo że obaj jesteście martwi. I jeśli to znaczy, że będę musiała odbyć tę podróż z wami oboma związanymi jak pieprzone perliczki, przysięgam na Boga, że to zrobię. Popatrzcie na siebie. - Wskazała ich pistoletami. - Pomyślcie przez chwilę, do cholery. Obaj chcecie zabić jeden

drugiego z tego samego powodu. - Przerwała i zrobiła głęboki wdech. O ile wam wiadomo, to mogłam być ja.

- To nie ty - odparł Beyard.

- Taa. Ja to wiem. Dzięki za cholerne wotum zaufania. Ale faktem jest, że prawdopodobnie nie był to także żaden z was.

- Jeśli nie był to jeden z nas, to kto?

- Przychodzi mi do głowy Richard Burbank.

- Powiedziałaś mu, że to potrwa co najmniej tydzień - rzucił Bradford - i na pewno nie podałaś mu wszystkich szczegółów o skanerach, przebraniu i innych sprawach.

- Logan zna te wszystkie szczegóły - odrzekła i gdy tylko wybrzmiały te słowa, żołądek podszedł jej do gardła, zalała ją fala zmęczenia i zrobiło jej się niedobrze. Logan był bezpieczeństwem, był ucieleśnieniem rozsądku pomagającym jej zachować zdrowe zmysły, zastępczym bratem, jedynym domem, jaki jej pozostał. Jeśli to on ją sprzedał, gra była skończona. Nie była to kwestia przechytrzenia go lub zemśczenia się na nim, co byłoby cholernie trudne - jeśli to był Logan, wszystko traciło sens.

Popatrzyła na Beyarda.

- Czy w radio powiedzieli cokolwiek o typie samochodów, którymi jechaliśmy, albo ich liczbie? Czy podali jakiegokolwiek informacje, które znaliśmy tylko my troje i nikt więcej?

Pokręcił przecząco głową.

- Rozważmy różne możliwości. - Westchnęła i usiadła. - Posłuchajcie, wiemy już, że Richard Burbank maczał w tym palce, i to tak głęboko, że ma je całe ubrudzone. Informacja mogła wyjść od Logana - nie można wykluczyć, że Burbank założył mu podsłuch w telefonach. A więc uspokójcie się, do cholery, i zastanówmy się razem nad tą całą sprawą, dobrze? - Umilkła na chwilę. - Czy mam wasze słowo, że jeśli was uwolnię, będziecie się zachowywać?

Pokiwali głowami, bez większego zapału i raczej obojętnie, ale pokiwali. Sięgnęła po nóż, wstała, podeszła do ogniska,

odwróciła mięso leżące na żarzących się węglach, po czym zbliżyła się do samochodu i przecięła im więzy na rękach. Następnie cofnęła się, mierząc do obu mężczyzn z pistoletów, i powiedziała: - Niech mi się żaden, kurwa, nie rusza. Możecie tam wygodnie siedzieć, kiedy będziemy rozmawiać o tym, co się, do diabła, dzieje, i rozszyfrowywać te informacje, które mamy. Potem, kiedy już skończymy, możecie rozwiązać nogi.

Beyard pomasował nadgarstki i popatrzył w ciemność.

- Jeśli informacje nie wyciekły od nas - powiedział - to wiadomość, kto je zdradził, nie ma w tej chwili większego znaczenia.

- To prawda, nie ma - zgodziła się Munroe. Usiadła, położyła broń na ziemi i przycisnęła palce do skroni. Liczyło się tylko przetrwanie. A teraz, gdy ich troje było całkowicie odizolowanych od świata, zdrajca, gdziekolwiek i kimkolwiek był, mógł iść w cholere.

Jej umysł, chociaż wyczerpany, przeszedł w tryb analizujący. Ich przetrwanie miało zależeć od tego, kto w tym kraju działa w oparciu o uzyskane w ten sposób informacje, jakie ma środki do dyspozycji oraz jak długo może prowadzić polowanie.

Jeśli po to, by ich wypłoszyć, posunięto się aż do farsy, jaką był fałszywy zamach stanu, to istniały tak naprawdę tylko dwie możliwości: ta sprawa musiała sięgać aż do prezydenta albo kogoś bardzo bliskiego prezydentowi - a nie trzeba było geniusza, by się domyślić, kto naciskał prezydenckie guziki.

Munroe wstała i rzuciła do Beyarda: - Wymyśliłeś już jakąś teorię?

- Częściowo.

- Dobrze. - Podeszła do pojazdu, wycelowała we Francisca, który był bliżej, i powiedziała: - Nie ruszaj się. - A potem sięgnęła wolną ręką za siebie, wyciągnęła laptopa i stację dysków z materiałem filmowym dotyczącym Emily, skopiowała

to nagranie do pamięci komputera, po czym zaniósła go Beyardowi. - Musimy patrzeć w dwóch kierunkach, bo istnieją dwie grupy motywów. Jest Richard Burbank i jest tutejsza rzeczywistość. Potrafię spojrzeć na wszystko z punktu widzenia Burbanka. Chcę, żebyś to obejrzał i zanalizował z perspektywy Mongomo.

Nagranie trwało blisko czterdzieści pięć minut, a kiedy dobiegło końca, Beyard wrócił do ujęć, w których Emily opowiadała o tym, jak została pojmana, i o tym, jak była traktowana przez człowieka, którego teraz nazywała mężem. Beyard obejrzał ten fragment kilka razy, po czym wyłączył laptop i oddał go Munroe.

- Jeśli można jej wierzyć, Nchama próbował ją chronić.

- Chyba sobie stroisz żarty - rzucił gniewnie Bradford. - Facet ją okłamuje, bije, zamyka, szpieguje i, o ile nam wiadomo, gwałci, a ty mówisz, że on próbuje ją chronić?

Munroe zamknęła oczy i skierowała wyciągnięty palec w jego stronę.

- On mógł mówić prawdę, Miles, a co do reszty, wszystko to jest w ich kulturze dopuszczalne. - Umilkła na chwilę. - Nie obraż się, proszę, ale przez kilka minut siedź cicho. - A potem, zwróciwszy się do Beyarda, zachęciła go: - Mów dalej.

- Nchama powiedział Emily, że jej życie jest w niebezpieczeństwie, i wszystko, co do tej pory widzieliśmy, wskazuje na to, że on sam w to wierzy. Zaryzykowałbym twierdzenie, że wrzucono cię do oceanu właśnie dlatego, że on próbował ją chronić... wierzył, że jesteś zagrożeniem.

- Dlaczego miałby tak myśleć? - zapytał Bradford.

Munroe uniosła rękę, jakby chciała powiedzieć: „Milcz”, ale Beyard i tak odpowiedział.

- To logiczne założenie - rzekł. - Obojętnie, czy Nchama został umyślnie poinformowany o waszym przyjeździe, a potem okłamany co do waszych motywów - i podejrzewam, że tym, kto to zrobił, mógł być Richard Burbank - czy też wasza

obecność i pytania rozbudziły jego strach, tak czy owak byliście tam i rozpytywaliście o Emily. Rezultat jest taki sam. Zagrożenie, przed którym od początku próbował ją chronić, wróciło, zmuszając go do działania.

- To by wyjaśniało Malabo i Batę - powiedziała Munroe. - Ale rzekomy zamach stanu? To o wiele poważniejsze. Czy wykluczamy udział prezydenta w tym wszystkim?

Beyard wzruszył ramionami. - Rozplącz sieć, Essa. Co wiemy na pewno? Gdzie jest fundament? Co trzyma wszystko razem? Dokąd prowadzą połączenia? - Przerwał. - Zastosuj brzytwę Ockhama. Przy możliwie najmniejszej liczbie założeń, co uwzględnia wszystkie okoliczności i wyjaśnia to, co widzimy? Czy z tej garści informacji, które uznajemy za pewne, cokolwiek wskazuje na prezydenta?

Munroe wbiła wzrok w ziemię i zamyśliła się.

- Nie - odpowiedziała w końcu. - W tym momencie nic nie wskazuje na prezydenta.

Beyard pokiwał głową.

- W takim razie wracamy do Nchamy i przyjmujemy, że polowanie na nas będzie trwało do czasu, aż będziemy martwi albo będziemy daleko stąd.

Munroe popatrzyła w jego stronę.

- Z tego, co wiemy o dotychczasowych wydarzeniach i czego dowiedzieliśmy się z nagrania, wynika, że Nchamie zależy na Emily - powiedziała. - Rzeczywiście troszczy się o nią. Rzeczywiście próbuje ją chronić. Ale czy zależy mu na niej tak bardzo, że byłby skłonny położyć na szali własne życie? Bo przecież nie będzie ono wiele warte, jeśli prezydent dowie się, że nie było żadnego zamachu?

Wszyscy troje pograżyli się w zadumie.

- Dla jakiej sprawy człowiek ryzykuje własne życie? - zapytał w końcu Beyard.

Munroe nie odpowiedziała. Popatrzyła znowu na ziemię, sunąc po niej palcami, prowadząc je wirtualnymi ścieżkami,

którymi biegły jej myśli. Naprzód. Do tyłu. I jeszcze raz. Brzytwa Ockhama. Prostota.

Odwróciła się w stronę Beyarda.

- Człowiek ryzykuje życie, kiedy grozi mu coś straszniejszego od śmierci.

Richard Burbank.

Znowu umilkli. Kolejne chwile mijały, aż w końcu Bradford powiedział: - To całe twoje teoretyzowanie, to wszystko, opiera się na założeniu, że Richard chce, by Emily pozostała zaginiona lub, gorzej, umarła. Po tym, co nam powiedziała, nie będę tego kwestionować, ale tak serio, dlaczego on miałby zadawać sobie tyle trudu i wydawać tyle pieniędzy, by wynająć ciebie do poszukiwań, skoro mógłby sprawę odłożyć na później lub w ogóle zostawić i wtedy nic z tego by się nie wydarzyło? - Ponieważ ty go przymusiłeś, żeby mnie zatrudnił - odrze kła Munroe. - Starał się ciebie ugłaskać, grając rolę pograźo nego w smutku ojca. Z jakichś powodów wierzy, że jest ważne, byś kupił jego historię. Może wiesz o czymś, czego on się boi. Może on wie, jak blisko byliście z Elizabeth, i lęka się, że ona ci o czymś powiedziała. Naprawdę nie wiem. - Przycisnęła dłonie do oczu i wzięła głęboki wdech. - No dobrze, powtórzmy to sobie. Wiemy już, że od samego początku Richard Burbank wiedział, że Emily żyje i, co ważniejsze, gdzie jej szukać. Nie jestem pierwszą osobą, którą wynajął do poszukiwań, i zaryzykuję twierdzenie, że w ciągu pierwszych czterech lat wydał dużo więcej pieniędzy na te wszystkie zespoły niż teraz na mnie. Różnica jest taka, że sukces, jakim zakończyły się nasze poszukiwania, pociągnął za sobą nieoczekiwane komplikacje. Kiedy zaczęliśmy się zbliżać do celu, Burbank musiał przystąpić do działania - to dlatego zakończył cały projekt, dlatego nie chciał, żebyś wracał do Afryki. Widziałeś świadectwo zgonu, nie wiedziałeś, że Emily żyje, i to by mu wystarczyło, ale przez nawiązanie kontaktu ze mną, przez upieranie się przy konieczności

powrotu tutaj praktycznie podpisałeś ręką Burbanka swój wyrok śmierci.

- Ale nadal bez odpowiedzi pozostaje pytanie dlaczego. Dlaczego on chce, by Emily wciąż była zaginiona? - powiedział Bradford, po czym zawahał się i dodał: - Albo martwa.

- Pieniądze, Miles, to muszą być one. Czy nie zastanawiało cię, dlaczego Richard czekał, aż Emily będzie miała prawie osiemnaście lat, zanim ją formalnie adoptował? Był jej ojczymem przez... ile? Około dziesięciu lat? Jeśli mu naprawdę na niej zależało, jeśli to miało cokolwiek znaczyć, dlaczego nie adoptował jej, kiedy była młodsza? Jesteś inteligentnym człowiekiem, Miles. Z pewnością musiałeś się nad tym zastanawiać. Powiedziałeś, że Richard namawiał Elizabeth do zmiany testamentu, co wskazuje na istnienie albo umowy przedmałżeńskiej, albo jakiegoś innego prawnego mechanizmu, który uniemożliwiał mu dziedziczenie po niej. Może Richard miał nadzieję, że Elizabeth z czasem zmieni zdanie, ale tak się nie stało. Adoptując Emily akurat wtedy, kiedy to zrobił, stworzył sobie możliwość - prawo do dziedziczenia poprzez nią. Prawdopodobnie myślał, że jeśli do tego dojdzie i ona przejmie majątek, będzie mógł manipulować Emily w sposób, w jaki nigdy nie zdołałby manipulować jej matką. Jest to człowiek - mówiła dalej - który co najmniej porzucił przybraną córkę w środku Afryki i udaremniał wysiłki podejmowane w celu odnalezienia jej, i nie byłabym ani trochę zaskoczona, gdybym się dowiedziała, że śmierć Elizabeth nie była wcale samobójstwem. Było mu bardzo na rękę, jak sędzę, że Emily została ukryta tutaj, w kraju, o którym czas zapomniał, i wszyscy uważali ją za martwą, chociaż żyje i wciąż może dziedziczyć. Wraz z jej śmiercią, która prawdopodobnie była w planie, fortuna przeszłaby na niego.

Bradford pokręcił głową.

- Chyba nie wierzysz, że Richard to wszystko zaplanował, że doprowadził do tego, że wylądowała w Gwinei Równikowej, i jeszcze zorganizował jej porwanie?

- Burbank jest oportunistą, Miles. Myślę, że miał nadzieję, iż coś się przytrafi Emily podczas jej pobytu w Afryce, nawet lekko ją popchnął w odpowiednim kierunku, sugerując Gwineę Równikową. A potem, kiedy rzeczywiście stało się coś złego, skwapliwie wykorzystał okazję. Nie mam wątpliwości, że gdyby nic z tego się nie wydarzyło i Emily bezpiecznie wróciłyby do domu, doszłoby do jakiejś innej tragedii... najpierw Elizabeth, potem Emily.

- Czy ty nigdy się nie pomyliłaś?

Munroe milczała przez chwilę, a potem odrzekła: - Taa. Myliłam się. - Kolejna przerwa. - Ale nie tym rażem. Burbank jest cierpliwy, przeczekuje to; za kolejne trzy lata bez kłopotu doprowadzi do prawnego uznania Emily za zmarłą i przejmie wszystko, oczywiście pod warunkiem że ona nigdy się nie pojawi, by podważyć jego roszczenia. - Umilkła, uniosła głowę i zaczerpnęła duży łyk powietrza. - Tylko że teraz okazało się, że ten plan ma drobny feler - wyszeptwała. - My trzej wiemy, gdzie ona jest. - Pochwyciła spojrzenie Beyarda. - Do tej pory Emily była bezpieczna, ale jeśli nie znikniemy i razem z nami nie znikną informacje, które mamy... Jasna cholera - rzuciła, a potem, kiedy znaczenie jej słów dotarło do obu mężczyzn, wstała i odwróciwszy się do nich plecami, wbiła wzrok w ciemność.

- Co w takim razie teraz zrobimy? - zapytał Beyard. - Wrócimy tam, żeby ją zabrać?

Munroe nie odpowiedziała na tę propozycję nie do przyjęcia, a Beyard mówił dalej: - Myślałaś, że zostawiając ją, postępujesz słusznie. Próbowалаś ją chronić, nie wiedziałaś wtedy tego wszystkiego. Ja także nie wiedziałem.

- To, jakie były moje motywy, nie zrobi jej żadnej różnicy - odparła Munroe. - Śmierć to śmierć.

Milczenie przerwał Bradford. Z zamkniętymi oczami zaczął uderzać tyłem głowy w samochód.

- Jestem. Tak. Cholernie. Głupi - mówił, waląc głową przy każdym słowie.

Munroe spojrzała w oczy Beyardowi, a potem oboje odwrócili się w stronę Bradforda.

- Nie będę udawał, że to ma dla mnie jakiś sens - zaczął Bradford. - Nie rozumiem, dlaczego Richard miałby potrzebować pieniędzy lub się nimi przejmować, ale wiem, że Emily ma majątek powierniczy. Po śmierci Elizabeth wszystko, co odziedziczyła Emily, weszło w skład tego majątku i tak pozostanie do czasu, aż uda się ją odnaleźć. Wszystkim kieruje zarząd i to oni podpisywali чеки na akcje poszukiwawcze. To zarząd ci płaci, nie Richard - dodał, zwracając się do Munroe, i gdyby nie wiedziała swego, podejrzewałaby, że w jego oczach pojawiły się łzy. - Złożyłem pisemne oświadczenie - mówił dalej. - Richard powiedział, że poprze projekt jeszcze raz, jeśli podpiszę oświadczenie podsumowujące wszystko, czego się dowiedziałem, łącznie ze szczegółową informacją o akcie zgonu. Tak cholernie i ślepo pragnąłem odnaleźć Emily, że myślałem tylko o tym, by znowu ruszyć na poszukiwanie. Nigdy nie podejrzewałem, że on może mieć jakieś ukryte motywy. - Bradford popatrzył na zegarek. - Za pięć dni ma się odbyć posiedzenie zarządu i on zamierza pokazać im moje oświadczenie.

- Co to oznacza? - zapytał Beyard.

- Spróbuje wcisnąć członkom zarządu oświadczenie zamiast prawdziwego aktu zgonu, żeby skłonić ich do przekazania mu jej majątku - wyjaśniła Munroe, po czym powiedziała do Bradforda: - Jakie twoim zdaniem jest prawdopodobieństwo, że zarząd na to pójdzie?

Pokręcił głową.

- Nie wiem, po prostu nie wiem. Jeśli się oprzeć na ich poprzednich decyzjach i na tym, co autoryzowali, żeby ją

odnaleźć, to raczej w to wątpię.

Munroe westchnęła.

- Jeśli na to nie pójdą, to albo my znikniemy na dobre, albo Burbank będzie potrzebował fizycznego dowodu śmierci Emily. - Usiadła, objęła rękami nogi i oparła podbródek na kolanach. - Albo - podjęła przerwany wątek - zdołamy wytrącić Burbankowi broń z ręki, przedstawiając radzie dowód, że Emily żyje.

- Ale czy Emily będzie do tego czasu bezpieczna? - zapytał Bradford.

Munroe wbiła wzrok w leśną gęstwinę.

- Tego, kurwa, nie wiem, ale jaki mamy wybór? Dopóki nie rozwikłamy kwestii związku między Burbankiem a Nchamą - dopóki nie ustalimy motywów postępowania Nchamy - i nie zrozumiemy, jaką on gra rolę w tym wszystkim i dlaczego, wciąż będziemy się natykali na same pieprzone niewiadome. - Przerwała i ponownie przycisnęła dłonie do oczu. - Emily jest matką jego dzieci. Nchama chronił ją przez te wszystkie lata - to nagranie naprawdę wskazuje na to, że starał się ją chronić - więc wydaje się, że na razie powinna być bezpieczna, przynajmniej jeszcze przez kilka dni. - Munroe znów zapatrzyła się w dżunglę i jakby myśląc na głos, dodała: - Przydałby mi się teraz cholerny telefon.

- Co byś z nim zrobiła, gdybyś go miała? - zapytał Beyard.

- Zadzwońabym do Burbanka i przekazała mu fałszywą wiadomość... żeby uzyskać dla nas szansę na wygrzebanie się z tego szamba. Gdyby udało się go przekonać, że się stąd nie wydostaniemy, zyskalibyśmy także trochę czasu dla Emily.

- Mam telefon na terenie jednego z wyrębisk - poinformował ją Beyard. - Mam tam też kilka ciężarówek.

- Przepraszam cię na minutę - powiedziała Munroe do Bradforda, a następnie przeszła na francuski i zwróciła się do Beyarda: - Jeśli znajdą nas w pobliżu wyrębiska, istnieje

ryzyko, że połączą to z tobą. Zostaniesz zdemaskowany i na zawsze stracisz możliwość działania w tym kraju.

- Jeśli nas tam znajdą, to tak, to jest słuszny powód do niepokoju - odparł - chociaż to nie zdemaskowania obawiam się najbardziej. Myślę, że przeceniasz nasze szanse wydostania się z tych tarapatów. Jeśli dostęp do telefonu może coś tu zmienić na naszą korzyść, to... - Zawiesił głos. Wbił wzrok w ciemność i Munroe wiedziała, że waży w myślach prawdopodobieństwo: na jednej szali ryzyko, na drugiej nagroda; na jednej życie, na drugiej śmierć. - Jest jeszcze kwestia czasu - podjął. - Jeśli nadal będziemy poruszać się w takim tempie jak do tej pory, dotarcie do wybrzeża zajmie nam tydzień. Jeśli pojedziemy na wyrębisko i przesiądziemy się tam do ciężarówki, będziemy mogli korzystać z dróg i dotrzemy do wybrzeża w dwadzieścia cztery godziny. - A potem uśmiechnął się i dodał ze smutnym półuśmiechem: - Może to zmusi mnie do ponownego zastanowienia się nad życiem poza Afryką.

- Wyruszymy rankiem - powiedziała. - Cel naszej podróży zachowujemy w tajemnicy. Z naszym przyjacielem dzielimy się tylko tymi informacjami, które są mu potrzebne do działania... jeśli coś pójdzie źle, winne będzie któreś z nas, ty lub ja. - Beyard kiwnął głową przytakująco i wtedy Munroe powiedziała po angielsku do nich obu: - Czy między wami już zgoda? Żadnego bicia się? Żadnej krwi?

W ich zgodzie na te warunki wciąż wyczuwało się niechęć, ale już mniejszą, niż to było wcześniej. Munroe wsunęła nóż między ich kostki i przecięła taśmę najpierw Bradfordowi, a potem Beyardowi; to i tak będzie bezsenna noc.

Bradford popatrzył na zaschniętą krew i opuchliznę pod lewym okiem Beyarda.

- Przykro mi z powodu twojej twarzy - powiedział.

- Może pewnego dnia będę miał okazję odwdzińczyć się za to - odparł Beyard. A potem roześmiał się, wstał i

rozprostował nogi. Podszedł do Munroe objął ją ręką za szyję, przyciągnął do siebie i pocałował w czoło. - Posłuchaj - wyszeptał - musisz do cholery przestać celować do mnie z pistoletu i wiązać mnie.

Uśmiechnęła się do niego cierpko.

- On by cię zabił dziś w nocy. Wciąż jeszcze może spróbować. - Odwróciła się w stronę Bradforda. - Biorę na siebie odpowiedzialność za to, że ją tam zostawiliśmy. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, zdecydowałabym inaczej... zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby położyć temu kres.

Bradford skinął głową.

- Wiem.

W nocy trzymali na zmianę wartę. Munroe raz lub dwa zapadła w krótki sen, ale poza tym spędziła te kilka godzin czujna, świadoma wzajemnej niechęci tłącej się między obu mężczyznami, gotowa interweniować w razie potrzeby, i ze słuchawkami na uszach, gdyż miała nadzieję wychwycić z milczących skanerów jakąś przydatną informację.

Rozdział 21

Rio Muni, Gwinea Równikowa, region nadmorski Dzień zbliżał się już do końca i słońce wisiało nisko na niebie, dodając smugi różu do zabarwionego na żółto horyzontu. Cała okolica była szerokim kręgiem pomarańczowoczerwonej ziemi, którą różne maszyny spychały na boki, usypując w kopce, oraz pni powalonych drzew. Glebę zryły szerokie opony ogromnych maszyn, grube pniaki były ostatnią pozostałością po rosnących tu niegdyś leśnych gigantach, a bujna zieleń dżungli wyznaczała granicę terenu wyrębu. Munroe kopnęła grudę wyschniętej gliny, popatrzyła na rozległy obszar nagiej ziemi, a potem oparła się plecami o drzwi samochodu i zaczęła obserwować Beyarda, który stał niedaleko, obok naładowanej ciężarówki do przewozu drewna, i prowadził właśnie ożywioną rozmowę z kierowcą.

Żeby tu dotrzeć, jechali od samego świtu, wykorzystując zarośnięte i nieoznaczone szlaki, by przyspieszyć tempo podróży. Pokonując samochodem najróżniejsze przeszkody, pokryli się kolejną warstwą błota oraz dodali nowe siniaki do tych, które nabili sobie poprzedniego dnia.

Rozmowa dobiegła końca, Beyard odwrócił się, a kiedy do niej podszedł, Munroe powiedziała: - Zamieniają to miejsce w istne piekło.

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Bywam tu od tak dawna, że chyba się uodporniłem na ten widok.

Stali przez chwilę w milczeniu, patrząc na spustoszony krajobraz, po czym on dodał: - Będzie jeszcze gorzej. Wydano tyle koncesji, że obejmują one niemal wszystkie nadające się do wycinki lasy w kraju... jeśli sprawy będą się toczyć tak jak do tej pory, za pięć, sześć lat wszystko będzie całkowicie wyeksploatowane. Rezerwy ropy naftowej też się niebawem

skończą. Co robić? - Wzruszył ramionami. - Pieprzeni grabieżcy. - Usadowił się za kierownicą, a Munroe usiadła na fotelu obok niego. - Mamy pojechać pół kilometra w tamtą stronę i tam znajdziemy drogę - powiedział, pokazując kierunek ręką. - Powinniśmy dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

Z terenu wyrębu jechali porytą koleinami drogą gruntową na zachód i na nieoznakowanym skrzyżowaniu, widocznym jedynie jako przerwa w gęstych zaroślach, Beyard skręcił na północ.

W pewnej chwili Munroe zerknęła na tylne siedzenie, na którym przykrywszy ręką głowę, leżał Bradford, na pozór pogrążony we śnie, po czym zwróciła się do Beyarda: - Przypuszczam, że nie najgorzej tu sobie radziłeś, z tymi wszystkimi grabieżcami i całą resztą.

Rzucił jej spojrzenie, po czym znowu skupił się na drodze.

- Robię to, co robię.

- Po co zatem narkotyki, broń, związane z tym ryzyko, jeśli tak dobrze zarabiasz na legalnych interesach?

- Bo jestem w tym dobry. I daje mi to adrenalinowego kopa. - Uśmiechnął się. - I nie myśl, że to legalne zajęcie jest czymś właściwym. Dozwolonym przez prawo, tak, ale nie oszukujmy się, że jest to coś innego niż tylko łupienie kraju w celu zapelnienia prezydenckich szkatuł.

- Czy to cię obchodzi?

- Jestem realistą, Vanesso. Nie obchodzi mnie to, ale także nie okłamuję samego siebie.

Drugie miejsce wycinki drzew niewiele różniło się od pierwszego, z wyjątkiem tego, że na granicy tego chaosu postawiono wiatę chroniącą ludzi przed deszczem i prowizoryczny blaszany barak. Obok blaszaka stała sześciokołowa ciężarówka z brezentową budą. Beyard zatrzymał samochód obok niej, wysiadł na zewnątrz i walnął kilka razy w jej nadwozie.

Plandeka z tyłu rozchyliła się i ukazał się tam niski, krępy mężczyzna. Jego twarz pojaśniała w uśmiechu, po czym wyciągnął rękę, którą Beyard uchwycił i wykorzystał, by wdrapać się na górę. Munroe czekała w milczeniu, Bradford nadal leżał wyciągnięty na tylnym siedzeniu. Po kilku minutach Beyard wrócił i powiedział: - Chodźmy. Manuel ma wszystko, czego potrzebujesz.

Wnętrze ciężarówki było ciemne, wilgotne i przesycone zapachem stęchlizny oraz spróchniałego drewna. Wzdłuż obu boków stały niezasłane łóżka połowę, a na podłodze walały się resztki jedzenia i brudne naczynia. Z przodu, na drewnianym stoliku przyśrubowanym do podłogi, leżało kilka urządzeń elektronicznych. Manuel zwrócił się do Munroe w fang: - Szef powiedział, że mówisz moim językiem.

Munroe przytaknęła skinieniem głowy, a Manuel sięgnął po składany dysk anteny satelitarnej.

- Muszę ją ustawić na górze - wyjaśnił, po czym ruchem głowy wskazał jej telefon. - Szef powiedział, że możesz użyć, czego chcesz.

Munroe odczekała, aż odgłosy dochodzące z góry ucichną i odezwie się silnik ciężarówki, i kiedy włączyło się zasilanie telefonu, sięgnęła po niego, zamknęła oczy i głęboko odetchnęła. Następne pięć minut miały zmienić wszystko. Wciągnęła jeszcze jeden długi łyk powietrza, po czym wypuściła je powoli z płuc, starając się wprowadzić swój umysł w odpowiedni stan. A gdy już rozbudziła w sobie strach i przerażenie, gdy naprawdę je poczuła, wystukała numer.

Kiedy wyszła z ciężarówki w przyćmione światło wieczoru, większość ich zapasów była już na ziemi, a Beyard leżał na plecach w samochodzie, otoczony wymontowanymi częściami, i odkręcał śrubę pod tylnym siedzeniem.

- Jak poszło? - zapytał. Ponieważ leżące pomiędzy nimi części stłumiły jego głos, Munroe podeszła bliżej.

- Czas pokaże.

- I co teraz?

- Teraz poczekamy. - Umilkła i rozejrzała się dookoła. -
Gdzie jest Miles?

Beyard rzucił odkręconą śrubę na ziemię, po czym ukląkł i oderwał fałszywą podłogę samochodu.

- Poszedł się przejść.

Munroe podeszła tak blisko, że znalazła się w jego polu widzenia.

- Co to dokładnie znaczy? - Skąd mam wiedzieć! Załadował worek marynarski i powiedział, że wróci nad ranem. Chciałem mu dać krótkofalówkę, na wypadek gdybyśmy musieli wyruszyć stąd wcześniej. Odmówił i powiedział, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli tego nie weźmie.

- Czy sporządziłeś spis tego, czym dysponujemy?

Beyard pokiwał głową.

- Dwa kałasznikowy, pięćset sztuk amunicji, kilka pistoletów. On zabrał snajperkę.

- Cholera, Francisco, wintoriez był mój. - Umilkła, drapiąc się po głowie, po czym popatrzyła w stronę rosnących niedaleko drzew. A potem zrobiła pełen obrót, wiodąc wzrokiem po skraju lasu, i pokręciła głową; na jej usta wypełził uśmiech. Bradford był na warcie, zdecydowany dowieść swojej wiarygodności; przygotował się do załatwienia wojskowego konwoju, jeśli taki się pojawi. - Jest w promieniu czterystu metrów - powiedziała, a potem, odwróciwszy się plecami do lasu, wskazała głową ciężarówkę: - Czy to będzie nasz dom na dzisiejszą noc?

- Tak. Teraz wszystko załadujemy i odjedziemy stąd z samego rana. Manuel poprowadzi, więc możemy się nie pokazywać. - Podeszedł do samochodu, którym przyjechali, i kopnął oponę. - Porzucę go w lesie, daleko stąd - powiedział. - Nie chcę, żeby na moich ludzi padło jakieś podejrzenie. Wrócę za kilka godzin.

- Czy nie powinnam pojechać z tobą?

- Jeśli masz ochotę na długi, powrotny marsz - odrzekł. Potem uśmiechnął się, zahaczył zakrzywionym palcem o kołnierzyk Munroe i przyciągnął ją bliżej. - Nawet gdy tak jak teraz pokrywa cię dwudniowa warstwa brudu, nie potrafię ci się oprzeć. - Umilkł, oderwał wzrok od jej ust i skierował go na las za jej plecami. - Czy myślisz, że strzeli, jeśli cię pocałuję?

Przytuliła się do niego i musnęła jego wargi swoimi.

- Jestem pewna, że będzie go kusilo. - Uśmiechnęła się, odsunęła od niego i otworzyła drzwi samochodu. Wśliznęła się na fotel pasażera. Beyard wsiadł za nią i uruchomił silnik.

O piątej rano coś wyrwało Munroe ze snu, w który wcale nie zamierzała zapaść. Jednak to, że przez ostatnie trzy noce spała w sumie sześć godzin, dało się jej we znaki. We wnętrzu samochodu było ciemno choć oko wykol, ale z rytmu oddechu Beyarda wiedziała, że on też się obudził. Leżała na łóżku polowym ze słuchawkami na uszach i teraz, próbując oczyścić umysł z wypełniającej go mgły, zsunęła nogi na podłogę i oparła łokcie na kolanach.

- Skończyli z ciszą radiową - wyszeptwała. - Wygląda na to, że połknęli przynętę. Ściągają większość swoich ludzi z powrotem tam, skąd przybyli, gdziekolwiek to jest, i trzymają kontyngent wokół Mongomo.

- Pewnie powinniśmy ruszać w drogę - powiedział. - Spróbować dotrzeć do wybrzeża, dopóki sprzyja nam szczęście.

- A co z Milesem?

- Wie, że wyruszamy. Nie radziłbym czekać, aż zrobi się jasno.

Munroe westchnęła i znowu się położyła. Jeśli Bradford nie wróci o pierwszym brzasku, będzie musiała pójść go poszukać. Możliwość pozostawienia go za sobą przestała wchodzić w grę w chwili, gdy układanka nagle ułożyła się w logiczną całość, a ona zaczęła opracowywać plan ukarania

winnych. Leżała, drzemiąc, do czasu, aż niebo pojaśniało, przechodząc z najgłębszej czerni w granat, a o zmianie powiadomił ją wewnętrzny zegar, który przez wieloletnią praktykę zsynchronizował się z naturą - nie musiała nawet wychodzić na zewnątrz.

Leżący po drugiej stronie przejścia Beyard zrobił głęboki wdech i usiadł.

- Nie śpisz?

- Niestety.

- Musimy ruszać.

Manuel spał pod gołym niebem obok ciężarówki na rozwijanej macie i kiedy Beyard go obudził, by razem z nim poczynić przygotowania do wyjazdu, Munroe skierowała się w stronę lasu oraz jaśniejącego nieba.

- Daj mi pół godziny - powiedziała. - Sprawdzę, czy zdołam znaleźć Milesa. Naprawdę nie chcę odjechać bez niego.

Z góry dobiegł głos Bradforda: - Nie ma takiej potrzeby.

Munroe otworzyła drzwiczki szoferki, po czym wykorzystując jej podłogę jako punkt oparcia, wspięła wyżej i zobaczywszy na dachu Bradforda, rzuciła: - Cholera, Miles, od jak dawna tu jesteś?

Uśmiechnął się i nic nie powiedziawszy, usiadł, a potem zsunął się bez pośpiechu na dół, niosąc karabin snajperski w jednej ręce, a drugą ciągnąc za sobą worek marynarski. Zanim słońce wyszło nad horyzont, wyjechali z terenu wycinki jedyną drogą, która prowadziła do Mbini. Manuel został zaopatrzony w odpowiednią sumę pieniędzy na łapówki, a gdyby wszystko inne zawiodło, zamierzali wywalczyć sobie drogę ucieczki. Na razie ukryli się we troje wewnątrz okrytej brezentem budy; Munroe ze słuchawkami na uszach siedziała na jednym łóżku polowym, Beyard leżał na drugim, Bradford siedział na podłodze z karabinem snajperskim na kolanach. Z powodu upału i braku powietrza było im strasznie duszno, a

przebytą odległość mierzyli upływem czasu, wybojami, szarpnięciami i ustawicznym zmienianiem biegów.

Jechali już przez prawie dwie godziny, kiedy Munroe wyprostowała się i przyłożyła palce do słuchawek.

- Jak daleko do wybrzeża? - zapytała.

- Jakieś czterdzieści pięć minut, jeśli szczęście będzie nam sprzyjało - odpowiedział Beyard.

Wstała i sięgnęła po kamizelkę kevlarową.

- Będzie gorąco. Dostali cynk i wysłali konwój, który jedzie wzdłuż wybrzeża, z Baty do Mbini. - Wypełniła kieszenie magazynkami i rzuciła drugą kamizelkę Beyardowi. - Przykro mi, Miles, ale zabraliśmy tylko dwie... dostaliśmy je, zanim się dowiedzieliśmy, że jedziesz z nami.

Pokiwał głową i poklepał broń leżącą na jego kolanach.

- Byłem już w gorszych opałach.

Ciężarówka zaczęła zwalniać i Munroe stanęła na stoliku z przodu i nożem Beyarda wycięła dziurę w plandecie, tuż nad metalową ramą. Przed nimi był punkt kontrolny, obsadzony przez czterech obdartych żołnierzy. Przekazała to na migi Beyardowi, a kiedy samochód w końcu się zatrzymał, położyła kałasznikowa na ramie, wykorzystując ją jako podstawę, i wycelowała w zbliżającego się do Manuela dowódcę grupy.

Rozmowa dowódcy z Manuelem rozpoczęła się od żartów i przekomarzania się, ale jej ton szybko się zmienił, kiedy żołnierz zaczął sprawdzać samochód, a kierowca zaoferował pewną sumę, by go od tego odwieść. Dwóch podkomendnych dowódcy ruszyło w stronę tyłu ciężarówki i Munroe gestami poinformowała o tym swoich towarzyszy. Beyard i Bradford zmienili pozycje, przesuwając się na tył budy. Głosy dobiegające z przodu były teraz podniesione i nie ulegało wątpliwości, że swoją rolę w tym odegrały wieści z Mongomo.

Munroe zakrzywiła palce wskazujący i dotknęła nim spustu; rozwalenie patrolu drogowego nie było idealnym rozwiązaniem, ale jeśli taka miała być cena dotarcia do

wybrzeża, to trudno. Powstrzymała się, kiedy zobaczyła, że Manuel wysunął przez okno rękę z plikiem banknotów. Dowódca popatrzył na nie, zawahał się, a potem wziął pieniądze. Następnie zawołał swoich ludzi i chwilę później ciężarówka znowu ruszyła.

Munroe stała dalej na stoliku i obserwowała drogę oraz fragmenty krajobrazu, w którym pierwotny las deszczowy wycięto już przed wielu laty i teren został częściowo odzyskany przez las wtórny. Wąchając powietrze, wyczuwała sól, i dzięki temu wiedziała, że zbliżają się do celu. Przed samym miastem skręcili z drogi i bardzo uczęszczanym szlakiem pojechali na południe, w stronę plaży. Zatrzymali się na polanie, mniej więcej dwieście jardów od brzegu, na którym stało małe osiedle domów, przylegające do oceanu. Rdzawoczerwone dachy wystawały ponad zarośla, a zza domów dochodził grzmot rozbijających się na przybrzeżnych płyciznach fal. Jeśli łódź była gotowa, jak być powinno, potrzebowali tylko pięciu minut, by odpłynąć z tego miejsca.

Kiedy ciężarówka stanęła, Munroe wsunęła sobie na ramię szelkę marynarskiego worka i wyszła na światło słoneczne. Beyard okrążył ciężarówkę, zmierzając do szoferki. Poświęcił chwilę na cichą rozmowę z Manuelem, z której Munroe dosłyszała strzępy wydawanych pośpiesznie poleceń. Francisco wręczył mu następnie gruby worek, a kierowca wziął go, kiwnąwszy głową na zgodę, i zniknął zaraz w zaroślach.

Beyard wrócił i położył na dłoni Munroe transponder i kluczyk.

- Potrzebuję pięciu minut, by wymienić tablice - powiedział. Wskazał ręką ścieżkę, która biegła od terenu parkowania do domu nad brzegiem oceanu. - W środku jest dodatkowe paliwo. Poznasz łódź, kiedy ją zobaczysz. Czy możesz ją przygotować?

- Zostaw to - odparła, stając mu na drodze. - To nie jest tego warte.

-Essa, moim życiem mogę sobie grać, ale nie będę ryzykować życia moich ludzi. Muszę im kupić czas i musimy przygotować łódź... nie mogę robić obu tych rzeczy jednocześnie. - Obszedł ją szybkim krokiem i w przelocie pocałował w kark. - Ruszaj.

Stała przez sekundę, deliberując, po czym klepnęła w bok ciężarówki. - Chodźmy - powiedziała do Bradforda.

Wyciągnął ze środka to wszystko, co mógł unieść, i ruszyli razem ścieżką, którą wskazał jej Beyard.

Na brzegu leżało kilka łodzi, ale jedna z nich, obłożona farbami, wyróżniała się potężnym silnikiem przyczepnym. Munroe wrzuciła do niej swój worek i spojrzała z powrotem w kierunku ścieżki.

Zobaczyła górę brezentowej budy ciężarówki i górną część zbliżającej się do niej anteny. Weszła na dziób łodzi, żeby zyskać dodatkowe trzy stopy wysokości, i dostrzegła smugę czerni poruszającą się razem z anteną.

Czas zwolnił, jej serce przyspieszyło. Sięgnęła po najbliższą broń i w chwili, gdy zacisnęła na niej dłoń, rzuciła się biegiem w stronę ciężarówki. Każdy jej sus po piaszczystej plaży trwał strasznie, wręcz nieskończenie długo.

Za zakrętem jej oczom ukazała się polana. Wewnętrzny bęben wojenny zahuczał, a świat poszarzał. Za ciężarówką stały trzy czarne samochody, a obok ciężarówki, zasłaniając Francisca, ustawilo się dziewięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy. Francisco stał z rękami założonymi na karku, a po prawej stronie miał tego samego dowódcę, który omal nie zastrzelił Munroe tamtej nocy na łodzi. Jego pistolet był wycelowany w głowę Francisca.

Francisco odwrócił się w stronę Munroe. Ich spojrzenia się spotkały. Uśmiechnął się. I w ciągu pół sekundy, które zajęło

jej uniesienie karabinu do ramienia i wycelowanie, dowódca wystrzelił.

Głowę Munroe przeszły ciśnienie, jakieś pazury od środka rozdarły jej czaszkę. W powietrzu zabrakło tlenu. Nie mogła oddychać i oczami, które nie były jej własnymi, widziała w zwolnionym tempie, jak Francisco osuwa się na kolana, a potem pada twarzą na zakurzoną ziemię.

I wtedy świat stał się czarny.

Wszystko w niej, każdy mięsień, każdy, wykrzyczało rozkaz, żeby do niego pobiegła. Rzuciła się do przodu. Silne ręce chwyciły ją z tyłu i zatrzymały. Dłoń zakryła jej usta. Ktoś krzyczał jak człowiek palony żywcem i to surrealistyczne, straszne wycie dobiegało z wnętrza jej głowy. A potem była cisza i usłyszała słowa, uspokajające, zapewniające o opanowaniu, słowa, które padały z jej ust. I ręka, jej ręka, wyrywająca się z chwytu Bradforda, oraz druga, która sięgnęła po wyciszony karabin i uderzyła kolbą w twarz Milea, powalając go na ziemię. Po drugiej stronie ciężarówki żołnierz pochylił się nad ciałem Francisca. Patrząc przez celownik optyczny, Munroe ustawiła krzyż siatki celowniczej na jego czole, strzeliła i uskokczyła z miejsca, gdzie przed chwilą leżała, jeszcze zanim jego ciało osunęło się na zwłoki Francisca.

Dotknij go, to zginiesz.

Na polanie wybuchło zamieszanie. Rozkazy. Polecenia. Żołnierze rzucali się na ziemię i szukali schronienia, a potem zaczęli wypatrywać Strzelca. W upływających powoli sekundach chaosu Munroe wśliznęła się w zarośla, cicha, szybka, niewidoczna, ofiara, która zmieniała się w myśliwego. Dwóch kolejnych wrogów podczołgało się do ciała Francisca. Posłała im dwie kule, które przebiły kamizelki, a potem dla świętego spokoju jeszcze dwie, dobrze wymierzone.

Dotknij go, to zginiesz.

Teraz już to wiedzieli i ich dezorientacja jeszcze się pogłębiła. Munroe przyglądała się twarzom i mundurom, szukając dowódcy; znajdzie go i odbierze mu życie, tak jak on odebrał je Franciscowi; nic innego się nie liczyło.

Kątem oka dostrzegła poruszenie. W stronę miejsca, gdzie zostawiła Bradforda, pełzły cienie. Ślady. Łódź. Munroe zastygła w bezruchu. Zamiast na szukaniu dowódcy skoncentrowała się na ścieżce, potem znowu wróciła myślą do zabójcy Francisca, aż w końcu zmusiła samą siebie do podjęcia decyzji o oczyszczeniu drogi. Każdy pocisk opuszczał lufę z przytłumionym puknięciem, znajdował cel i trafiał go z niegłośnym, ale w panującej wokół ciszy niezłe słyszalnym odgłosem. Odpowiedzieli jej ogniem; kule orały ziemię całe od miejsca, gdzie leżała. Odskokczyła w głąb lasu, zatoczyła krąg, zatrzymała się na obrzeżu polany tuż za ciężarówką i znowu zaczęła wypatrywać dowódcy. Tam, zaledwie kilka jardów dalej, martwy Francisco, który patrzył na to wszystko niewidzącymi oczami, przywołał ją skinieniem ręki i świat ucichł.

Munroe zaczęła się czołgać w jego stronę, zapomniawszy o wszystkim, oprócz uśmiechu na jego twarzy i mocy jego wezwania. Od strony brzegu dobiegła seria wystrzałów i nad jej głową przeleciał grad kul, które skosiły dwóch skradających się za nią żołnierzy. Zatrzymała się tylko po to, żeby spojrzeć za siebie, a potem znowu przyłgnęła do ziemi i niczym gotująca się do skoku lwica, zaczęła pełznąć w stronę Francisca. Sięgnęła do niego i już go prawie dotknęła, kiedy w krzakach po drugiej stronie polany, na linii wzroku będącej przedłużeniem jej ręki, dostrzegła nieznaczne poruszenie. Znieruchomiała. Tam, pośród tych cieni, był dowódca tych ludzi, i on musi umrzeć.

Odczołgała się od ciała Francisca i bez pośpiechu, delektując się każdą chwilą, odcięła dowódcy drogę ucieczki, przestrzeliwując opony w każdym z czarnych samochodów. A

potem, kiedy już zabrakło jej amunicji, wyciągnęła nóż zza paska Francisca, zostawiła karabin przy jego ciele i wróciła na obrzeże polany, by tam czekać.

W ciszy adrenalina szumiała jej w uszach coraz głośniejsze i z każdą mijającą minutą rosła w niej żądza mordy. W zaroślach po drugiej stronie polany cienie przewijały się na tle cieni, aż w końcu rozpoznała je wszystkie: czterech nieprzyjaciół. Liczył się jeden i ona go dostanie.

Znowu ruszyła, by tropić ich w buszu. W pewnej chwili zamknęła oczy i zaczęła słuchać szeptów otaczających ją roślin. Zrozumiała i uśmiechnęła się. Zataczali krąg, polując na nią. Pobawi się z nimi w kotka i myszkę, wyeliminuje najpierw trzech, i załatwi zabójcę, gdy ten zostanie sam.

Ukrywanie się i polowanie w wilgotnym, tonącym w cieniach podszyciu lasu deszczowego było dla niej czymś znajomym, naturalnym. Powietrze przesycane piżmowa woń żywych istot; zmieszana z kipiącą w niej wściekłością, podsycała pragnienie uderzenia, zabijania. Miała wrażenie, że nóż, ciepły i jakby przyrośnięty do dłoni, jest przedłużeniem jej ciała. Skradała się z cierpliwością drapieżcy, robiąc co jakiś czas małe zamieszanie, ściągając ich ogień i uszczuplając zapasy amunicji, aż w końcu ich broń stała się bezużyteczna. I wtedy, jak zjawa, wyłaniała się z cieni na chwilę wystarczająco długą, by zabić, po czym znowu zniknęła.

Aż został tylko on.

Był tam, czekał; czuła na sobie jego wzrok i wyobrażała sobie jego oddech na plecach. Przemykając wśród zarośli, była głośna, nieostrożna, kusząca jako cel, i wtedy to się stało: gwałtowny atak z tyłu. Obróciła się błyskawicznie, uchylając się przed ciosem jego noża, i jednym płynnym ruchem przyłożyła mu nóż Francisca do szyi. Zmusiła go do ukłęknięcia, po czym, chwyciwszy go jedną ręką za włosy, wyrwała mu z dłoni jego nóż i wbiła w gardło. Gwałtownym szarpnięciem obróciła nóż w ranie, prowadząc go przez

ścięgnę i żyły, a kiedy chrupnięcie przecinanego kręgosłupa przeniosło się drganiem na rękajeść, wpadła w euforię. Kontynuowała swoje makabryczne dzieło, aż oddzieliła głowę zabójcy od ciała. Uniosła ją wysoko w tryumfalnym geście, wstała i zostawiając za sobą krwawy ślad, wyniosła z lasu na polanę.

Przez chwilę stała w milczeniu nad Franciskiem, podczas gdy kropelki krwi plamiły ziemię u jej stóp, a potem rzuciła się na leżące na nim ciało, kopiąc je w ślepej furii, aż przestały go bezcześcić swym dotykiem. Ukłękła nad nim, ociekając mieszaniną potu i krwi, i tak jakby składała ofiarę, położyła głowę dowódcy przed otwartymi oczami, które martwym wzrokiem patrzyły w nicość. Drżącymi palcami dotknęła czoła Francisca, przyciągnęła go bliżej, przytuliła i zamknęła mu oczy. A potem uniosła głowę ku niebu i zawyła okropnym głosem.

Był to pierwotny krzyk, bólu i wściekłości, furii i znowu bólu. Cała zadrżała, z jej oczu po raz pierwszy od niemal dziesięciu lat popłynęły łzy, i łkając bezgłośnie, wtuliła głowę w pierś Francisca.

Światło powoli rozproszyło mgłę, w której tonał jej umysł, wróciła świadomość, obudzona najpierw przez odgłos butów Bradforda, a potem przez dotyk jego ręki na ramieniu, kiedy ukląkł obok niej. Munroe uniosła głowę, by na niego popatrzeć, zobaczyła ślady masakry, które ich otaczały, i po raz pierwszy uświadomiła sobie, co właściwie zrobiła.

- Musimy iść - powiedział Bradford.

Munroe przytuliła Francisca i odparła: - Nie zostawię go.

- Razem możemy go ponieść.

Bradford popatrzył na ocean, położył rękę na sterze i odczytał współrzędne z transpondera. Minęły już trzy godziny, odkąd wypłynęli. Kończyło im się paliwo i o ile było mu wiadomo, przed sobą mieli tylko pusty ocean.

Zerknął na Munroe. Siedziała po turecku między ławkami, z Franciskiem w ramionach i wyrazem absolutnej pustki na twarzy, który nie zmienił się od czasu, gdy odbili od brzegu. Uniosła głowę na pół sekundy, napotkała jego spojrzenie, po czym wróciła do Francisca. Bradford znowu skierował wzrok na wodę, starając się odepchnąć od siebie dotkliwy ból, jaki odczuwał za każdym razem, gdy rzucił okiem w jej kierunku. Nic, co przeczytał, żadna z rozmów, które przeprowadził, zgłębiając przeszłość Munroe, nie mogło go przygotować na to, co zrobiła. Rozumiał teraz strach, jaki inni opisywali. Była brutalnie skuteczna, dokładna, nie wykonywała żadnych niepotrzebnych ruchów, nie marnowała energii i była szybka, przerażająco szybka.

Sprawdził jeszcze raz współrzędne, a potem horyzont, i zobaczywszy tam bardzo małą, czarną plamkę na tle błękitu, zrozumiał, co to znaczyło. Popatrzył znowu na Munroe, a potem na Francisca i tę resztkę, która pozostała z jego czaszki oraz mózgu, który napędzał geniusz tego człowieka. Co za strata. Co za cholerna, pieprzona strata. Ogrom oceanu przyprawiał o zawrót głowy, ale z czasem statek był coraz większy, aż w końcu zbliżyli się do niego i Bradford ustawił łódź wzdłuż jego burty. Z pokładu nad wodę wysunął się żuraw. Opuszczono liny z hakami. Munroe siedziała nieruchomo i nie dawała żadnego znaku, że zdaje sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Bradford ukląkł obok niej i dotknął jej dłoni; spojrzała na niego, a pustka, którą zobaczył w jej spojrzeniu, zaparła mu dech w piersi. I wtedy mgła w jej oczach rozproszyła się, a ona popatrzyła na burzę trawlera i wróciwszy wzrokiem do niego, pokazała palcem: - Haki należy zaczepić tutaj.

Pochyliła się nad Franciskiem i pocałowała go w czoło.

- *Gdy na mnie nastają złośliwi, by zjeść moje ciało, wtenczas oni, wrogowie moi i nieprzyjaciele, chwieją się i padają. Choćby wybuchła przeciw mnie wojna, nawet wtedy*

będę pełen ufności... - Jej głos ucichł, po czym wstała i wspięła się po drabinie zwisającej z burty statku.

Bradford, który patrzył na to ze ściśniętym gardłem, zamocował pospiesznie liny, chwycił kałasznikowa i pospieszył za nią; jego stopa dotknęła pierwszego szczebla drabiny kilka sekund po tym, gdy ona przeszła przez reling. Z głośnym furkotem silnika pokładowy dźwig zaczął podnosić łódź, ale kiedy znalazła się mniej więcej osiem stóp nad powierzchnią wody, zatrzymała się. Bradford przyspieszył, nie zważając już na to, jak stawia stopy, a kiedy dotarł do pokładu, ogarnęła go panika.

Rozdział 22

Munroe była mniej więcej piętnaście stóp przed nim i stała naprzeciw ogromnego mężczyzny, którego twarzy Bradford nie widział. Poruszała ustami i chociaż Miles nie słyszał ani słowa z tego, co mówiła, w jej oczach był ten sam szklany, pusty wyraz, jaki pojawił się w nich, kiedy ciało Francisca osunęło się na ziemię. Bradford zobaczył, że napięła mięśnie, i zrozumiał, że jeśli zaatakuje tego wielkiego faceta, będzie kolejny trup, a może i dwa. Zawołał ją po imieniu i to rzeczywiście poskutkowało, gdyż odwróciła się, skupiając powoli uwagę na nim. Bradford nie spuszczał z niej oka do chwili, gdy napięcie zelżało, po czym zwrócił się w stronę wielkiego mężczyzny, a kiedy to zrobił, przeżył szok. To samo zobaczył na twarzy tamtego.

- Cześć, George - powiedział Miles, skinąwszy głową.
- Cześć, Miles - odparł Wheal.
- Jasna cholera - powiedziała Munroe.

A potem przemówiła znowu, przy czym przejrzystość w tym potoku słów ostro kontrastowała z jej zachowaniem w ciągu ostatnich godzin.

- Bierzemy statek do Douali - poinformowała Wheala. - Potem będziesz go miał z powrotem. - Następnie, zwróciwszy się do Bradforda, dodała: - Idę do sterówki. Przypilnuj, żeby Wheal umieścił łódź w ładowni, a potem trzymaj go z dala ode mnie i od urządzeń do kierowania statkiem. Jeśli choćby drgnie w złym kierunku, zastrzel go. - Na tym skończyła i odeszła.

Obu mężczyzn dzieliło pięć stóp. Bradford stał z karabinem wciąż wymierzonym w pokład; żaden z nich się nie poruszył. Wheal patrzył przez jakiś czas na niego z taką miną, jakby był niepewny, czy Miles użyje broni i jak głębokie jest

szambo, w którym się znaleźli, aż w końcu przerwał ciszę: - Powiesz mi, co się, do diabła, dzieje?

Bradford westchnął, opuścił ramiona i wskazał głową małą łódź, która wciąż wisiała nad oceanem.

- Sam zobacz, a potem ci wszystko wytłumaczę - odparł.

Zanim Wheal zdążył wrócić do pulpitu sterowniczego dźwigu, zahuczały silniki i statek zaczął płynąć. Bradford zerknął na sterówkę i zapytał: - Czy ona wie, co robi?

Wheal skinął twierdząco głową, po czym uniósł małą łódź nad pokład, a następnie niczym trumnę w grobie złożył ją w ładowni.

Obaj mężczyźni stali obok łodzi. Wheal wpatrywał się w milczeniu w jej wnętrze, a potem z ciężkim westchnięciem odwrócił się i sięgnął po plandekę.

- Miałem złe przeczucie co do tej sprawy - powiedział, po czym rozłożył plastikową płachtę i przykrył nią Francisca. Z jego twarzy można było odczytać wszystkie szarpiące nim emocje, potem jednak stwardniała i przybrała kamienny wyraz. - Lepiej, żeby to wytłumaczenie było dobre, bo inaczej ją zabiję - zwrócił się do Bradforda.

Miles opisał wydarzenia, które doprowadziły do śmierci Beyarda i krwawej rzezi, która nastąpiła potem, a kiedy skończył, w ładowni zapadła cisza, zakłócana jedynie odgłosem ich oddechów. W końcu przerwał ją Wheal: - Zajmę się nim, zakończę jego interesy, zrobię to, co on by chciał zrobić. - Podeszedł do schodów. - Nie będę próbował przeszkodzić wam w rejsie do Douali... to najpewniejszy sposób, żeby się was pozbyć z mojego statku. Ale wciąż uważam, że to ona jest za wszystko odpowiedzialna.

Bradford przecesał brudną dłonią włosy i odparł: - George, cokolwiek dzieje się teraz w twojej głowie, nie zaczepiaj jej. Jest wielce prawdopodobne, że skończyłoby się to bardzo źle dla was obojga.

Odwrócony do niego tyłem Wheal zbył to ostrzeżenie machnięciem ręki, które mogło być pokazaniem środkowego palca, i kiedy zaczął wchodzić na górę, Bradford także ruszył w kierunku schodów. Musiał znaleźć Munroe, dowiedzieć się, co z nią jest nie tak, i pomóc jej się pozbierać, a przede wszystkim musiał trzymać z dala od niej Wheala. Co za pieprzony koszmar. Skierował się do sterówki, a kiedy do niej wszedł, Wheal już tam był, ale nie było Munroe.

- Gdzie ona jest? - zapytał Bradford.

- A cholera ją wie. Jeśli mamy szczęście, wyskoczyła za burłę.

Bradford opuścił sterówkę, niemal zbiegł po schodach na pokład, zatrzymał się na chwilę, by się upewnić, że Munroe na nim nie ma, po czym znalazł drzwi prowadzące do wnętrza statku. Otworzył je cicho, zawołał jej imię, ale nie usłyszał odpowiedzi. Poszedł ciemnym, wąskim korytarzem, otwierając po drodze drzwi i włączając światła w kolejnych kajutach. Przechodził szybko od jednej do drugiej, aż znalazł włącznik światła na korytarzu, trzasnął go pięścią i kiedy ciemność znikła, zamarł na pół sekundy.

Leżała na podłodze blisko końcu korytarza, częściowo za progiem jednej z kajut. Bradford ze ściśniętym gardłem rzucił się ku niej, ale miał wrażenie, że porusza się jak ktoś biegnący w głębokiej wodzie. Ukląkł obok niej, sprawdził oddech i puls; a potem uniósł wzrok, by obejrzeć samą kajutę, i wyszeptał: - O, cholera.

To miejsce wręcz tchnęło Franciskiem Beyardem. Jego osobowość odcisnęła tak widoczne piętno na kajucie, jakby złożył własnoręczny podpis na ścianie. Cokolwiek skłoniło Munroe do wejścia do środka, nie było wystarczająco silne, by ją podtrzymać. Sądząc po śladach, zanim zemdląca, najpierw zwiymiotowała.

Popatrzył na warstwę zaschniętej krwi i błota, a teraz i wymiocin, pokrywającą jej skórę, głęboko westchnął, wstał i

przeszedł się po kajutach, szukając jakiegoś ubrania, które by na nią pasowało, czegoś, co nie należało do Francisca. A potem zaniósł ją do małej łazienki na korytarzu i z pełną czci czułością obmył gąbką.

Kajuta na trawlerze. Munroe poznała to po kołysaniu statku na spokojnej wodzie oraz stęchliźnie w powietrzu. Powieki ciążyły jej ogromnie i musiała walczyć z własną słabością, żeby je otworzyć, a potem, kiedy nic nie zobaczyła, zamknęła je znowu, całkowicie wyczerpana. Leżała płasko na plecach z rękami ułożonymi po bokach i lekko uniesioną głową. Pamięć wracała obrazami rozbłyskującymi w ciemnej pustce jej umysłu: makabryczny widok jej odbicia w oknach sterówki; wędrówka korytarzem do kajuty Francisca, gdzie chciała wziąć prysznic; szachownica, niezasłana koja, jego zapach; gwałtowne mdłości, a potem ciemność.

Minął jakiś czas. Może godzina. Albo dzień. Albo tydzień. Chciała wesprzeć się jedną ręką o ścianę, a drugą o brzeg łóżka, i usiąść, ale zabrakło jej sił i z powrotem zapadła się w pustkę.

Kiedy znowu otworzyła oczy, paliło się światło, a właściwie mała lampka nocna, przykręcona do ściany naprzeciwko. Leżała w kabinie, której nie знаła - nie była to kajuta Francisca ani ta, która służyła mu do przetrzymywania nieproszonych gości - a jej ubranie było czyste, też obce, i wolne od zapachu śmierci. Przewróciła się na bok, żeby zbadać wzrokiem wnętrze.

Świadomość wracała małymi falami, a wraz z nią napięcie, mdłości. W jej klatce piersiowej pojawiło się też żelazne imadło, które miażdżyło każdą sekundę i zamieniało życie w koszmar na jawie. W ściennej wnęce nad jej głową stała butelka z wodą; usiadła, sięgnęła po nią i opróżniła kilkoma długimi łykami, a potem oparła przedramiona na kolanach.

Z korytarza dobiegł odgłos kroków, potem otworzyły się drzwi i do środka wszedł George Wheal, niosąc tacę z

jedzeniem. Położył ją na wąskim stoliku między kojami, skinął lekko Munroe głową i usiadł naprzeciwko, tak że ich nogi prawie się stykały.

- Jesteśmy w Douali - powiedział. - Pewnie będziesz chciała jak najszybciej ruszyć w drogę.

Munroe odsunęła się, oparła plecami o ścianę, podciągnęła kolana do piersi i popatrzyła w milczeniu na tacę.

- Posłuchaj - mówił dalej - jeśli to coś warte, to nigdy nie widziałem Francisca tak szczęśliwego jak w czasie, który tu spędziłaś. Jeśli czegoś mogę być pewny, to tego, że umarł zadowolony, pogodzony z losem. - Wheal przerwał, jakby obliczając wagę swoich słów, i wstał. - Nic to nie zmienia między tobą i mną, ale musiałem ci o tym powiedzieć. Byłem to winny Franciscowi. Kochał cię i wiem, że chciałby tego. - Otworzył drzwi, obejrzał się i patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, po czym wyszedł.

W kajucie zrobiło się cicho, a potem klaustrofobicznie, i żeby zachować zdrowe zmysły, Munroe sięgnęła po buty stojące u stóp koi, włożyła je i zasznurowała. Wstała z trudem; zrobiło jej się ciemno w oczach, ale zdażyła się w duchu przygotować na pierwszą falę mdłości. Potem odwróciła się i opierając się o ścianę, zdołała jakoś krok za krokiem wyjść na korytarz. Przeszła zaledwie kilka stóp, kiedy Bradford znalazł się przy niej i objąwszy ramieniem, pomógł iść dalej.

Munroe poruszała się jak otumaniona, jednocześnie świadoma i nieświadoma tego, co się dzieje, obecna ciałem, ale duchem przebywająca zupełnie gdzie indziej. Dźwięki, widoki i zapachy przenikały do jej umysłu jakby przez warstwę gazy, podczas gdy Bradford ją prowadził i zajmował się całą resztą. Wjechali do Douali od południowego skraju portu, gdzie czekał kierowca Francisca, żeby zabrać ich do miasta. Na polecenie Bradforda ominął szerokim łukiem mieszkanie Francisca i zawiózł ich do Akwa Palace,

prawdziwego klejnotu pośród miejskich hoteli, miejsca, w którym człowiek mógł niemal zapomnieć, w jakiej części świata się znalazł.

Przy drzwiach pokoju hotelowego Munroe nagle odzyskała pełną świadomość i dotarło do niej, że Bradford najwyraźniej zamierza dzielić z nią ten pokój. Zatrzymała się przy wejściu i oparła się o ścianę, podczas gdy Miles wszedł do środka i położył swoje rzeczy na jednym z krzeseł. Następnie odwrócił się i spojrzał tam, gdzie ona wciąż stała.

- Zostaję z tobą, czy ci się to podoba czy nie - oznajmił.

Skinęła głową i ruszyła w stronę najbliższego łóżka. Z nogami wciąż na podłodze położyła się na poduszkach. Odwrócona plecami do Bradforda, wyszeptała: - Musimy kupić bilety na wyjazd stąd, musimy się dostać do Houston.

- Zajmę się tym jutro.

Objęła ręką poduszkę i przytuliła ją do piersi.

- Boisz się zostawić mnie samą?

Podszedł do łóżka, usiadł obok niej i pochylił się tak nisko, że mógł zobaczyć jej policzek.

- Bardzo.

Długa cisza wypełniła przestrzeń, aż w końcu Munroe się odezwała: - Odtwarzam to sobie w głowie raz za razem, ale obojętnie jak na to popatrzę, nie widzę niczego, co mogłam zrobić, żeby go ocalić.

- Wiem - odrzekł i musnął palcem jej czoło.

- Wcale mi przez to nie jest lżej - wyszeptała. - Powinno, ale jakoś nie jest. - Ścisnęła poduszkę jeszcze mocniej i przyciągnęła kolana do piersi. Po jej policzkach popłynęły łzy. Bradford położył się za nią, objął ją ramionami i przytulił.

Łzy popłynęły szybciej, ciałem Munroe zaczęło wstrząsać ciche łkanie i trwało to do czasu, aż cienie w pokoju pogłębiły się, na dworze zapadła cisza wieczoru i nic już nie było do wyłakania. A kiedy łzy obeschły i w sercu czuła już tylko

pustkę, powiedziała: - Wiesz, jesteś pierwszym człowiekiem, który przeżył to, co potrafią zrobić moje demony.

Wciąż obejmując ją rękami, wyszeptał: - Nie stało się tak bez powodu.

- Nie o to mi chodziło - odparła.

- To nie był pierwszy raz?

- Nie.

- Blizny?

Skinęła głową prawie niedostrzegalnie i powiedziała: - Brakujące lata. Chciałeś się o tym dowiedzieć, prawda?

-Tak.

- Zaslługujesz na to, żeby wiedzieć - rzekła i przechyliła głowę, żeby posłać mu bolesny, zmęczony uśmiech. - To wiąże się z Franciskiem. Poznałam go, kiedy miałam czternaście lat.

Było już zupełnie ciemno, kiedy skończyła spowiedź obejmującą dziewięć lat sekretów, a także szczegóły, których nawet Logan nie znał. Przez długi czas leżeli potem na plecach, patrząc w milczeniu w sufit, aż w końcu Bradford odwrócił głowę w jej stronę i powiedział: - To zaskakujące, że jesteś wciąż przy zdrowych zmysłach.

-Jestem? - Westchnęła. - Są dni, miesiące, czasem nawet lata, kiedy czuję pewność, że udało mi się osiągnąć stan pewnej normalności, kiedy mogę popatrzeć na swoje odbicie w lustrze i naprawdę uwierzyć, że w jakimś stopniu jestem ta ka jak „oni” - ci wszyscy ludzie tam, którzy wiedli normalne życie i nie mają najmniejszego pojęcia, co ciemna strona ludzkiej natury może uczynić z twoim umysłem. Ale są też takie dni jak dzisiejszy i wczorajszy, kiedy staje się oczywiste, że demony wciąż tam są, czekają w cieniu, drwią ze mnie. - Odwróciła się twarzą do niego. - Dziękuję ci. Za uratowanie mi życia w Mbini, za wydostanie mnie stamtąd, za dowiezienie tutaj.

A potem, nie czekając na odpowiedź, przestała opierać się zmęczeniu i runęła w ciemną otchłań snu.

Obudziły ją promienie słońca, które przeświecały przezienne zasłony. Bradford gdzieś wyszedł, a ona była jakby odrętwiała. W jej głowie nie było słyhać żadnych słów, zdań ani głosów, opuściło ją napięcie i obawy, pozostał spokój i uczucie pogodzenia się z losem; dziwne i obce.

Leżała na łóżku z rękami pod głową i wdychała głęboko każdą mijającą chwilę spokoju, nieświadoma upływu czasu, dopóki Bradford nie otworzył drzwi. Wszedł do środka po cichu i zobaczywszy, że ona już nie śpi, podszedł prosto do niej.

Usiadł na łóżku.

- Dobrze się czujesz?

- Taa - odparła i przeciągnęła się z uśmiechem. - Zaskakująco dobrze. Jak długo spałam?

- Około siedemnastu godzin. Nie chciałem cię zostawić samej, ale musiałem iść po bilety, bo nie możemy czekać kolejnego dnia. - Położył dokumenty na łóżku. - Lot dziś wieczorem o dziewiątej.

- Muszę się skontaktować z Loganem.

Skinął głową.

- Centrum biznesowe będzie otwarte jeszcze przez kilka godzin. Najpierw musisz coś zjeść.

To było dziwne, rozmawianie, porozumiewanie się, jedzenie, wykonywanie tych wszystkich czynności, które składają się na codzienne życie, bez uczucia niepokoju, bez mentalnego szumu. Zachowała spokój i opanowanie przez cały czas, kiedy usiłowała się dodzwonić do Logana, aż do chwili, gdy po niemal dwóch godzinach poddała się i zadzwoniła do Kate Breeden.

Rozmowa była krótka, gdyż Munroe nie miała ochoty mówić o zadaniu i wydarzeniach ostatnich kilku dni, a Kate, która także próbowała skontaktować się z Loganem, nie miała pojęcia, gdzie on jest. Munroe chciała mieć w Houston motocykl - do tego potrzebowała Logana - i jedyne, co mogła w

tej sytuacji zrobić, to przekazać Kate informacje o dacie i godzinie swojego przylotu i liczyć na to, że wiadomość w końcu do niego dotrze.

Większość ludzi próbujących odnaleźć Logana mogłaby mieć kłopot z dodzwonieniem się do niego, ale numer, którego użyła Munroe, był znany tylko nielicznym. Logan zawsze miał ten telefon przy sobie i niemal zawsze go odbierał. Jednak zdarzyło mu się już kilka razy zniknąć na jakiś czas - każdy z tych wypadków był swojego rodzaju koszmarem - i dlatego Munroe westchnęła w duchu, sięgnęła po bilety, a kiedy się zorientowała, że Bradford wziął je, wychodząc, obiecała Kate wysłać informacje email'em.

I to tam, w elektronicznej skrzynce pocztowej, czekał ostatni, wręcz niewiarygodny kawałek układanki, który zmieniał teraźniejszość i nadawał odpowiedni kontekst oraz sens wszystkim wydarzeniom, które nastąpiły od dnia, kiedy Munroe przyjęła zlecenie. Patrzyła teraz na stronę, mrugając, a informacje wirowały w jej głowie niczym bawełniana tkanina w suszarce: wspomnienia, rozmowy, świadomość i zrozumienie. Przewinęła tekst i jeszcze raz przeczytała: Do: *MichaelC&race-or-die.com* Od: *Lomn(a)r&race-or-die.com*

*Temat: Myślę, że powinnaś to zobaczyć
Michael,*

nie mam innego sposobu skontaktowania się z Tobą poza e-mailem. Fotografie mówią same za siebie, chociaż nie jestem całkowicie pewny, co oznaczają.

Istnieje możliwość, że już o tym wiesz; ja nie wiedziałem.

Powód, dla którego przesyłam Ci to w załączniku: Mimo twoich instrukcji Kate odmówiła mi przekazania funduszy, dopóki nie dostarczę jej pełnej listy inwentaryzacyjnej. W swoich żądaniach przekroczyła granice dziwnego zachowania, posuwając się do zastraszania, a potem gróźb podjęcia wobec mnie działań prawnych, co jak wiem, nie miało z Tobą nic wspólnego, chociaż posługiwała się Twoim nazwiskiem. Z tych

i innych powodów, o których nie warto teraz wspominać, zacząłem ją obserwować.

Jeśli będziesz chciała się ze mną skontaktować, mam nowy numer... zobacz niżej.

Munroe przejrzała kolejno załączone fotografie Kate Breeden i Richarda Burbanka, niepozostawiające żadnych wątpliwości, że ich związek wykraczał daleko poza ogólnie przyjęte ramy relacji między adwokatem i klientem. Był taki moment, kiedy wściekłość i przeszywający ból po zdradzie wzięły górę nad innymi uczuciami i wydawało się, że jej nowo odkryty spokój rozwieje się w eterze. Ale nie było głosów. Nie czuła lęku, nie słyszała wewnętrznych bębnow, był tylko zwykły, kontrolowany gniew i świadomość, że ma coś do zrobienia. Wystukała numer i usłyszawszy głos Logana, odetchnęła z ulgą, która najwyraźniej dorównywała temu, co poczuł on.

- Dostałaś mój e-mail? - zapytał.

- Dostałam i potrzebuję twojej pomocy - odparła. - Przygotowuję zakończenie tej sprawy i jeszcze przez jakiś czas nie wrócę do Stanów. Jest możliwe, że jeśli nie pojawię się w Houston, kiedy Kate się tego spodziewa, ona ucieknie. Muszę przez cały czas wiedzieć, gdzie ona jest. Czy możesz to załatwić?

- Już się tym zająłem.

- A co z Richardem Burbankiem?

- Nim też się zająłem.

- To ci się opłaci, Logan. Jestem twoją wielką dłużniczką.

- Michael, co się, do diabła, dzieje?

Munroe westchnęła.

- Wystawiła mnie.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza, przzerwana gradem przekleństw, a kiedy te się skończyły, Munroe wyjaśniła: - Burbank wykorzystał mnie jako narzędzie, a Kate przekazywała mu informacje, dzięki którym było to możliwe.

Nigdzie nie wyjeżdżaj. Jest kilka spraw, które muszę załatwić, ale zobaczę się z tobą za mniej więcej tydzień.

- Jaki masz plan? Co zrobisz z Kate?

- Uwierz mi - odrzekła - naprawdę nie chciałbyś tego wiedzieć.

Kiedy Munroe wyszła z hotelu, Bradford czekał na nią z taksówką. Całą drogę na lotnisko przejechali w milczeniu, a kiedy przeszli już odprawę i stali w terminalu, czekając na chwilę, gdy wsiądą na pokład samolotu, Bradford się odezwał:

- Coś się dzieje i chciałbym wiedzieć co.

Munroe oparła głowę o ścianę, popatrzyła na sufit i wypuściła powoli powietrze z płuc.

- Instynkt mówi mi, żeby z tobą o tym nie rozmawiać - odpowiedziała, po czym przerwała i odwróciła się ku niemu. - Nie zdradzę ci wszystkiego, ale zasługujesz przynajmniej na to, by mieć ogólne pojęcie o tym, co się stało.

- Przyjmę to, co mogę dostać.

- Wiem już, gdzie jest przeciek. To mnie głęboko rani i jest bardzo osobiste, i muszę się z tym uporać sama, na moich warunkach, moim sposobem. - Przerwała. Westchnęła. - Mamy dwa dni, by dotrzeć do Houston i przekazać informacje radzie. - Odwróciła się, by na niego popatrzeć. - To przypadnie tobie, Miles. Ja nie wrócę z tobą, nie pojadę do Stanów, dopóki tego nie uporządkuję... w Paryżu się pożegnamy.

Bradford uderzył kilka razy piętą buta w betonową podłogę, wypełniając ciszę głuchymi odgłosami, a potem kucnął przy ścianie, patrząc pustym wzrokiem przed siebie.

- Nie jestem dość głupi, by spróbować stanąć ci na drodze - odezwał się w końcu. - Nawet jeśli czuję, że powinienem to zrobić. - Spojrzał w górę. - Właśnie przeżyłem z tobą dwa dni piekła, Michael. Stwierdzenie, że się o ciebie martwię, byłoby grubym niedopowiedzeniem. Nie planujesz skoczyć bez spadochronu z Salto del Angel, co?

Munroe pokręciła głową, a potem uśmiechnęła się słabo.

- Nic mi nie jest, Miles. Naprawdę. Za mniej więcej dwa tygodnie będę z powrotem w Dallas... obiecuję, że cię odwiedzę. Jestem ci to winna. - Wpatrywała się w niego wystarczająco długo, by nadać wiarygodność tej obietnicy, po czym też osunęła się na podłogę i usiadła obok.

Nie okłamała go, ale też nie powiedziała wszystkiego, pomijając tę część planu, która przewidywała, że pojedzie za nim do Houston i z zimną krwią zabije człowieka.

Rozdział 23

Paryż

Z postawionym kołnierzem i rękami w kieszeniach długiego do kostek płaszcza, który kupiła na lotnisku od wylatującego pasażera, Munroe szła szybko ulicami miasta. Nawet w słońcu różnica między równikowym letnim wieczorem a łagodnym zimowym porankiem w Paryżu wynosiła mniej więcej trzydzieści stopni, i powrót do ciepła oraz wygody pokoju, który wynajęła w Park Hyatt, przyjęłaby z prawdziwą ulgą.

Zmierzała w kierunku placu Pigalle, szycownej dzielnicy rozrywki, słynącej z Moulin Rouge, sex shopów i lokali ze striptizem, której uliczki i alejki znano też z tego, że oferowały dużo więcej atrakcji. Do działania popychały Munroe siły, które należały tylko do niej; nie było żadnych głosów, lęków, a demony milczały. Jej zmysły całkowicie opanowała żądza zemsty i w pewnej chwili, nie mogąc już wytrzymać napięcia, przystanęła i oparłszy się nogą o ścianę domu, zaczęła się przyglądać przechodniom.

Tak głęboka koncentracja uwagi na planowanym morderstwie powinna być niepokojąca, ale nie czuła żadnych wyrzutów sumienia.

Ta nieprzenikniona, napierająca na nią ciemność, którą tak długo powstrzymywała z każdym pełnym łęku oddechem, znikła. Tutaj było światło i wolność. Była też całkowita kontrola, siła i spokój. I spowita w to całe dobro była jeszcze świadomość, że w końcu stała się monstrum stworzonym przez Pietera Willema. Jego drwiący śmiech dobiegł do niej zza grobu, ale zignorowała to jak niewygodną refleksję; w końcu, po tylu latach, zwyciężył, ale jej to już wcale nie obchodziło. Wepchnęła ręce głębiej w kieszenie płaszcza i ruszyła chodnikiem w dalszą drogę. Jej wzrok śledził przypadkowe

twarze w tłumie przechodniów, a umysł był zaprzątnięty analizowaniem tego, co widziała. Doszła do rue Saint-Denis i zauważyła w drzwiach oparte o obmurowanie, jakby nieświadome spojrzeń potencjalnych klientów, ciało z twarzą odpowiadającą temu, czego szukała. Był siedemnasto-, osiemnastolatkiem - męską prostytutką, narkomanem, dzieckiem ulicy. Idealnym alibi.

Przeszła na ukos przez ulicę i nawiązała kontakt wzrokowy; chłopiec wyprostował się, gdy się do niego zbliżyła, oceniając ją z wyrazem zainteresowania w oczach. Była tak blisko, że mogła wciągnąć w płuca jego zapach i pozwolić innym narządom zmysłów potwierdzić to, co oczy już wiedziały. Właściwy wzrost, właściwa budowa, ładne rysy twarzy. Włosy trzeba będzie pofarbować i skrócić, ale poza tym się nada.

- Chcę cię na tydzień - zaczęła. - Z kim mam porozmawiać?

Zdjęcie chłopaka z ulicy wiązało się z koniecznością przeprowadzenia negocjacji z jakimiś oprychami. Podążyła za nim boczną uliczką, a potem w górę po wąskich schodach kamienicy czynszowej, ściskając przez cały czas rękojeść broni, którą przywiozła z Kamerunu. W nędznym pokoju, w którym się znalazła, były potem momenty wielkiego napięcia, kiedy pieniądze przechodziły z rąk do rąk, chciwość brała górę nad rozsądkiem i walka zdawała się nieunikniona, ale w końcu nie musiała się uciekać do gróźb ani przemocy i wyszła na zewnątrz z chłopcem podążającym za nią z pewną rezerwą, ale i bez oporu.

Doszła tak aż do końca ulicy, gdzie stanęła i obróciła się. Chwyciwszy go za nadgarstek, przyciągnęła bliżej, podciągnęła mu mankiety i zaczęła szukać śladów igieł oraz siniaków. Nie znalazłszy niczego, przyłożyła mu kciuk do podbródka i przechyliwszy głowę, obejrzała jego skórę.

- Co bierzesz? - zapytała.

- Nie używam narkotyków.

- Nie mam, kurwa, czasu - warknęła. - To nie heroina, nie amfa. Co to jest? Krak? Koka? Leki na receptę?

Wymamrotał potwierdzenie.

- Masz dilerą?

Kiedy skinął głową, rzuciła mu telefon.

- Zadzwoń do niego. Chłopiec miał na imię Alain, a jego nazwiska Munroe nie dosłyszała, zresztą wcale nie starała się go usłyszeć, nie było jej potrzebne. Był oddychającym i dobrze funkcjonującym młodym mężczyzną, którego nikomu nie będzie brakować; tylko to się liczyło, a ona wróci i zakończy tę sprawę na długo przed upływem tygodnia.

Zapłaciła alfonsom chłopaka dla spokoju jego ducha, nie swojego. Chciała, żeby się nie bał, czuł się swobodnie i chętnie wykonywał polecenia. A były one proste: ma siedzieć w Park Hyatt i nabijać jak największe rachunki - za obsługę pokojową, zakupowe szaleństwa w Internecie i wszystko, co tylko przyjdzie mu do głowy - tyle że przez tydzień nie będzie przyjmował żadnych gości i nie wystawi nogi za próg hotelu. Jeśli nie zrobi czegoś niezgodnego z tymi warunkami, personel recepcji - przekonany, że są to dokumenty biznesowe - będzie każdego dnia dostarczał mu narkotyki, przy czym instrukcje, które Munroe zostawiła personelowi, były o wiele bardziej szczegółowe i jasne niż te, które otrzymał Alain.

Kiedy opuściła hotel, chłopak mocno spał. Zadbała o to, by tak było jeszcze przez kilka godzin, które zamierzała spędzić w mieście, zostawiając ostatnie ślady swojego pobytu w nim. Zdeponowała w skrytce bankowej paszport, prawo jazdy, karty kredytowe i wyszła na ulicę, mając przy sobie jedynie fałszywy paszport hiszpański na nazwisko Miguel Díaz i dwadzieścia tysięcy dolarów.

Kupiła laptop, wypaliła na płytach DVD kilka kopii nagrania Emily i wysłała dwie Loganowi na przechowanie. Wstąpiła też do specjalistycznego sklepu z elektroniką, by

zakupić rzeczy trudniejsze do znalezienia, a potem, po przeprowadzeniu rozmowy telefonicznej, w której uzyskała ostatnie informacje o miejscach pobytu Kate Breeden oraz Richarda Burbanka, pojechała na lotnisko, gdzie czekał już samolot czarterowy, by zabrać ją do Londynu. Stamtąd zamierzała polecieć do Kanady, przekroczyć granicę ze Stanami pieszo, a następnie pojechać do Bostonu, skąd następny samolot czarterowy miał ją zabrać do Houston.

Podróż spędziła, ślęcząc nad dokumentami, które wydobyła z przepastnych zasobów Internetu. Wszystko, co wiedziała o zleceniu Burbanka, przeszło przez Kate Breeden, a ponieważ informacje były tak dobre, jak dobre było ich źródło, stały się teraz podejrzane. Munroe czytała i robiła notatki, przerywając pracę jedynie na czas lądowań, startów i zmiany środków transportu. Czas spędzony na ziemi pozwolił jej podążać pewnymi tropami i ściągnąć dodatkowe pliki, tak że kiedy koła ostatniego samolotu dotknęły asfaltu w Houston, wiedziała już dokładnie, dlaczego Emily Burbank miała umrzeć.

Po tej osiemnastogodzinnej podróży Munroe dotarła na miejsce zaledwie pół dnia po Milesie Bradfordzie i mniej niż dziesięć godzin przed zaplanowanym posiedzeniem zarządu majątku powierniczego. Czasu było niewiele, ale Munroe liczyła na to, że chciwość Burbanka i obłuda Kate każą im czekać aż do posiedzenia.

Z lotniska Munroe pojechała taksówką najpierw do sklepu zoologicznego, a potem do hotelu Alden w centrum, gdzie po wyrażeniu takiego życzenia w recepcji, dostała pokój sąsiadujący z pokojem Breeden. Kate mieszkała w nim od poprzedniego dnia i chociaż dzięki wcześniejszemu telefonowi do recepcji Munroe upewniła się, że była przyjaciółka jeszcze się nie wyprowadziła, nie dowiedziała się, gdzie aktualnie jest. W niszy hotelowego holu zmieniła rękawiczki ze skórzanych na lateksowe, wybrała numer pokoju Breeden, pozwoliła

telefonowi kilka razy zadzwonić, i nie uzyskawszy odpowiedzi, pojechała windą na górę.

W ciemnym wnętrzu własnego pokoju wyjęła z drzwi wizjer, zastąpiła go połączoną z laptopem kamerą, a potem dla ułatwienia sobie wyjścia wcisnęła i zakleiła taśmą język zamka. Po przeprowadzeniu tych przygotowań położyła się obok drzwi z laptopem u boku i kiedy dotknęła głową podłogi, zmęczenie przypomniało o sobie. Od jak dawna nie spała? Od trzydziestu dwóch godzin, trzydziestu siedmiu?

Przez dwie godziny otępiającej ciszy Munroe walczyła ze zmęczeniem, by zachować czujność, i teraz, o drugiej w nocy, wciąż nie było nawet śladu Breeden. Na podstawie zdjęć z obserwacji, które dostała od Logana, Munroe doszła do przekonania, że Burbank nie będzie chciał, żeby Kate została u niego na noc, mimo to wybranie hotelu było zagranie ryzykownym, które mogło nie przynieść żadnego innego rezultatu poza zmarnowaniem doskonałej okazji. Munroe prowadziła właśnie wewnętrzną debatę w sprawie tego, czy powinna w tej wyjątkowej sytuacji zadzwonić do Logana po najnowsze wiadomości, kiedy zaalarmował ją cichy odgłos kroków, a kilka sekund później ekran laptopa wypełnił profil Kate. Adrenalina w jednej chwili wyparła zmęczenie. Munroe wyskoczyła na korytarz, i stanęła za Breeden z bronią przyciśniętą do jej kręgosłupa, jeszcze zanim kobieta zdążyła otworzyć drzwi do swojego pokoju.

- Cześć, Kate - powiedziała.

Breeden podskoczyła lekko, przycisnęła rękę do piersi, rzuciła: - Michael, napędziłaś mi stracha - i zaczęła się szarpać z klamką.

Munroe otworzyła drzwi, wepchnęła Kate do środka, wskazała jej łóżko i rozkazała: - Siadaj.

Breeden nie poruszyła się. Wolno i z wahaniem odparła: - Nie. - A potem z nerwowym śmiechem zapytała: - No i co zrobisz? Zabijesz mnie?

Munroe uderzyła ją grzbietem dłoni w twarz - siła ciosu rzuciła Breeden na łóżko. Popatrzyła w górę zszokowana, a potem niespiesznie otarła strużkę krwi, która popłynęła jej z kącika ust. Munroe przycisnęła lufę pistoletu do jej czoła i odpowiedziała: - Tak. Zabiję cię. A ty powinnaś sama siebie zapytać, jak wiele bólu zechcesz znieść przed śmiercią, bo ja z pewnością jestem ci go w stanie zadać.

Cofnęła się o krok i rzuciła Breeden rolkę taśmy samoprzylepnej.

- Dookoła kostek - rzuciła, a kiedy Kate skończyła, pchnęła ją do tyłu, zmuszając do położenia się na plecach. Wykorzystując tę samą taśmę, Munroe przymocowała jej nogi do ramy łóżka, po czym odsunęła się i ostrzegła: - Spróbuj tylko, kurwa, dotknąć taśmy, a wsadzę ci kulę w rzepkę.

Breeden usiadła, objęła rękami kolana, a po jej twarzy spłynęła łza.

- Dlaczego to robisz? - zapytała. - Czego chcesz ode mnie?

Munroe zignorowała pytanie i podniósłszy z podłogi torebkę Kate, wyjęła z niej pęk kluczy.

- Który z nich jest do domu Richarda Burbanka?

Na twarzy Kate pojawił się wyraz skrzywdzonej niewinności.

- Skąd przyszło ci do głowy, że ja mam jego klucze?

Munroe rzuciła kopertę na łóżko i obserwowała jej reakcje, kiedy Breeden przeglądała zdjęcia. Kate początkowo trzymała je lekko w palcach, przewracając nonszalancko, a potem to się stało: kciuk przycisnął zdjęcie, nastąpiła chwila wahania, powtórzyło się to przy drugim, trzecim, aż w końcu maska spokoju spadła z jej twarzy i odmalował się na niej prawdziwy ból. Munroe wzięła fotografie i włożyła je z powrotem do koperty.

- Michael - wyjąkała Breeden - to nie jest tak, jak wygląda... te fotografie. To nie to, co myślisz.

- Nie ma znaczenia, co ja myślę - odparowała Munroe. - Liczy się tylko to, co jest. Sprzedałaś mnie, Kate. Sprzedałaś mnie człowiekowi, którego bardziej obchodziły jego włoskie garnitury niż żona i córka.

Twarz Breeden zachmurzyła się.

- Co? - zapytała, a Munroe uniosła klucze i zabręczała nimi.

- Oszczędzisz mi... ile? Minutę? Dwie minuty? Który z nich to klucz do jego domu?

- Ta kwadratowa, brązowa karta - wyszeptała Breeden.

Munroe zaśmiała się głośno i zimno.

- Mam nadzieję, że zdrada była tego warta. - Chwyliła lewy nadgarstek Kate, która zaczęła się szarpać, ale Munroe uderzyła ją jeszcze raz, po czym przycisnęła jej lewą rękę do materaca, owinęła ją taśmą i przymocowała do bocznej części ramy łóżka. Potem powtórzyła to samo z prawą ręką, tak że Breeden leżała z rozłożonymi ramionami, jakby ukrzyżowana.

- No więc, dlaczego to zrobiłaś, Kate? - zapytała.

- To nie ma znaczenia - odparła Breeden.

Munroe doczepiła trzy smycze do obroży zaciskowej. Jedną z nich owinęła i zawiązała dookoła stóp dawnej przyjaciółki, dwie pozostałe wykorzystała, by zrobić to samo z jej nadgarstkami, następnie przeciągnęła je pod łóżkiem, sprawdziła, czy są dobrze naciągnięte, i założyła obrozę na szyję Breeden.

Przestraszona Kate otworzyła szerzej oczy, a Munroe po wiedziała: - Jeszcze cię teraz nie zabiję.

Małym scyzorykiem porozcinała taśmę krępującą kostki i przeguby dłoni Breeden, odkleiła ją od łóżka, zwinęła w kulkę, po czym pochyliła się nad swoją ofiarą i pociągnęła lak mocno za obrozę, że Kate zaczęła gwałtownie dyszeć, z truciem łapiąc powietrze.

-Ten mały instrument jest przyczepiony do twoich rąk i nóg. Jeśli spróbujesz usiąść, poruszyć nogami lub rękami,

umrzesz powolną śmiercią, uduszona na skutek własnej szarpaniny. Rozumiesz? Breeden skinęła głową, na co Munroe powiedziała: - Dobrze.

Wyciągnęła magazynek z pistoletu i wyjęła kule. Wytarłszy je starannie, zaczęła je przyciskać do palców Kate, zostawiając na każdej częściowe lub całe ich odciski, po czym włożyła je z powrotem do magazynka. Mogła uzyskać odciski na fotografiach w ten sam sposób, ale sprowokowanie reakcji Breeden przyniosło jej znacznie większą satysfakcję.

Zabrała się do przeszukiwania szafy, a Kate powiedziała: - Nie uda ci się tego zrobić.

Na twarzy grzebiącej w jej ubraniach Munroe pojawił się słodki, sadystyczny uśmiech Pietera Willema.

- Och, Kate, przecież mnie dobrze znasz. Nie dość, że to zrobię, ale jeszcze ujdzie mi to na sucho. - Z walizeczki, którą przyniosła, wyjęła perukę wykonaną z jasnych, sięgających do ramion włosów, i włożyła ją sobie na głowę. Potem, wciąż z uśmiechem na ustach, wzięła z półki buteleczkę perfum, spryskała nimi szyję i nadgarstki, a następnie ściągnęła z wieszaka kostium i chwyciła parę rajstop. - Tak naprawdę, potrafię dowieść ponad wszelką wątpliwość, że nawet nie ma mnie w kraju.

Wykorzystując rajstopy i kilka ręczników, które wzięła z łazienki, Munroe zaokrągliła swoje ciało tak, żeby pasowało do kostiumu. Ubierała się przed Breeden, która przez większość czasu patrzyła na sufit lub miała zamknięte oczy. Jej oddech był spokojny, regularny i w końcu niemal szeptem zapytała: - Czy naprawdę było tam aż tak źle?

Każde z tych słów przywoływało w pamięci Munroe wspomnienie ciała Francisca w kałuży krwi, leżącego bez życia na ziemi. Zrobiła głęboki wdech i nie próbując nawet tłumić wściekłości, która ją ogarnęła, oderwała kawałek taśmy, zakleiła nią usta Breeden, a potem poderwała z łóżka jej prawą rękę i przyglądała się, jak była przyjaciółka z

wytrzeszczonymi oczami próbuje złapać powietrze. Po chwili położyła rękę z powrotem na łóżku, przejechała palcem po wewnętrznej stronie obroży, żeby ją poluźnić, po czym poklepała Kate po policzku.

- Dla twojego dobra lepiej by było, żeby sprawy potoczyły się dla mnie dobrze tej nocy.

Włożyła laptop i resztę sprzętu do aktówki Breeden, wybrała sobie torebkę, wrzuciła do niej klucze i portfel Kate, i, uważając, żeby nie zostawić żadnych śladów swojej obecności ani tożsamości, wyszła z pokoju. Na drzwiach powiesiła znak „Nie przeszkadzać”, a potem we własnym pokoju usunęła wszystkie ślady, które mogłyby wskazywać na to, że w nim była.

Apartament Richarda Burbanka zajmował niemal całe piętro wieżowca nad jego biurami. Ubrana jak Kate Breeden Munroe nie przyciągnęła nawet drugiego spojrzenia nocnego strażnika, kiedy weszła do budynku. Karta zawieszona na kółku na klucze Breeden posłała windę na właściwe piętro i Munroe znalazła się w marmurowym holu, który kończył się drzwiami naprzeciwko windy. Posłużywszy się kluczemkarta, weszła bezszelestnie do mieszkania Burbanka i chociaż w środku było ciemno, przenikające przez wielkie okna światła miasta wystarczyły, żeby bez kłopotu odnalazła drogę w labiryncie mebli i dywanów. Wepchnęła parę majtek Kate między poduszki kanapy, a potem podążyła w stronę głosów dobiegających z drugiego końca mieszkania. Dotarłszy do na wpół otwartych drzwi gabinetu, zatrzymała się i zaczęła słuchać jednostronnej rozmowy - Burbanka i najwyraźniej jednej z jego wielu kochanek.

Odczekała, aż rozmowa dobiegła końca, a potem weszła do pokoju z bronią wycelowaną w tył głowy Burbanka. Żeby zemsta miała słodysz sacharyny, musiałaby go zabić gołymi rękami i patrzeć mu w oczy, kiedy będzie umierał. Niestety dla

spójności całego planu konieczne było, by dostał kulę w głowę.

Chociaż jej kroków nie było słychać, zbyt duże ubranie zaszeleściło i Burbank zapytał, nie uniósłszy głowy znad biurka: - Katie, czy to ty?

- Nie, dupku - odparła Munroe. - Kate nie żyje i ty wkrótce do niej dołączysz.

Burbank odwrócił się i stwierdził, że patrzy prosto w lufę pistoletu.

Podobnie jak reszta apartamentu gabinet był niemal całkiem ciemny, ale chociaż Burbank rysował się tylko jako sylwetka na tle świateł miasta, Munroe zobaczyła w jego oczach przerażenie. Ręce mu drżały, a jego oczy strzelały nerwowo w kierunku telefonu.

- Podaj mi go - rozkazała Munroe.

Burbank dał jej telefon i odzyskawszy nagle spokój, uniósł ręce, pokazując puste dłonie. - Posłuchaj, przecież tak naprawdę nie chcesz mnie zabić - powiedział. - O cokolwiek tu chodzi, możemy to rozwikłać razem. Mogę ci dać wszystko, czego zechcesz. Mam kontakty, władzę... wiesz o tym. Chcesz pieniędzy? Dam ci pieniądze. Mogę cię ustawić na całe życie, tak żebyś nie musiała się już dłużej włóczyć świecie. Jeśli tylko czegoś pragniesz, mogę sprawić, żeby to się stało.

- Jeśli nie jesteś pieprzonym Jezusem i nie potrafisz wskrzeszać zmarłych, niczego od ciebie nie chcę.

Przez chwilę mina Burbanka zdradzała konsternację, ale już po sekundzie odezwała się w nim osobowość negocjatora.

- Nigdy nie miała ci się stać żadna krzywda. Nikomu nie miało się nic stać. Powinniśmy o tym porozmawiać, zastanowić się nad tym, sprawdzić, czy nie możemy znaleźć tych, którzy naprawdę ponoszą za to winę.

- Zamknij się, do cholery - warknęła Munroe. - Mdli mnie od twojego gadania. - Postawiła stopę na jego fotelu i odepchnęła go od biurka. - Siedz i trzymaj ręce i nogi tak,

żebym je widziała. - Przejrzała listę nagrań na automatycznej sekretarce i nie znalazłszy tego, czego szukała, powiedziała: - Dzwonimy do Nchamy. Daj mi jego numer.

Zdumiony Burbank otworzył bezwiednie usta, a potem wykrztusił: -Co?

- Słyszałeś mnie, pieprzony sukinsynu. Daj. Mi. Numer. Nchamy.

Burbank siedział nieruchomo, a Munroe zakłęła w duchu, rozdarta między ogromnym pragnieniem zadania mu bólu i obawą, że coś popsuje w poza tym idealnie przygotowanej scenie przyszłego morderstwa i samobójstwa Kate.

- Ostatnie ostrzeżenie - warknęła. A kiedy i tym razem Burbank się nie poruszył, strzeliła mu w lewe udo.

Wrzasnął, szarpnął się gwałtownie do przodu i chwycił za nogę, a Munroe zakleiała mu usta pięciocalowym kawałkiem taśmy.

- Chcesz, żebym zrobiła to jeszcze raz? - zapytała.

Patrząc na nią szeroko otwartymi z przerażenia oczami i trzymając się poczerwieniałymi od krwi palcami za nogę, pokręcił gwałtownie głową.

- Dobrze - powiedziała. - Cieszę się, że się rozumiemy. A teraz daj mi ten cholerny numer. Burbank wskazał głową biurko i Munroe kopnięciem przysunęła fotel z powrotem do niego.

- Trzymaj ręce tak, żebym je widziała, i spróbuj nie dawać mi żadnego powodu do rozwalenia ci drugiej nogi.

Burbank pokiwał głową i zaczął się szarpać z szufladą biurka.

- Stój - rozkazała Munroe.

Zawahał się, a potem zrobił, jak mu kazała, kładąc ręce na poręczach fotela.

Munroe weszła między Burbanka a biurko, znowu go odepchnęła i z bronią wycelowaną w jego pierś drugą ręką otworzyła szufladę. Przeszukała ją, a potem obmacała jej dno i

wyczuła małe zgłębienie. Nacisnęła je i otworzyła się ukryta szuflada. Munroe wyjęła z niej rewolwer, sprawdziła, czy jest zabezpieczony, po czym wsunęła sobie z tyłu za pasek. A potem znowu wskazała biurko skinieniem głowy.

- Numer Nchamy - powtórzyła.

Resztki pewności siebie, jakie jeszcze zostały Burbankowi, szybko go opuszczały; Munroe poznała to po jego pozie, po tym, jak trzęsły mu się ręce, i po napięciu widocznym na twarzy. Sięgnął do szuflady, wyjął z niej notatnik i podał jej. Gestem ręki rozkazała mu odsunąć się od biurka i usiąść na podłodze plecami do ściany, co zrobił, wciąż trzymając się za nogę i jęcząc z kneblem w ustach.

Z szyderczym uśmieszkiem podeszła do niego i przykucnęła, wpatrując się w oczy, które otworzyły się jeszcze szerzej, gdy jej twarz znalazła się na jego poziomie. Trzymając mu pistolet przy głowie i nie odrywając wzroku od oczu, ścisnęła jego zranione udo.

Burbank wrzasnął, dość głośno mimo knebla, a kiedy się już nieco uspokoił, Munroe powiedziała: - Będzie bolało. Będzie bardzo bolało, jeśli przysporzysz mi kłopotów. Rozumiesz mnie?

Pokiwał głową.

Opuściła broń, wyciągnęła rękę i zdarła mu taśmę z twarzy. Zaczął krzyczeć, a ona pokręciła głową.

Przykucnęła jeszcze niżej.

- Czytałeś moje dossier. Wiesz, do czego jestem zdolna, i wiesz, że specjalizuję się w zdobywaniu informacji. To oznacza, że mówiąc, iż wiem, dlaczego zostawiłeś Emily, by gniła w Afryce, wcale nie będę blefowała. - Jej głos był cichy, monotonny, śmiertelnie groźny. - Nie próbuj odgrywać niewinnego, bo brednie tylko przedłużą twoje cierpienie. Wiem, co zrobiłeś, i wiem, dlaczego to zrobiłeś. Natomiast chciałabym się dowiedzieć, co takiego powiedziałaś Nchamie, że postanowił trzymać Emily w Mongomo.

Przez zaciśnięte zęby Burbank wysapał: - Że Emily jest oszustką.

- I kazałeś Nchamie, żeby ją zabił?

- Nie tymi słowami.

Munroe szturchnęła go mocniej w ranę, a on zaklął.

- Nie musiałem - wyjaśnił. - Nchama powiedział, że się tym zajął.

- Zadzwoń do ciebie - ciągnęła Munroe. - Blisko rok później rozmawiała z tobą. Wiedziałeś, że ona żyje, i mogłeś ją sprowadzić do domu.

Burbank wzruszył ramionami.

- Wtedy nie było to już możliwe. Emily była w ciąży i Nchama nigdy nie pozwoliłby jej wyjechać z dzieckiem.

- Chodzi ci o to, że ponieważ miała wkrótce zostać matką jego dziecka, nie zamierzał jej zabić, jak chciałeś.

Burbank nic nie odpowiedział, ale w jego oczach zobaczyła potwierdzenie swoich słów.

- A więc ją trzymał, żywą, ale w ukryciu. Co masz na niego go? - zapytała. - Czego on się boi?

Burbank nie zareagował i Munroe uśmiechnęła się do niego słodko.

- Nie mam czasu - powiedziała śpiwnie. - Dla mnie nie ma żadnego znaczenia, czy zachowasz wszystkie palce u rąk i nóg. A czy dla ciebie ma to jakieś znaczenie?

Ponieważ nadal nic nie odpowiedział, przyłożyła lufę pistoletu do jego kciuka, ale kiedy jej palec wskazujący zagiął się już na spuście, Burbank rzucił pospiesznie: -Nagranie wideo... wielka, nieczysta transakcja... groziłem, że ujawnię to jego prezydentowi.

Nie miało sensu domagać się, by przekazał jej to nagranie. Na pewno ukrył gdzieś kopie. Munroe zaklepała mu znowu usta i burknęła: - Pieprzony drań.

Wstała, podniosła słuchawkę i wystukała numer Nchamy.

Przywitała się z Nchamą po angielsku i powiedziała: - To na mnie polowałeś - a potem dla zachowania prywatności przeszła na fang. - Wybiłam twój patrol, obciąłam głowę jego dowódcy. Jestem zjawą - mówiła - i jeśli będę musiała, odszukam cię i zniszczę. Czy oszustka żyje? - Kiedy usłyszała potwierdzenie, zbliżyła słuchawkę do twarzy Burbanka i znowu zdarła mu taśmę z ust. - Powiedz mu, że plany się zmieniły - rozkazała. - Że chcesz, by Emily wróciła do Stanów.

Burbank zdołał się na tyle opanować, że mówiąc, tylko trochę się jąkał, a kiedy skończył, Munroe przyłożyła znowu słuchawkę do swojego ucha i kontynuowała rozmowę z Nchamą w fang. Blefowała, udając, że ma teraz wszystkie informacje, które posiadał Burbank. Obiecując kontrolować Burbanka - kontrolować szantaż - zaoferowała Nchamie drogę wyjścia z jego kłopotów. Przekształciła obietnicę w groźbę, na wypadek gdyby nie chciał współpracować, a kiedy rozmowa dobiegła końca, była pewna, jeśli czegoś można być pewnym, to że perfidia Burbanka przestała zagrażać Emily i jej dzieciom.

Munroe nie potrzebowała już Burbanka. Mógł umrzeć. A po nim Kate Breeden. Taki był plan. Wsadzić mu kulę w łeb. Potem zostawić fotografie, łuski od nabojów i bieliznę Kate i zniknąć w ciemności, by zająć się samobójstwem byłej przyjaciółki. Jak na tak krótki czas, plan był imponująco bezbłędny i wystarczyło wprowadzić go w życie.

Popatrzyła na Burbanka, tę jęczącą, pochlipującą namiastkę mężczyzny, którego chciwość była przyczyną tak wielkich cierpień, przygotowała się do strzału, ale się wstrzymała. Upłynęła minuta lub dwie, a może i dziesięć, kiedy tak stała w całkowitym bezruchu, patrząc na niego z góry, podczas gdy on ronił krokodyle łzy. Przez ten cały czas w jej głowie przewijały się taśmy pamięci z Pieterem Willemem i Franciskiem Beyardem, i wspomnienia obu mężczyzn

nakładały się na siebie. I zrozumiała, że Richard Burbank nie jest tego wart.

- Włącz swój komputer - rozkazała w końcu.

Burbank wstał, dokuśtykał do biurka i kiedy czekali oboje, aż komputer się włączy, Munroe rzuciła na blat płytę DVD z kopią opowieści Emily oraz plik fotografii. Silnym pchnięciem posadziła Burbanka w fotelu, a sama usiadła na krawędzi biurka, skąd mogła obserwować jego twarz, kiedy będzie oglądał nagranie, które zamierzała pokazać mu w całości, od początku do końca.

Podczas oglądania Burbank nie zdradzał żadnych emocji i jeśli Munroe właściwie zrozumiała sytuację, jego mózg zaczął już działać, obliczając straty i planując przyszłe posunięcia. Jeśli przeżyje, spróbuje się z tego wykręcić gadaniem, tak jak gadaniem wkręcił się w życie Elizabeth i załatwił potem tak wiele interesów, czekała więc na koniec nagrania.

A kiedy to się stało i w pokoju zapadła cisza, powiedziała:

- Nie muszę cię zabijać, Richard. Ty już nie żyjesz.

Burbank popatrzył jej w oczy z zaskoczeniem wyraźnie wypisanym na twarzy.

- Wydaje się, że niezbyt szybko łapiesz - mówiła dalej. - Pozwól więc, że ci pomogę. - Pochyliła się do przodu, tak że jej twarz była zaledwie o kilka cali od jego twarzy. - Dziś rano Miles zanieś kopię tego nagrania na posiedzenie zarządu. - Umilkła, czekając, aż ta informacja do niego dotrze. - Czy muszę ci to narysować, Richard? Co oni zrobią, kiedy prawda wyjdzie na jaw? Ile władzy pozwolą ci zatrzymać? Jak dużą kontrolę zachowasz? Jak dużą część majątku? - Znowu umilkła na chwilę. - Straciłeś to wszystko. Wszystko się rozwiało.

Poczekala na reakcję Burbanka, wyczytała ją w zmarszczkach wokół jego oczu, przesłała mu sadystyczny uśmiech Pietera Willema i uderzyła się w pierś w udawanym żalu.

- Biedny Tata Burbank. Stracił żonę i córkę. Och! Jakie to bolesne! Dobrze to wszystko poukrywałeś, Richard - kontynuowała - te twoje brudne, małe sekrety... podstawione spółki i korporacje ukryte za korporacjami, wszystkie skrywające prawdę, że twoje bogactwo i władza są tylko fasadą. Jesteś bankrutem, Richard. Masz tylko długi. Wszystko, co posiadasz, wszystko, co masz - łącznie z Titanem - należało do Elizabeth, a teraz jest własnością Emily. A jak długo Emily pozostaje zaginiona, wszystko, co masz, zależy od uznania zarządu. - Uśmiechnęła się ponownie i dała Burbankowi czas, żeby to sobie rozważył, po czym podjęła przerwany wątek: - Och, zapomniałam ci jeszcze o czymś powiedzieć. Twój koszmar nie kończy się na kwestii relacji z zarządem.

Obrócił szybko głowę w jej stronę.

- Jak mogłam zapomnieć - mówiła dalej. - No, ale to by było za łatwe dla ciebie i twojego obrotnego języka. Relacja Emily wraz z dokładnym wyjaśnieniem, w którym przedstawiono całość tej sprawy, będzie wysłana także do mediów i na policję. Może nawet przetrwałbyś jakoś wrzawę w mediach, ale wątpię, czy bez władzy i pieniędzy przyznanych ci przez zarząd powierniczy zdołasz przetrwać proces.

Motywy to coś potężnego - kontynuowała - i wierzę, że twoje są już teraz dobrze udokumentowane. Kiedy zostaniesz aresztowany - a z os tani es z - twój obrońca z urzędu będzie miał pełne ręce roboty. Nie, Richard - powtórzyła, kręcąc głową - nie muszę cię zabijać. Śmierć byłaby o wiele łatwiejsza od tego, co cię czeka. To jest zemsta, którą będę się cieszyć każdego dnia jeszcze przez wiele lat. - Uśmiechnęła się. - Każdej nocy będę myśleć o tobie, wydelikacowanym, białym mężczyźnie z członkami gangów, zabójcami i gwałcicielami jako partnerami do łóżka. Będę się budzić z uśmiechem, wiedząc, że to kolejny dzień życia Biednego Taty Burbanka, dziwki z sąsiedniej pryczy. Z więzienia będą wyciekać wieści,

że złapałeś HIV albo żółtaczkę typu C, że się nad wiek postarzałeś, że marniejesz w oczach. Każda taka wiadomość sprawi, że będę miała dobry dzień. A kiedy wyjdiesz, je śli kiedykolwiek to się stanie, będę czekała. - Przerwała jeszcze raz, a potem wyszeptała: - Tak wielki upadek, taka degradacja. - Wskazała na kopertę z fotografiami, którą rzuciła na biurko. - Zatrzymaj je sobie na pamiątkę, bo kiedy sprawa się rypnie, zostaną ci tylko wspomnienia. - Wstała, kopnąwszy pistolet z tłumikiem, posłała go po podłodze na drugą stronę pokoju, i powiedziała: - Ciesz się resztą swojego nędznego życia - a potem odwróciła się i wyszła z gabinetu.

Munroe nie dotarła jeszcze do kuchni, kiedy panującą w apartamencie ciszę przerwał charakterystyczny odgłos wystrzału z wytłumionej broni. Wróciła do gabinetu i upewniwszy się, że Burbank osiągnął cel, wyjęła z komputera płytę DVD i szybko przeszła przez korytarz oraz sypialnię do łazienki. Znalazła tam myjkę, zamoczyła ją, po czym powtórzyła to z drugą, obficie nasączając ją mydłem w płynie.

Wróciła do Burbanka i chwyciwszy przez mokrą szmatkę jego prawą rękę, omyła ją starannie; dłoń, nadgarstek i przedramię. Dla pewności zrobiła to także z jego lewą ręką. Wiedziała, że mydło i woda zmyją ślady prochu, a przynajmniej ich większość, i ukryją milczące prawdy miejsca przestępstwa.

Wrzuciwszy myjki do aktówki, opuściła apartament i zjechała windą na dół. Spotkanie z Burbankiem przebiegło zupełnie inaczej, niż to miała w planie, ale jej improwizacja powinna wystarczyć, by mogła osiągnąć swój cel.

Do hotelu wróciła spacerem, nie spiesząc się. Chłodne powietrze pomagało jej zachować jasność umysłu, kiedy starała się wszystko przemyśleć i podjąć decyzję co do dalszych kroków, ale dopiero kiedy znalazła się z powrotem w pokoju Breeden i spojrzała na ciało kobiety, która zdradziła wiele lat przyjaźni, zrozumiała, jak powinna postąpić.

Nie odezwała się do Kate, tylko zdjęła jej kostium i włożyła swoje ubranie, a potem usunęła jej knebel z ust, uwolniła ją z więzów i ściągnęła z szyi obrożę.

- Czy teraz mnie zabijesz? - zapytała Breeden.

Munroe wsunęła smycze, obrożę i kostium do torby z resztą swojego sprzętu, odwróciła się w kierunku drzwi i odpowiedziała: - Nie.

- Czy Richard nie żyje?! - krzyknęła Kate.

- Tak - odparła Munroe i nie oglądając się za siebie, wyszła na korytarz. Zeszła na dół i zanurzyła się w mrocznych cieniach szklanych gigantów, wznoszących się nad centrum miasta. Posuwała się na oślep, nie próbując nawet zapanować nad szarpiącymi nią emocjami.

Nie miała celu. Nie miała żadnego powodu, by po jednym kroku stawiać drugi. Nie miała dokąd iść.

Epilog

Droga międzystanowa 1-35, gdzieś między Austin a Dallas.

Słyszane z wnętrza kasku odgłosy świata były przytłumione, jakby dochodziły z daleka. Było tylko to i pęd wiatru, i potężne drgania, które przechodziły przez jej ciało, kiedy motocykl z wyciem silnika połykał kolejne mile. Munroe jechała na północ, z San Antonio i środkowej, pokrytej wzgórzami części Teksasu, z powrotem na równiny wokół Dallas, gdzie później tego dnia miała się spotkać z Milesem Bradfordem.

Rozstała się z nim w Paryżu, obiecawszy odwiedzić go w ciągu dwóch najbliższych tygodni, i chociaż te dwa rozciągnęły się do kilku, wiedziała, że Logan poinformował go o tym, iż wszystko u niej w porządku. Mogła spróbować zobaczyć się z nim zaraz po tym, gdy wróciła do Dallas, ale potrzebowała czasu, a także przestrzeni, by oczyścić się z nienawiści i oplakać Francisca.

Trudniej było jej się pogodzić z decyzją o pozwoleniu na to, żeby zdrada uszła Breeden bezkarnie. Czasem miała wrażenie, że puszczając ją wolno, zdradziła pamięć Francisca, i wciąż rzadko się zdarzały takie dni, kiedy nie zastanawiała się nad odszukaniem jej i dokończeniem tego, co powinna była - zgodnie z prawami dżungli - zrobić tamtej nocy.

Po wyjściu z hotelu włóczyła się wtedy bez celu jeszcze długo po wschodzie słońca, przeczekala tak czas, gdy na ulice wyległ tłum ludzi idących na lunch, i dopiero w godzinie popołudniowego szczytu dotarła w końcu na dworzec Greyhounda, gdzie złapała następny autobus, który jechał do granicy meksykańskiej. Opuściła Stany Zjednoczone pieszo i następnego wieczoru poleciała z Monterrey w Meksyku do Paryża. W jednym z niewielu prawdziwie altruistycznych

gestów w swoim życiu wywiozła Alaina z Paryża i umieściła w zamkniętym ośrodku odwykowym, gdzie alfonsi nie mogli go odnaleźć, obiecawszy również, że załatwi mu mieszkanie i pracę, jeśli będzie czysty przez sześć miesięcy. Nie miała złudzeń co do szans chłopca na ostateczne zerwanie z nałogiem, ale stworzyła mu okazję, by tego dokonał. Co dalej z tym zrobi, zależało tylko od niego samego.

Zjechała z autostrady i drogą dojazdową dotarła do parkingu, który przylegał do dwunastopiętrowego budynku. Capstone Consulting znajdowała się na piątym piętrze i była jedną z wielu średnich firm wypełniających wnętrze wieżowca. Z wyjątkiem pary muskularnych ciał, z którymi minęła się, wchodząc przez szklane drzwi biura, Munroe nie zauważyła niczego, co wskazywałoby na to, że ten interes prowadzi grupa najemników.

Bradford wyglądał dobrze, a jego uśmiech wzbudził w niej wyrzuty sumienia, że tak długo zwlekała z wybraniem się do niego. Pominawszy sprawy związane z interesami, to było stosowne zamknięcie, właściwy sposób zerwania dziwnej więzi, jaka się między nimi utworzyła, o wiele lepszy od nagłego pożegnania na lotnisku Charlesa de Gaulle'a.

Po kilku chwilach rozmowy o tym i owym wręczył jej kartkę papieru i powiedział: - Przelane na konta, które wskazałaś, całe pięć milionów, jak w kontrakcie.

Wzięła dokument i przebiegła wzrokiem tekst.

- Zakładam, że słyszałaś o śmierci Burbanka - mówił dalej.

Munroe skinęła głową, czytając tekst.

- Logan mi powiedział.

- A czy słyszałaś o Kate Breeden?

Przerwała i spojrzała na niego.

- Nie - odparła. - Przez kilka tygodni z nikim się nie kontaktowałam. Co z nią?

- Usiądźmy - zaproponował.

Munroe zawahała się, ale po chwili usiadła na fotelu stojącym po jej prawej stronie. Bradford usiadł naprzeciw niej i obrócił się, tak że patrzył jej prosto w oczy. Milczał przez jakiś czas, a potem pochylił się, opierając łokcie na kolanach.

- Kate była zamieszana w śmierć Richarda.

Wiadomość spadła na Munroe tak niespodziewanie, że mimowolnie wstrzymała oddech. Kiedy wyszła tamtej nocy z hotelu Alden, nie pomyślała, że wprawdzie zrezygnowała z zaplanowanej zemsty i darowała Breeden życie, ale zostawiła w mieszkaniu Burbanka ślady, które wrabiały Kate w morderstwo.

- Wciąż nie jest pewne, czy prokuratura wniesie sprawę do sądu - mówił dalej Bradford. - Ale została oskarżona. Według moich źródeł, mają nagranie z kamery monitorującej, na którym widać, jak wchodzi i wychodzi z budynku Richarda mniej więcej w przypuszczalnym czasie jego śmierci, oraz jak używa swojej karty, by ściągnąć windę. Co więcej w jego apartamencie jest mnóstwo śladów jej DNA i odcisków palców. Oczywiście zaprzecza, że go zabiła, przysięga, że została wrobiona, i wskazuje palcem w twoim kierunku. Jest możliwe, że parę osób będzie chciało z tobą porozmawiać. - Przerwał na chwilę. - Rodzą się wątpliwości odnośnie do broni, która występuje w sprawie, i pomyślałem, że chciałabyś zostać ostrzeżona.

- O ile mi wiadomo - odparła - Burbank umarł, kiedy byłam w Paryżu. Czy to nie stało się zaraz po posiedzeniu zarządu powierniczego?

- Przed.

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko jedno. Nie powinnam mieć większych problemów z udowodnieniem, że nie było mnie w kraju.

Miles skinął głową. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Odwrócił się w stronę okna i przez jakiś czas patrzył przez nie w zadumie.

- Posłuchaj - odezwał się w końcu - wiem, że to nie do mnie należy, ale myślę, że powinnaś to wiedzieć. Jeśli to coś warte, nie uważam, że Kate zamierzała cię zdradzić. Widziałem zdjęcia i prokurator widział zdjęcia. W twoich i moich oczach wygląda to tak, jakby sypiała z wrogiem. W oczach prokuratora wygląda to tak, jakby zabiła go z zazdrości. Ale to sięga głębiej. Burbank ją szantażował i ona nawiązała ten romans, próbując zmniejszyć straty. Przypuszczam, że nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak niebezpieczne dla nas były informacje, które mu przekazywała.

Munroe wpatrywała się w niego przez chwilę i w końcu, nie potrafiąc ukryć wahania, które zabrzmiało w jej głosie, zapytała: - Burbank szantażował Kate?

Bradford zacisnął usta i znowu skinął głową.

Kolejna przerwa, po czym Munroe jeszcze raz zapytała: - Skąd o tym wiesz? - Niełatwo było połączyć to wszystko w całość - zaczął. - Miałem tam swojego człowieka, który był na miejscu, kiedy przyszła wiadomość o śmierci Burbanka, a ponieważ chcę zachować możliwość zaprzeczenia, powiedzmy po prostu, że miałem uszy otwarte, i na tym poprzestańmy. Wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby kobieta taka jak Kate zdradziła cię z powodu romansu, zacząłem więc kopać. - Bradford podał Munroe cienką teczkę. - Nadal jeszcze przypominam różnym ludziom o długach wdzięczności, jakie mieli wobec mnie, ale wierzę, że to mniej więcej wszystko, co Burbank zebrał na nią.

Munroe zaczęła czytać, pełna uznania dla Bradforda za to, że nie dawał się zwieść pozorom i potrafił dostrzec to, co najważniejsze, podążając tropami, które wiodły przez zło tak mroczne, iż na tym tle Richard Burbank wydawał się wręcz przyzwoitym człowiekiem.

- To byli klienci Kate? - zapytała.

Bradford pokiwał głową.

- Zakładała im spółki i pilnowała ich legalnych interesów.
- Byłby z ciebie dobry analityk.

Bradford przesłał jej półuśmiech.

- Nazwij to ciekawością. Pomogło mi też to, że tak blisko współpracowałem z Richardem. Wiedziałem, gdzie poukrywał różne wstydlive tajemnice ze swojej przeszłości i jak odnaleźć to, co chciał schować. Przyznaję, że to nadal jest dosyć niepewne, ale różne kawałki dobrze do siebie pasują.

Munroe zerknęła na teczkę, którą trzymała w rękach.

- Myślisz, że ona nie wiedziała, w co się pakuje?

Bradford wzruszył ramionami.

- Coś musiała wiedzieć, ale jak dużo, można się tylko domyślać. Lepiej ode mnie wiesz, że Kate jest i zawsze była bezwzględna. Ale czy aż tak bezwzględna? Kto to może powiedzieć? Może pewnego dnia zapytasz ją o to?

Munroe westchnęła.

- W innym życiu.

- Kiedy Kate zaczęła wskazywać na ciebie - mówił dalej Bradford - postanowiłem złożyć jej wizytę. Dałem jej kopię tego, co trzymasz w rękach, i powiedziałem, że była idiotką, wybierając sobie klientów, którzy raczej pocięliby ją na małe kawałeczki, niż dopuścili do rozpowszechnienia się wiadomości o ich interesach. Wspomniałem również, że nie chcę już nigdy słyszeć, jak mówi o tobie. Munroe uśmiechnęła się lekko z wdzięcznością.

- Jeśli się jednak nie mylę - kontynuował - to z notatek Richarda wynika, że zaczął zbierać brudy na Kate, jeszcze zanim przyjąłeś zlecenie. Myślę, że ona o tym wiedziała, ale nie była pewna, co konkretnie na nią ma, do czasu, gdy przybyłaś do Afryki, bo właśnie wtedy zaczął przypalać jej nogi w ognisku.

Munroe uniosła wzrok i popatrzyła na Bradforda.

- Wiesz, nie zmienia to faktu, że mnie sprzedała, ale jeśli miał na nią takie rzeczy... - Jej głos ucichł. - Dziękuję ci. Nie

musiałeś tego robić.

Bradford po prostu pokiwał głową w odpowiedzi. Zapadła cisza, którą w końcu przerwał, mówiąc: - Miałem wieści od Emily.

- Co z nią?

- Żyje, oczywiście, i radzi sobie zaskakująco dobrze. Jej sytuacja całkowicie się zmieniła. - Bradford podał Munroe płytę DVD. - To znajdowało się między materiałami, które Burbank zebrał na Kate.

- Niech zgadnę - powiedziała. - Tym właśnie szantażował Nchamę?

Bradford zachichotał.

- Taa. I w pewnym dziwnym sensie nadaje to kontekst wydarzeniom. Oglądając nagranie, można pomyśleć, że Nchama dostał pieniądze za obalenie rządu Gwinei Równikowej.

Munroe pokręciła głową, popatrzyła przez okno na zewnątrz i wyszeptała: - Człowiek ryzykuje życie, kiedy grozi mu coś strasniejszego od śmierci.

Bradford przytaknął.

- Pod koniec tygodnia wracam do Gwinei Równikowej, żeby towarzyszyć Emily i dzieciom w podróży do domu. - Przerwał. - Zastanawiałem się, czy nie chciałabyś pojechać ze mną. Przydałaby mi się pomoc.

- Dziękuję za propozycję, ale myślę, że dasz sobie z tym radę sam.

- Cóż, jak słyszałem, w tym kraju dość trudno się poruszać, a z władzami ciężko się dogadać. - Mrugnął do niej w ten swój nieodparcie uroczy sposób. - Prawdę mówiąc, bardzo bym chciał mieć cię tam przy sobie.

- Poradzisz sobie - powtórzyła. A to, co pozostało niewypowiedziane, zawisło w powietrzu. Cisza przeciągnęła się w minuty i stała się krępująca. W końcu Munroe wstała i powiedziała: - Lepiej już pójdę.

Bradford także wstał i uścisnął jej wyciągniętą na pożegnanie rękę. Przyciągnęła go do siebie i mocno przytuliła.

- Trudno mi się z tobą rozstać - wyszeptała, a potem puściła go i ruszyła do wyjścia.

- A co z tobą? - zapytał. - Co dalej?

Zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

- Najpierw Niemcy, żeby pozapinać wszystko na ostatni guzik, a potem Maroko. - I po raz pierwszy od długiego czasu uśmiechnęła się. - Muszę tam kogoś odszukać.

Podziękowania

Nie byłoby możliwe znalezienie czasu, środków oraz motywacji do pisania bez miłości i wsparcia rodziny, przyjaciół i moich najbliższych. Niezależnie od tego, czy byli w moim życiu na stałe, czy pojawiali się w nim sporadycznie albo tylko raz, mieli na mnie wpływ i teraz żyją w powieści, którą pomogli stworzyć.

Było także wiele osób, których spostrzeżenia i bezpośredni wkład poprawiły oryginał, zmieniając w to, czym jest teraz. Wszystkim wam dziękuję, a zwłaszcza Nico Hałd, za jej skrupulatność, jak również mojej agentce, Anne Hawkins, oraz redaktorce, Sarah Knight, za ich uwielbienie słowa i wiarę w moją pracę.

Notatki

[←1]

Cytaty biblijne w całej książce za Biblią Tysiąclecia (wszystkie przypisy tłumacza).

[←2]

Środkowoafrykańskie franki CFA - jedna z dwóch walut używanych w Afryce, które są gwarantowane przez francuskie Ministerstwo Skarbu.

[←3]

Wspólna taksówka (*share taxi*) - popularny w krajach Trzeciego Świata sposób przewozu ludzi. Są to pojazdy do wynajęcia, poruszające się po całkowicie lub tylko częściowo ustalonych trasach, bez żadnego rozkładu jazdy, i wyruszające w drogę wtedy, gdy wszystkie miejsca są zajęte.

[←4]

DR Konga - Demokratyczna Republika Konga.

[←5]

Rio Muni - kontynentalna część Gwinei Równikowej.

[←6]

Bush taxi - inna nazwa wspólnych taksówek, najczęściej używana w Afryce Zachodniej i Środkowej.